

A woman from the waist down is shown wearing a vibrant red, ruffled, tiered mini dress and black high-heeled shoes. She is holding a silver handgun in her right hand. The background is plain white.

50

JANICE KAPLAN

dać się zabić
za ten
wygląd

Kaplan Janice

Lacy Fields 01

Dać się zabić za ten wygląd

Lacy Fields, szczęśliwa mężatka, oddana matka trójki dzieci i wzięta dekoratorka wnętrz, o mało nie dostaje zawału, gdy na progu domu stają policjanci z nakazem aresztowania jej szanownego małżonka.

Okazuje się, że Dan Fields, prominentny chirurg plastyczny z Beverly Hills, jest oskarżony o zamordowanie młodej, niedoszłej aktoreczki. Jej ukochany Dan? To chyba jakaś pomyłka? Przekonana o niewinności męża Lacy postanawia wziąć sprawy w swoje ręce. Jej postanowienia nie złamią ani wychodzące na światło dzienne sekrety męża, ani kompletny brak doświadczenia w detektywistycznej profesji. Czy kobieca intuicja i przydatna na co dzień w pracy zawodowej pamięć do szczegółów wystarczą, by rozwikłać tajemnicę śmierci młodzianki Tashy i znaleźć prawdziwego mordercę?

Rozdział pierwszy

Tej nocy, kiedy policja przyszła aresztować mojego męża pod zarzutem morderstwa, ja na piętrze katowałam się na bieżni. Gdyby udało mi się utrzymać takie tempo, pokonałabym dystans pięciu kilometrów w czasie dwudziestu dwóch i pół minuty, ustanawiając swój osobisty rekord.

Kiedy więc usłyszałam dzwonek do drzwi, zignorowałam go. W potem zignorowałam go po raz kolejny. Ale ten, kto z takim uporem się dobijał, nie rezygnował, robił zaś przy tym hałas, który na pewno obudziłby cały dom. Zirytowana, nacisnęłam „Stop”, zarzuciłam bluzę Juicy Couture na różowy stanik do ćwiczeń i kolorystycznie dopasowane szorty, zdjęłam treningowe buty, od których miałam już odciski, choć podobno umożliwiały uprawianie biegów na każdej nawierzchni, i zbiegłam na dół. Dzisiaj nie pobiję osobistego rekordu.

W holu chiński zegar zdobiony cloisonne pokazywał godzinę 23.50, czyli raczej porę dla odwiedzin nietypową na naszym strzeżonym osiedlu w Pacific Palisades. Spróbowałam dojrzeć coś przez judasza w drzwiach, ale artystycznie rżnięta kryształowa kulka miała raczej pełnić funkcje zdobnicze niż użytkowe. Niezbyt wyraźnie zobaczyłam sylwetki dwóch mężczyzn, chyba policjantów, a kiedy niepewnie zawołałam:

„Tak?“, zamachali swoimi legitymacjami, nie wiedząc, że dla mnie mogłyby to być grafiki Picassa. Zakarbowałam sobie, aby rozejrzeć się za jakimś bardziej praktycznym systemem zabezpieczenia.

Gliny przed moimi drzwiami? W pierwszej chwili odczułam ciekawość, a nie strach, tym bardziej że ci, których kochałam i o których martwiłam się przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, spali otuleni kołdrami w sypialniach na górze. Grant wrócił wcześniej, żeby nabrać sił przed jutrzejszym testem z fizyki, Ashley tuż po dziesiątej skończyła rozmowę z dwoma koleżankami, po czym od razu poszła do siebie, a mały Jimmy słyszał potwory hałasujące w szafie, kiedy jednak przeczytałam mu trzy książeczki i udałam, że usnęłam pierwsza, w końcu się poddał. Nawet mój mąż Dan, po lekturze medycznych czasopism, której oddawał się przez czterdzieści pięć minut, nastawił budzik, by o świcie wstać i zdążyć na operację wyznaczoną na wczesny ranek.

Przekreśliłam pierścionek na palcu, aby ukryć w dłoni wielki rubin i dwa małe brylanciki, i otworzyłam drzwi. Najpierw zobaczyłam wysokiego Latynosa w policyjnym mundurze, wciąż jeszcze niezdarnie trzymającego legitymację, potem mój wzrok natknął się na drugiego policjanta, nieco starszego i niższego, o ziemistej cerze i ponurej minie.

- Musimy porozmawiać z doktorem Danem Fieldsem, proszę pani - odezwał się starszy gliniarz. Głos miał równie odpychający jak wygląd.

- O czym?

- Wolałbym to wyjaśnić doktorowi osobiście.

Byłam spocona i zmęczona, i nie miałam najmniejszej ochoty na rozmowy z podejrzliwymi gliniarzami. Wiedziałam jednak, o co w tym wszystkim chodzi, ponieważ jakiś miesiąc temu policyjna eskorta składająca się z trzech radiowozów przyjechała po Dana, by natychmiast przewieźć go do szpitala, gdzie miał pospieszyć z pomocą jed-

nej z czołowych aktorek, która odcięła sobie palec, krojąc bagietkę. Mój mąż był Świętym z Hollywoodu, chirurgiem plastycznym, którego nadzwyczajne zdolności w kształtowaniu, przyszywaniu i rekonstrukcji oznaczały, że może uratować każdą zagrożoną twarz lub inną część ciała. Poza Hollywood przeprowadzał operacje plastyczne większości słynnych twarzy na tej planecie, a swego czasu na konsultacje u niego trzeba było czekać osiem miesięcy. Jeżeli komuś nie udało się umówić na wizytę, mógł sobie przynajmniej przeczytać o nim pochlebne artykuły w „Vogue” lub „Elle”. Bez wątpienia pisały je dziennikarki, które doszły do wniosku, że dzięki odpowiedniej liczbie pochlebstw trafią na początek kolejki.

- Czy ktoś został ranny? - zapytałam.

- O, i to bardzo poważnie. - Z twarzą wykrzywioną złośliwym uśmieszkiem gliniarz postąpił krok w moją stronę, wysuwając się przed kumpla. - Proszę zawołać doktora Fieldsa.

Jego groźna postawa nie zrobiła na mnie wrażenia.

- Panowie, Dan już poszedł spać - oznajmiłam, starając się nie okazać lęku. - Mnie powiedzcie, o co chodzi.

Gliniarz obejrzał się na partnera, który chował właśnie legitymację do kieszeni.

- Proszę zawołać doktora.

- Jeżeli chcecie prosić Dana o przysługę, możecie to zrobić grzeczniej - zauważyłam.

Gliniarze wymienili spojrzenia, po czym odezwał się Latynos.

- Nie chodzi o żadną przysługę, proszę pani. Jeżeli go pani nie zawoła, sami po niego pójdziemy. Wiemy, że jest w domu.

Prawdziwy geniusz. Dopiero co powiedziałam, że Dan poszedł do łóżka, a on wydedukował, że jest w domu.

- Skoro według panów nachodzenie mojego męża w domu w samym środku nocy nie jest przysługą...

Umilkłam, ponieważ obaj przyglądali mi się dziwnie, i w końcu do mnie dotarło, że chyba jednak jestem na straconej pozycji. Możliwe że nawet w ogóle znajduję się poza boiskiem.

Odetchnęłam głęboko i spojrzawszy ponownie na tego o ziemistej gębie, zauważyłam, że na jego odznace widnieje napis „Detektyw Vincent Shields”. Jego kumpel nazywał Jose Reese i także był detektywem.

- Zakładam, że doktor Fields to pani mąż - odezwał się Shields cicho. - Musi zostać przesłuchany.

Stałam, niezdolna się poruszyć.

- Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa - dodał Shields. Wskazał na interkom przy drzwiach wejściowych. - Może go pani poprosić, żeby zszedł na dół?

Byłam tak ogłupiała, że interkom równie dobrze mógł być meteorytem, który właśnie wylądował w moim holu. Chrząknęłam. Zebrałam myśli.

- Hm, rzecz w tym, że właśnie skończyliśmy remont piętra i nie dało się podłączyć interkomu do starego systemu, rozumiecie, panowie? Elektryk powtarza, że sobie z tym poradzi, chociaż mu się nie udało, pewnie więc będziemy musieli zamontować nowy system, albo przynajmniej znaleźć nowego elektryka, jeżeli panowie wiedzą, o czym mówię... - przerwałam, zastanawiając się, czy nie lepiej byłoby zamilknąć.

Może powinnam coś zrobić. Podeszłam do interkomu, nacisnęłam guzik z napisem „Mów” i drugi, z napisem „Główna sypialnia”.

- Dan? - odezwałam się. - Kochanie? Słyszysz mnie? Jedyłą odpowiedzią był szum. Przeczesałam palcami

włosy, odgarniając loki z czoła, wciąż spoconego po ćwiczeniu na bieżni. I pocącego się coraz bardziej ze strachu, który nagle mnie ogarnął.

- Musimy iść na górę - oświadczył Reese. - Zaprowadzi nas pani?

Była to ostatnia rzecz, na jaką miałam ochotę. Obecność dwóch gliniarzy w moim wyłożonym marmurem holu była wystarczająco przerażająca.

Nie przyszło mi jednak do głowy odmówić facetowi z policyjną odznaką.
- Mamusiu? Czy to potwory?

Odwróciłam się gwałtownie i zobaczyłem Jimmy'ego, który stał u szczytu schodów i zerkał na nas przez poręcz. Kostki jego nóg pod dziwnym kątem wystawały spod przykrótkich spodni piżamy Supermana i był taki chudziutki i bezbronny, że chciałam natychmiast pognać do niego po schodach i mocno go uścisnąć. Pod baczym spojrzeniem gliniarzy wszelkie gwałtowne ruchy nie były chyba najlepszym pomysłem.

- Nie, kochanie, wszystko w porządku. To nie są potwory, tylko dwaj bardzo mili panowie policjanci.

Uśmiechnęłam się dzielnie, starając się opanować drżenie warg.

Mój synek włożył dzisiaj swoją piżamę superbohatera, by pokonać potwory czające się w jego pokoju, kto jednak mógł przypuścić, że przyjmą taką postać.

- Jimmy, kochanie, zrobisz coś dla mamusi? Odsunął się od poręczy i popatrzył na mnie ostrożnie

- chociaż miał dopiero pięć lat, już wiedział, że nie należy wyrażać zgody, dopóki się nie pozna rozmiarów prośby.

- Idź do pokoju rodziców i spróbuj obudzić tatusia. Powiedz, że mamusia prosi, żeby włożył szlafrok i zszedł na dół.

Jimmy zniknął tak szybko, że nie byłam pewna, czy zrobi to, o co go prosiłam, czy też po prostu uciekł, żeby ukryć się bezpiecznie pod kołdrą. Powoli odwróciłam się z powrotem do gliniarzy, ale oni coś między sobą szeptali. Detektyw Shields rzucił okiem na zegarek.

- To mi się nie podoba. Za dwie minuty wchodzimy na górę.

- Chodźmy od razu. Facet na pewno nie zejdzie.

Shields skinął głową i obaj ruszyli po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz. Ich buty na gładkich podszewkach ślizgały się po włoskim marmurze.

Na górze zatrzymali się gwałtownie, zerkając w korytarze rozchodzące się w trzech różnych kierunkach. Reese odwrócił się w moją stronę, gdy biegłam po schodach za nimi.

- Gdzie on jest? - warknął.

Ponieważ nie mogłam złapać tchu - nie ze zmęczenia, lecz zdenerwowania - nie odpowiedziałam.

- Którędy, do cholery? - wrzasnął.

- Nasza sypialnia jest po prawej - wydyszałam. Po czym, chociaż wcale tego nie chciałam, wrzasnęłam: - Dan!

W drzwiach sypialni pojawił się mój mąż ze zmierzwionymi blond włosami i zasną twarzą. Nie włożył szlafroka, miał na sobie tylko spodnie od dresu i dopiero po chwili zarejestrował, że zbliża się do niego dwóch policjantów. Kiedy to do niego dotarło, otworzył szeroko swoje niebieskie oczy i gwałtownie zamrugał.

- Co się dzieje? - zapytał zduszonym głosem.

- Doktor Daniel Fields? - zwrócił się do niego Shields.

- Tak, to ja. Czym mogę panom służyć?

Wytworność jego akcentu przybrała na sile, gdy policjanci zbliżyli się do niego. Nawet nagi od pasa w górę nie zatracił nic ze swej godności. Tak się właśnie dzieje, gdy ma się zadbaną, wspaniałą umięśnioną i opaloną pierś.

- Panie doktorze, musi pan udać się z nami na posterunek. Natychmiast. I spokojnie - dodał Shields z nieskrywaną groźbą w głosie.

- Czy zechcą mi panowie wyjaśnić, w jakim celu? Shields przez chwilę zwlekał z odpowiedzią, grzebiąc

czubkiem buta we frędzlach perskiego dywanu. Spojrzał na Jimmy'ego, który wyslizgnął się ze swojego pokoju i ostrożnie zbliżał się do ojca.

- Musi pan zostać przesłuchany - odezwał się w końcu Shields dyskretnie, nie zdradzając niczego więcej ze względu na Jimmy'ego, który wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Czy nie można z tym poczekać do rana? - zapytał Dan.

- Nie. To musi nastąpić teraz.

- Wyjaśnijcie mi coś, panowie. Nie mam pojęcia, o co chodzi i dlaczego musicie ze mną rozmawiać.

Dan mówił spokojnym rozsądnym tonem, jak gdyby popijał chablis w swoim klubie Princeton, a nie konferował z dwoma policjantami.

Jimmy niespokojnie potarł wielką literę S na swojej piżamie. Nic go jednak nie mogło ochronić.

- Musi pan zostać przesłuchany w sprawie morderstwa Teresy Bartowski - oznajmił Reese bez ogródek.

- Nawet nie wiem, kto to jest. Dlaczego chcecie rozmawiać właśnie ze mną?

- Jest też znana jako Tasha Barlow.

To nazwisko również zdawało się nic nie mówić Danowi.

- Chodzi o jakąś moją byłą pacjentkę? - zapytał.

- Porozmawiamy o tym w komisariacie - rzekł Reese.

- Nie, porozmawiajmy o tym tutaj. Albo jeszcze lepiej, przyjdźcie rano do mojego gabinetu. Przejrzę kartoteki pacjentów i zrobię wszystko, aby panom pomóc. Teraz musicie mi wybaczyć, ale chciałbym wrócić do łóżka. O siódmej rano przeprowadzam operację i wolałbym nie zmitrężyć całej nocy na bezsensownych rozmowach.

Reese i Shields po raz kolejny wymienili spojrzenia, po czym Reese, nie pozostawiając czasu na opór, czy jakąkolwiek reakcję, sięgnął do tylnej kieszeni po kajdanki i zatrzasnął je na smukłych nadgarstkach Dana.

- Jest pan aresztowany pod zarzutem zamordowania Tashy Barlow - wyrecytował. - Ma pan prawo zachować mil-

czenie. Wszystko, co pan powie, może zostać wykorzystane przeciwko panu...

- Co pan, do ciężkiej cholery, wyprawia? - rozległ się w holu głos Dana, nagle ostry i przenikliwy.

- ... w sądzie. Ma pan prawo...

- Proszę to w tej chwili zdjąć!

Dan szarpnął się do tyłu, wyciągając przed siebie ręce jak jakieś dziwactwo nienależące do jego ciała. Spróbował się wykręcić i uwolnić, przy okazji niechętnie uderzając skutymi rękami Reesa, który natychmiast cofnął się o krok i sięgnął po broń. Shields dobył swojej w tej samej chwili, gdy jego partner otrzymał niezamierzony cios, i wycelował ją w Dana.

Jimmy zaczął zawodzić, wydając z siebie wysoki, histeryczny pisk, doskonale oddający mój stan ducha. Podbiegłam, chwyciłam go w ramiona i pognałam korytarzem, byle dalej od schodów, policjantów i ich broni. Wpadłam do jego pokoju, który - choć pełen potworów - wydawał się w tej chwili najbezpieczniejszym schronieniem. Położyłam go do łóżka i otuliłam szczerze kołdrą.

- Nic się nie stało, kochanie - szeptałam. - Wszystko będzie dobrze.

Przestał płakać, chyba głównie ze zdumienia, że tak nagle znalazł się pod ciepłą kołdrą, a nie dzięki moim pocieszającym zabiegom. Najchętniej wślizgnęłabym się obok niego i schowała głowę pod poduszkę. Kiedy jednak głaskałam zalaną łzami buzię mojego synka, z holu dobiegło mnie błagalne wołanie Dana.

- Lacy? Lacy?

Serce waliło mi z taką siłą, że słyszałam je w uszach. Od tak dawna byłam przeciwniczką GI Joe i wątpiłam w słuszność Drugiej Poprawki, że sam widok broni przerażał mnie śmiertelnie. Kiedy ujrzałam dwa pistolety naraz, i to wycelowane w mojego męża, omal nie umarłam ze strachu. Usiadłam na łóżku, starając się opanować wstrząs, jakiego

doznałam. Jimmy leżał cichutko, jak gdyby potwory stanowiły miłą odskocznię od dramatu rozgrywającego się w rzeczywistości. Zamknął oczy i oddychał spokojnie, najwyraźniej pragnąc zasnąć.

Zebrałam się w sobie i szybko wróciłam do grupki stojącej przed drzwiami naszej sypialni. Broń wróciła do kabur, a Dan, wciąż ze skutymi rękami, próbował przekonać Shieldsa.

- Muszę się ubrać - mówił cicho. - Jak mi zdejmiecie kajdanki, zrobię to raz-dwa.

Shields przez chwilę przyglądał mu się sceptycznie, w końcu jednak skinął głową.

- W porządku. Daję panu trzy minuty. Ale nie spuścimy pana z oka. Proszę nie zamykać drzwi, żebyśmy pana widzieli.

Skinął na Reesa, by zdjął kajdanki. Detektyw niechętnie sięgnął po kluczyk.

- Może wezwiemy posiłki, żeby obstawili dom? - zapytał. - Nie chciałbym, żebym nam zwiął, udając, że szuka gaci.

- Chyba sobie poradzimy - uspokoił go Shields. Ale Reese wszedł do sypialni przed Danem.

- Zaczekam tutaj.

Podeszłam do Dana i trąciłam go w łokieć.

- Co się dzieje?

Obrócił się i popatrzył na mnie z kamienną twarzą nie-zdradzającą niczego.

- Nie mam pojęcia. Ale wygląda na to, że muszę udać się z tymi panami.

- Wiesz, czego chcą od ciebie? Znasz tę kobietę? Czy to w ogóle ma jakiś sens? - zadawałam jedno pytanie za drugim.

- Nie - odparł Dan, na wszystkie odpowiadając zdecydowanie tym jednym słowem. - Będę to musiał wyjaśnić - dodał spokojnie.

- Jak chcesz cokolwiek wyjaśnić, skoro oni cię aresztują? - zapytałam piskliwie.

Moja panika zaczęła się udzielać Danowi, przez jego twarz przemknął niepokój.

- Musisz zadzwonić do Jacka - polecił, mając na myśli Jacka Rosenfelda, przyjaciela i adwokata rodziny.

- Dobry pomysł.

Razem weszliśmy do sypialni. Skrępowana spojrzeniem Shieldsa, potknęłam się niezgrabnie o skraj dywanu. Zaraz jednak odzyskałam równowagę i wzięłam bezprzewodowy telefon ze stolika obok łóżka, by wykrecić numer Jacka. Odezwała się automatyczna sekretarka, nagrałam więc prośbę o pilny kontakt. Zaczęłam dukać, pragnąc przekazać więcej szczegółów, lecz nagle zdałam sobie sprawę, że nie potrafię niczego poskładać w spójną całość.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, Dan, ubrany w spodnie khaki i błękitną koszulkę polo, kierował się do łazienki.

- Chwileczkę - powstrzymał go Reese.

Wszedł pierwszy do środka i wyraźnie oniemiał na widok lśniących marmurów i mosiężnych kurków w naszej supernowoczesnej łazience. Zawsze zachwycił mnie jej każdy najmniejszy, elegancki szczegół, w tej chwili jednak nic mnie to nie obchodziło. Gdybym mogła w ten sposób pozbyć się gliniarzy z mojego domu, bez chwili wahania zamieniłbym sedes od Kohlera na wygodkę za domem.

- Sporo tu okien - zawołał Reese do partnera, gapiąc się na łukowaty sufit ze szkła.

- Nie mam zamiaru uciekać - uspokoił go łagodnie Dan. - Muszę tylko skorzystać z toalety.

Reese wyrzwał przez jedno z wielkich okien, rozważając ewentualne skutki skoku z drugiego piętra. Po chwili przeszedł na drugi koniec łazienki.

- Co jest za tymi drzwiami?

- Pomieszczenie do odnowy biologicznej.

Reese otworzył przesuwne drzwi i w lustrach na przeciwległej ścianie odbiła się jego zdziwiona mina, którą wywołał widok ogromnego jacuzzi i wanny z naturalnego drewna.

- Nieźle się urządziliście - stwierdził lodowatym tonem.

- Zaczekam tutaj, kiedy pan będzie robił swoje.

Drzwi do łazienki zatrzasnęły się, a ja podeszłam do łóżka, próbując odnaleźć się w tej dziwacznej nowej rzeczywistości, której niespodziewanie musiałam stawić czoło. Shields stał obrócony do mnie plecami, nie zachęcając do rozmowy, a ja pocierałam palcem koronkową kołdrę. Jeżeli to tylko sen, czy poczuję, jak pod palcami przesuwa mi się jedwabna materia? Zamrugałam kilka razy powiekami i drzwi do łazienki się otworzyły, ukazując Dana ponownie skutego kajdankami z Reesem u boku.

- Jesteśmy gotowi - oznajmił policjant. Shields skinął głową.

- Idziemy.

Dan podszedł do mnie.

- Pojedziesz ze mną? - zapytał.

Wpatrywał się we mnie i w jego spojrzeniu wyczytałam, że mnie potrzebuje.

Pomyślałam o dzieciach, śpiących w swoich pokojach. Jimmy prawdopodobnie znowu się obudzi, a to oznaczało, że skoro mam wyjść, muszę ostrzec Granta lub Ashley.

- Nie, pani z nami nie pojedzie - powiedział Reese.

- To nie proszona impreza. Poza tym w radiowozie nie ma tyle miejsca.

- Pojadę za wami swoim samochodem - odparłam z niespodziewaną pewnością siebie. Jego złośliwość rozwiała moje wątpliwości. - Dokąd?

- Do miasta - warknął.

- To naprawdę nie ma sensu, proszę pani - odezwał się Shields obojętnie, ale bez złości. Jako starszy lepiej sobie radził. - Ale jeżeli się pani upiera, tu jest adres.

Podał mi wizytówkę. Spojrzałam na nią, a obaj policjanci bez słowa wyprowadzili Dana z sypialni.

- Lacy! - dobiegło mnie z holu wołanie męża.

- Przyjadę, kochanie! - odkrzyknęłam. - Pojadę za wami.

Pognałam do pokoju Granta, w porę jednak przypomniałam sobie, że musi się porządnie wyspać przed jutrzejszym sprawdzianem, ruszyłam więc do sanktuarium jego siostry. Czternastoletnia Ashley, zwinięta na łóżku z baldachimem, nawet nie drgnęła, kiedy wpadłam do jej sypialni, potrząsnęłam więc nią łagodnie, mówiąc, że wychodzę razem z tatu-siem, wobec czego będzie musiała wstać, kiedy Jimmy zawoła. Na wpół obudzona o nic nie pytała, zresztą i tak by nie zdążyła, bo zbiegłam ze schodów, wskoczyłam do lexusa i nacisnęłam przycisk otwierający drzwi garażowe. Na pełnym gazie pokonałam ulicę i przy kolejnym znaku stopu - przed którym i tak bym się nie zatrzymała - dostrzegłam radiowóz.

Odetchnęłam z ulgą, że przynajmniej nie będę musiała zawrócić.

Radiowóz jechał szybko, ale bezpiecznie, nie na sygnale. Ani na chwilę nie traciłam z oczu jego tylnych świateł. Policjanci najwyraźniej znali okolicę, gdyż bez wahania podążali ciemnymi ulicami. Wciąż nie traciłam nadziei, że w pewnej chwili zatrzymają się i zawrócą.

Wyjrzałabym przez okno i zobaczyłabym fałszywych gliniarzy szczerze ubawionych, że udał im się tak świetny kawał. Może są z jakiegoś medycznego bractwa, zarządzającego otrzęsiny dla dorosłych. A może grają główne role w *Glinach*, nowym reality show telewizji Fox, kręconym w okolicy. Jutro obejrzymy sobie taśmę z nagraniem i będziemy się śmiali, a Dan podpisze zgodę na jej wyemitowanie.

Niestety, radiowóz wciąż zmierzał przed siebie. Skręciliśmy w Sunset Boulevard i nagle, mimo iż była już północ, natężenie ruchu znacznie wzrosło. Czerwone ferrari wcisnęło się przede mnie, szczęśliwie nadal widziałam przed sobą

radiowóz. Kiedy wjechaliśmy na autostradę, ferrari przyśpieszyło, a ja przybliżyłam się do nieoznakowanego auta policji Los Angeles. Przez cały czas powtarzałam w kółko w myślach: „Tasha Barlow. Tasha Barlow. Tasha Barlow”. Czekałam, aż coś mi się przypomni, niestety na próżno. Pobraliśmy się z Danem zaraz po skończeniu college'u, byliśmy więc małżeństwem wystarczająco długo, bym nauczyła się odczytywać wyraz jego twarzy. Wiedziałam, że to nazwisko jemu także nic nie mówi. Jeżeli cała ta sprawa nie była po prostu głupim żartem, musieli Dana z kimś pomylić. Mój mąż miał rację. Wszystko się wyjaśni, gdy tylko dotrze na komisariat.

Znowu zadzwoniłam z komórki do Jacka Rosenfelda, i znowu odezwała się automatyczna sekretarka, na którą tym razem nagrałam także numer swojego telefonu komórkowego. Nastawiłam radio na stację nadającą bez przerwy wiadomości, w nadziei że powiedzą coś o Tashy Barlow. Ale nie, tylko to co zwykle - lawina błotna w Malibu, przegrana Lakersów, wypadek ciężarówki, która przewróciła się na drodze 110, rozsypując wokół milion pięciocentówek. Oto, jak można się wzbogacić w LA. Wyłączyłam radio, a ponieważ zjechaliśmy z autostrady, skupiłam się teraz najeździe nieznanymi ulicami.

Po kilku szybkich skrętach gliniarze zatrzymali się na parkingu oznaczonym napisem „TYLKO DLA POJAZDÓW POLICJI” i zrozumiałam, że dotarliśmy do komisariatu. Ponieważ nigdzie nie dojrzałam miejsca, na którym mogłabym postawić samochód, opuściłam szybę.

- Mogę tu zaparkować? - krzyknęłam do wysiadającego właśnie Shieldsa.

- Nie, proszę pani. To parking tylko dla pojazdów policji. Musi pani znaleźć parking po drugiej stronie budynku.

Zamiast zostawić samochód i powiedzieć, że jeśli chcą, mogą go sobie odholować, posłusznie odjechałam i po pię-

ci minutach objeżdżania obskurnego budynku wcisnęłam się w zdecydowanie a małe miejsce przed zabitym deskami sklepem, dawnymi delikatesami. Nigdy nie należałam do szczególnie odważnych, ale zatraskując drzwiczki samochodu i zamykając centralny zamek, nawet nie myślałam o czających się być może w okolicy ciemnych typach. Biegiem ruszyłam do komisariatu. Moje buty dziwacznie stukały w popękany chodnik. Spojrzałam w dół i zrozumiałam, że w pośpiechu włożyłam fioletowe klapki od Manolo Blahnika, z wężowej skórki, na wysokich cieniutkich obcasach. W wycięciu z przodu widać było moje paznokcie pomalowane ciemnoczerwonym lakierem od Chanel. Wciąż miałam na sobie strój do ćwiczeń z różowej lycry. W tym zestawie nic mi zapewne nie groziło na ciemnej i wyludnionej ulicy - każdy pomyśli, że uciekam przed wkurzonym alfonsem.

W komisariacie panowała zaskakująca cisza. Za biurkiem w recepcji siedziała policjantka o sennym spojrzeniu, przeżuwająca tacy. Popatrzyła na mnie, kiedy weszłam, a gdy wyjaśniłam jej, że szukam swojego męża, doktora Dana Fieldsa, machnęła ręką w stronę ustawionych pod ścianą krzeseł.

- Niech pani siada - powiedziała z akcentem prosto z Brooklynu.
 - Czy mogę do niego pójść?
 - Nie. Niech pani usiądzie.
 - Ale on tu jest, prawda? Dobrze trafiłam? Wzruszyła ramionami.
 - Chyba tak.
 - Powiedziałam policjantom, którzy go zabrali, że pojedę za nimi - powiedziałam z naciskiem. - Na pewno mnie oczekują.
- Poruszyła się, podtykając mi swoje otyłe policzki niemal pod nos.

- Siadaj, paniusiu. Albo spadaj. Mnie tam wszystko

Usiadłam. Podenerwowana, krzyżowałam i prostowałam nogi. Podeszwy butów lepiły mi się do podłogi, wydając ssący odgłos przy odlepianiu.

Nigdzie nie było żadnych czasopism a jedyna gazeta, którą zauważyłam, pochodziła sprzed czterech dni. Przeczesałam palcami włosy i

przyjrzałam się żłobieniom w drewnianej podłodze, starając się nie zastanawiać, dlaczego jest taka lepka. Popatrzyłam na policjantkę.

Ciekawe, o ile ciaśniej będzie ją opinał mundur po zjedzeniu tego taco.

Uchwyciła moje spojrzenie i ciężko oparła się na krześle, w zamyśleniu przeżuując i gapiąc się na moje ma-nole. Wstałam i podeszłam do biurka.

- Proszę pani, zaszło nieporozumienie - starałam się mówić spokojnym i przyjacielskim tonem. - Proszę, błagam, niech mi pani powie, gdzie jest mój mąż.

Wzruszyła ramionami, ani na chwilę me wypuszczając z ręki taco.

- W sumie to nie wiem.

- Wasi detektywi aresztowali niewłaściwą osobę. Moj mąż nic nie wie na temat tego śledztwa.

- Już to kiedyś słyszałam. - Parsknęła i ugryzła kolejny kęs. , ,

- Słowo daję. - Odetchnęłam głęboko, zdecydowana przeciągnąć ją na swoją stronę. Może jak się zaprzyjaźnimy, amatorka taco odeśle Dana do domu. - Mój mąż to doktor Dan Fields. Słyszała pani o nim?

- Nie.

- Jest chirurgiem plastycznym. Dużo pisze się o nim w gazetach - Trzeba zrobić na niej wrażenie, nie zapominając przy tym o skromności. -
Prawdę mówiąc, jest dość znaną osobą.

- Jasne. Jak wszyscy w Los Angeles. Tu wszyscy są ważni. Dopiszę go do swojej listy. Niech zgadnę. Pani mąż rob! drugorzędnym aktorkom pierwszorzędne cycki.

- Ależ skąd - zaprotestowałam, lekko oburzona. - Przede wszystkim operuje ludzi, którzy odnieśli poważne obrażenia - dodałam, starając się zaskarbić sobie jej sympatię.

- Serio? To znaczy, że jest porządnym facetem? - Popatrzyła na mnie z odrobiną zainteresowania.

Skwapliwie kiwnęłam głową.

- Nawet bardzo porządnym. To naprawdę dobry człowiek. Rekonstruuje twarze i przeszczepia skórę ofiarom poparzeń. W zeszłym tygodniu przyszył palec chłopakowi, który miał wypadek samochodowy, a teraz znowu będzie mógł grać w hokeja. A może w lacrosse, już nie pamiętam.

- Mówiłam coraz szybciej. - Och, i zajmuje się rozszczepionymi podniebieniami. Mówiłam już pani o tym? Dwa lata temu Dan pojechał do Chile, założył tam darmową klinikę i nauczył tamtejszych lekarzy, jak przeprowadzać operacje. Jest taki dobry, naprawdę dobry.

Przerwałam swój wywód - mniej więcej w tej samej chwili zabrakło mi tchu i oprzytomniałam. Gdyby policjantka chciała zapoznać się z życiorysem Dana, wystarczy, by weszła do Internetu. Ona jednak prawdopodobnie marzyła jedynie o tym, bo dotrzeć do końca zmiany i wrócić do męża - któremu nie brakowało żadnego palca i który nie spędzał dzisiejszej nocy w więzieniu.

Zrzuciłam buty i zmalalam o jakieś dziesięć centymetrów. Zimna podłoga komisariatu zaszczypała mnie w stopy.

- Proszę posłuchać - podjęłam. - Bolą mnie stopy. Mam odciski. Mój mąż jest gdzieś tam, gdzie w ogóle nie powinien się być znaleźć. Moje dzieci zostały same w domu. Chcę, żeby to się skończyło. Co według pani powinnam zrobić?

- Proszę wracać do domu.

Przez chwilę nie mogłam pojąć, w jaki sposób amatorka taca się odezwała, skoro ani na chwilę nie przestała przeżuwać. W końcu zrozumiałam, że głos dobiega z drugiego końca pomieszczenia. Szybko wsunęłam stopy w klapki i obróciłam

się, dostrzegając detektywa Reesa. Wyglądał trochę jak Jimmy Smiths w *Gliniarzach z Nowego Jorku*, ale żaden aktor nie zdołałby nadać swojemu spojrzeniu takiej twardości.

- Nigdzie nie pójde bez mojego męża - oznajmiłam stanowczo.

- Obawiam się, że będzie pani musiała. - Detektyw posiał mi leniwy, pogardliwy uśmiezek. - Został aresztowany, proszę pani. Nigdzie się stąd nie ruszy do czasu wstępnego przesłuchania.

- Kiedy się odbędzie?

- W ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

- Godzin?! Czterdziestu ośmiu godzin?! Przecież to całe dwa dni! -

Wszystko się we mnie gotowało i dużo mnie kosztowało, żeby nie zacząć krzyczeć. - Nie macie prawa w ten sposób go traktować.

- Czyżby? Niech pani to powie sędziemu, jak to się zwykle mówi. Ale uspokoję panią, dobry prawnik pewnie załatwi, że przesłuchanie odbędzie się rano.

- Dlaczego nie teraz? - zapytałam, wyobrażając sobie wilgotną cełę, w której zapewne Dan kuli się właśnie w tej chwili.

- Wątpię, czy jakiś sędzia uznałby, że warto z tego powodu wstać o tej porze z łóżka.

- W takim razie dlaczego aresztowaliście go o północy? Przecież powiedział wam, że rano wam pomoże w miarę możliwości. On nic nie wie o tej całej sprawie. Ani o tej kobiecie. Kimkolwiek ona jest. Znowu ten pogardliwy uśmiezek.

- Wiedzieliśmy, gdzie go szukać w nocy. Jak już mówiłem, najlepiej będzie, jeżeli pójdzie pani do domu. W tej chwili robimy pani mężowi zdjęcia, pobieramy mu odciski palców i sprawdzamy jego kartotekę.

- On nie ma żadnej kartoteki - powiedziałam. - Nie możecie brać pod uwagę tego mandatu za parkowanie z zeszłej

soboty, bo to była moja wina. Dan zawsze wrzuca tyle pieniędzy, ile trzeba. To najuczciwszy człowiek pod słońcem. Reese chrząknął.

- W takim razie stwierdzimy, że ma czyste konto. Odwrócił się, by odejść, ale jego wystudiowaną swobodę

zakłóciło gwałtowne otwarcie drzwi i piekło, które rozpętało się tuż przed nim. Dwaj policjanci wlekli groteskowo zakrwawioną istotę, w której z trudem można było rozpoznać człowieka. Wyjąc jak zwierzę, istota wymachiwała i wierzgała wychudłymi kończynami, wreszcie osunęła się na ziemię, dosłownie u stóp Reese'a. Ten spróbował się cofnąć, ale dwie unurzane we krwi ręce chwyciły go za kostki.

- Puszczaj! - wrzasnął Reese, lecz zawroźnienie człowieka zagłuszyło jego słowa.

Dwaj policjanci rzucili się na biedaka i okładając go pałami, odciągnęli od Reese'a. Krew trysnęła na podłogę i detektyw odskoczył, podczas gdy tamci dwaj przygwoździli swoją ofiarę. Wrzaski przeszły w pełne bólu zawroźnienie i umęczony nieszczęśnik na podłodze zaczął wić się jak na wpół rozkrojona żaba na stole laboratoryjnym podczas lekcji biologii w siódmej klasie.

- Zabierzcie go do tyłu - ryknął Reese i policjanci, ze zdumiewającym okrucieństwem powlekli swoją ofiarę za drzwi, w które wpatrywałam się od chwili przybycia.

- Nie! - krzyknęłam, rzucając się za nimi. - Tam jest mój mąż!

Drzwi zatrzasnęły się ze stanowczym szczęknięciem, więżąc za sobą zakrwawionych, prześladowanych i przestępcę. Zaczęłam szarpać za klamkę z furją, ale zamek zaskoczył i nie chciał ustąpić. Kopnęłam w drzwi szpiczastym obcasem mojego lewego klapka, waląc nim tak długo, aż poczułam, że coś się poddało, niestety tym czymś okazał się mój obcas, który oderwał się od podeszwy i zwiśł jak na wpół amputowana kończyna.

Reese. Może tłą się w nim resztki ludzkich uczuć. Z twarzą zalaną łzami obróciłam się ku niemu. Gdyby to mogło pomóc, rzuciłabym się mu do stóp, ale przed chwilą przekonałam się na własne oczy, czym to się kończy.

- Błagam, pan mi musi pomóc. Obojętnie jak, ale proszę wydostać stamtąd mojego męża. Proszę, błagam, zaklinam pana.

W moich pełnych przerażenia prośbach, które odbiły się echem w pomieszczeniu, było tyle cierpienia, że Reese zatrzymał się w pół kroku i wolno odwrócił, by na mnie spojrzeć. Zamrugał kilka razy, jak gdyby usiłując sobie przypomnieć, kogo ma przed sobą.

- Nie mogę wypuścić pani męża - rzekł w końcu. - Jest w więzieniu.

Podejrzany o bardzo ciężkie przestępstwo, rozumie pani?

- Nie, nie rozumiem! Proszę, niech go pan tam nie zamyka na całą noc!

Być może atmosfera tego miejsca z wszystkich ludzi czyniła dzikie zwierzęta, gdyż moje krzyki zabrzmiały nagle identycznie, jak przeraźliwe dźwięki wydawane przez wywleczoną przed chwilą istotę.

Reese tym razem nie raczył mi odpowiedzieć, po prostu zniknął za drzwiami, którymi jakiś czas temu wszedł. Mimo złamanego obcasa rzuciłam się za nim, ale amatorka tacy zerwała się z szybkością, o jaką nigdy bym jej nie podejrzewała, i wyrosła na mojej drodze.

- Przepraszam panią, ale tam nikt nie może wchodzić.

- Muszę pomóc mojemu mężowi - powiedziałam drżącym głosem.

- Tutaj mu pani na pewno nie pomoże. - Przez jej brook-lyński akcent przebiła się nutka współczucia. - Proszę iść do domu. Niech pani przyjdzie rano.

- Myśli pani, że Dan jest w celi z... - Wykonałam nieokreślony ruch ręką, mając na myśli szaleńca, który pojawił się na chwilę i zaraz zniknął.

- Nie. On jest chyba oskarżony o narkotyki. Pani mąż o morderstwo. To znacznie poważniejsza sprawa. Jest lepiej strzeżony.

W tym momencie mój obcas postanowił ostatecznie odpaść i wykręcając sobie kostkę osunęłam się na podłogę. Mój mąż był bardziej niebezpieczny od zalanego krwią, obłąkanego od narkotyków maniaka. Podniosłam się i nie odzywając się więcej do amatorki taco, na pół pełznąć, na pół kulejąc, wróciłam do samochodu.

Jadąc do domu, chciałam zastanowić się nad całą sytuacją, obmyślić jakieś konstruktywne działanie, ale w głowie kpiący głos tylko w kółko krzyczał: „Dan jest w więzieniu! Dan jest w więzieniu! Dan jest w więzieniu!”, niczym powtarzająca się w kółko taśma dla dzieci z braci Grimm. Moje jedyne wyobrażenia o więzieniu pochodziły z telewizji i filmów na DVD: wyobrażałam sobie odrażającego współwięźnia, cuchnący klozet i chybotliwą, zawszoną pryczę. Staralam się nie myśleć o najgorszym - mój Dan, lekarz katowany przez jakiegoś niemającego nic do stracenia mordercę, który zamienia jego twarz w krwawą miazgę i siłą wbija mu igły w ramię.

Autostrada była pusta i prawie całą drogę pokonałam z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Co tam bieżnia - dzisiaj swój życiowy rekord pobiję w samochodzie. Niemal miałam nadzieję, że zatrzyma mnie jakiś patrol drogowy i będę mogła opowiedzieć wszystko innemu gliniarzowi. Nikogo jednak nie napotkałam. Może dzisiaj wszyscy policjanci w L.A. byli zajęci aresztowaniem niewinnych ludzi. Po powrocie do domu zajrzałam do Jimmyego, ale jego łóżko było puste. Pobiegłam do pokoju Ashley - moja córka spała jak zabita, a Jimmy leżał zwinięty w nogach jej łóżka jak wierny golden retriever. Delikatnie przeniosłam synka do jego pokoju, wdzięczna, że się nie obudził. Na koniec zajrzałam do pokoju Granta, także śpiącego smacznie, z długi-

mi włosami rozrzuconymi na poduszce i małym srebrnym kolczykiem w uchu, połyskującym w rozjaśniającym mrok strumieniu księżycowego światła. Wyglądał jak surfer z Hollywood, ale pod złotą opalenizną krył się bystry uczeń, którego następnego dnia czekał śródsesestralny sprawdzian z fizyki. Muszę dopilnować, żeby rano wyprawić go do szkoły, oszczędzając mu hysterii z powodu nocnych zająć z policją. Nie ma sensu martwić go przed sprawdzianem. Niedługo czekały go zapisy do college'u i w tej chwili przede wszystkim musiał mieć jak najlepsze stopnie. Odetchnęłam głęboko. To było najważniejsze? Szkoda, że już nie jest. Nagle pytanie, czy Grant dostanie się do Stanford czy Swarthmore, stało się dużo mniej istotne niż to, czy Dan trafi do Sing Sing.

W drodze do naszej sypialni postanowiłam, że ponownie spróbuję dozwonić się do Jacka o 6.30 rano. O tej porze powinien już odebrać - Los Angeles budziło się wcześniej. Położyłam się na łóżku, mobilizując energię, aby się rozebrać i umyć twarz, ale powieki mi opadły.

Po chwili je uniosłam.

Co mnie obchodzi, która jest godzina? Skoro mój mąż wylądował w areszcie, czemu boję się obudzić jego prawnika? Znalazłam w szafie niepowodujące odcisków adidas, porzuciłam klapki ze złamanym obcasem i cicho zesłam po schodach do garażu.

Jack mieszkał w Beverly Hills, na północ od Sunset Boulevard, przy eleganckiej ulicy Roxbury Driver, do której o tej porze, nie przekraczając przyzwoitych stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, dojechałam w dziesięć minut. Dom w neokolonialnym stylu był oddzielony od cichej uliczki szpalerem gęstych drzew, Jack jednak, mniej pretensjonalny od swoich sąsiadów, nie miał bramy. Zatrzymałam się na podjeździe, podeszłam do drzwi i zadzwoniłam.

Nic. Czyżby gdzieś wyjechali? Nie, jego syn chodził do tej samej prywatnej szkoły co Grant, a żadna szanująca się

rodzina z nadziejami na Ivy League nie wyjechałaby z miasta w marcu, w trakcie śródsemestralnych egzaminów. Zadzwoiłam ponownie. I jeszcze raz. Z miejsca, w którym stałam, na frontowej werandzie, dostrzegłam w odległym oknie słabe światło i po chwili w interkomie - przynajmniej ich działał - rozległ się kobiecy głos.

- Kto tam?

- Lacy Fields. Muszę się widzieć z Jackiem. To pilne.

- Lacy? - Głos, należący do Giny, żony Jacka, przybrał na sile. - Zaczekaj, zaraz go obudzę.

Interkom umilkł na tak długo, że zaczęłam się zastanawiać, czy Jack ma piekielnie mocny sen, czy też sypia w oddzielnym łóżku, ale w tej samej chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich Jack, zawiązując pasek grubego szlafroka z frotte.

- Jezu, Lacy, co się stało? Dobrze się czujesz?

Objął mnie mocnym ramieniem, a ja poczułam, że cała się trzęsę i zaraz zacznę płakać. Zdołałam się jednak opanować, wiedząc, że jeżeli teraz się załamie, już nigdy się nie pozbieram.

- Mnie nic nie jest - powiedziałam. - Ale Dan jest w więzieniu.

- Co takiego?! - Głos Jacka przeszył ciszę nocy, a ja wyobraziłam sobie zrywających się z łóżek sąsiadów, przekonanych, że słyszeli strzał. Jack błyskawicznie otrząsnął się z szoku, chwycił mnie za ramię, wciągnął do środka i zamknął za nami ciężkie drzwi. W półmroku korytarza spoglądał na mnie niepewnie.

- Musisz mi wszystko opowiedzieć. Wejdz. Napijesz się czegoś? Mam poprosić Ginę, żeby zaparzyła kawę?

- Nie, poproszę tylko wodę - odparłam.

Jack był wyraźnie oszołomiony, czemu się nie dziwiłam, biorąc pod uwagę, że miał przed sobą kobietę, która niezapowiedziana zjawiała się u niego w domu o trzeciej nad

ranem. Przeszliśmy przez hol, mijając lśniącą, nowocześnie urządzonej jadalnię i znaleźliśmy się w kuchni, gdzie Jack zapalił górne światło. Gina wydzwaniała do mnie miesiącami, pytając mnie jako dekoratorki wnętrz o rady przy odnawianiu kuchni. Sama miała niezłe oko i teraz, gdy kuchnia była gotowa, bez trudu mogłam sobie wyobrazić, jak pojawia się w niej sama Martha Stewart, by przygotować kremowe ciasteczka. Dobre wychowanie wymagało, abym wyraziła swój zachwyt dla kuchenki z nierdzewnej stali i blatów z granitu, ale w obecnym stanie ducha nie miałam siły komplementować robionych na zamówienie mebli.

Jack wyjął z lodówki butelkę polskiej cytrynowej wody mineralnej.

- Co to znaczy, że Dan jest w więzieniu? - zapytał, przechodząc od razu do rzeczy, za co byłam mu wdzięczna.

Wzięłam głęboki oddech.

- Wersja pełna czy skrócona?

- Skrócona.

- O północy zjawiło się dwóch policjantów, wdarli się do domu w poszukiwaniu Dana i potem skuli go kajdankami. Jeden z nich wyciągnął broń i celował z niej do mojego męża. - Zaczęłam dygotać, na samo wspomnienie głos mi się załamał. Pociągnęłam nosem kilka razy i przyłożyłam palce do ust, by powstrzymać ich drżenie. - Zabrali go do radiowozu i zawieźli do komisariatu w mieście, gdzie go wsadzili do aresztu. Nie pozwolili mi się z nim zobaczyć.

Jack wciąż trzymając butelkę z wodą, przeszedł na drugą stronę kuchni i przysiadł na wysokim barowym stołku. Podreptałam za nim jak szczeniak.

- O co go oskarżają?

Próbowałam wymówić to słowo, ale moje usta odmówiły posłuszeństwa.

Poczułam, jak dreszcz przeszywa moje ciało.

- Chodzi o jakąś kobietę o nazwisku Tasha Barlow - wyszeptałam.

Jack zmarszczył brwi.

- Złożyła skargę na Dana? O co chodzi, Lacy? Nękanie? Napastowanie seksualne?

Poczułam, jak policzki robią mi się gorące, ale pokręciłam głową. Jack sądził, że pomaga, wspominając o najgorszym zarzucie, jaki mógł sobie wyobrazić, żebym mogła tylko potwierdzić skinieniem głowy, sama nie wypowiadając na głos tych słów.

- Gorzej - odezwałam się skrzekliwie. - Ona nie żyje. Jack poczerwieniał, jakbym powiedziała coś obscenicznego.

- Morderstwo? - zapytał.

Znowu mówił głośno, a ja z trudem powstrzymałam się, by nie zasłonić uszu rękami, żeby go nie słyszeć. Ledwie dostrzegalnie skinęłam potakująco głową i poczułam napływające mi do oczu łzy.

- W ciągu czterdziestu ośmiu godzin ma się odbyć przesłuchanie wstępne. Ale policjant powiedział, że może to się uda załatwić już rano.

- Jezu Chryste. Wiesz, że ja nie mogę się tym zająć, Lacy.

- A kto może?

- Dave Liggett, tylko on przychodzi mi do głowy. Ostatnio bronił w kilku dużych sprawach na tle seksualnym.

- A co ty uważasz?

- Nie wiem. Fałszywe zarzuty postawione przez kobietę. Ta Tasha Barlow... - Umilkł i pokręcił głową. - Wybacz mi. Jeszcze się nie dobudziłem. Skoro ona nie żyje, nie może wysuwać żadnych fałszywych oskarżeń przeciwko Danowi. Ktoś inny musiał to zrobić.

- Oczywiście. Fałszywe oskarżenie. O to właśnie chodzi. Albo pomylili go z kimś innym. To też mi przyszło do głowy.. - Jak na razie nawet mi nie przeszło przez myśl, że Dan może nie być w stu procentach niewinny.

- Chauncey Howell - powiedział nagle Jack, strzelając palcami. -
Najlepszy adwokat kryminalny, jakiego znam. Absolutnie najlepszy.
Nazwisko mi się spodobało. Brzmiało, jakby pochodził ze starej rodziny z
Nowej Anglii, jednej z tych, której przodkowie przybyli do Ameryki na
pokładzie „Mayflower”.

- Mogę teraz do niego zadzwonić?

Jack nawet nie spojrzał na zegar, po prostu wziął bezprzewodowy telefon
i szybko wybrał numer. Czekaliśmy oboje.

- Chauncey? Tu Jack Rosenfeld. Wybacz, że dzwonię
o tej porze do domu. Ale musisz mi pomóc w sprawie o morderstwo.
Sprawa o morderstwo. Słowa wypowiedziane na chłodno do telefonu w
samym środku nocy uderzyły mnie niczym wybuch miny
przeciwpiechotnej. Przycisnęłam ręce do piersi
I zatoczyłam się do tyłu. Czując, jak narasta we mnie panika, złapałam
torebkę i wyjęłam z niej moją komórkę.

Jack skończył wyjaśniać sytuację Chaunceyowi, podniósł na mnie wzrok
i zdziwiony zmarszczył brwi.

- Po co ci komórka? - powiedział. - Możesz porozmawiać z Chaunceyem
stąd.

Podał mi słuchawkę, ja jednak, zamiast ją przyjąć, zaczęłam gorączkowo
naciskać klawisze w swoim telefonie, aż na małym ekraniku pojawiły się
cyfrowe zdjęcia. Dan, obejmujący mnie na plaży, Dan i Jimmy leżący na
trawie. Dan grający w tenisa z Ashley. Dan - mój mąż, który nie mógł być
mordercą. Dzisiaj wieczorem jadł z nami lasagne, powiedział, że
wyglądam seksownie w moim stroju do ćwiczeń i czule mnie pocałował,
zanim położył się do naszego antycznego łóżka z kolumnkami.
Zamknęłam swoją komórkę. Kiedy następnym razem będę mogła
przytulić się do Dana, będę wiedziała, że według gliniarzy śpię z
mordercą.

Rozdział drugi

Kiedy w końcu uspokoiłam się na tyle, by wziąć słuchawkę, usłyszałam w niej Chaunceya Howella, który jak na kogoś, kto w samym środku nocy zadaje pytania nigdy wcześniej niewidzianej klientce, mówił w spokojny, świadczący o znajomości rzeczy, zaskakująco profesjonalny sposób. Niemal przez pół godziny omawialiśmy wszystkie szczegóły, by ostatecznie uzgodnić spotkanie na schodach przed sądem o dziewiątej rano.

Zwykle potrzebuję ośmiu godzin snu, by normalnie funkcjonować, tej jednak nocy udało mi się przespać zaledwie dwie, a mimo to obudziłam się w pełni przytomna i gotowa do działania. Zbiegłam do kuchni, by zjeść śniadanie z Grantem i Ashley, zanim wyjdą do szkoły. Przedziwna rzecz, mimo że obudziłam w nocy córkę, dwójka moich starszych dzieci nie zarejestrowała niczego z nocnych zajęć i w tej chwili oboje byli kompletnie nieświadomi wydarzeń. Wystarczyła mi dokładnie jedna minuta na podjęcie decyzji, by niczego w tej kwestii nie zmieniać. Dzisiejszego ranka Ashley miała na sobie fioletową kusą kurtkę ze sztruksu, mikroskopijny różowy T-shirt i dżinsy Citizens of Humanity opuszczone tak nisko na biodrach, że spodnie i podkoszulek nie miały nawet cienia szansy kiedy-

kolwiek się zetknąć. Zamiast paska założyła różowo-fioletowy szalik od Pucciego, a na przegubie ręki nosiła bransoletkę z błyszczących różowych drucików. W przeciwieństwie do Granta nigdy nie osiągała najwyższych stopni w szkole, ale przynajmniej robiła to z klasą.

- Jeżeli chcesz, żebym cię podwiózł, musisz się zbierać - powiedział do niej Grant, dopijając sok pomarańczowy i wkładając miszkę po płatkach owsianych do zlewu. - Mam sprawdzian i nie chcę się spóźnić.

Ashley w zamyśleniu przeżuwała swoje oparte wyłącznie na naturalnych składnikach śniadanie w postaci batonika, skubiąc posypkę pomalowanym na różowo paznokciem. Bardzo chciałam, żeby zabrała się z Grantem, ale perswazje nie zdały się na wiele.

- To dla mnie za wcześnie - powiedziała. - Mama zawiezie mnie później. Grant przewrócił oczami.

- Mama jest ubrana do wyjścia. Chociaż raz możesz jej odpuścić. Dziesięć minut cię z nie zbawi.

Ashley zwróciła się ku mnie, wolno taksując wzrokiem mój kostium od Chanel i elegancką biżuterię.

- To prawda?

- Tak, ale mogę cię podrzucić po drodze. Chociaż z Grantem na pewno będzie fajniej.

- Ble. Nie nawidzę jeździć z Grantem - rozwlekała słowa z szeroko otwartą buzią. Przynajmniej w języku nie miała kolczyka. - Ale skoro jesteś zajęta, może być. Nie przejmuj się.

Jednym zwinnym ruchem wstała, chwyciła plecak i wybiegła do jeepa cherokee Granta, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi.

Mój starszy syn wstał z krzesła, prostując swoją szczupłą, mierzącą metr osiemdziesiąt sylwetkę i popatrzył na mnie ciemnoszarymi oczami.

- Robię to dla ciebie, mamó, nie dla niej. Musisz przyznać, że jest wyjątkową suką.

- Jest normalną nastolatką, która nie bardzo wie, jak się zachować w obecności kolegów starszego brata - powiedziałam. - Poradzi sobie. Hej, powodzenia na teście.

- Dzięki.

On także trzasnął drzwiami i przez chwilę cały dom drżał z szoku po wyjściu ich obojga.

Na górze sprawdziłam, co u Jimmyego, a kiedy przekonałam się, że śpi w najlepsze, poleciłam naszej gosposi, Eloise, aby obudziła go zaraz po moim wyjściu, żeby zdążył na autobus do przedszkola.

- Lubi, kiedy pani go budzi - odparła z przyganą.

To prawda. Ale po prostu nie miałam siły spojrzeć mu w oczy dzisiejszego ranka. Chociaż był zbyt mały, aby żądać wyjaśnień, zasługiwał na nie. Jak mam znieść jego szeroko otwarte oczy, nic nierozumiejące spojrzenie, poranny uśmiech z resztkami strachu? W tej chwili nie umiałam mu ani trochę wyjaśnić tego, co widział minionej nocy.

- Muszę wyjść - powiedziałam słabo.

Pojechałam do sądu i za kwadrans dziewiąta ustawiłam się na schodach, mając widok na całą ulicę. Chauncey Howell był jednoosobową drużyną marzeń - wygadany, bystry, niepokonany w sądzie. Wyobrażałam go sobie jako połączenie Johna Roberta z Johnniem Cochranem i wypatrywałam wysokiego, przystojnego obrońcy w garniturze od Armaniego, który bez wątplenia wyłoni się zaraz z prowadzonej przez szofera limuzyny.

Dlatego właśnie nigdy bym go nie zauważyła, gdyby nie poklepał mnie w ramię.

- Lacy Fields?

Obróciłam się i stanęłam twarzą w twarz z niewysokim, żwawym mężczyzną w lnianym garniturze w paski, stojącym o jeden stopień wyżej ode mnie.

- Jestem Lacy.

- Świetnie. Chauncey Howell.

Wyciągnął rękę na powitanie i zauważyłam, że ma porządnie obcięte paznokcie, ale na palcach nie nosi żadnej obrączki, a jego zegarek wygląda na zwykłego Timexa. Na nosie miał okulary w drucianych oprawkach z opuszczanymi ciemnymi klapkami przeciwsłonecznymi, pod pachą trzymał grubą granatową teczkę z napisem L. L. Bean. Bóg mi świadkiem, że nigdy nie byłam snobką, ale wydawało mi się, że wszyscy najlepsi adwokaci w Los Angeles, jak na przykład Jack Rosenfeld, noszą swoje dokumenty w teczkach od Gucciego z mięciutkiej skóry, z wyjątkiem tych dni, gdy decydują się na bardziej swobodną, skórzaną torbę od Coach.

Starając się nie okazać zaskoczenia, powiedziałam:

- Sądziłam, że nadejdzie pan z innej strony. Obserwowałam ulicę, myśląc, że tam pana zauważę.

- Jestem już od jakiegoś czasu w sądzie.

- Widział się pan z Danem? - zapytałam niecierpliwie.

- Jeszcze nie. To dopiero nastąpi. Na razie rozmawiałem z prokuratorem okręgowym i ustalałem pewne fakty. - Poklepał się po krawacie w paski. - Prokurator nie powiedział mi zbyt wiele i będę miał bardzo niewiele czasu na rozmowę z pani mężem przed wstępnym przesłuchaniem.

Wobec tego my musimy porozmawiać.

Przyjrzał mi się uważnie. Obejrzał mój bladoniebieski kostium od Chanel z wielkimi złotymi guzikami i kremową jedwabną bluzkę widoczną spod żakietu. Dobrane kolorystycznie błękitne sandały wydały mi się zbyt eleganckie jak na pierwsze pojawienie się w sądzie u boku męża, wybrałam więc ciemnoszare szpilki od Valentino. Byłam na tyle przewidywająca, by nie wziąć torebki od Hermesa - wszyscy zgodnie twierdzili, że gdyby Martha Stewart nie wystąpiła w sądzie z klasyczną torebką Birkin, może udałoby się jej wywinąć.

Chauncey Howell wskazał na stopień.

- To jedyne miejsce siedzące, jakie mogę pani w tej chwili zaproponować.
- Postoję.

Wzruszył ramionami.

- Za chwilę muszę wracać do sądu, więc od razu przejdę do rzeczy. Pamiętam w zasadzie wszystko, co mi pani powiedziała przez telefon, ale muszę prosić, aby to i owo pani powtórzyła. Przede wszystkim muszę wiedzieć wszystko, co policjanci robili i mówili w nocy, od momentu, kiedy zadzwonili do pani drzwi.

Nagle poczułam się bardzo znużona.

- Chyba jednak usiądę - przyklekłam, żeby nieco oczyścić skraj stopnia.

Chauncey nachylił się i podał mi żółty notes.

- Chce pan, żebym wszystko opisała? - zapytałam.

- Nie, proszę mi tylko opowiedzieć. Na notesie może pani usiąść. Nie jest tu najczystiej.

- Och. Dziękuję. - Rzuciłam notes na stopień i ostrożnie usadowiłam na nim swoje przyodzione w chanelowski kostium pośladki. Chauncey Howell przycupnął tuż nade mną. - Wszystko, co mówili policjanci - powtórzyłam. - Cóż, oto, jak było.

Postarałam się ze wszystkich sił. Kilka razy myśli mi uciekały, ale w zasadzie udało mi się wszystko w miarę składnie opowiedzieć. Chauncey zdawał się słuchać uważnie, chociaż ani razu nie sięgnął po pióro - chyba marki big clic - które miał w kieszonce marynarki. Albo miał rewelacyjną pamięć, albo nie mówiłam nic, co było warte zapamiętania.

- Nieźle - rzucił jednak, kiedy skończyłam. - Jest pani dobrym świadkiem.

- Czy będę to musiała powtórzyć dzisiaj w sądzie? Uśmiechnęłam się słabo.

- Nie, proszę pani. Nie będzie pani zeznawać. To tylko przesłuchanie wstępne, więc pani obecność nie miałaby

sensu. Prokurator przedstawi zarzuty, my nie przyznamy się do winy i sędzia wyznaczy kaucję. Spróbuję to załatwić jak najszybciej i najdyskretniej. Chciałbym, żeby doktor Fields opuścił sąd, zanim prasa coś zwietrzy.

Przytaknęłam bez słowa, zdziwiona, że pokładam tyle zaufania w mężczyźnie w lnianym garniturze.

Chauncey sięgnął do swojej teczki i wyjął dużą kopertę.

- Następne pytanie - rzekł. - Czy nazwisko Tasha Barlow, a może Theresa Bartowski coś pani mówi?

- Absolutnie nic - odparłam szybko. - Myślałam o tym przez całą noc i nie mam pojęcia, kim ona jest. Nawet nie wiem, jak wygląda.

On jednak wiedział. Wyjął z koperty zdjęcie i podsunął mi je.

Standardowe zdjęcie o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów, biało-czarne i błyszczące, z rodzaju tych, jakie każda zdeterminowana młoda kobieta w L.A. zabiera ze sobą na przesłuchania.

-Czy to...?

- Tak - odparł szybko Chauncey. - To ofiara morderstwa.

Wyciągnęłam rękę po zdjęcie, ale Chauncey go nie wypuścił z ręki, wobec czego nachyliłam się tylko bliżej, by mu się przyjrzeć. Sądziłam, że zaleje mnie fala najróżniejszych uczuć, ale nic takiego nie nastąpiło.

Zresztą, czego niby się spodziewałam? Moje uczucia były równie niejasne jak skomplikowane rymy na nędznej kartce z życzeniami.

- Skąd ona jest? - zapytałam po chwili.

- Dorastała w Idaho, do Hollywood przyjechała mniej więcej pół roku temu.

Na zdjęciu widniała młoda kobieta o wysokich, mocno zarysowanych kościach policzkowych, zadartym nosie i prostych blond włosach, podwijających się lekko do wewnątrz. Mocny makijaż skutecznie skrywał wszelką niewinność, typową dla świeżej twarzy. Jej duże, szeroko rozstawione

oczy były mocno podkreślone tuszem i ciemną kreską, które miały nadać im zmysłowy wyraz, usta zaś wydawały się nabrzmiące pod grubą warstwą błyszczącej szminki. Tego rodzaju zdjęcia w branży określano mianem portretowych, ale głęboko wycięty dekolt zdecydowanie odciągał uwagę od twarzy.

- Czy pan coś o niej wie? - zwróciłam się do Chaunceya.

- Jeszcze nie. Dwóch moich ludzi pracuje nad tym. Powinni coś znaleźć w ciągu najbliższych godzin. - Podsunął mi zdjęcie bliżej. - Nic pani nie przychodzi na myśl?

Coś w tej twarzy było zbyt doskonale, przypominało artystyczną interpretację usiłującej się wybić młodej aktorki.

- Być może spotkałam ją na jakimś przyjęciu, ale nie pamiętam tego. Wiele młodych kobiet w Los Angeles wygląda jak ona.

- Wiele młodych kobiet odwiedza chirurgów plastycznych - powiedział Chauncey. Powiedział to łagodnym głosem, bez żadnych ukrytych intencji, ale jego słowa uderzyły mnie jak rzucony z całej siły kamień. Dygocząc, przyjrzałam się zdjęciu jeszcze raz.

Miał rację, mówiąc, że kobiecie na zdjęciu ktoś pomógł osiągnąć ten pozornie naturalny wygląd. Dostrzegłam oznaki, poczynając od dekoltu: drobne szczupłe ramiona i piersi sterczące niczym przejrzałe grapefruity. Żaden wonderbra nie zdołałby zapewnić takich efektów. Ale to nie było w stylu Dana. Nawet w czasach, kiedy zajmował się chirurgią kosmetyczną, nie podejmował się zabiegów powiększania piersi i był zdecydowanym przeciwnikiem silikonu. Nie uważał, że silikon szkodzi zdrowiu kobiety - znacznie bardziej obawiał się tego, jak wpływa na jej poczucie własnej wartości.

Przeniosłam wzrok na twarz. Może ze dwa razy wstrzyknęła sobie kolagen w usta, podejrzewałam też, że kształt nosa zawdzięczała ingerencji skalpela. Ale to także nie było dzie-

ło mojego męża. Dan upierał się, że rysy powinny zachować swój charakter, a ten nos wyglądał, jakby został wycięty foremką do ciastek rodem z Hollywood.

- Na pewno zapyta pan Dana - powiedziałam, starając zapanować nad drżeniem w głosie. - Ale zdziwiłabym się, gdyby to była jedna z jego pacjentek. Kiedykolwiek.

Chauncey schował zdjęcie z powrotem do koperty i ostrożnie wsunął ją do teczki.

- Jeszcze tylko kilka pytań - rzekł. - Po pierwsze, wspominała pani o trójce dzieci. Proszę mi podać ich imiona i wiek.

- Grant ma szesnaście lat. Ashley właśnie skończyła czternaście. A Jimmy pięć. Ale oni nie będą w to zamieszani, prawda?

- Tylko w tym sensie, że dzisiaj rano sędzia wyznaczy kaucję za pani męża. Dan oczywiście ma mocne powiązania w miejscowej społeczności, ale bliskie więzy rodzinne także się przydadzą. Pani i Dan jesteście oboje rodzicami wszystkich dzieci?

- Tak. - Poczulałam, że głos mi się załamuje i wbiłam wzrok w pęknięcie w jednym ze stopni. - Pobraliśmy się bardzo młodo i szybko mieliśmy Granta i Ashley, kiedy Dan jeszcze studiował. Kiedy Ashley skończyła osiem lat, Dan był już wziętym chirurgiem i postanowiliśmy...

- Rozumiem.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że Chauncey uśmiecha się do mnie.

- Nie musi się pani usprawiedliwiać z posiadania dzieci - rzekł. - Zdziwiła mnie tylko ta różnica wieku. Nie chciałem, żeby coś mnie zaskoczyło.

- Nic pana nie zaskoczy - zapewniłam go. - Cała trójka jest nasza i planowaliśmy je równie starannie jak karnawałowy rejs.

Chauncey zaśmiał się krótko, zaraz jednak spoważniał.

- Jeszcze jedno, proszę pani. I proszę się dobrze zastanowić, zanim pani odpowie. Czy mieliście państwo ostatnio jakieś problemy małżeńskie?

- Nie. - Powiedziała to zbyt szybko i zobaczyłam, że Chauncey bacznie mi się przygląda sponad swoich drucianych oprawek. Odetchnęłam. -

Jesteśmy małżeństwem od dawna i wciąż się kochamy. Dan śmieje się z moich dowcipów, a ja słucham jego opowieści. Prowadzimy dobre, normalne życie rodzinne. To, co wydarzyło się ostatniej nocy, to istne szaleństwo. Spadło na nas jak grom z jasnego nieba. To musi być pomyłka, proszę pana.

Poprawił okulary na nosie, popychając je dwoma palcami.

- Jeszcze za mało wiem, żeby wyrobić sobie na ten temat zdanie -

powiedział wolno. - Ale będę z panią szczerzy. Musi być pani przygotowana. Pani mąż nie jest co prawda gwiazdą filmową, ale jest znaną, powszechnie szanowaną osobą. Policja Los Angeles ma na koncie kilka kompromitacji i nie chce narazić się na kolejną. Nie posunęliby się tak daleko, gdyby nie mieli mocnych dowodów.

Ścisnęło mnie w żołądku.

- Według pana to nie jest zwykła biurokratyczna pomyłka? - zapytałam. - Koszmar rodem z Kafki? Niewinny człowiek aresztowany w środku nocy przez niewytłumaczalny system. Musi pan to rozwikłać.

Popatrzył na zegarek i wstał, mały człowieczek górujący nade mną.

- Zrobię, co w mojej mocy, proszę mi wierzyć. W tej chwili muszę wejść do środka i porozmawiać z Danem, żebyśmy mogli załatwić przesłuchanie w sprawie zwolnienia za kaucją.

Tkwiałam na betonowym stopniu, zbyt słaba, by się podnieść i stanąć obok niego, osłoniłam więc tylko dłonią oczy przez jaskrawym słońcem i zadarłam głowę, podczas gdy Chauncey mówił dalej.

- Jeśli szczęście nam dopisało, wiadomość o aresztowaniu Dana nie dostała się do prasy. Na razie nie powinniśmy się z nimi kontaktować. Założę się, że policja ma już przygotowane oświadczenie na konferencję prasową. Chciałbym, aby do niej doszło jak najpóźniej.

Skrzyżowałam ramiona na złotych guzikach i nagle pojęłam, dlaczego Chauncey Howell wygląda tak niepozornie. Nie chciał dzisiaj ściągać uwagi na Dana - ani na siebie. Poczulałam się lekko zakłopotana swoim eleganckim, markowym kostiumem i pomyślałam, że powinnam wyjaśnić Chaunceyowi, że chciałam wyglądać jak kobieta wspierająca swojego mężczyznę w sądzie. Lecz instynkt, którym kierowałam się dzisiejszego ranka w sypialni, w ostrych żółtych promieniach słońca padających na wiodące do sądu schody wypadł co najmniej głupio. To się działo naprawdę. Morderstwo. A ja zachowywałam się jak statystka w *One Life to Live*.

Wstałam, otrzepałam spódnicę i oddałam Chaunceyowi jego notes.

- Co powinnam teraz zrobić? - zapytałam, starając się mówić tonem osoby kompetentnej.

- Czy Dan ma paszport?

- Słucham?

- Paszport Stanów Zjednoczonych. Do podróżowania.

- Oczywiście.

- Może mi być potrzebny. Sędzia o niego poprosi jako warunek wyznaczenia kaucji, aby mieć pewność, że pani mąż nie opuści kraju.

Zwykle należy go złożyć w ciągu dwudziestu czterech godzin, ale zdarza się, że sędzia chce go otrzymać przez zwolnieniem podejrzanego.

- Pojadę do domu i przywiozę go tutaj.

Mając do spełnienia misję, nabrałam nieco większej pewności, co od razu odbiło się w moim tonie.

Chauncey sięgnął do kieszeni i wyjął smukły srebrny wizytownik od Tiffany'ego (jednak afektacja typowa dla Los

Angeles nie była mu obca) i wręczył mi wizytówkę, elegancką i kunsztowną (afektacja numer dwa).

- Nie musi pani jechać aż tutaj. Wystarczy, że podrzuci mi pani paszport do kancelarii.

- A jeżeli będzie pan go potrzebował jak najszybciej, żeby Dan mógł wyjść na wolność?

- Przez cały dzień między moją kancelarią a sądem kursują posłańcy. Dostarczą mi go szybciej, niż pani sobie wyobraża.

Rzuciłam okiem na adres. Beverly Boulevard. Część miasta znacznie mi bliższa, ale nie do końca. Wzięłam głęboki oddech.

- Proszę mi powiedzieć, czy jest jakiś powód, dla którego chce pan uniknąć mojej obecności w sądzie?

Zdawał się zaskoczony.

- A to niby dlaczego?

Wzruszyłam ramionami i wymownym gestem przesunęłam dłońmi po spódnicy.

- Mogę się przebrać, jeżeli ten strój jest nieodpowiedni.

- Wygląda pani prześlicznie.

- Proszę mi mówić Lacy.

- Chauncey. Posłuchaj, naprawdę niczego przed tobą nie ukrywam. Po prostu twoja obecność w sądzie nie jest dzisiaj potrzebna. Prokurator przedstawi zarzuty, morderstwo drugiego stopnia. To morderstwo z premedytacją. Policja złoży oświadczenie, ja zgłoszę wniosek o odstąpienie od przeczytania zarzutów i to wszystko.

- Nie muszą wyjaśnić, dlaczego go aresztowali? Chauncey wzruszył ramionami.

- Prokurator oświadczy, że mają mocne podstawy, aby została wyznaczona jak najwyższa kaucja. Ale dzisiaj niczego nie przedstawią. Policja nie miała wczoraj nakazu, ale wpuściłaś ich do domu - czyli wyraziłaś zgodę – więc nie mogę im zarzucić, że aresztowanie było bezprawne. Prawdopodobnie

mieli powód. Zajmę się tym, a potem weźmiemy się do pracy, ale już w moim biurze. Jeżeli szczęście nam dopisze, sprowadzę tam Dana jeszcze przed południem.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i kiedy Chauncey wracał do sądu, ja poszłam do samochodu. Tym razem nie musiałam się już śpieszyć, ale i tak gnałam do domu, z sercem walącym tak mocno, jakbym wypila garnek espresso. Zawsze trzymałam paszporty w drugiej szufladzie stolika nocnego, dawnej szafki na lekarstwa, którą znalazłam na pchlim targu za szesnaście dolarów, odnowiłam i uzupełniłam wykonaną na zamówienie podstawą pokrytą listkami złota. Zgoda, listki złota były nieco ekstrawaganckie, ale efekt końcowy pojawił się w „House Beautiful” jako przykład niezwyklej kreatywności. O czym więcej może marzyć dekorator wnętrz? Dzięki temu kilka żon potentatów filmowych dołączyło do grona moich klientek i z dnia na dzień stałam się wziętą dekoratorką, z własną rubryką w wydawanym w Los Angeles eleganckim branżowym czasopiśmie „Abode”. Nie mam zbyt wielu czytelników, ale z pewnością jak najbardziej odpowiednich. Kiedy zwykła klientka zastanawiała się, czy może sobie na mnie pozwolić, zniżalam głos i mruzczałam pod nosem: „Proszę się nie przejmować tym nocnym stolikiem. Kupiłam go raptem za szesnaście dolarów”.

Biegając na górę po schodach, nagle poczułam lęk, że dokumenty zniknęły. Przepadły w niewyjaśniony sposób. Szarpnięciem otworzę szufladę i nic w niej nie znajdę.

Kiedy jednak otworzyłam ją naprawdę, wszystko leżało na swoim miejscu. Świat stanął na głowie, ale papiery nie zniknęły. Wyjęłam paszport Dana i otworzyłam go, przez chwilę wpatrując się w zdjęcie męża. Dan, mój Dan. Mężczyzna, którego znam lepiej niż kogokolwiek na świecie. Widok stempli przypomniał mi wspólne dalekie wycieczki - do Paryża, Panamy, Machu Picchu. Żadne jednak z tych miejsce nie wydawało mi się bardziej obce i nieznane od

sytuacji, w której znaleźliśmy się teraz. Czymże jest zwykle przejście przez odprawę celną - w tej chwili miałam wrażenie, że trafiłam do innego wymiaru.

Starając się nie tracić zimnej krwi, sięgnęłam po wizytówkę Chaunceya Howella, zadzwoniłam do jego biura i zapytałam sekretarkę, kiedy mogę przyjechać.

- Za jakieś dwie godziny - odparła. - Wątpię, żeby Chauncey zjawił się wcześniej. Sprawdziłam, paszport nie będzie mu na razie potrzebny. Cóż za kompetencja. Ale co mam ze sobą począć przez najbliższe dwie godziny? Przyszło mi do głowy, że mogę zadzwonić do Molly Archer, mojej najlepszej przyjaciółki od czasu studiów. Wytworna, bystra i nie wiadomo czemu samotna Molly odgrywała wszystkie ważne role w moim życiu: była druhną na moim ślubie, matką chrzestną Granta, jedyną osobą, która mi powiedziała, że w żółtych swetrach wyglądam koszmarnie. Zawsze mówiłyśmy sobie o wszystkim, ale po raz pierwszy w życiu nie miałam pojęcia, co powiedzieć po „cześć”. „Hej, być może Dan kogoś zamordował, ale co powiesz na lunch?” Nie, lepiej zachowam to na razie dla siebie. Kiedy zacznę o tym mówić, stanie się zbyt rzeczywiste.

Przysiadłam na skraju łóżka, starając się znaleźć sens w kompletnym bezsensie. Gdzieś w głębi duszy wciąż wierzyłam, że w przyszłym tygodniu będziemy śmiali się z całego zajścia, które stanie się zabawną anegdotą opowiadaną przy drinkach i meksykańskim jedzeniu. Rozsądek podpowiadał mi jednak, że wszystko się zmieniło. W ciągu niespełna dwunastu godzin nauczyłam się kilku zupełnie nowych słów. Morderstwo drugiego stopnia. Morderstwo z premedytacją. Skąd się one wzięły? Prawniczy żargon Chaunceya należał do życia jakiejś innej osoby, z całą pewnością nie mojego. Byłam zwykłą, żyjącą na przedmieściach mamą/dekoratorką, która martwiła się o dzieci, o wożenie ich do szkoły, o dy-

wany, a nie o martwe aktorki. Cóż z tego, że nosiłam piękne ubrania i miałam talent dekoratorski, skoro i tak głównie pomagałam w odrabianiu zadań domowych, karmiłam myszo-skoczki Jimmyego i troszczyłam się o całą rodzinę. Lubiłam zajmować się ogrodem i znałam się na pelargonjach, a nie na więziennych celach.

Kiedy zadzwonił telefon, zerwałam się w nadziei, że to Chauncey z wiadomościami o Danie. Niestety, okazało się, że to jedna z klientek, złażniona rozmowy o próbkach tkanin, które podrzuciłam jej wczoraj do domu. Wczoraj? Chyba milion lat temu.

- Może dzwonię nie w porę? - zapytała. - Mam wrażenie, że jesteś czymś zajęta.

- Nie, nie, w porządku - zapewniłam ją, przyjmując swój zwykły ton kobiety interesu. Najwyraźniej życie reszty świata toczyło się zwykłym trybem, chociaż mój świat nie dość, że się wykoleił, to jeszcze stanął na głowie. Pomyślmy, tkaniny. Tak, już pamiętam. Rozmawiałyśmy o ilości splotów, gruzełkach i wytrzymałości. Naprowadziłam ją na szenilę, a jak tylko się zgodziła, szybko zmieniałam kurs i zaczęłam rozwodzić się o zaletach aksamitu. Nie byłam przekorna - starałam się jakoś zabić czas. Kiedy skończyłyśmy rozmawiać, wpatrywałam się w telefon, zastanawiając się, czy zdołam wykorzystać swoją siłę perswazji w sprawach większej wagi - na przykład w przekonaniu Jimmy'ego, że nie dzieje się nic złego. Nie będzie to łatwe. Jimmy był wystraszoną małym chłopcem, ale wyjątkowo bystrym. Kiedy wypadł mu pierwszy mleczny ząb, pod jego poduszką znalazł się jednodolarowy banknot. Obudziwszy się rano, z rozczochną czupryną i zaspanym głosem, mocno ścisnął banknot w swojej małej piąstce, ale za nic nie chciał uwierzyć w zębowa wróżkę.

- Myślę, że to tata albo mama włożyli mi pieniądze pod poduszkę, a może Grant - oznajmił z powagą.

Mam mu wmówić, że jego tatę nie spotkało nic złego? Jasne, a wielkanocne pisanki przynosi zajaczek.

Podniosłam się z łóżka i zajrzałam do garderoby, żeby sprawdzić, czy nie znajdę tam jakiegoś stroju bardziej odpowiedniego na rozmowę z prawnikiem. Po paru minutach zrezygnowałam i postanowiłam się nie przebierać. W poszukiwaniu jakiegoś zajęcia rozejrzałam się po sypialni, myśląc, co bytu ulepszyć. Przesunęłam zieloną wazę z Murano z jednego końca toaletki na drugi, a łabędzie Steubena, prezent od Dana na ostatnią rocznicę ślubu na przód półki. Kiedy wręczył mi ten symbol związku na całe życie, uznałam to za ckliwe, teraz jednak odczułam przyływ wdzięczności. Tylko troskliwy, dobry i czuły mężczyzna kupuje swojej żonie ptaki symbolizujące dozągonną miłość. A czy ktoś kiedyś słyszał o troskliwym, dobrym i czułym mordercy?

Poczułam, że natychmiast muszę wyjść z domu, pojechałam więc na Beverly Boulevard. Było za wcześnie na wizytę w biurze Chaunceya, ale jego kancelaria znajdowała się w dzielnicy, gdzie swoje sklepy mieli najlepsi projektanci w mieście. Znalazłam drogi sklep z antykami, do którego postanowiłam zajrzeć, ale zainteresował mnie w takim samym stopniu jak Kmart. W tej chwili nic nie mogło przyciągnąć mojej uwagi - pragnęłam jedynie zobaczyć Dana. Zrezygnowana skierowałam się do biura Chaunceya, zdecydowana czekać tak długo, jak będzie trzeba.

Okazało się, że nie muszę czekać ani minuty. Chauncey pracował szybko i kiedy weszłam do biura, Dan już tam był. Siedział sobie spokojnie na czarnej skórzanej sofie i popijał z butelki swoją ulubioną herbatę imbirową. Gdy sekretarka mnie wprowadziła, posłał mi znużony uśmiech i wstał, by mnie lekko uścisnąć. Chciałam zachować spokój, ale pod wpływem jego dotyku zalała mnie fala emocji. Oparłam głowę o jego pierś, przytłoczona uczuciem ulgi, zmieszania i strachu.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam niemal bezgłośnie szeptem.

- Tak, tak, nic mi nie jest.

Był nieco bledszy niż zwykle, ale miał na sobie odprasowane spodnie khaki i nową błękitną koszulkę polo z logo Ralpa Laarena. Albo Chauncey przywiózł mu świeże ubranie do sądu, albo w podziemiach więzienia mają sklep Barneys.

Odsunęłam się, przypominając sobie, że muszę być silna. Teraz, kiedy wszystko się wokół Dana waliło, ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, była rozhisteryzowana żona. Kiedy jednak po raz tysięczny uzmysłowiłam sobie, co przeżył minionej nocy, przeszył mnie dreszcz.

- Czy w tej... celi było okropnie? Boże, widziałam, jak wciągają tam narkomana.

Spojrzałam na niego, mając nadzieję, że z łagodnym współczuciem.

Dan jednak wzruszył ramionami i usiadł z powrotem na sofie.

- Nie wydarzyło się nic dramatycznego. Chauncey błyskawicznie się ze wszystkim uporał. Jestem pewien, że wkrótce będziemy mieć to za sobą.

- Kochanie, boję się. Nie wierzę, że to się dzieje. To istny koszmar.

- Nie jest tak źle.

Skrzyżował ramiona na piersi, a ja zacisnęłam usta. Dan był dzielny i przyjmował to jak mężczyzna. Kiedy Zenon z Kation wymyślił stoicyzm trzysta lat przed Chrystusem i oznajmił światu, że mężczyźni nie mogą ulegać radości ani smutkowi, czy zdawał sobie sprawę, że będzie wkurzał kobiety przez następne dwa tysiąclecia?

- Przekazuję Chaunceyowi różne informacje - powiedział Dan, trzymając się faktów, a tym samym unikający wszelkich emocjonalnych dyskusji. - Myślę, że możesz nam pomóc.

Wskazał krzesło, na którym posłusznie usiadłam, obciągając obcisłą spódnicę. Muszę powiedzieć krawcowej, żeby następną uszyła o dwa centymetry dłuższą, chociaż podejrzewam, że to i tak bez znaczenia, bo nawet opatulona szczelnie w burkę, w tej chwili czułabym się równie niepewnie.

Chauncey zabębnił palcami po blacie, nie czyniąc w moją stronę zapraszającego gestu.

- Dan, w tym pokoju obowiązuje zasada całkowitej poufności pomiędzy tobą jako klientem a mną jako adwokatem, ale musimy poruszyć kilka trudnych tematów i dopilnuję, żebyś mógł mówić bez skrepowania.

Popatrzył na mnie, a ja natychmiast zrozumiałam, o co mu chodzi.

- Mogę wyjść. Zaczekam na zewnątrz - zerwałam się z krzesła.

Dan pokręcił głową.

- Nie, nie wychodź. Chcę, żebyś została.

Usiadłam ponownie, czując się trochę jak marionetka, za której sznurki Dan i Chauncey pociągają na zmianę.

Postanawiając nie zwracać na mnie uwagi, Chauncey zwrócił się do Dana.

- Wróćmy do Tashy Barlow lub Theresy Bartowski. - Wyjął zdjęcie, które miałam okazję obejrzeć dzisiaj rano, a wraz z nim kilka innych. - Teraz masz trochę czasu. Co o tym sądzisz?

Dan nachylił się, by przyjrzeć się dokładnie zdjęciom, po chwili znowu się wyprostował.

- Spotykam wiele kobiet na przyjęciach i imprezach charytatywnych, więc możliwe, że kiedyś nasze drogi się przecięły. Jeśli tak było, nie zwróciła mojej uwagi. Później wrócę do gabinetu i przejrzę kartoteki. Ale na ogół zapamiętuję twarze swoich pacjentów, a ta tutaj nic mi nie mówi. Chauncey bawił się piórem, kręcąc nim w palcach.

- Posłuchaj, Dan, prokurator nie powiedział mi wiele dzisiaj rano. Na wstępnym przesłuchaniu zapoznają nas z niektórymi dowodami, ale chcę to jak najbardziej opóźnić. Twierdzi, że mają materiał dowodowy, na którego podstawie można cię powiązać z miejscem zbrodni.

Przerwał, dając nam czas na przyjęcie tego do wiadomości. Dan tylko potarł rękami oczy.

- Naoczny świadek powiązał cię z ofiarą - wolno kontynuował Chauncey.

- Pewna kobieta widziała, jak wchodzisz do mieszkania, w którym godzinę później Tasha została znaleziona martwa w sypialni.

Mówił to tak obojętnym tonem, jak gdyby dyskutował o cenie koszul w Brooks Brothers. Może więc się przesłyszałam. Bo gdyby przecież Chauncey oznajmił właśnie, że ktoś widział Dana w mieszkaniu zabitej dziewczyny, czy nie powinny rozbrzmieć ostre dźwięki skrzypiec i pojawić się ujęcia wstrząśniętych twarzy? Czy nikt nie oglądał *Sokoła maltańskiego*?

- To niemożliwe - stwierdził w końcu Dan. - Przecież nawet nie znam ofiary. Jak mogłem znaleźć się w jej sypialni?

- Jaki miał rzekomo motyw? - zapytałam cicho. Chauncey odłożył pióro.

- Motyw poznamy przypuszczalnie dopiero w czasie rozprawy. Ale prokurator ma kilka opcji. Dan jest chirurgiem plastycznym oskarżonym o zamordowanie młodej aktorki. Odpowiedź, jaka nasuwa się sama, to albo nieudana operacja, albo nieudany seks.

- Aleja nie...

- Wiem - powiedział Chauncey, przerywając Danowi, zanim ten zdążył po raz kolejny zaprzeczyć. - Ale pójdźmy tym tropem.

Zapytał Dana o jego terminarz, liczbę pacjentów, ilość czasu spędzanego w domu. Poprosił o nazwiska lekarzy i pielęgniarek, z którymi Dan pracował w szpitalu, i zapytał o sprawy o błąd w sztuce.

- W sumie nie miałem żadnej, a zarzut postawiono mi tylko raz. Byłem wtedy stażystą i kobiecie, która przeszła rinoplastykę, nie podobał się nos po operacji. Poszliśmy na ugodę i zamiast odszkodowania, naczelny chirurg, z którym pracowałem zgodził się przeprowadzić operację jeszcze raz.

- Nic poza tym? - zapytał Chauncey. Dan wzruszył ramionami.

- Może miałem szczęście. Ale też nie należę do chirurgów, którzy tylko pojawiają się na sali operacyjnej, ale nigdy nie rozmawiają z pacjentami ani przed, ani po. Staram się do nich zbliżyć.

Chauncey chrząknął.

- Zbliżyć w jakim sensie? - zapytał.

Dan popatrzył na niego, rozumiejąc, co implikuje.

- Zawodowym - odparł zwięźle. Chauncey postukał piórem w biurko.

- Dobrze. Ale kiedy będziesz mówił o zbliżaniu się do pacjentów, musisz uważać.

Dan milczał. Tysiące razy słyszałam, jak tłumaczył, że został lekarzem, ponieważ zależało mu na ludziach, nie na ich czekach. Medycyna się zmieniła, ale on nie. Odbierał telefony w środku nocy, pędził do szpitala i bez przerwy martwił się pooperacyjnymi komplikacjami. Żartowałam sobie, że jeżeli chce, aby poświęcił mi swoją całą uwagę, muszę zostać jego pacjentką.

- Czy ze względu na możliwość popełnienia błędu w sztuce ograniczyłeś chirurgię kosmetyczną? - zapytał Chauncey, przechodząc do następnej sprawy.

- W zasadzie nie. - Dan nie rozwinął tematu. Dziennikarze z „Vogue” wciąż ustawiali się do niego

w kolejce, on jednak ostatnio skupił się na poważnej chirurgii, lecząc ofiary wypadków i ciężko oszpeconych ludzi. Zaskarbił sobie powszechny szacunek działalnością na całym świecie, ale im częściej odmawiał klientom pragnącym pod-

dać się zabiegom upiększającym, oni tym bardziej nalegali, błagając o jego magiczny dotyk.

- Porozmawiajmy teraz o sprawach bardziej osobistych
- rzekł Chauncey, poprawiając okulary. - Czy macie jakieś małżeńskie problemy, o których powinienem wiedzieć?

Zerwałam się z krzesła.

- Chyba jednak zaczekam na zewnątrz. W ten sposób Dan będzie mógł mówić całkowicie szczerze.

Dan pokręcił głową.

- Usiądź, Lacy. Nie ma takich rzeczy, których nie mógłbym powiedzieć w twojej obecności.

Usiadłam. Trochę zaczęło mnie nużyć to ciągle zrywanie się i siadanie.

- Lacy i ja jesteśmy wyjątkowo dobrym małżeństwem

- powiedział Dan.

Czekałam na coś więcej, ale na tym skończył. W sumie nie było to takie złe.

- Zwykle sprzeczki, jak w każdym związku? - zapytał Chauncey.

Dan zastanawiał się przez chwilę.

- Chyba tak. Sąsiedzi raczej nie mogą się uskarżać.

- Uśmiechnął się lekko. - Lacy jest pogodna i łagodna z natury. Dzieci bywają trudne, a mnie zdarzają się humory, ale ona jakoś sobie z tym radzi i dzięki niej wszystko układa się, jak należy.

Rany - niezłe referencje. Miłe zadośćuczynienie nieprzespanej nocy.

- Od jak dawna jesteście małżeństwem? - zapytał Chauncey.

- Prawie osiemnaście lat. Pobraliśmy się, kiedy ona miała dwadzieścia dwa lata, ja dwadzieścia pięć. Dość młodo. Wciąż jeszcze studiowałem. Mój ojciec tego nie zaaprobował.

Nie zaaprobował? Ojciec Dana szalał niczym King Kong na ulicach Nowego Jorku. Gotował się ze złości, ponieważ

ja studiowałam dzięki stypendium na państwowej uczelni, miałam długi do spłacenia i zerowe konto w banku. Trzy ciosy, jeszcze zanim się dowiedział, że studiuje sztukę. Matka Dana, o wiecznie zaciśniętych ustach, zbytnio bała się męża, by zasugerować, że udanego małżeństwa nie zapewnią stałe dochody, gwarantujące wysoką emeryturę. Dan oświadczył ojcu, że mnie kocha, bo jestem wesoła, niezależna i otworzyłam jego duszę na świat. Ojciec doradził mu, żeby mniej martwił się o swoją duszę, a bardziej o karierę chirurga. Ponieważ żadne z jego rodziców nie raczyło przyjść na nasz ślub, a moja samotnie wychowująca mnie matka nie była w stanie sfinansować wesela, pobraliśmy się z Danem na plaży na Bahamach, w obecności kilku przyjaciół (w tym świadkowej Molly) i tłumu studentów spędzających tam wiosenne ferie. Na jednym ze ślubnych zdjęć Dan trzyma w jednej ręce obrączkę, w drugiej butelkę piwa. Twierdził, że wtedy po raz pierwszy - i być może jedyny w swoim życiu - był w hałaśliwym, chuligańskim nastroju i czuł się absolutnie szczęśliwy.

- Moi rodzice trochę zmiękli - mówił teraz Dan do Chaunceya - ale mogę liczyć wyłącznie na Lacy.

Z drugiego końca pokoju Dan popatrzył na mnie i uśmiechnęliśmy się do siebie znacząco. Kiedy Grant przyszedł na świat, rodzice Dana przysłali srebrną łyżeczkę od Tiffany'ego - ale nawet nie zadzwonili. Schowaliśmy łyżeczkę do szuflady, Granta karmiliśmy plastikowymi, bezpiecznymi sztuczkami i zawsze wiedzieliśmy, że prawdziwa rodzina to my sami. Chauncey coś zanotował i popatrzył na mnie. Nawet jeżeli zauważył spojrzenia, które wymieniliśmy z Danem, chyba nie dostrzegł, ile w nich było ciepła.

Na kolejnych kilka pytań Dan odpowiadał ostrożnie. Wierciłam się niecierpliwie na krześle, nie bardzo rozumiejąc, w jaki sposób rozmowa na temat seksu, życia towarzy-

skiego i chirurgii ma pomóc w rozwikłaniu sprawy morderstwa Tashy Barlow.

Gdy Chauncey wreszcie skończył i odłożył pióro, odprowadził nas do holu, obiecując, że później zadzwoni. Zostawił nas, a ja rzuciłam Danowi kluczyki do samochodu.

- Wracajmy do domu - powiedziałam.

- Do domu? - Dan wydawał się tak zaskoczony, jakbym właśnie przyznała Clarence'owi Thomasowi honorowe członkostwo Amerykańskiego Związku Swobód Obywatelskich.

- Do domu. Chyba pamiętasz to miejsce. Dach w stylu hiszpańskim, który dzwoni, kiedy pada deszcz. Basen w ogrodzie. Dwa telewizory z płaskim ekranem i systemem nagłośnienia dolby surround, żebyś mógł sobie na okrągło oglądać *Gwiezdne wojny*.

Uśmiechnął się.

- Niezaprzeczalnie bardzo lubię nasz dom, ale chyba jednak pojedę do gabinetu.

- Do gabinetu?!

- Daj spokój, Lacy. Musiałem odwołać poranne operacje, ale mogę podgonić z papierkową robotą. Poza tym muszę sprawdzić, czy w moich aktach nie ma jakiejś wzmianki o Tashy Barlow. Nie ma powodu, żebym tracił cały dzień pracy. - Obrócił w palcach kluczyki. - Podwiozę cię do domu i wezmę swój samochód.

Oto, czego się nauczyłam przez prawie dwadzieścia lat małżeństwa. Nie ma sensu mówić mężowi, że zachowuje się idiotycznie (nawet jeżeli faktycznie tak jest). Dan chodził do pracy w czasie, gdy Malibu nawiedzały lawiny błotne, podczas trzęsień ziemi przekraczających skalę Richtera, trudno więc oczekiwać, że taka błahostka, jak morderstwo, zdoła go powstrzymać - bez względu na moje perswazje.

W drodze do domu prowadziliśmy nieco sztuczną konwersację, trzymając się bezpiecznych tematów, nienawia-

zujących do więzienia, przestępców ani martwych aktorek. W domu zauważyłam czarne smugi na poza tym idealnie gładkiej, wyfroterowanej na wysoki połysk podłodze w holu i przebiegł mnie lekki dreszcz. Ciężko obuci policjanci pozostawili po sobie ślad. Co będzie potrzebne, by się go pozbyć i przywrócić nieskazitelny blask naszemu życiu, o podłodze nie wspominając? Żadne szorowanie ani woskowanie nie odwróci szkód. Dan, najwyraźniej nieświadomy metaforycznego bałaganu, odwrócił się, by mnie pocałować.

- Zmykam, kochanie - powiedział niefrasobliwie. - Dziękuję ci, że byłaś taka wspaniała.

Wspaniała? W tej chwili czułam się co najmniej beznadziejnie.

- Chciałabym, żebyś został dzisiaj w domu - poprosiłam, starając się, żeby nie zabrzmiało to rozpaczliwie.

- Taki sam dzień pracy jak każdy inny. Nie widzę najmniejszego powodu, dla którego miałbym sobie odpuścić.

- Podać ci kilka?

- Nie - odpowiedział i zniknął za drzwiami.

Po czterech latach krojenia trupów w szkole medycznej, pięciu latach całodobowego leczenia okaleczonych i pokiereszowanych w czasie stażu i prawie dwudziestu latach prywatnej praktyki Dan w pewnym sensie stracił kontakt z rzeczywistością. Podejrzewam, że kliniczny dystans był niezbędny w sali operacyjnej, w tej chwili jednak lodowata woda płynąca w jego żyłach doprowadzała moją krew do stanu wrzenia.

Przebrałam się w dżinsy i T-shirt i przez resztę popołudnia krzątałam się po domu, szukając zapomnienia w płaceniu rachunków i wystawianiu faktur klientom. Krótco przed piątą Grant wrócił do domu po szkole i treningu tenisa.

- Cześć, mamó, już jestem! - zawołał i zniknął w kuchni.

Chwilę później dołączyłam do niego, gdy właśnie kończył pochłaniać resztki sernika i zabierał się za kilogramowe opakowanie czereśni.

- Na teście z fizyki poszło mi nieźle, ale zrobiłem kilka głupich błędów - powiedział, wypluwając pestkę na dłoń. - Jedno pytanie o kwarki normalnie mnie powaliło, bo nie mogłem sobie przypomnieć, czy proton ma dwa kwarki górne i jeden dolny, czy chodzi raczej o neutron. Głupio, no nie? Kto zapomina o takich rzeczach?

- Kto nie zapomina? Kiedy ja chodziłam do szkoły, kwark to był po prostu ser.

Grant roześmiał się i zaczął mówić o siłach elektromagnetycznych. Kiedy przeszedł do przyciągania, zrozumiałam, że prędzej czy później będę musiała zepsuć mu dobry humor.

- Przepraszam, mamo, jeżeli cię nudzę - Grant wyczuł moje rozkojarzenie. - Zdaje się, że pola siłowe nie należą do twoich ulubionych tematów.

- Nie, to naprawdę fascynujące - zapewniłam szybko. - Cała ta fizyka o ujemnym i dodatnim przyciąganiu ma sens. Niestety, ja w tej chwili jestem nastawiona zdecydowanie ujemnie.

- Zły dzień? - zapytał Grant.

- O, i to bardzo - przyznałam.

- Utknęłaś w martwym punkcie z klientką, która chciała Ludwika XrV, kiedy ty myślałaś o współczesnym zdobnictwie duńskim? - zażartował.

- Współczesne zdobnictwo duńskie nie zasługuje na comeback, a ja go nigdy nie polecałam - odcięłam się.

Grant uśmiechnął się, podszedł do lodówki i nalał sobie szklanekę gatorade.

- Przecież tylko żartowałem, mamo.

- Jasne. - Odetchnęłam głęboko. - A ja rzeczywiście miałam fatalny dzień. Podobnie jak twój ojciec. Który spędził ranek w więzieniu.

Grant odstawił szklanę i popatrzył na mnie. Tylko spokojnie, upomniałam siebie. Powiedz to normalnie.

- Co się stało? - zapytał, dochodząc do siebie szybciej niż ja.
- To na pewno jakaś pomyłka. Jakieś nieporozumienie. Jeszcze nie wiemy, co się za tym kryje. W nocy przyszła do domu policja i aresztowała go.

- W nocy? Jak to? Rano nic o tym nie wspominałaś.

- Musiałeś myśleć o szkole. I teście. Naprawdę się cieszę, że dobrze ci poszło, mimo tych niesfornych kwarków.

- Tatę aresztowali, a ty martwiłaś się o mój egzamin z fizyki?

Grant patrzył na mnie kompletnie osłupiały, zaskoczony, że jego matka zachowuje się jak bardzo niestabilna molekula.

- Teraz martwię się już tylko o tatę - wyznałam. Grant nagle zbladł.

- Gdzie on jest?

- W gabinecie. Przecież wiesz, że twój ojciec wiecznie pracuje.

- Jakie stawiają mu zarzuty?

W tej chwili z góry dobiegł głośny krzyk, po nim następny, i jeszcze jeden. Grant rzucił się do drzwi, ja tuż za nim. Gnaliśmy po schodach przy wtórze nieustających, mrozących krew w żyłach wrzasków. Biegliśmy korytarzem, gdy Ashley gwałtownie otworzyła drzwi i wybiegła ze swojego pokoju.

- Tato zamordował jakąś dziewczynę! Tato kogoś zamordował! - wrzeszczała histerycznie. - O mój Boże! Tato zamordował dziewczynę!

Grant chwycił ją za ramiona.

- Zamknij się!

- Tatuś ją zabił! Mój tatuś!

Grant potrząsnął nią, nie rozluźniając uchwytu.

- Zamknij się! - powtórzył, tym razem bardziej zdecydowanie.

Ashley wybuchła płaczem, nie rzucając się Grantowi w ramiona. Stała wyprostowana, krzycząc i płacząc.

Weszłam do jej pokoju, gdzie emisję powtórki *Przyjaciół* przerwano specjalnym wydaniem wiadomości. Na ekranie ujrzałam reporterkę, stojącą przed biurowcem, podejrzanie podobnym do budynku, w którym pracował Dan.

- Wkrótce przekazemy państwu dalsze informacje na temat „morderczego doktora” - mówiła. - W tej chwili nadaję na żywo z Beverly Hills. Oddaję głos Amy Chin, która znajduje się przed mieszkaniem ofiary.

Ashley przestała na chwilę krzyczeć, teraz jednak zaczęła na nowo, nie usłyszałam więc tego, co miała do powiedzenia Amy Chin, ale wstrząsnęło mną to, co zobaczyłam - kilka zdjęć Tashy Barlow, jej dość nędznego mieszkanka, wreszcie materiał z miejsca zbrodni.

Zrozumiałam, dlaczego Ashley wpadła w histerię - zamiast *Przyjaciół* zobaczyła wrogów.

Na korytarzu Grant powalił Ashley na podłogę, leżała więc, zawodząc, nie walcząc z Grantem, który obejmował ją mocno ramieniem. Też ją tak trzymałam, kiedy jako dziecko dostawała ataków szału.

Oboje popatrzyli na mnie. Osunęłam się na podłogę, żeby móc spojrzeć Ashley w oczy.

- Co zobaczyłaś w telewizji? - zapytałam znacznie bardziej szorstkim tonem, niż zamierzałam.

Ashley znowu zaczęła szlochać.

- Widziałaś tatę?

- T-t-taak - wystękała. Psiakrew, pomyślałam.

Zadzwoił telefon. Odebrałam go w pokoju Ashley i usłyszałam głos Chaunceya Howella.

- Moja sekretarka właśnie widziała Dana w telewizji.
- Moja córka też.
- Co on, do cholery, wyprawia?
- Poszedł do gabinetu. Chyba go zaskoczyli przed budynkiem.
- Rozmawiał z dziennikarką - powiedział Chauncey, jakby oznajmiał, że Dan osobiście wepchnął jego wyczyszczony na wysoki połysk but w dymiącą kupę końskiego łajna. - Czy on kompletnie zwariował? Zdaje się, że oświadczył, iż jest całkowicie niewinny, a policja popełniła błąd.
- Chyba zgodnie z prawdą.
- Proszę pani, nie wolno mu nic mówić. Nic. Rozumie mnie pani? Proszę go sprowadzić do domu. Mogę posiać po niego limuzynę. Proszę mu powiedzieć, żeby wyszedł tylnymi drzwiami, wyjściem służbowym, wszystko jedno, byle nikt go nie widział. Tak samo ma być, kiedy już dotrze do domu. Żadnych dziennikarzy. Żadnych zdjęć. Żadnych komentarzy. Czy to jasne?
- Jasne - odrzekłam. - Zadzwoń do niego.
- Proszę wyłączyć automatyczną sekretarkę. Nie odbierać żadnych telefonów. Zadzwoń do niego na zastrzeżony numer. Musimy założyć, że macie na podsłuchu telefony komórkowe, podobnie jak telefon stacjonarny.
- Jimmy jest u kolegi - czułam się w obowiązku go poinformować.
- Niech wróci do domu - odparł Chauncey i grzotnął słuchawką. Zadzwołam do sąsiadki, Jane Snowdon, i nie wdając się w szczegóły, poprosiłam, aby odprowadziła Jimmy'ego pod tylne drzwi naszego domu. Odsunęłam żaluzje, wyjrzałam ostrożnie przez okno i zobaczyłam samotną nieoznakowaną furgonetkę po drugiej stronie ulicy. Po chwili pojawiła się następna, tym razem z jaskrawym logo News Channel 4. Zatrzasnęłam żaluzje i zadzwoniłam do Dana.

- Co robisz? - zapytałam, kiedy podniósł słuchawkę.
- Papiery - odparł chłodno. - Mam spore zaległości.
- Dan, dzieci wpadły w histerię. Jesteś im potrzebny. A ja właśnie rozmawiałam z Chaunceyem Howellem. Chce, żebyś wrócił do domu. Pokazywali cię w wiadomościach o piątej.
- Naprawdę? To dobrze. Powiedziałem tej dziennikarce, że jestem niewinny.
- Chodzi o to, że nie wolno ci nic mówić. Chauncey powiedział, że przyśle po ciebie limuzynę, żeby odwiozła cię do domu.
- Mój samochód jest na parkingu.
- Uda ci się do niego wsiąść, żeby dziennikarze cię nie zauważyli? Dan zastanowił się.
- Przecież wiesz, jak wygląda parking przed budynkiem. Jest otwarty. Na zewnątrz. Każdy może do mnie podejść, kiedy będę wsiadał do auta.
- W takim razie przyjeźdź limuzyną Chaunceya - powiedziałam. - Poproszę go, żeby wysłał dodatkowego kierowcę. Przyjdzie do ciebie po kluczyki i odwiezie twój samochód do domu. Może niektórzy dziennikarze pojedą za nim.
- Dan prychnął.
- Oboje z Chaunceyem przesadzacie. Wyobrażacie sobie całe hordy dziennikarzy, a była tylko jedna reporterka. Dostała swoją historię. Na pewno już sobie poszła.
- Dan, choć raz się nie upieraj.
- Znowu rozsunęłam żaluzje i zobaczyłam podjeżdżające kolejne dwie furgonetki z antenami satelitarnymi, umożliwiającymi transmisję na żywo. Mój mąż mógł sobie udawać, że nic się nie dzieje, ja nie mogłam sobie na to pozwolić.
- Jedna reporterka godzinę temu, ale teraz wszyscy już o tobie wiedzą - powiedziałam. - Wypowiedź pani z Channel Five była bardzo zwięzła. Przed naszym domem gromadzą się właśnie ekipy telewizyjne.

Usłyszałam, jak Dan idzie przez pokój, zapewne aby wyrzucić przez okno. Chyba usłyszałam oznakę lekkiego zaskoczenia. Ale kiedy odezwał się znowu, był już całkowicie opanowany.

- Dobrze. Powiedz Chaunceyowi, żeby przysłał limuzynę z drugim kierowcą. Ale daj mi godzinę. Muszę jeszcze popracować. - Podobnie jak Howell, odłożył słuchawkę.

Szybko zadzwoniłam do Chaunceya i w nagrodę za swoje starania usłyszałam: „Dobrze się spisałaś. Nieźle to wymyśliłaś”, co i tak było lepsze od reakcji Dana. Ale w tej chwili nie miało to znaczenia.

Po napadzie szafy Ashley korytarz przed pokojami dzieci opustoszał i stał się dziwnie cichy. Dzięki Bogu za Granta, który zdołał przemówić siostrze do rozsądku. Poszłam na dół i znalazłam córkę skuloną na kanapie w salonie, zamykającą właśnie swoją Motorolę T721 z kolorowym wyświetlaczem, dwukierunkowym radiem i robioną na zamówienie obudową. Ashley i tak ze złością powtarzała, że wszyscy w szkole mają nowszy model, na którym można odtwarzać teledyski. Na pewno w trakcie lekcji matematyki.

- Idę do Devil Diner na kolację - powiedziała, owijając wokół palca kosmyk włosów. - Wszyscy tam będą. Mandy po mnie przyjedzie.

- Mandy nie ma prawa jazdy - przypomniałam jej, nie pytając nawet, czy chodzi o tych samych „wszystkich”, którzy mają lepsze komórki.

- Jej chłopak przyjedzie po mnie - dodała gwoli wyjaśnienia. - A ty wcale nie jesteś dowcipna.

- Nawet nie próbuję. Prawdę mówiąc, jestem śmiertelnie poważna.

Nigdzie nie pójdziesz. Dzisiaj musisz zostać w domu.

- A to co, areszt domowy? Wydawało mi się, że to tato jest przestępcą, nie ja.

- Żadne z nas nie jest przestępcą.

- Och, tato jest. Chociaż dowiedziałam się o tym dopiero z telewizji. Zamordował kogoś, więc to rozumiałe, że nie może wychodzić. Ale co ja takiego zrobiłam?

Egocentryzm nastolatków chyba nigdy nie przestanie mnie zadziwiać, ale moja córka nadała mu całkowicie nowy wymiar.

- Dzisiaj nic. A przynajmniej o niczym takim nie wiem. Zostaniesz w domu ze względu na to.

- I zjemy jeden z tych naszych cudownych rodzinnych obiadków?

- Na ogół je lubię, ale dzisiaj to sobie podarujemy. Możesz zjeść, zanim tato wróci do domu. Eloise przygotowała kurczaka z mango i ryżem.

- Obrzydliwość.

- Zrobię ci makaron. W zamrażarce jest też pizza z ostatniego weekendu. Ashley prychnęła, a ja jak zwykle nie wiedziałam, co zrobiłam źle. Zawsze starałam się żyć według przykazań matek z podmiejskich dzielnic:

1. *Nie krępuj swojego dziecka.*

2. *Ni g d y nie krępuj swojego dziecka.*

3. *Na przykład, o Boże, dlaczego ustalasz jakieś z a s a d y ? Nie rozumiesz, jakie to k r ę p u j ą c e ?*

Ze względu na córkę, zawsze starałam się być *cool* (ściągnęłam sobie Coldplay, jeszcze zanim Gwyneth Paltrow poślubiła ich wokalistę) - ale nigdy nie udawało mi się być wystarczająco *cool* (niski stan w moich dżinsach nigdy nie był wystarczająco niski). Wciąż żywiłam niczym nieuzasadnioną nadzieję, że jeśli będę troskliwą, szczerą i rozumiejącą matką, w końcu zdobędę zaufanie i przyjaźń mojej córki.

- Mam pomysł - powiedziałam. - Zamów coś na wynos w Devil Diner. Niech posłaniec podjedzie pod tylne drzwi, a ja otworzę.

- Nic nie rozumiesz. Chcę wyjść do Devil Diner, a nie coś sobie stamtąd zamówić. Nie zależy mi na jedzeniu. Po prostu chcę tam pójść.

- Dzisiaj to niemożliwe.

- Kiedy tato wróci do domu?

- Za jakąś godzinę.

- Mogę dzisiaj spać u Mandy?

- Tylko pod warunkiem, że to ci się uda bez wychodzenia z domu.

- Wcale nie jesteś dowcipna.

- Już to mówiłaś.

- Nienawidzę tej rodziny!

- Współczuję. Też za nią dzisiaj nie przepadam. Ale innej nie mamy. Ashley wybiegła. W pierwszej chwili chciałam pobiec za nią, ale ile razy w ciągu jednego dnia mogę silić się na podobne gesty? Właśnie się nad tym zastanawiałam, kiedy rozległo się pukanie do tylnych drzwi. Jimmy wrócił.

- Coś się chyba dzieje - powiedziała Jane, która przyprowadziła Jimmy'ego. - Wszędzie stoją wozy transmisyjne. Nie wiesz przypadkiem, czemu tu są?

Przymknęłam na chwilę oczy, starając się uspokoić.

- Jane, wybaczysz mi? Nie mogę w tej chwili rozmawiać. Skinęła głową, lekko zdziwiona.

- Jasne, Lacy. Nie chciałam ci przeszkadzać. Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała.

Jimmy wbiegł do domu, a kiedy kilka minut później weszłam do jego pokoju, leżał przed telewizorem. Normalnie kazałabym mu go wyłączyć, ale dzisiaj cieszyłam się, że znalazł sobie jakieś zajęcie. Poza tym oglądał Discovery Channel. Lepiej niech ogląda kłapiące paszczami krokodyle zamiast warczących na siebie dorosłych.

Grant siedział przy swoim biurku. Podobnie jak Dan, Grant potrafił pracować nawet podczas szalejącej burzy. Lecz

mimo całej swojej emocjonalnej siły, był tylko dzieckiem, które właśnie dowiedziało się, że jego ojciec jest podejrzany o morderstwo.

- Chcesz, żebym ci powiedziała, co wiem?

- Hm, tak. - Wyprostował się na krześle i zaczął pstrykać automatycznym ołówkiem, nie patrząc na mnie. - Nie mam zamiaru dowiadywać się z telewizji.

- Oto, jak było. Wszystko, od początku do końca. Wybacz, że ci nie powiedziałam wcześniej. - Przedstawiłam mu całą historię, tak samo jak Chaunceyowi na schodach przed sądem, dodałam też, że tato nie znał Tashy Barlow i pozostaje tylko pytanie, w jakim sposób został w to wszystko zamieszany.

Grant kiwał opuszczoną głową, a ja jak zahipnotyzowana wpatrywałam się w czubek jego adidasa, którym wiercił dziurę w dywanie.

W końcu podniósł na mnie wzrok.

- Uważam, że jesteś bardzo dzielna, mammo.

- Dzięki, kochanie. Ale nie mam pojęcia, co jeszcze możemy zrobić.

Ashley jest wściekła, ale dojdzie do siebie.

- Jasne, Ashley. Ale o nic nie pytasz taty, ja też nie będę. Żadnego gładzenia. Ani zastanawiania się, co się stało.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

- Zastanawiasz się, czy tato jest rzeczywiście niewinny?

- Nie, mammo. Jestem z tobą. Tato jest niewinny. Zamrugął swoimi wielkimi, inteligentnymi oczami, a ja z trudem przełknęłam ślinę.

Oczywiście, że Dan jest niewinny. Nie-win-ny. Byłam o tym całkowicie przekonana. Żadnych pytań, dociekań, wątpliwości. Nie-win-ny. To dziwne, niepokojące poczucie pustki w moim żołądku nic nie znaczy.

Chociaż chyba nawet tona lodów rocky road nie zdołałaby tej zapełnić.

- Chciałbym coś zrobić dla taty - podjął Grant. - Jakoś mu pomóc. Tylko nie wiem jak.

- Pomożesz mi, jak pozostaniesz sobą - powiedziałam. Oczywiście, Grant przewrócił oczami, ale i tak podeszłam, żeby go przytulić. - Wszyscy czujemy się bezradni - przyznałam.

Zadzwoił telefon i usłyszałam głos Dana.

- Gdzie jesteś? - zapytałam z niepokojem.

- Wlimuzynie, jadę do domu - odparł zwięźle. - Chauncey jest ze mną.

- To wspaniale. Bardzo się cieszę.

Howell dotarł do gabinetu Dana w rekordowym czasie, całkowicie ignorując fakt, że mój mąż chciał jeszcze z godzinę popracować.

- Chauncey chce z tobą rozmawiać.

Usłyszałam, jak przekazuje słuchawkę, i odezwał się nasz adwokat.

- Twój podstęp chyba się udał, Lacy. Tylko jeden samochód jedzie za nami. Jak najlepiej wejść do domu, żeby nikt nas nie zauważył?

Dziwne, że zwraca się z tym pytaniem do mnie, a nie do Dana, swojego klienta, siedzącego tuż obok. Szybko rozważyłam kilka scenariuszy.

- Podjedźcie pod garaż, z boku domu - powiedziałam. - Wystawię swój samochód na ulicę, żebyście mogli wjechać limuzyną do środka. Jak już będziecie w garażu, zamknę drzwi pilotem. Stamtąd jest wejście do salonu.

- W porządku - powiedział Chauncey. - Ale jak wyjedziesz samochodem na ulicę, dopadną cię dziennikarze.

- Lepiej żeby dopadli mnie niż Dana - odparłam.

Co paparazzi zrobią z moim zdjęciem? Sprzedadzą je czasopismu

„Mad”? W „Real Simple” raczej nie zapłacą mi za nie ani grosza, tym bardziej że moje życie stało się ostatnio nad wyraz skomplikowane.

Skończyłam rozmawiać z Chaunceyem, a kiedy się rozłączyłam, Grant odłożył ołówek. Udając, że się uczy, w rzeczywistości słuchał uważnie każdego słowa.

- Jesteś bardzo dzielna, mamó. Naprawdę. Jestem z ciebie dumny.
Raz jeszcze go uścisnęłam. Postawiony Danowi zarzut popełnienia
morderstwa miał jedną dobrą stronę - zarówno mój mąż, jak i syn dali
wyraz swojemu autentycznemu uznaniu dla mnie. Miła ośłoda generalnie
koszmarnego dnia.

Rozdział trzeci

Następnego ranka nie wybiegłam przed dom po gazetę jak zwykle w samym tylko szlafroku Natori, lecz włożyłam dżinsy i bluzę Fire & Ice Bali, by swoim człowieczeństwem zrobić wrażenie na reporterach z miejscowej telewizji. Ale na cichej i pustej ulicy nie dostrzegłam wozów transmisyjnych. Nie zabawiłam przed domem na tyle długo, by wypatrzeć ukryte w konarach drzew aparaty z teleobiektywami.

W domu wyjęłam „Los Angeles Times” z foliowego worka. Sprawa Dana zajmowała pierwszą stronę, a nagłówek krzyczał:

SZANOWANY DOKTOR Z LOS ANGELES OSKARŻONY O MORDERSTWO

Poniżej widniało zdjęcie Dana w smokingu od Armaniego z brylantowymi guzikami od Harry'ego Winstona, zrobione przez kogoś na jakimś balu charytatywnym przed kilkoma miesiącami. Jego błękitne oczy lśniły, a pełen ciepła uśmiech ukazywał czarujący dołeczek. Był oszłamiająco przystojny - co tłumaczyło, dlaczego zdjęcie zajmowało prawie całą stronę. Jak widać, ukrywanie Dana przed paparazzi nie na wiele się zdało.

Tashy Barlow, niedoszłej aktorce, która za cel postawiła sobie ukazanie swojej twarzy całemu światu, dostało się skromne miejsce na stronie dwudziestej siódmej. Na zdjęciu z liceum jej nos był o wiele większy, a piersi przygnębiająco małe, odwrotnie niż na portrecie, który pokazał mi Chauncey. Po przeprowadzce na wybrzeże Tasha zapłaciła jakiemuś chirurgowi plastycznemu sporo pieniędzy, żeby zrobił z niej zupełnie inną osobę. Co jednak nie oznaczało, że Dan trzymał skalpel.

Kiedy próbowałam przeczytać artykuł, litery rozplływały mi się przed oczami, wepchnęłam więc gazetę pod kanapę i włączyłam mały telewizorek sony w kuchni. Przełączyłam Matta i jego nową koleżankę Meredith na NBC, na sympatycznego gospodarza programu na CBS, aż w końcu znalazłam wzmiankę o Danie w filmowych wstawkach w lokalnych wiadomościach. Na szczęście materiał był krótki, podany soczyście, ale bez żadnych oszczerczych komentarzy. Pokazywali jednak wiele zdjęć, zapowiadających następną historię i oglądałam wiadomości, póki w kuchni nie pojawił się Grant.

- Kto to jest Mikita? - zapytałam, gdy tylko przekroczył próg.

Potarł oczy i popatrzył na mnie tępo. -Co?

- Słyszałaś kiedyś o Mikicie? Mówią o niej bez przerwy w wiadomościach. Chodź tutaj.

Grant podszedł do mnie i razem patrzyliśmy w telewizor, na którego ekranie po raz trzeci puszczony w zwolnionym tempie materiał przedstawiał piękną młodą kobietę, biegnącą nago po Sunset Boulevard.

- To jedna z tych modelek, która została piosenkarką rockową - powiedział Grant. - Co się stało?

- Wygląda na to, że zażyła za dużo ecstasy i popiła całą butelką szampana. Wyszła z Viper's Club, zdjęła ubranie i... - Skinęłam głową w stronę ekranu. - Resztę widziałeś.

Grant roześmiał się i poszedł do lodówki po sok pomarańczowy.

- Czy przynajmniej dzięki niej nie mówią w wiadomościach o tacie?

- Mniej więcej. - Chrząknęłam. - Chodź jeść. Postawiłam na stole płatki wheaties z truskawkami, ale

Grant rozglądał się po kuchni.

- Gdzie jest gazeta? - spytał.

Nie odpowiedziałam od razu i Grant źle mnie zrozumiał.

- Mam ją przynieść?

- Nie, już to zrobiłam - przyznałam się. Wyciągnęłam gazetę spod kanapy. - Niestety, „LA Times” wychodzi spod prasy przed drugą rano, kiedy to Mikita miała swój występ na golasa.

Grant wyrwał mi z ręki gazetę i usiadł przy kuchennym stole, rozkładając pierwszą stronę między miską z płatkami a szklanką z sokiem, jak to robił codziennie. Dzisiaj jednak nie analizował przegranej Lakersów, lecz dokładnie studiował historię o martwej dziewczynie i domniemanym lekarzu mordercy, który przypadkiem był jego ojcem. Twarz Granta robiła się z każdą chwilą bledsza, aż wreszcie złożył gazetę i odsunął ją od siebie.

- Nie wiedziałem, że została uduszona - powiedział na koniec, głosem tak cichym i załamany, że ledwie go usłyszałam.

- Uduszona?

- Nie wiedziałaś?

- Nie wiedziałam. Dotąd nikt o tym nie wspomniał.

- Tak jest napisane w artykule. Grant dyszał ciężko i potarł oczy.

- Nie czytałam tego. Nie jestem taka dzielna, jak sądziłeś. Grant zaczął grzebać łyżką w resztkach płatków w misce.

- Przez całą noc myślałem o tym, że tato nie ma broni - powiedział z bólem w głosie. - Nie mógł mieć nic wspól-

nego z morderstwem, bo do broni ma taki sam stosunek jak ty - nienawidzi jej i nie umiałby jej użyć. Ale teraz to chyba już nie ma znaczenia.

Przysunęłam do siebie gazetę, raczej żeby odsunąć ją od Granta niż z chęci czytania.

- W ogóle nie ma znaczenia jak ta dziewczyna zginęła. Tato nawet nie wie, kim ona była. Nie wolno ci o tym zapomnieć.

- Jasne - powiedział Grant, ale głos wciąż mu się załamywał.

- To się niedługo skończy - zapewniłam, może nieco zbyt głośno. - Policja przeprosi tatę. Mam nadzieję, że o tym też napiszą na pierwszej stronie. Grant skinął głową, ale nie patrząc na mnie, wstał i podszedł do zlewu. Nie włożył jednak swojej miski do zmywarki - co prawda mieliśmy gosposię, ale zawsze pilnowałam, żeby dzieci sprzątały po sobie - tylko odkręcił ciepłą wodę i powoli, bardzo długo ją mył. Chociaż stał do mnie tyłem, bez trudu domyślałam się, że stara się uspokoić. Udało mu się. Kiedy w końcu znowu odwrócił się ku mnie, głos miał już normalny.

- Idę do szkoły, mam. Ashley chyba zostanie w domu?

- Do szkoły?

- Tak. Codziennie to robię, zapomniałaś już?

Och, rzeczywiście zapomniałam. Może kiedy ma się szesnaście lat, łatwiej jest przestawić się z morderstwa na matematykę.

- Skończyłaś już egzaminy śródsemestralne, prawda? - zapytałam.

- W końcu.

- W takim razie zostań w domu. Dziennikarze w końcu odpuszczą Mikicie. Nie chciałabym, żeby znowu się pojawili i zaczęli ci zadawać pytania.

Grant wzruszył ramionami.

- Idę, mam.
- Zadzwoń do Chaunceya i zapytam go, jak się na to zapatruje.
- Chauncey powinien myśleć o problemach taty, nie moich. Nie muszę pytać prawnika, czy mogę iść do szkoły.

Grant podniósł swój plecak North Face i ruszył ku drzwiom. Zawsze wiedział, czego chce, a kiedy raz podjął decyzję, nie zmieniał zdania. Zresztą, co miałam powiedzieć? W tej chwili byłam absolutnie pewna jedynie swojego całkowitego i kompletnego zagubienia. Klótnia z Grantem odniosłaby taki sam skutek, jak próba ustawienia flagi w galaretkę.

Patrzyłam przez okno, jak mój syn wyprowadza swojego czarnego lśniącego jeepa, zgrabnie omijając żywopłot po jednej stronie, a starannie zasadzone białe irysy i różowe anemony po drugiej. Czerwony koleus bardzo się rozrósł i po części miałam nadzieję, że Grant po nim przejedzie, oszczędzając mi tym samym konieczności przycinania go. Ale on ostrożnie wyjechał na ulicę, nie zamieniając swojego samochodu o potężnym silniku w nożyce do przycinania żywopłotu. Jak na razie panował spokój - nikt za nim nie pojechał.

Wróciłam na górę i usłyszałam, że Dan rozmawia przez telefon w naszej sypialni. Zajrzałam i zobaczyłam go, jak przechadza się po dywanie, z pochyloną głową i dłonią przyciśniętą do słuchawki. Wyglądało na to, że więcej słucha, niż sam mówi, a kiedy w końcu ponurym głosem powiedział „do widzenia”, weszłam do pokoju.

- Wszystko w porządku? - spytałam zaniepokojona.
- Jasne. A-OK, jak mawiają astronauty.

Był wyraźnie przybity i wciąż chodził tam i z powrotem, nie patrząc na mnie.

- Mawiają też: „Houston, mamy problem” - przypomniałam mu łagodnie.
- Potraktujmy to jako wyzwanie - powiedział Dan.
- Wyzwanie, ale nie dla „Challengera” - dodałam.

Dan uśmiechnął się słabo, a ja poczułam się odrobinę lepiej. Skoro wciąż potrafimy się przekomarzać, może jednak jest szansa na normalność. Nie trwało to zbyt długo.

- Dzwonił Brandon Jackson - powiedział Dan, sprowadzając nas oboje na ziemię.

Czekałam. Jackson był niezwykle ważnym prezesem w Cedars Medical Center, prestiżowym szpitalu, któremu Dan poświęcił ostatnie dziesięć lat swojego życia. Znałam go z bożonarodzeniowych przyjęć i imprez charytatywnych, ale nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby dzwonił do naszego domu o ósmej rano.

- Już dowiedział się o wszystkim i zapewnił, że mam w nim niezawodną podporę - ciągnął Dan ponuro.

- To wspaniale - odpowiedziałam z nadzieją, chociaż nic w tonie Dana nie zapowiadało niczego wspaniałego, dobrego czy choćby nie najgorszego.

- To tylko takie gadanie. Zostałem chwilowo zawieszony. Przynajmniej do czasu zebrania rady, które ma się odbyć za kilka tygodni. Brandon chce się dowiedzieć, co rada o tym sądzi.

Jeśli według Brandona na tym polega niezawodna podpora, to dobrze, że nie jest prezesem La Perli.

- To na pewno nic osobistego. Zapewne standardowa procedura - starałam się dodać mu otuchy.

Chociaż z drugiej strony, jaki przewidujący administrator szpitala przygotowałby procedurę postępowania z lekarzem podejrzanym o popełnienie morderstwa? Większość nie miała pojęcia, jak sobie poradzić z lekarzem, który zapisuje aspirynę, podczas gdy szpitalna apteka proponuje Advil.

- Znasz szpitale, te ich wszystkie idiotyczne przepisy - mówiłam dalej, zdecydowana pokazać mojemu mężowi, co naprawdę oznacza wsparcie. - Nie wolno ci w windzie wymienić nazwiska pacjenta ze względu na ochronę prywatności. Na położnictwo nie wolno przynosić kwiatów, bo nie

daj Bóg ktoś kichnie, czując zapach anemonów. A Brandon jest biurokrata. Czy to nie on chciał wprowadzić zakaz przynoszenia balonów? Chyba martwił się, że ktoś może dostać alergii na powietrze.

Dan westchnął.

- Nikt nie zamierza przysłać mi kwiatów. Ani balonów. Opadł na łóżko i zwiesił ramiona.

Usiadłam obok niego, przysunęłam się jak najbliżej i pogłaskałam go po policzku.

- Co mam zrobić, kochanie? Jak mogę ci pomóc? - zapytałam cicho.

- Nie potrzebuję pomocy - odpowiedział szorstko, chociaż na pewno nie chciał być opryskliwy.

Nie rozumiał, co to znaczy być bezradnym czy potrzebować czyjejs pomocy. Niezrażona jednak, objęłam go, a on pocałował mnie przelotnie w policzek - zrobił to równie namiętnie jak zdenerwowany dziecko.

- Czy Brandon mówił coś jeszcze? - zapytałam.

- Nie. - Dan pokręcił głową.

Z wrodzonym sobie stoicyzmem uznał temat za zamknięty. Jeśli chciałam wdawać się w rozwlekłe analizy „kto co komu powiedział” i „co to wszystko znaczy”, powinnam była wyjść za kogoś bez chromosomu Y. I zamieszkać w Massachusetts.

- Co u dzieci? - zapytał Dan, zmieniając temat z równym wdziękiem jak Karl Rove omawiający przeciek do prasy z CIA.

- Grant poszedł do szkoły, ale Ashley została w domu - odparłam obojętnie. - Jeszcze śpi. Jimmy już wstał. Musimy z nim porozmawiać na temat tego, co widział tamtej nocy. Myślę, że sam boi się zapytać.

- Nie bardzo umiem rozmawiać. Ale odwiozę go do przedszkola. Może po drodze mi się uda.

Wiedziałam, że powinnam odpowiedzieć: „Dziękuję ci, kochanie.” Mój mąż poczułby się wtedy potrzebny i odtąd

chętniej odwoziłby syna do przedszkola. Z drugiej jednak strony miałam świadomość, że to zły pomysł. Jak mam mu delikatnie powiedzieć?

- Och, nic się nie stanie, jak przez kilka dni nie będzie rysował - odezwałam się słodko.

Zbyt słodko. Dan spojrzał na mnie zdumiony.

- Czemu miałby nie chodzić do przedszkola przez kilka dni?

Przygryzłam dolną wargę. Skoro słodycz nie podziałała, może powinnam być brutalnie szczerą.

- Ponieważ nie powinieneś wychodzić dzisiaj z domu, i Jimmy też nie.

Dan drgnął, jak gdyby ktoś go spoliczkował. Może jednak powinnam była zostać przy „Dziękuję ci, kochanie”?

- Nie mogę iść do szpitala, dzieci mają zostać w domu. Ukrywamy się. Czy tego życzy sobie Chauncey? - zapytał ostrym tonem.

- To jedyne rozsądne wyjście - odparłam cicho. - Nie możemy udawać, że życie toczy się normalnie. Wszystko się zmieniło, Dan. Musimy się z tym pogodzić.

Koniec z A-OK. Niebieskie oczy Dana pociemniały ze złości. Bez słowa odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Bez względu na to, czego sobie życzył Chauncey, ukrywaliśmy się w domu przez cztery kolejne dni. Z wyjątkiem Grania, który zdecydowanie sprzeciwił się jakimkolwiek zmianom w jego życiu, żadne z nas nie oddalało się na więcej niż trzydzieści metrów od domu. Kilku reporterów dzwoniło do drzwi, zostawiali też wiadomości na automatycznej sekretarce, parokrotnie również pojawiała się furgonetka telewizyjna. Ale pożar w Valley, który zniszczył dwa domy znanych osobistości, i wlokące się bez końca analizy nagrania nagiej Mikity zajmowały większość czasu antenowego lokalnych wiadomości.

- Co nie oznacza, że przestali się wami interesować
- ostrzegł nas Chauncey przez telefon. - Wróć, jak tylko sytuacja się rozwinie. Na razie starajcie się żyć normalnie.

- To raczej niemożliwe - odparłam.

- Rozumiem, co czujesz. Po prostu róbcie to, co mieliście w planach. Sprawdziłam swój elektroniczny organizator Zire 31, w którym zapisywałam harmonogram zajęć.

- Mam spotkanie komitetu organizacyjnego balu w szpitalu Dana - powiedziałam. - Jestem odpowiedzialna za dekoracje. Chauncey chrząknął.

- Cóż, skoro Dan jest w tej chwili zawieszony, uważam, że powinnaś z tego zrezygnować.

Wątpię, by komukolwiek to przeszkadzało. Jako przewodnicząca komitetu w ubiegłym roku sprowadziłam z Peru trzydzieści pięć jaskrawo upierzonych papug, które usadziłam na połączonych gałęziach.

Wyglądało to niezwykle oryginalnie - ale nikt mi nie powiedział, że papugi uwielbiają błyskotki. Ani że nurkują niczym bombowce, polując na brylanty zdobiące dekolty najbogatszych kobiet Los Angeles. Miałam niezłą nauczkę.

Dan oświadczył, że bardzo chętnie wróci do normalnego życia. Z wrodzonym sobie talentem do wypierania stwierdził, że skoro nie musi chodzić do szpitala, ma czas na pisanie artykułu o rekonstrukcji twarzy do „Annals of Plastic Surgery”.

Ashley widziała to zgoła inaczej.

- Ten prawnik może się wypchać - powiedziała ze złością w piątkowy wieczór, kiedy przekazałam jej radę Chaunceya.

- Nie mam zamiaru iść do szkoły, żeby wszyscy mi wytykali, że mój tato jest mordercą.

- Twój tato jest przesłuchiwany w związku ze sprawą, o której nic nie wie - odparłam ze stoickim spokojem. - To możesz mówić każdemu, kto cię o coś zapyta.

- Nikt mnie nie będzie o nic pytał. Będą mnie obgadywać za plecami.
- Witaj w ósmej klasie. Obgadywanie za plecami to codzienność.
Zmierzyła mnie wściekłym spojrzeniem.
- A cóż to niby ma znaczyć?
- Tylko to, że dzieci zawsze się obgadują. Nie ma dla nich znaczenia, czy mówią prawdę czy zmyślają. Nie zwracaj uwagi, wtedy one też przestaną.
- O mój Boże, ależ ty jesteś fałszywa! - wrzasnęła. - Tu chodzi o morderstwo, a nie trądzik! Nie masz zielonego pojęcia, co mnie czeka! To prawie taki sam skandal jak wtedy, kiedy tatę Sandy zwolnili z Fox! Nie był to najlepszy moment na dywagacje, że śledztwo w sprawie morderstwa plasuje się w tym samym miejscu na skali koszmaru, co zwolnienie z pracy w telewizji.
- W poniedziałek zawiozę cię do szkoły i pójdziemy do pana Morlanda, porozmawiać o tym, jak powinnaś się w tej sytuacji zachować - powiedziała spokojnie.
- Wiem, jak się zachować! - wrzasnęła. - Żaden durny dyrektor nie będzie mi mówić, jak mam zachowywać się wobec moich koleżanek! Twoich idiotycznych rad też nie potrzebuję!
Wybiegła, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi.
Ashley nie pokazywała się przez cały weekend, ale w poniedziałek rano bez skrpułów zerwałam ją z łóżka, zwięzle oznajmiając, że za pół godziny czekam na nią w samochodzie. Dwadzieścia pięć minut później moja świadoma znaczenia stroju, wierna Fredowi Segalowi córka stanęła w kuchennych drzwiach w workowatych czarnych džinsach, szerokim na dziesięć centymetrów skórzanym pasku nabijanym metalowymi ćwiekami i bezkształtnym czarnym T-shircie „DEATH BAND”, zapewne wygrzebanym z kontenera z używaną odzieżą. Zamiast różowych sandałków

włożyła zdarte martensy na grube wełniane skarpety. Jej paznokcie wyglądały jak pomazane nadpalonym korkiem, a usta obrysowała ciemną, upiorną kredką. Dzięki jakiemuś dziwnemu żelowi jej jasne, puszyste włosy stały się ciemne i zupełnie proste.

Patrzyła na mnie wyzywająco, prowokując, abym coś powiedziała. Co też uczyniłam.

- Zjesz tosta? -Nie.
- Bajgła? Soku pomarańczowego?
- Nic. Nie będę nic jadła.
- W takim razie chodźmy.

W samochodzie, przy ryczącym na cały regulator Eminemie, siedziała z rękami skrzyżowanymi na piersiach i wzrokiem wbitym przed siebie. Posłałam jej kilka przelotnych, zaniepokojonych spojrzeń. Czerń stroju i makijażu była, zgodnie z jej zamierzeniem, przerażająca - martwiła mnie o wiele bardziej niż wizerunek seksownego kociaka, któremu hołdowała zaledwie kilka tygodni wcześniej. Och, czemuż sobie nie ceniłam naszego życia, kiedy było takie miłe i spokojne. W tej chwili bardzo by mnie ucieszył widok Ashley w różowościach od Pucciego, nie protestowałbym nawet przeciwko gołemu brzuchowi (choć nadal nie wyraziłabym zgody na kolczyk w pępku). W nowym gotyckim wydaniu nie musiała się obawiać, że ktokolwiek zapyta ją o Dana. Wszyscy będą zbyt zajęci obgadywaniem jej wyglądu.

Kiedy zaczęłyśmy się zbliżać do szkoły, wyłączyłam odtwarzacz CD.

- Chcesz o czymś porozmawiać? - zapytałam. - Zanim dojedziemy do szkoły?
- Owszem - odparła. - Pomówmy o tym, jaką jesteś pieprzoną hipokrytką.
- Przepraszam?
- Dobrze słyszałaś.

W porządku. Słyszałam. Pieprzona. Hipokrytka. Nie mogłam krytykować każdego słowa, zajęłam się więc tym bardziej obraźliwym.

- Dlaczego uważasz, że jestem hipokrytką?

- Boże. - Zabębniła czarnymi paznokciami w boczne okno. - Każesz mi iść do szkoły, ale sama nie wychodzisz z domu od tygodnia. Ja muszę spotkać się z przyjaciółmi, ale ty ze swoimi nie możesz.

- Oczywiście, że mogę - powiedziałam.

- Akurat. Codziennie zamawiasz kolację do domu, żeby nie iść do sklepu, bo a nuż kogoś tam spotkasz. Wczoraj nie poszłaś do tego swojego głupiego klubu książki, bo bałaś się, że ludzie zaczną cię wypytywać. Twoja najlepsza przyjaciółka Molly zostawiła ci dziesięć wiadomości, ale na żadną nie odpowiedziałaś. Teraz nie podoba ci się moje ubranie, a sama co włożyłaś? Okulary przeciwsłoneczne, obwisły kapelusz i wielki szalik, żeby zawieźć mnie do szkoły. Od kiedy nosisz kapelusze?

- Nie miałam czasu umyć dzisiaj włosów. I ani słowem nie odezwałam się na temat twojego stroju - dodałam, starając się jakoś usprawiedliwić swoje zachowanie.

- Gówno prawda.

Zatrzymałam się przed szkołą i Ashley wyskoczyła z samochodu.

- Ta cała rodzina to jedno wielkie gówno.

Wtopiła się w tłum dzieciaków przed szkołą, a ja wolno odjechałam.

Ashley była wściekła, ale miała też sporo racji. Na samą myśl, że mogłabym pójść do sklepu i spotkać kogoś znajomego, przewracało mi się w żołądku. Do licha, jak mam podejść do lady i poprosić o ćwierć kilograma wędzonego indyka ze świadomością, że facet obsługujący kralajnicę wie, że mój mąż jest podejrzany o morderstwo? Miałam kupować mięsną zapiekankę i zacząć żartować na temat seryjnego zabójcy, Sweeneya Todda, którego współniczka robiła zapiekanki z jego ofiar?

Musiałam coś z tym zrobić. Zawróciłam i pojechałam w stronę moich ulubionych delikatesów w Pacific Palisades. Zaparkowałam nieopodal rzędu sklepów, gdy nagle z klubu fitness wyszły dwie znajome panie i zniknęły w Bon Delice, zapewne z zamiarem wypicia herbatki chai po sesji pilatesu. Zacisnęłam zęby, wiedząc, że jeśli podążę za nimi, natychmiast stanę się główną rozrywką dzisiejszego poranka. Bez trudu wyobraziłam sobie współczujące spojrzenia, pełne politowania uwagi i nieszczerze propozycje pomocy. Widziałaś biedną Lacy? Jest taka dzielna; chociaż ma takie kłopoty, pamięta, żeby kupić rukolę.

Na co mi Bon Delice? I tak nie miałam ochoty na crème fraîche ani brioszki. Równie dobrze mogę pojechać pięć kilometrów dalej, do zwykłego supermarketu. Za jednym zamachem zachowam twarz i zaoszczędzę pieniądze. Weszłam do Gelsona, chwyciłam wózek i zaczęłam oglądać jabłka gala i gruszki d'Anjou. Już po chwili przyglądały mi się jakieś dwie kobiety. Zauważyłam, że jedna z nich pokazuje na mnie i szepczą coś do siebie. Skrępowana, szybko przeszłam dalej. Przy karczochach kobieta o obfitych kształtach w zielonym staniku do biegania, żółtych spodniach i białych szpilkach otwarcie się na mnie gapiła, a kiedy kupowałam świeżutki, miękki ser brie, ekspedientka bez przerwy zerknęła na mnie ukradkiem. Spróbowałam zniechęcić ją spojrzeniem, ale przeszkodziły mi w tym wielkie okulary od Diora. Jak naj szybciej dokończyłam zakupy i pobiegłam do ekspresowej kasy, stając w kolejce za kobietą ubraną w różowy dres Juicy Couture. Obróciła się lekko i rozpoznałam w niej Jane Snowdon, swoją sąsiadkę. Jimmy i jej syn Jared byli w tej samej grupie w przedszkolu, poza tym Jane od czterech lat chodziła ze mną na jogę.

- Lacy?

Skinęłam ponuro głową, unikając jej wzroku. Powinnam była do niej zadzwonić, kiedy tamtego dnia odprowadziła Jimmy'ego do domu. Ale „powinnam była” nigdy nie

pomagało. Powinnam była zrobić coś w sprawie globalnego ocieplenia i eskalacji zbrojeń nuklearnych. Nie powinnam też była zjeść tego całego opakowania czekoladek godiva.

- Miło cię widzieć - powiedziała Jane, wyładowując zakupy na pas transmisyjny.

- Mnie również - bąknęłam.

- W pierwszej chwili cię nie poznałam - rzekła Jane, dobrodusznie wskazując na moje ciemne okulary, naciągnięty głęboko kapelusz i szalik od Hermesa, którym zasłoniłam pół twarzy. - Kiedy zauważyłam cię przy papajach, pomyślałam, że to jakaś aktorka świeżo po operacji plastycznej.

- Mam za sobą coś znacznie gorszego - powiedziałam.

- Chyba nie z tego powodu wszyscy tak się na ciebie gapią - zaśmiała się Jane. - Słyszałam, jak dwie babki zbierały się na odwagę, żeby cię zapytać o nazwisko lekarza.

Uśmiechnęłam się, zaczęłam chichotać, w końcu na przekór samej sobie parsknęłam śmiechem. Wszystkie te kobiety, taksujące mnie wzrokiem nie miały pojęcia o Danie - były przekonane, że staram się ukryć opuchniętą twarz i blizny po operacji plastycznej. Odrobinę mniej ostentacyjne przebranie byłoby znacznie lepszym kamuflażem.

- Dzisiaj po raz pierwszy od tygodnia odważyłam się wyjść z domu - zwierzyłam się Jane, trochę rozluźniona.

- Wyobrażam sobie, jak ci musi być ciężko - rzekła Jane ze współczuciem. - Gdy zobaczyłam wozy transmisyjne, włączyłam telewizor i dowiedziałam się, co się stało. Bardzo mi przykro, Lacy. Nie miałam pojęcia, co robić. O mały włos nie posłałam ci kosza pani Beasley.

- Dziękuję.

Byłam szczerze poruszona, ale też nieco zdziwiona. Z niewyjaśnionej przyczyny kosze pani Beasley stały się ulubionym podarunkiem w mieście. Co roku na Boże Narodzenie Dan dostawał z sześć wiklinowych sań pełnych czekoladowych batonów, miniaturowych mufnek i ciasteczek do herbaty, które

podziwialiśmy przez jakiś czas, po czym wyrzucaliśmy. Może w tym kryła się tajemnica. Słodczyce wyglądały prześlicznie, ale smakowały obrzydliwie - idealny prezent w Hollywood, światowej stolicy zaburzeń łaknienia.

- Staramy się wrócić do normalnego życia - powiedziałam Jane. - Dlatego tu jestem. No i musiałam kupić mleko.

- Wiesz, co będzie dalej? - zapytała, przesuwając się o kilka kroków, żeby spakować warzywa, ser sojowy i jogurt do plastikowych toreb. (Nie ulegają biodegradacji, ale plastik zajmuje mniej miejsca w śmietnikach. W dzisiejszych czasach doprawdy trudno być ekologicznie poprawnym.) Kasjerka, zajęta opilowywaniem idealnego paznokcia, kompletnie nas ignorowała.

- Dowiemy się, co naprawdę spotkało tę dziewczynę, i rozwiążemy całą sprawę - oznajmiłam nonszalancko. - Policja się myli.

- Tyją rozwiążesz - rzekła Jane z przekonaniem.

- Może nie ja osobiście.

- Czemu nie? - Jane przerwała pakowanie i popatrzyła na mnie. - Zawsze potrafisz dostrzec prawdę pod warstwą pozorów. Masz niesamowite oko. Pamiętasz, jak zabrałaś mnie na pchli targ w Santa Monica?

- Jasne, że pamiętam - odparłam mile połączona.

Pomiędzy wiklinowymi i bambusowymi meblami ogrodowymi wypatrzyłam dziewiętnastowieczne chińskie ogrodowe taborety z marmuru. Przekonałam Jane, że ustawione obok brokatowej sofy w salonie staną się wspaniałym stolikiem narożnym.

- Wypatrzyłaś ogrodowe siedzisko i dostrzegłaś w nim stolik do pokoju - mówiła tymczasem Jane. - Prawdopodobnie uda ci się też wypatrzeć prawdziwego mordercę.

Roześmiałam się, bo z całą pewnością nie mówiła tego poważnie.

Umiejętność dostrzeżenia potencjalnego stolika nie kwalifikuje mnie jeszcze do pogoni za przebiegłym mor-

dercą. Przecież potrafię projektować pokoje, a nie szukać przestępców. Czy aby na pewno?

Wyprostowałam się. Trzeba przyznać, że zawsze byłam pomysłowa. Może uda mi się rozwikłać sprawę w ten sam sposób, w jaki aranżowałam wnętrze pokoju - zaczynając od podstaw i stopniowo dodając ozdóbki. Jane włożyła torby z zakupami do wózka, wsunęła kartę kredytową do czytnika i posłała mi całusa. Patrzyłam, jak wychodzi ze sklepu. I nagle, w sklepie przy Sunset Boulevard, w kolejce do kasy „maksymalnie dziesięć artykułów” oświeciło mnie. Nadeszła pora, aby Lacy Fields ruszyła wreszcie tyłek i zajęła się sprawą.

Natychmiast po powrocie do domu rzuciłam zakupy i w końcu zrobiłam to, co powinnam była zrobić wieki temu, a mianowicie zadzwoniłam do mojej odwiecznej najlepszej przyjaciółki, Molly Archer z Molly Archer Casting. Na uniwersytecie w Ohio należałyśmy do bractwa Tri Delta, a po raz pierwszy spotkałyśmy się podczas otrzęsin, kiedy stałyśmy na środku kampusu i śpiewałyśmy *Honky Tonk Women*. Molly pochodziła z eleganckich przedmieść Cleveland, podczas gdy ja dorastałam w prowincjonalnym miasteczku Dayton, a moja uparta mama pracowała jako asystentka kierownika w oddalonym o pięćdziesiąt kilometrów Wal-Marcie. Molly i ja wstąpiłyśmy do korporacji studentek i od pierwszej chwili nawiązała się pomiędzy nami nić porozumienia - obie byłyśmy bystre, ciekawe świata i gotowe na nowe przygody. Nasz przyjaźń zacieśniła się w ciągu kolejnych czterech lat, a tydzień po ukończeniu studiów wyruszyłyśmy do Los Angeles w poszukiwaniu pracy. W tej chwili nazwisko Molly widnieje w napisach końcowych kilku programów różnych stacji telewizyjnych i z szalonej studentki zmieniła się w elegancką damę.

Telefon odebrał jej asystent i poinformował mnie, że Molly ma telekonferencję.

- Ma się zrewanżować? - zapytał słuźbiście.

- Czym? - spytałam, jak zwykle ubawiona jego typowymi dla L.A. kolokwializmami. - Zrewanżować za przysługę, którą jej wyświadczyłam w zeszłym roku?

- Zrewanżuje się - rzucił i szybko się rozłączył. Pięć minut później zadzwonił telefon.

- Lacy, kochanie, dzięki Bogu, że wreszcie zadzwoniłaś - powiedziała Molly. - Zostawiłam ci chyba milion wiadomości, ale rozumiem, że mnie unikałaś. Na twoim miejscu chyba wyłabym do księżyca.

- Jeszcze mi nie rosną włosy na rękach - odparłam z uśmiechem.

Cała Molly - nigdy niczego nie owija w bawełnę i zawsze wali prosto z mostu. Gdyby była skryta, nie stworzyłaby największej agencji castingowej.

- Powinam była przyjść do ciebie natychmiast, kiedy nie odbierałaś telefonów, ale utkwiałam w Kopenhadze na castingu do *Księżyca nad Danią*. Spike Lee lada dzień podpisze ze mną kontrakt do roli duńskiego ojca. Jest idealny, nie uważasz?

- Urodę ma niezbyt skandynawską.

- Znasz mnie. Zawsze szukam czegoś przeciwnego. - Zachichotała. - Ale do rzeczy: to okropne, co przytrafiło się Da-nowi. Jak sobie radzicie?

- Rozczulamy się nad sobą - przyznałam. - Ale zamierzam wziąć się do roboty.

- Świetnie! Mogę ci jakoś pomóc? - zapytała Molly z ożywieniem.

Nie bez powodu przewodniczyła naszej korporacji na studiach.

- Prawdę mówiąc, chciałbym się czegoś dowiedzieć o tej zmarłej dziewczynie. O ofierze. Nazywa się Tasha Barlow, a naprawdę Theresa Bartowski.

- Zmieniła nazwisko? - zapytała Molly z nutką pogardy. - Czy te dzieciaki nie wiedzą, że egzotyka jest w modzie? O wiele lepiej być Geraldo Riverą niż Jerrym Riversem, zawsze to powtarzam.

Roześmiałam się.

- Nieważne, jak się nazywała. Chciała być aktorką. Może się na nią natknęłaś. Odkąd skauci przestali się włóczyć po Hollywood i Vine, tylko na twoim progu można liczyć na odkrycie.

- O Boże, ależ ze mnie idiotka! - wykrzyknęła Molly.

- Ze też o tym nie pomyślałam. Zaczekaj.

- Ben! - wrzasnęła, po czym oznajmiła wódczemu asystentowi, że musi coś dla niej sprawdzić.

Usłyszałam krótką rozmowę, stukot klawiatury i Molly wróciła do telefonu.

- Wygląda na to, że nie mamy niczego o Tashy Barlow w naszej bazie danych, gdzie są wszyscy aktorzy występujący

- powiedziała tonem kobiety interesu. - Ale Ben znalazł jej życiorys i zdjęcie w folderze plików. Sama je przysłała. Żadnego agenta. I... hmm. - Usłyszałam szelest przierzucanych kartek, po czym nastąpiła chwila ciszy, bo Molly coś czytała. - Już wiem, dlaczego nie umieściliśmy jej w swojej bazie. Żadnych podkładek, tylko kilka amatek w Idaho.

Szybciotko sobie przetłumaczyłam - nie miała żadnych referencji, tylko kilka amatorskich występów na koncie.

- W kwestii referencji podała nazwisko nauczycielki aktorstwa z liceum. I... rany, to jest dziwne. - Molly umilkła.

Czekałam, aż odezwie się znowu, ale milczenie zdawała się ciągnąć w nieskończoność.

- Co jest dziwne?

- Dziewczyna ani razu nie wystąpiła w telewizji, ale w „Kontaktach zawodowych” podała numer Roya Evansa.

- Kto to jest? Owoc miłości Roya Rogera i Dale'a Evansa? Molly parsknęła śmiechem.

- Korespondent tego programu *Night Beat*. Robi nadęte wywiady ze znanymi osobistościami i prowadzi pochlebne rozmowy z gwiazdami rocka.

- Chyba nie jesteś jego wielbicielek.

- Och, ja go podziwiam - odparła Molly z werwą. - Zadzwoń do jednego z producentów i popytam. Zaczekasz kilka minut?

- Jasne, ale chyba jesteś zajęta. Czuję się winna, że ci zawracam głowę.

- I dobrze. Ty czuj się winna, a my się dowiemy, że Dan nie musi.

Czekając, aż się znowu odezwie, pomyślałam, że moja przyjaciółka w dalszym ciągu wyznaje zasadę „iść na całość”, co tak bardzo w niej podziwiałam, kiedy byłyśmy w college'u. Już na pierwszym roku wiedziałam, że chcę specjalizować się w historii sztuki, ale nie stać mnie było na częste wizyty w muzeum. Molly poprosiła swoją matkę, aby pod choinkę kupiła mi członkostwo Cleveland Museum of Art. Kiedy po raz pierwszy poszłyśmy we trójkę do muzeum, stałam przed obrazem Fra Angelica z lat dwudziestych XV wieku, dotąd znanym mi tylko z książek, i z zapartym tchem podziwiałam połyskujące złotem dzieło, ukazujące Chrystusa zdającego się emanować światłem. Potem zaciągnęłam Molly i jej mamę przed collage Roberta Rauschenberga i wyjaśniłam im, jak gra obrazów stanowi przejście od abstrakcyjnego ekspresjonizmu do pop artu.

- Myślę, że twoja przyjaciółka ma przed sobą przyszłość - powiedziała mama Molly.

Zawsze mogłam liczyć na Molly, ale w dość niespotykany sposób. Na drugim roku, przed egzaminem z francuskiego wpadłam w histerię, kompletnie skołowana zawilóściami *passé composé*. Molly spędziła ostatnie wakacje w Nicei, więc poprosiłam ją o pomoc. Ona jednak nie wyciągnęła książki do gramatyki, lecz kupiła butelkę beaujolais i kasetę z *Ostatnim tangiem w Paryżu*.

- Potrzebujesz odrobiny inspiracji - powiedziała, wręczając mi prezenty. - Kieliszek wina, noc z Marlonem Brando i piątka gwarantowana. Cóż, dostałam tylko piątkę z minusem, ale i tak nigdy jej tego nie zapomniałam.

- Nie uwierzysz! - wykrzyknęła teraz z ożywieniem moja przyjaciółka, wracając do telefonu.

- Mów - ponagliłam ją, zła jakichkolwiek wieści. Pod wpływem tryskającej z Molly energii wreszcie nadzieja zaczęła we mnie brać górę nad poczuciem beznadziejności.

- Tasha Barlow pracowała jako charakteryzatorka przy *Night Beat*. Zatrudnili ją na umowę zlecenie do kilku zdjęć w terenie i wtedy musiała poznać Roya Evansa.

- Charakteryzatorka na umowie zleceniu?

- Bardziej opłacalne niż praca kelnerki, jeżeli ktoś chce zostać aktorką. Przynajmniej jest się bliżej źródła. Poza tym trafiają się też dodatkowe korzyści. Pamiętasz Noaha Wyliego z *Ostrego dyżuru*? Ożenił się ze swoją charakteryzatorką.

- Rany, ale musi być zamieszanie, kiedy ktoś woła „Czerwony alarm”. Wylie myśli, że ktoś ma atak serca, a jego żona, że komuś jest potrzebna czerwona szminka.

Moly się roześmiała.

- Nie sądzę, żeby Tasha miała pójść do ołtarza. Ale posłuchaj. Tim, ten producent, do którego zadzwoniłam, uważa, że Roy Evans to kompletne dno moralne, w rodzaju tych, co to polują na charakteryzatorki i fryzjerki.

- Chcesz powiedzieć, że Roya i Tashę... coś łączyło?

- Czemu nie? To ma sens. Na pewno nie ograniczała się tylko do pudrowania mu nosa. Znasz tych facetów z telewizji. Roy z całą pewnością nie napisał jej rekomendacji ani nigdzie nie zadzwonił, ale powiedział Tashy, że może podać jego nazwisko w swoim CV, a ona z wdzięczności obciągała mu przez tydzień.

Prychnęłam.

- Pięknie. Dowiedziałaś się jeszcze czegoś od Tima?
 - Tasha nie miała zbyt wiele do roboty przy programie i tylko Roy poznał ją bliżej. A tak przy okazji, Tim uważa, że talent Roya jest wielkości filiżanki. Powiedziałam mu, że raczej naparstka.
 - O, widzę, że macie zbliżone poglądy.
 - Mmm, mam nadzieję, że zbliżymy się nie tylko pod względem poglądów - Molly cmoknęła. - Jestem twoją dłużniczką, kochana. Nie widziałam Tima od wieków, ale kiedy skończyliśmy rozmawiać o Tashy, zaprosił mnie na kolację. Dzisiaj, o dziewiątej w Spago Beverly Hills.
 - Cieszę się, że sprawa o morderstwo pozwoliła wam się zbliżyć - odparłam, lekko dotknięta.
 - Oooch, Lacy, przepraszam cię. To było nie w porządku z mojej strony. Nie powinnam się umawiać na randki akurat teraz, kiedy mnie potrzebujesz.
- Westchnęłam.
- Jasne, że powinnaś. Przynajmniej jedna z nas powinna mieć normalne życie towarzyskie, a twój Tim wydaje się bardzo miły. Na dodatek nie zaprasza cię tylko na hamburgera w sezamowej bułce.
- Molly zachichotała nerwowo.
- Kochana, jesteś na właściwym tropie, więc do dzieła. Zbierz się w sobie i idź porozmawiać z Royem Evansem.
 - Jak? Mam do niego zadzwonić i powiedzieć, że muszę porozmawiać z nim o martwej charakteryzatorce, którą kiedyś tam posuwał?
 - Tim mógłby chyba pomóc - myślała na głos Molly. - Czekał, mam lepszy pomysł. Wciąż jeszcze piszesz do „Abode” o urządzaniu domów gwiazd, prawda? Zadzwoń do Roya i powiedz, że chcesz o nim napisać i przy okazji pomóc w urządzeniu domu.
 - To nie jest masowe pismo. Ma jakieś dwa tysiące prenumeratorów.

- Zatrzymaj to dla siebie i urzędu statystycznego. Wszyscy ci drugorzędni faceci mają pierwszorzędne ego. Uważają, że mają większy talent niż w rzeczywistości, i przy odrobinę większym zainteresowaniu prasy znajdują się wreszcie na topie.

- Wiesz co, wydaje mi się, że w nazwie twojej firmy słowo „casting” powinna zająć „psychologia”.

- To jedno i to samo, uwierz mi. Ben poda ci numer do Roya. Zadzwoń do niego. Powiedz mu, że to ja podsunęłam ci pomysł napisania o nim, a potem daj mi znać, jak ci poszło.

Posłała mi kilka całusów i rozłączyła się. Jej energia była zaraźliwa, niezwłocznie wykręciłam więc numer Roya, nie czekając, aż ogarnie mnie strach. Asystentka poinformowała mnie, że szef wyjechał na jeden dzień, ale kiedy wymieniłam nazwisko Molly, nastać musiał nowy dzień, bo Roy Evans odebrał telefon. Po pięciu minutach rozmowy zrozumiał, w czym rzecz, i zaprosił mnie do swego biura.

- Głupio, że ja jestem tutaj, a ty tam, skoro oboje możemy być tutaj - zagruchał.

Niezły tekst. I zapewne posłużył się nim nie po raz pierwszy. Ciekawe, czy Tasha Barlow dała się na niego złapać.

- Wspaniale. Będę u ciebie za godzinę - powiedziałam przepelniona duchem walki, zainspirowanym przez Molly.

Szybko włożyłam szare spodnie od Jil Sander, dodając jedynie broszkę od Tiffany'ego, ozdobioną prostym kółkiem z brylantów i szpilki o szpiczastych noskach od Sigersona Morrisona. Bardzo profesjonalny i odpowiedni strój. Kiedy jechałam swoim lexusem Wilshire Boulevard, doszłam do wniosku, że może zbyt odpowiedni. Roy Evans nie był chyba facetem, na którym zrobiłby wrażenie dyskretny fason. Może powinnam wstąpić po drodze do Neimana Marcusa i kupić koronkowy top.

Ale nie. Nie będę się nigdzie zatrzymywać. Mój wygląd nie miał znaczenia - ważne było, czy uda mi się spytać o Tashę Barlow podczas rozmowy o urządzeniu domu.

Na ulicach panował duży ruch i dopiero po czterdziestu pięciu minutach dotarłam do strzeżonego wjazdu do studia. Ustawiłam się w kolejce dla gości i grzecznie czekałam za przedłużonym mercedesem, kabrioletem BMW i kompletną tanioczą - priusem. Kiedy w końcu podjechałam pod przeszkloną budkę, młody strażnik w mundurze wziął ode mnie prawo jazdy i sprawdził je w komputerze. Potem spojrzął na mnie z zaciekawieniem i poprosił, żebym otworzyła bagażnik.

- Dlaczego? - zapytałam z walącym sercem.

Czyżby komputer zakwalifikował mnie jako gościa wysokiego ryzyka - żonę podejrzanego o morderstwo, której nie należy wpuszczać na teren stacji?

- Może pani mieć trupa w bagażniku -- padło wyjaśnienie.

Poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy i wsparłam głowę o kierownicę, żeby nie zemdleć. Ręce mi drżały, wystukując nerwowy rytm na konsoli. Strażnik podsunął swoją młodą, gładką twarz do mojego okna.

- Proszę pani, sprawdzamy każdy samochód. To miał być żart. Chciałem być zabawny.

- Gdybym chciała się pośmiać, obejrzałabym Jaya Leno - odpowiedziałam ochryple.

Jego cienkie brwi wygięły się w półksiężycy.

- Naprawdę, bardzo przepraszam. Nie wolno nam żartować na bramie, więc proszę nikomu o tym nie mówić, dobrze?

Kiwnęłam głową. Sprawdzano bagażniki wszystkich samochodów przede mną, ale jakoś tego nie zauważyłam. Dwa napady paranoi w ciągu jednego dnia. Świat nie był tak zaabsorbowany moją historią jak ja.

Pojechałam na zalany słońcem parking przed głównym budynkiem, starając się uspokoić i poddać magicznej atmosferze telewizji. W luksusowo urządzonej holi na ścianach

widniały plakaty i zdjęcia czołowych gwiazd. Zauważyłam, że nie ma wśród nich Roya Evansa. Głupoty, które wygadywał, podobały się widzom, ale najwyraźniej nie pasowały do preferowanego przez stację wizerunku.

Elegancka, przesadnie szczupła sekretarka skierowała mnie na ósme piętro, gdzie kolejna elegancka, przesadnie szczupła sekretarka poprosiła, żebym usiadła. Przysiadłam niepewnie na tapicerowanej ławie i zdążyłam przejrzeć dwa numery „Vogue” i jeden „Hollywood Reporter”, kiedy wreszcie podeszła do mnie blondynka w minispódnicy, głęboko wydekoltowanej bluzce i butach sięgających za kolana.

- Pan Evans przyjmie panią - oznajmiła pompatycznie, wspierając starannie wypielegnowaną dłoń o biodro. - Jestem jego asystentką Wiosną.

Nie byłam pewna, czy ma na imię Wiosna, czy też pracuje tylko w okresie wiosennym, ale podążyłam za nią wyłożonym dywanem korytarzem. Szła, energicznie kołysząc biodrami - może miała zamontowane w nich sprężyny.

- Ach, Lacy Fields.

W drzwiach gabinetu pojawił się szeroki w barach mężczyzna w elegancko skrojonym garniturze, wolno wymawiając moje nazwisko uwodzicielskim barytonem.

- Przedstawiam pani Roya Evansa - odezwała się trochę bez sensu Wiosna, przysuwając się nieco zbyt blisko do szefa.

- Tak się cieszę, że przyszedł - powiedział Roy, emanując czarem i oburącz ujął moją dłoń. Paznokcie miał starannie wypielegnowane, a na małym palcu nosił ogromny złoty sygnet. Jego twarz wciąż nosiła ślady zdecydowanie zbyt brązowego makijażu. Uznałam, że niedawno zszedł z wizji.

- Wejdz, proszę - rzekł Roy, zapraszając mnie do gabinetu.

Puścił swojej asystentce oczko, którego miałam nie zauważyć, po czym dokładnie zamknął za nami drzwi. Siadając, zauważyłam, że rolety są zaciągnięte, światła przygaszo-

ne, a w tle dyskretnie gra muzyka. Przygotował scenografię - nie wiedziałam tylko do czego.

- Podoba ci się ta piosenka? - zapytał. - Norah Jones, nowiuteńka.

Pozwoliła mi jej posłuchać, kiedy w zeszłym tygodniu przeprowadzałem z nią wywiad. Musisz wiedzieć, że to jest najcudowniejsze w mojej pracy: poznaję dosłownie wszystkich.

W zasadzie nie chciałam wiedzieć, ale przytaknęłam skinieniem głowy.

- A teraz poznałem ciebie - powiedział ze szczerym, a może nie do końca, uśmiechem.

Chrząknęłam.

- Ja także bardzo się cieszę, że w końcu mogę cię poznać - powiedziałam, jakbym była jego odwieczną fanką, a nie kimś, kto dopiero kilka godzin wcześniej dowiedział się o jego istnieniu.

- Wcale ci się nie dziwię - odparł bez śladu ironii. - Rozmawiam z wieloma ludźmi, którzy nigdy mnie nie zapominają. Courtney Love.

Sting. Madonna. Przeprowadzam z nimi wywiad i z miejsca zaprzyjaźniamy się. Prawdziwie. Co roku dostaję od nich życzenia na Boże Narodzenie.

Czyż można sobie wymarzyć lepszy dowód prawdziwej przyjaźni?

Ciekawe, czy dostaje także cytrynowe ciasto pani Beasley.

- Znam największe talenty na świecie - ciągnął tymczasem Roy, wyraźnie zachwycony własną osobą.

Skinęłam głową z nietajonym podziwem. Nie musiałam się już martwić, że nie będę wiedziała, co mówić. Najwyraźniej nie będę musiała w ogóle mówić.

- Pokażę ci ten wywiad - Roy chwycił kasetę wideo i zerwał się, by włożyć ją do odtwarzacza. - Masz minutkę?

- Oczywiście.

Ekran zamigotał, ukazując Roya przeprowadzającego wywiad z Jennifer Lopez, ubraną w prostą białą koszulę, z długimi włosami opadającymi na piersi.

- Wyglądałaś przepięknie na wczorajszym rozdaniu Złotych Globów - mówił Roy, głosem raczej zadurzonego chłopca niż reportera.

- Ucieszyłam się, widząc cię w namiocie prasy - odparła Jennifer. - Tak ciepło się do mnie uśmiechnąłeś.

Roy zatrzymał taśmę i obrócił się, by spojrzeć na mnie.

- To Jennifer Lopez. J. Lo. Mówi o moim ciepłym uśmiechu. Co ty na to? Mam ci to puścić jeszcze raz?

Nie czekając na odpowiedź, nacisnął „Rewind”, a zaraz potem „Play”.

Skrzyżował ręce na piersiach i z triumfem wpatrywał się w mały ekran.

Mogłabym przysiąc, że poruszał ustami, kiedy mówiła J. Lo.

- Od lat oglądam gwiazdy na rozdaniu nagród - powiedział Roy, wielce z siebie zadowolony. - Kiedy mijają mnie piękna aktorka, chwytam ją i szepczę: „Dzisiaj wieczorem wygrasz. Wiem o tym”. Te, które przegrywają, nie pamiętają, co powiedziałem, ale te, które wygrywają, zawsze później wracają i mówią: „Och, Roy! Skąd wiedziałeś?”

Roześmiałam się. On się roześmiał. W porządku, nawiązaliśmy nic porozumienia. Roy Evans chciał mówić o sobie, a ja byłam gotowa go słuchać.

Uraczył mnie jeszcze dwoma opowieściami o swoich chwilach chwały (w jednej z nich uścisnął go John Travolta, który, o ile wiem, ściska każdego), w końcu umilkł dla złapania oddechu.

- Ale dość o mojej karierze. Powinniśmy porozmawiać o tobie. I o tym, co chcesz napisać o mnie.

W ustach kogoś innego zabrzmiałoby to jak kiepski żart. Lecz Roy mówił jak najbardziej poważnie. Nie mógł pozwolić, by światła jupiterów omijały go zbyt długo.

- Jak rozumiem, jesteś gwiazdą dekoratorstwa i dekoratorką gwiazd.

- Jestem dekoratorką, ale jedynymi gwiazdami są moi klienci - powiedziałam, z miejsca wyczuwając, co Roy prag-

nie usłyszeć. - „Abode” poprosił, abym napisała o słynnych ludziach znanych z doskonałego stylu.

Roy skinął głową, niewzruszony, że zaliczyłam go do kategorii „słynnych ludzi” i zapewne rozmyślający o swoim doskonałym stylu. Ponieważ jego gabinet wyglądał, jakby meble zostały kupione w OfficeMax przy niewielkiej pomocy Staples, sama nad nim rozmyślałam.

- Bardzo się cieszę, że chcesz o mnie napisać - przyznał, co jak na razie było chyba pierwszą spontaniczną uwagą z jego strony. - Ale właśnie wprowadziłem się do nowego mieszkania i jeszcze w zasadzie stoi prawie puste.

- To doskonale. Właśnie na to liczyłam - improwizowałam. - Pomogę ci je urządzić, a potem przedstawimy wspaniały efekt końcowy w naszym czasopiśmie.

Fakt, że obmyśliłam ten plan dosłownie przed sekundą, nie odbierał mu ani odrobinę wspaniałości.

- Coś w rodzaju „przed i po”? - zapytał z powątpiewaniem. - Czy nie będzie to w takim razie bardziej o tobie niż o mnie?

- Ja tylko przełożę twoją osobowość na wnętrze twojego mieszkania - powiedziałam, z miejsca wychytując jego ton. - Uważam, że do ciebie pasują e l e g a n c k i e skóry i k o s z t o w n e dodatki. - Umilkłam na chwilę, aby przyswoić sobie słowa „eleganckie” i „kosztowne”. -

Przyjaciele będą wychwalać twój niezwykły smak i nawet im do głowy nie przyjdzie, że korzystałeś z usług dekoratora. Chyba że sam zechcesz im o mnie wspomnieć.

Skinął głową.

- Podoba mi się twój styl. Zróbmy to. Wpatrywałam się w niego przez chwilę, zdumiona, że

tak łatwo mi poszło. Wreszcie chrząknęłam.

- Wspaniale. Kiedy chciałbyś zacząć?

- Czemu nie od razu? Ale pod jednym warunkiem. Musimy to załatwić raz-dwa. Kiedy widzę coś, czego chcę, muszę to mieć natychmiast.

Podejrzewam, że dotyczyło to nie tylko mebli.

- Żaden problem - zapewniłam go. - Znam wspaniały sklep przy Robertson Boulevard, który gwarantuje szybkie dostawy. Możemy tam pójść jutro, rozejrzeć się i wezmę się do roboty.

- Doskonały plan.

Dla dobicia targu Roy uderzył dłonią w blat biurka. Nasza rozmowa w zasadzie dobiegła końca, a ja tak się zaangażowałam w planowanie urządzenia jego mieszkania, że nie udało mi się wspomnieć o Tashy Barlow. Teraz to już było niemożliwe. Och, nie szkodzi, może jutro nadarzy się okazja.

Roy wstał i obszedł biurko.

- Jesteś wspaniała, Lacy, już to widzę. Wspaniale będzie nam się razem pracowało.

Znowu ujął moje dłonie i posłał mi ciepły uśmiech, tak chwalony przez J. Lo. O tak, był w tym dobry.

- Czeka nas świetna zabawa - powiedziałam.

Wszystko już zostało powiedziane, ale Roy wciąż nie wypuszczał moich dłoni z uścisku. Popatrzył na mnie uważnie, lekko marszcząc brwi.

- Lacy Fields - rzekł, jak gdyby po raz pierwszy pomyślał o moim nazwisku. - Czy przypadkiem nie jesteś spokrewniona z tym Danem Fieldsem, o którym czytałem w gazecie? Tym podejrzanym o morderstwo?

Zaparło mi dech.

- Prawdę mówiąc to mój mąż.

- Naprawdę?

- Niestety, tak. To znaczy, nie niestety, że jest moim mężem, ale niestety z powodu tego, co się stało.

- Znałem ofiarę - powiedział, zniżając swój aksamitny głos niemal do szeptu. - Pracowała tutaj.

Przełknęłam, oszołomiona, że poruszyliśmy temat, będący głównym powodem mojej wizyty u Roya Evansa. Opanowałam się.

- To straszne, ale Dan nie miał z tym nic wspólnego. Bardzo mi przykro ze względu na ofiarę. Czy była... przyjaźniliście się?

- W zasadzie nie. Po prostu ją znałem. Czasem pracowaliśmy razem. - W końcu puścił moje ręce i popatrzył na mnie z uwagą. - Jak postępuje śledztwo? - zapytał, niby to mimochodem.

- Policja gromadzi dowody, jakiegokolwiek są. Nasz prawnik zlecił detektywom odkrycie prawdy. W tej chwili to jedno wielkie szaleństwo. Aleja wiem, że Dan jest niewinny.

- Czy twój mąż znał Taszę?

- Z całą pewnością nie.

Roy nic nie powiedział. Stary dziennikarski trik - milczeć na tyle długo, by druga strona odezwała się pierwsza. Ale ja się nie odezwałam, bo nie miałam nic do dodania. W końcu wyciągnęłam rękę.

- Mam nadzieję, że wciąż chcesz ze mną pracować - podjęłam. - Widzimy się jutro?

- Jutro - potwierdził Roy.

Wyszłam z jego gabinetu, jakimś cudem zdołałam zjechać windą, wyjść z budynku i dotrzeć na parking, zanim zaczęłam dygotać na całym ciele.

Tak bardzo się przejmowałam, że rozpoznała mnie sprzedawczyni w sklepie i ochroniarz, ale nawet mi przez myśl nie przeszło, że Roy Evans będzie wiedział, kim jestem.

Udało mu się przez przypadek? A może kryło się za tym coś więcej?

Nagle ugięły się podę mną kolana i musiałam się oprzeć o czerwone

porsche z otwieranym dachem, żeby nie upaść. To prawda, iż nazwisko

Molly Archer wiele znaczyło i że Roy Evans tak bardzo marzył o

reklamie, że na lunch zjadłby magazyn „People” na grzance. Ale z drugiej

strony bez zastanowienia zatrudnił mnie jako dekoratorkę, a ja, choć

miałam wyrobione nazwisko, to jednak nie prowadziłam *Domu*

nie do poznania. Roy Evans, mistrz manipulacji w dyskusji, skierował naszą rozmowę na Taszę Barlow. Może ten zdumiewający egocentryczny gwiazdor miał taki sam powód, aby się ze mną spotkać jak ja - chciał dowiedzieć się czegoś o morderstwie.

Albowiem prawdopodobnie oboje wiedzieliśmy, że policja aresztowała niewłaściwego człowieka.

Rozdział

czwarty

Następnego ranka w drodze do salonu wystawowego przy Robertson Boulevard, zatrzymałam się na poranny bezmleczny koktajl w Jamba Juice. Kolejka kończyła się przy drzwiach, dzięki czemu miałam czas przyjrzeć się wywieszonemu na ścianie przewodnikowi po zdrowym żywieniu, z którego dowiedziałam się, że Orange Berry Blitz dostarcza 390 procent dziennego zapotrzebowania na witaminę C - to chyba o 290 procent więcej, niż potrzebuję. Smakowite mieszanki, jak mango mantra czy berry pizzazz, mogą wzmocnić mój system odpornościowy, wzmóc aktywność komórek mózgowych i zapewnić mi zdrowe oczy oraz serce. Nie byłam pewna, czy napoje są podawane w wysokich kubkach czy też w formie wlewów dożylnych.

- Strawberry nirwana - powiedziała do młodej dziewczyny za kontuarem, kiedy wreszcie nadeszła moja kolej.

Zapewne trenując przed popołudniowymi zajęciami z aktorstwa, dziewczyna wydeła mocno powiększone kolagenem usta i potrząsnęła długimi czarnymi włosami, ukazując tatuaż w kształcie smoka, okalający jej ramię. Gdyby przypadkiem Angelina Jolie nie zgłosiła się któregoś dnia na planie z powodu choroby, panienka Jamba mogłaby ją z powodzeniem zastąpić.

- Czy chce pani osiągnąć szczyt swoich możliwości? - zapytała teatralnym tonem, nachylając się ku mnie przez ladę.

- Nie, chcę tylko zjeść śniadanie - odparłam. Przewróciła fioletowoszarymi, powiększonymi przez soczewki oczami.
- Jeżeli chce pani nabrać większej energii, mamy żeńszeń i ginko biloba, które zwalczają zmęczenie i dodają sił.
- Ale nie tuczą? Westchnęła głęboko.
- Jeżeli martwi się pani o swoją wagę, powinna pani wypić burner BOOT z chromem i termogenicznymi ziołami, które obniżają apetyt i wzmagają metabolizm - powiedziała, dowodząc jednocześnie, że potrafi nauczyć się tekstu.
- Proszę dodać cokolwiek, według własnego uznania - rzekłam zrezygnowana.

To wszystko wina Starbucks. Oni zaczęli się upierać, że wysokie znaczy male, a kawę musi parzyć barista. W ten sposób doszliśmy do punktu, w którym do przyrządzenia śniadania potrzebne jest ukończenie studiów medycznych.

Niedoszła Angelina niezwykle długo dodawała i mieszała, a kiedy w końcu wręczyła mi mój kubek, wrzuciłam dolara do słoika z napisem „Napiwki”, wiedząc, że tak naprawdę byłaby wdzięczna za prywatny adres mailowy Molly Archer. Wyszłam przed sklep, usiadłam przy małym stoliku i przeglądając „Architectural Digest”, przyglądałam się tłumowi porannych kupujących. Słońce świeciło mocno, pianisty napój (cokolwiek to było) szczypał mnie w język i niemal zapomniałam, że mam w tej chwili większe problemy niż podjęcie decyzji, czy aktualnie modniejsza jest czerwień, czy też kolor persymony. Od wielu dni nie czułam się taka spokojna. Może Angelina zamiast żeńszeń dodała valium do mojego napoju.

Gotowa na spotkanie z klientem, weszłam do eleganckiego salonu wystawowego, informując ponurą recepcjonistkę, że wkrótce dołączy do mnie Roy Evans. Rozpromieniła się na dźwięk jego nazwiska, odrzuciła do tyłu kręcone blond włosy,

jak gdyby całe życie było jednym nieustającym przesłuchaniem i zgodziła się skierować do mnie Roya, jak tylko się zjawi. Kręciłam się po prywatnej sali wystawowej, zastanawiając się, który świeżo sprowadzony z Mediolanu stół z drzewa różanego będzie najbardziej odpowiedni dla Evansa. Z całą pewnością nie zniósłby mebla z lśniącej, wygiętej w sinusoidę stali, w której odbijało się słońce i morze, a którą poleciłam francuskiemu reżyserowi mieszkającemu w Malibu. Stół ze stali wywoływał niekończące się ochy i achy, a Roy był zbyt niepewny siebie, by wyznaczać nowe trendy.

Spojrzałam na zegarek i przeszłam do następnej sali, w której wystawiono krzesła o tak nowoczesnej linii, że nie mogły być wygodne. Usiadłam. Nie myliłam się. Czterdzieści pięć minut później kontemplowałam stopień komfortu aksamitnej rogowej kanapy projektu Armaniego, kiedy zadzwoniła moja komórka.

- Lacy, czy mi wybaczysz? - w melodyjnym głosie Roya pobrzmiwało miłe dla ucha błaganie. - Miałem długi wywiad z tą młodą piosenkarką, Abby Jean. Co za ciało.

- Wciąż jeszcze jestem w salonie. Mogę na ciebie poczekać - powiedziałam.

- Nie powinnaś - odparł. - Ale jeżeli masz chwilkę, posłuchaj tej piosenki z pierwszego albumu Abby. - Musiał przysunąć słuchawkę do odtwarzacza, bo usłyszałam odległe, zawodzące dźwięki głosu piosenkarki.

- Sexy, nie uważasz? - zapytał. - Chyba na mnie leciała. Kiedy jej powiedziałem, że zostanie wielką gwiazdą, za nic nie chciała wyjść. Roy chciał zaliczyć gwiazdę, z którą przeprowadzał wywiad. Ten człowiek nie miał wstydu.

- Powinniśmy przełożyć nasze spotkanie - odezwałam się, powracając do tematu urządzania jego mieszkania.

- Bezwzględnie. A tak przy okazji, co słyhać u twojego męża?

- Wszystko dobrze, dziękuję.
- Jakież postępy w śledztwie?

Doszliśmy do sedna sprawy. Gdybym żywiła podejrzenia co do Roya Evansa, uznałabym, że to główny powód naszej rozmowy. Cóż, nie będę ukrywać: żywiłam do niego podejrzenia.

- Wiele się dowiedziałam o twojej przyjaciółce, Tashy - powiedziałam ostrożnie. Nie chciałam kłamać, ale może uda mi się go trochę nastraszyć.
- Na pewno słyszałeś, co o niej mówią.
- Nic nie słyszałem. - W głosie Roya rozległa się ostrzejsza nuta, jakby część polityury odprysła. - Zdradź mi te plotki.
- No wiesz, w sumie nietrudno się domyślić - miałam nadzieję, że sam to powie.
- Sypiała z facetami? - zapytał Roy.
- Coś w tym stylu.
- Cóż, niezła z niej była sztuka. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że niejeden miał na nią chrapkę.
- Pewnie masz rację. Chwila ciszy.
- Czy istnieje jakaś lista? - zapytał w końcu.
- Lista czego?
- Mężczyzn. Czy myślisz, że policja ma listę osób, z którymi spała?
- Być może, ale naprawdę nie mam pojęcia.
- Świetnie - rzucił, odrobinę zbyt ostro.

W jego głosie brzmiała teraz złość i mogłam sobie wyobrazić, jak próbuje odzyskać panowanie nad sobą.

- Pomyślałem sobie, że skoro mamy zająć się urządzeniem mojego mieszkania, powinnaś je zobaczyć - odezwał się w końcu. - Możesz do mnie wpaść w sobotę?

Zawahałam się. Musiałam obejrzeć mieszkanie, jeżeli zamierzałam je umeblować, ale czemu na myśl, że mam odwiedzić Roya, czuję się nieswojo?

- Hm, oczywiście. Podaj mi adres.

- To poważna sprawa. Nie podawałem swojego adresu żadnej kobiecie od mojego ostatniego rozwodu. - Zachichotał, zachwycony swoim żarcikiem.

Podał adres, a ja miałam dziwną pewność, że tym razem nasze spotkanie się odbędzie.

Ruszyłam do wyjścia, zatrzymując się przy drzwiach, by spojrzeć w neowiktoriańskie lustro inkrustowane polerowanym metalem. Widząc swoje odbicie, odruchowo uniosłam ręce do głowy.

- Koszmar - jęknęłam głośno.

- Nikomu to się nie podoba - powiedziała recepcjonistka, niewłaściwie interpretując moje słowa. Zamknęła czasopismo „InStyle” - tylko w nim mogła sobie dzisiaj pooglądać sławnych ludzi. - Nie mam pojęcia, czemu je powiesili przy wejściu.

Rama lustra prezentowała się o wiele lepiej ode mnie. Miałam zmęczoną cerę, worki pod oczami i... co się stało z moimi włosami? Niewiele mogłam poradzić na ponury nastrój, ale zdecydowanie mogłam zwalczyć ciemne odrosty.

Na ulicy wyjęłam komórkę i wystukałam *11 w szybkim wybieraniu. Jak większość znanych mi mam, odkąd dzieci podrosły, numer przedszkola w szybkim wybieraniu zastąpiłam numerem fryzjera. Po co myśleć o starzeniu się, skoro można być coraz jaśniejszą blondynką? Tak wiele z nas wielbiło wodę utlenioną na ołtarzu młodości, że trudniej było się umówić z Alainem, niż uzyskać prywatną audiencję u dalajlamy.

Postanowiłam spróbować. Kiedy Andre, asystent Alaina, odebrał telefon, przedstawiłam mu swoje kłopoty. Wszystkie. Tragiczny stan fryzury i osobiste dramaty. Czułam się winna, plotkując na swój temat, ale lepiej, że robiłam to sama, a nie ktoś inny.

- Jak rozumiem, to nagły wypadek - powiedział Andre ze współczuciem.

- Bardzo nagły - zapewniłam go. - Jeżeli stosujecie system kwalifikacyjny, potraktuj mnie jak rozległy zawał serca na rozdaniu Oskarów.

Andre roześmiał się.

- Proszę przyjść. Spróbuję panią gdzieś wcisnąć. Bądź błogosławiony, dobry człowieku. Na następne Boże

Narodzenie dostanie ode mnie sweter polo, ale nie jak zwykle z wełny, lecz z kaszmiru. W przypadku Alaina nie trzeba już zgadywać, czym mu się odwdzięczyć - przez cały rok na okrągło jest zarejestrowany w Barneys.

Udałam się na North Camden Drive w Beverly Hills i wślizgnęłam się do środka, mijając zwykły tłum wpływowych klientów. Zamiast zostać fryzjerem gwiazd, Alain obsługiwał kobiety kryjące się w ich cieniu. W przemyśle rozrywkowym Hollywood jego salon był przepełniony estrogenem odpowiednikiem poniedziałkowych wieczorów w Morton's. Zauważyłam podskakującą na krześle agentkę pogrążoną w rozmowie z szefową studia i scenarzystką doradzającą wiceprezesce Warner Brothers, żeby zrobiła się na brunetkę.

-To znacznie bardziej dramatyczne — mówiła przyciszonym głosem. - A wierz mi, znam się na dramacie.

W salonie Alaina, pomiędzy tlenieniem włosów a nakładaniem pasemek zawierano więcej filmowych umów niż przy dziewiątym dołku w Bel Air Country Club.

Przebrałam się w cienki szlafroczek i usiadłam na miękkim krześle na wprost ściany z luster. Oświetlenie było niezłe, więc nie wyglądałam tak koszmarnie, jak przedtem w salonie wystawowym. Podeszedł do mnie Alain, ubrany w dżinsy i świeżą czarną koszulę, z krótko obciętych, pofarbowanych na brąz włosami. Nieustannie zmieniał uczesanie, ale zawsze był elegancki. Nigdy nie hołdował ekstrawagancji.

- Cieszę się, że pani przyszła - rzekł, kładąc mi ręce na ramionach. - Dobrze się pani czuje?

Oczywiście wiedział, co się stało. Zawsze wiedział o wszystkim.

- Tak, dziękuję. Ale mam kłopot z włosami. Na przedziałku widać odrosty, a końcówki są rozdwojone.

- Och, kochana, nigdy nie chodzi tylko o włosy - wyszeptał. - Może mi się pani zwierzyć.

Zauważyłam jego spojrzenie w lustrze i nagle do oczu napłynęły mi łzy. Jeżeli ktoś pragnie dać upust emocjom, sesja z Alainem jest lepsza od prywatnej wizyty u doktora Phila.

- To istny koszmar - przyznałam. - Boję się o swoją rodzinę i o Dana. To takie potworne i przerażające, wszędzie widzę czające się niebezpieczeństwo. Poza tym, to nie ma żadnego sensu. Dan ma takie złote serce i jest takim dobrym człowiekiem. To naprawdę dobry, bardzo dobry człowiek.

Odniosłam wrażenie, że ostatnie zdanie wzięłam ze złego filmu Lifetime (a czy bywają dobre?), ale nie przejmowałam się tym. Pociągnęłam nosem, po czym dyskretnie wytarłam go palcem.

- Można powiedzieć, że Dan to ostatni człowiek honoru w Hollywood - ciągnęłam. - Nie zasłużył sobie na to. Latami budował swoją reputację i słabo mi się robi na myśl, co teraz ludzie o nim myślą.

Alain podał mi chusteczkę.

- Nikt nie myśli o Danie. Wszyscy są zajęci własnymi sprawami. Przecież pani wie, jak to jest w tym mieście.

- Oskarżają go o m o r d e r s t w o - wyszeptałam. Alain prychnął.

- Wystarczy pierwszy lepszy soczysty romans z aktoreczką klasy B i wszyscy o nim zapomną.

Roześmiałam się, jednocześnie wycierając nos.

Pojawił się Andre, niosąc na tacy taką ilość małych tubek, że Mondrian umarłby ze szczęścia. Alain włożył grube rękawice i zaczął metodycznie mieszać.

- Nie znam szczegółów. Pozwoli pani? Kim była ta zmarła dziewczyna? - zapytał Alain, biorąc pędzel i ostrożnie nakładając kolor na moje odrosty.
- Z tego co wiem, to niedoszła aktorka, która nigdy w niczym nie zagrała - powiedziałam. - Nie była nikim ważnym. Pracowała jako charakteryzatorka dla Roya Evansa.
- Roya Evansa? O Boże. - Alain zacisnął wargi i w skupieniu wpatrywał się w czubek mojej głowy, nie przerywając nakładania farby. Alain wszystko słyszał, ale niewiele powtarzał. Dlatego bez wahania mu się zwierzyłam.
- Tak się składa, że jedna z moich klientek a r d z o dobrze zna Roya Evansa - mruknął w końcu.
- Są bliskimi przyjaciółmi? - zapytałam, starając się zachować pozory dyskrecji.
- Pracuje z nim - odparł Alain, z łatwością bijąc mnie w dyskrecji.
- Ja także będę z nim pracować - powiedziałam, może odrobinę zbyt szybko. - Będę mu urządzać mieszkanie. Czy to nie zbieg okoliczności?
- A więc poznała go pani? I co pani o nim sądzi?
Co ja są d z ę o Royu Evansie? Egocentryk. Niegodny zaufania. Równie fałszywy jak banknot dwudolarowy, jak zwykła mawiać moja mama.
- Według mnie jest głęboki jak kałuża - przyznałam. - Ale może nie dostrzegłam kryjącego się na dnie błota. Alain roześmiał się głośno i nastawił zegar na dwadzieścia minut.
- Moja klientka opowiadała mi wiele wspaniałych historii o Royu Evansie. A tak przy okazji, nazywa się Julie Boden. Może zechciałaby pani z nią porozmawiać. Mogę was skontaktować.
- Alain, jesteś po prostu cudowny.
- Wiem - odparł ze słodkim uśmiechem i zniknął.

Otworzyłam numer „House & Garden”, ale nie mogłam skupić się na „Dziesięciu sposobach wykorzystania tkaniny w tureckie wzory”. Bez przerwy myślałam o Julie Boden, Royu Evansie i Tashy Barlow. Czasami L.A. wydawało się prowincjonalnym miasteczkiem. Wszyscy znali wszystkich. I prawdopodobnie ktoś znał prawdziwego mordercę. Molly naprowadziła mnie na Roya. Alain radził, żebym zadzwoniła do Julie. Hollywoodzki nieustający łańcuszek telefonów.

Alain wrócił, sprawdził kolor pod folią i cmoknął z zadowoleniem. Posiał mnie do Andre, który miał mi umyć włosy i nałożyć kremową odżywkę, nabłyszczasz o sekretnej recepturze i jeszcze jeden, o nazwie code one. Wygląda na to, że aby uzyskać lśniące włosy, trzeba się poddać równie skomplikowanej, tajnej procedurze jak podczas rekrutacji do CIA. Oparłam się tyłem o twardą ceramiczną umywalkę i poddałam się łagodnym zabiegom Andre. Chociaż szyja zaczęła mi sztywnieć od niewygodnej pozycji, sprawiało mi przyjemność, że ktoś się mną zajmuje. Wcale mi się nie śpieszyło, aby opuścić przytulny salon i stawić czoło prawdziwemu światu.

W Beverly Hills telefony komórkowe działały fatalnie - żart Pana Boga albo Pacific Bell - w związku z czym dopiero jadąc do domu, odebrałam wiadomość od dyrektora prywatnej szkoły, do której chodzili Ashley i Grant. Zatrzymałam się i drżącymi palcami wybrałam numer. Dyrektorzy szkół rzadko dzwoniли z dobrymi wieściami. Zdziwiłabym się, gdyby Mark Morland pragnął mnie osobiście poinformować, że Ashley strzeliła gola w meczu hokeja na trawie albo została wybrana klasowym skarbnikiem.

- Wiem, że przeżywacie państwo trudny okres - powiedział pan Morland, kiedy się przedstawiłam. - Rozmawiałem z Grantem, ale ponieważ Ashley wciąż jeszcze nie pojawiła się w szkole, pomyślałem, że może mógłbym jakoś pomóc.

- Ashley chodzi do szkoły od kilku dni. Może pan się jeszcze na nią nie natknął - odparłam, zadowolona, że wiem więcej od niego.

Zawahał się, ale tylko przez krótką chwilę.

- Proszę pani, zanim zadzwoniłem, sprawdziłem listę obecności. - No tak, powinnam się była domyślić. - Rozmawiałem też z nauczycielami. - Jak wyżej. - Żaden z nich jej nie widział ani nie miał od niej wiadomości.

Był bardzo pewny siebie, ale dopiero po chwili znaczenie jego słów do mnie dotarło. W poniedziałek rano przed szkołą widziałam, jak Ashley znika w tłumie uczniów. Nigdy mi jakoś nie przyszło do głowy, że tak naprawdę rozplynęła się we mgle.

- Nie mam pojęcia, co o tym myśleć - powiedziałam, czując nagły przyływ paniki. - Zaraz przyjadę do szkoły.

Pół godziny później siedziałam w gabinecie dyrektora, wpatrując się w tablicę, do której przyczepione były przeróżne harmonogramy sportowych rozgrywek, chorągiewki akcji „Uczniowie przeciw pijanym kierowcom” i lista telefonów grona pedagogicznego. Pan Morland wydawał się nieco rozkojarzony i zmęczony. Miał tytuł profesora University of Chicago i aura akademickiego roztargnienia, którą wokół siebie roztaczał, podobała się rodzicom, którzy mogli kupić wszystko z wyjątkiem wyższego ilorazu inteligencji. Na jego biurku stała tabliczka z napisem:

„Fakty nie istnieją, są tylko ich interpretacje”

- NIETZSCHE.

Zastanawiałam się, czy nie podsunąć tego Chaunceyowi do wykorzystania w sądzie. „Wysoki sądzie, w tej sprawie nie ma żadnych faktów. Jedynie interpretacje”.

- Pani mąż znalazł się w okropnej sytuacji - odezwał się pan Morland, przecierając dłonią czoło. - Czy Ashley bardzo to przeżywa?

Czy histeryczne wrzaski kwalifikują się jako „przeżywanie”?

Pomyślałam o tym, jak padła na podłogę, wyjąc, jęcząc i zawodząc, kiedy dowiedziała się o wszystkim.

- Ashley jest bardzo wrażliwa - powiedziałam. - Ale wszystkim nam jest ciężko. Głęboko to nami wstrząsnęło.

- Co się stało, kiedy przywiozła ją pani do szkoły w poniedziałek?

Normalnie udawałabym przed dyrektorem, że nie mam żadnych problemów z dziećmi. Ale w tej sytuacji?

- Była zła i nieszczęśliwa. Nie chciała iść do szkoły ani spotkać się z kolegami, ale wszyscy nam mówili, że musimy wrócić do normalnego życia, więc podwiozłam ją i... - Wzruszyłam ramionami.

- Wróciła do domu po szkole?

- Bardzo późno.

- Co mówiła?

- Nic. Poszła prosto do swojego pokoju, a ja uznałam, że się uczy.

Czułam, że zbliżam się do terytorium złych matek. Wszak wszyscy

wiedzieli, że podstawową zasadą postępowania z nastolatką jest

Komunikacja, przez wielkie K. A ja właśnie zasłużyłam sobie na ocenę niedostateczną.

- Dziewczynki w jej wieku mają problemy emocjonalne, nawet kiedy wszystko jest w porządku - uspokoił mnie pan Morland. - Kiedy czują się zagrożone, mogą całkowicie zamknąć się w sobie. Pani nie ponosi tu żadnej winy.

Oczywiście, że ponoszę. Co tam Nietzsche, czy on nie czytał Freuda?

Kiedy jesteś matką, ponosisz winę absolutnie za wszystko.

- I co teraz zrobimy? - zapytałam.

Pan Morland wyprostował się na krześle.

- Czasami uczniowie wiedzą więcej od nas o tym, co się dzieje. Zwierzają się sobie nawzajem. Czy Ashley przyjaźni się blisko z Mandy Bellów?

Skinęłam głową potakująco. Teraz już wiem, za co płacimy takie horrendalne czesne za prywatną szkołę - za dyrektora, który śledzi, kto przyjaźni się z naszymi dziećmi.

Pan Morland przeprosił mnie na chwilę i wyszedł z gabinetu, aby porozmawiać z sekretarką. Ledwo wrócił, kiedy do pokoju wślizgnęła się Mandy Bellów, z rozwianymi złocistymi włosami i ustami w kształcie doskonałego serca, ściągniętymi w wyrazie zdziwienia.

- Czy coś zrobiłam? Pani z angielskiego kazała mi się natychmiast do pana zgłosić - powiedziała lekko zadyszana, nie wiem, czy dlatego, że całą drogę z klasy do gabinetu dyrektora pokonała biegiem, czy też przestraszyło ją nagłe wezwanie.

- Usiądź proszę, Mandy - rzekł pan Morland, gestem wskazując krzesło obok mnie.

Mandy posłusznie usiadła, krzyżując przed sobą długie gole nogi i przyglądając kwiecistą spódniczkę, z biedą sięgającą do połowy jej smukłych ud. W zeszłym roku, kiedy Mandy cierpiała z powodu głośnego i dość obrzydliwego rozwodu rodziców, niemal co wieczór pojawiała się w naszym domu, potargana, z buzią zalaną łzami i całymi godzinami przesiadywała z Ashley w jej pokoju. Jej rodzice rozwiedli się w końcu i cała rozpacz Mandy znikła. Jej skóra lśniła, starannie umalowane oczy błyszczały, a obcisłe ubrania idealnie opinały wszystkie krągłości zgrabnego ciała. Pan Morland wydał zakaz noszenia obcisłych topów bez ramiączek, ale Mandy i tak była najlepszym argumentem przemawiającym za wysłaniem Granta do seminarium dla chłopców.

- Poprosiłem cię tutaj, bo musisz nam pomóc w sprawie Ashley - wyjaśnił jej pan Morland, czyniąc jakąś notatkę. Zapewne chciał rozważyć, czy nie wprowadzić obowiązku noszenia mundurków szkolnych.

Mandy zamrugowała kilkakrotnie długimi, pokrytymi tuszem rzęsami, ale nie odezwała się.

- Nie proszę cię, aby zdradziła nam coś, co Ashley ci wyznała w zaufaniu
- ciągnął pan Morland - ale od jakiegoś czasu nie pojawia się na lekcjach i jeżeli ma jakieś kłopoty, musimy jej pomóc.

- Ja, hmm, nic nie wiem - rzuciła Mandy szybko.

- Czy rozmawiałaś z nią od czasu, kiedy jej ojciec został aresztowany? - zapytał pan Morland.

Twarz Mandy pokryła się rumieńcem, przybierając śliczny różowy odcień.

- Nie. Nie. Nie rozmawiałyśmy, chociaż, hm, powinnam była do niej zadzwonić, ale... hm, nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć i, no wie pan, myślałam, że Ashley chce, żeby zostawić ją w spokoju, i...

Pan Morland przerwał jej, czyniąc nam wszystkim przysługę.

- W porządku, Mandy. Jestem przekonany, że chciałaś postąpić właściwie. Czy widziałaś ją ostatnio w szkole?

- Hmm, nie, ja... hmmm, nie wiedziałam, czy wróci.

- W ogóle jej nie widziałaś? - W głosie pana Morlanda słychać było lekkie niedowierzanie.

- Nie. W ogóle.

- Jej mama przywoziła ją do szkoły przez kilka ostatnich dni, ale skoro ty o tym nie wiedziałaś i żaden z nauczycieli jej nie widział, musiała chodzić gdzieś indziej.

- Rozumiem ją - powiedziała gwałtownie Mandy. - Pewnie nie chciała spotkać się z koleżankami i wysłuchiwać, że jej tato jest mordercą. I tak dalej.

- Nie jest mordercą - odezwał się. Mandy tylko wzruszyła ramionami.

- Dokąd mogła pójść Ashley, jeżeli chciała unikać kolegów? - zapytał pan Morland.

- Nie wiem.

- Może się domyślasz? - nie ustępował. - Jeżeli jest w niebezpieczeństwie, musimy jej pomóc.

- Na pewno nie poszła nigdzie, gdzie jest niebezpiecznie - powiedziała Mandy. - Ashley nie jest taka. To znaczy, z tymi czarnymi paznokciami i okropnymi włosami można by pomyśleć, że się buntuje, albo że jej odbija. Ale to tylko takie udawanie. Taki pancierz. Wiem, że bała się upokorzenia na stołówce, więc zrozumiałe, że związała ze szkoły. Ale na pewno jest w jakimś bezpiecznym miejscu.

Mandy popatrzyła na pana Morlanda i zamrugła długimi rzęsami.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - rzekł pan Morland. - Gdyby Ashley skontaktowała się z tobą, daj nam znać. I przekaz jej, że się o nią martwimy.

- Jasne - zgodziła się Mandy.

Wstała i kołysząc lekko biodrami, ruszyła ku drzwiom. Trzymała już rękę na klamce, kiedy doznałam oświecenia.

- Mandy? - Tak?

Obróciła się, nie puszczając klamki. Bez szwanku przeżyła rozmowę z panem Morlandem i była teraz bardzo pewna siebie.

- Skoro nie rozmawiałaś z Ashley, ani jej nie widziałaś, skąd wiesz, że ma paznokcie pomalowane na czarno?

Mandy dosłownie oklapła na naszych oczach. Puściła klamkę i skuliła się w sobie. Potarła czubkiem jednego espadryla o piętę drugiego.

- Po prostu wiedziałam - powiedziała, nagle bardzo zainteresowana własnymi paznokciami, pomalowanymi na blad różowo.

- Ashley po raz pierwszy pomalowała paznokcie na czarno w poniedziałek, kiedy miała wrócić do szkoły. - Wstałam i wbiłam wzrok w Mandy. - To samo dotyczy okropnych ciemnych włosów i workowatych ubrań. Przedtem ubierała się... - przerwałam, bojąc się przesadzić w opisie zwyczajnego dla tych dziewczynek kokieteryjnego stylu - ...tak jak ty

- dokończyłam oględnie. - Nie miałabyś o tym wszystkim pojęcia, gdybyś się z nią nie widziała.

Mandy przeczesła palcami swoje jedwabiste włosy i zaczęła owijać sobie jeden kosmyk wokół palca.

- Jestem przekonana, że wiesz, gdzie jest Ashley

- oświadczyłam, ruszając ku niej z wyciągniętym palcem, autorytatywnie stukając wysokimi obcasami. - Prawdę mówiąc, podejrzewam, że sama ją zaprowadziłaś do jakiejś kryjówki.

- Pani chyba oszalała - powiedziała Mandy.

Ale cała jej pewność siebie znikła, a w głosie słychać było lekkie drzenie.

O, tak. Zaczęła się kurczyć jak chipsy lay's.

- Wcale nie oszalałam. Ashley cię nie zostawiła, kiedy miałaś kłopoty w zeszłym roku, a ty jesteś zbyt lojalna, żeby teraz jej się nie odwdzięczyć. Mogło to zabrzmieć jak komplement, ale wciąż groziłam jej palcem, równie pewna siebie jak Candice Bergen w *Boston Legal*.

- Ktoś musiał stanąć po jej stronie, bo pani tego nie zrobiła! - powiedziała ze złością Mandy, podnosząc głos.

Wykrzywiła z wściekłością twarz, mrużąc swoje wielkie oczy, aż stały się wąziutkimi szparkami.

- Nikt nie chce jej tak pomóc jak ja! - wybuchłam.

- W takim razie nigdy nie chciałabym być zdana na pani pomoc! -

krzyknęła Mandy z płonącymi oczami. - Jej tato jest mordercą, a pani każe jej chodzić do szkoły! To milion milionów razy gorsze od tego, przez co ja przechodziłam w zeszłym roku! Ashley by umarła, gdyby musiała przez cały dzień siedzieć w klasie! Skoro pani o tym nie wie, to jest pani podła i głupia!

Zrobiła krok w moją stronę, tak że niemal stykałyśmy się nosami. Pan Morland zapewne pomyślał, że zaraz zaczniemy się okładać, bo wstał zza biurka. Co prawda chętnie bym przyłożyła w tej chwili Mandy, ale zdołałam się opanować.

- Gdzie ona jest, Mandy? - zapytałam, zniżając głos prawie do szeptu.
- Nie wiem - odparła, ziejąc nienawiścią.
- Oczywiście, że wiesz.
- Powiedziałam, że nie wiem! - wrzasnęła.

W tym momencie irytująco spokojny pan Morland łagodnie dotknął jej łokcia.

- Wiem, że starasz się ją chronić - powiedział. - Ale my martwimy się o jej bezpieczeństwo.

- Już mówiłam, że jest bezpieczna - odparła rozwścieczona Mandy. - Czemu mi nie wierzycie?

- Ponieważ musimy dowiedzieć się, gdzie jest - rzekłam cicho. - A ty wiedziałaś, że ma czarne paznokcie.

Myślałam, że Mandy zaleje się Izami - ona jednak dokonała błyskawicznej kalkulacji i uznała, że przedstawienie dobiegło końca.

- Jest w domu mojego taty - powiedziała zwięźle przez zaciśnięte zęby. - Ashely jest w domu mojego taty.

Spojrzałam na pana Morlanda, którego twarz pozostawała bez wyrazu.

- Czy twoi rodzice o tym wiedzą? - zwróciłam się do Mandy.

- Nie, dom stoi pusty. Tato wyjechał w podróż służbową, a ja w tym tygodniu mieszkam u mamy.

Typowa korzyść płynąca z rozwodu dla bogatej nastolatki: dwoje rodziców, dwa domy i mnóstwo pokoi, pomiędzy którymi można lawirować.

- Może pojedziemy tam po nią razem? - zapytałam.

- Znienawidzi mnie - odparła Mandy, kręcąc głową.

- Zrozumie. Robisz to, co w tej sytuacji powinnaś - rzekł pan Morland świętoszkowatym tonem.

Facet zaczął mi działać na nerwy. Poszliśmy do mojego samochodu. Pozwoliłam Mandy uprzedzić telefonicznie Ashley, że jedziemy. Kiedy zatrzyma-

łyśmy się przed bramą zwieńczonego hiszpańskim dachem domu, moja córka z ponurą miną siedziała już na trawniku w ogrodzie. Wymieniła z Mandy porozumiewawcze spojrzenie, zarzuciła na ramię plecak i bez słowa ruszyła w naszą stronę. Wybiegłam jej naprzeciw.

- Kochanie, tak się cieszę, że nic ci się nie stało! - wykrzyknęłam entuzjastycznie.

Ashley milczała, chociaż jej szyderczy uśmiezek mówił aż za wiele.

- Nie jestem na ciebie zła - zapewniłam ją. - Po prostu umierałam ze strachu od chwili, kiedy pan Morland do mnie zadzwonił.

Milczenie. Oto, jaką obrała strategię. Jak mam się z nią kłócić, skoro zaniemówiła?

- Posłuchaj, Ashley, doskonale rozumiem, że chciałaś uciec i schować się przed całym światem. Wiem, jakie to dla ciebie okropne - powiedziałam ze współczuciem.

Przewróciła oczami i wsiadła do samochodu. Miałam wrażenie, że spieram się z Marcelem Marceau.

Wślizgnęłam się za kierownicę, obok siedzącej bez ruchu Mandy.

- Mam cię odwieźć do domu twojej mamy, Mandy? - zapytałam.

- Jadę do was - odrzekła. - Za nic nie zostawię teraz Ashley samej.

Nawet nie próbowałam sprostować, że przecież nie będzie sama - miała mnie i Dana, dwóch braci, łóżko pełne pluszowych zwierzaków i jaszczurkę o imieniu Ralph. Spojrzałam we wsteczne lusterko, pytając wzrokiem o jej zdanie.

- Chcę, żeby pojechała do mnie - zakomunikowała moja córka za pomocą pięciu słów.

Postęp, ale jeszcze nie mogłam mówić o zwycięstwie. W domu dziewczynki schroniły się w pokoju Ashley, a ja kręciłam się po holu, poprawiając ręczniki w bieliź-

niarce i wsłuchując się w niewyraźny szmer ich głosów. Od czasu do czasu zdołałam odróżnić jakieś słowo, czasem dwa, ale nie chciałam, żeby przyłapały mnie na podsłuchiwanie, a kiedy usłyszałam kroki (któraś z dziewczynek nadchodzi?) uciekłam jak najszybciej. Odwieczny dylemat wszystkich matek: rozpaczliwie łakniemy informacji, ale jeszcze rozpaczliwiej staramy się zdobyć zaufanie swoich dzieci. Żadnego czytania pamiętników czy sprawdzania maili. No, chyba że mamy stuprocentową pewność, że nikt się o tym nie dowie.

Po jakiejś godzinie zajrzałam do pokoju. Sądząc po ilości wacików, potarganych chusteczek higienicznych i kolorowych buteleczek rozrzuconych po podłodze mogłam się domyślić, że urządziły sobie sesję pedicure.

- Potrzebujecie czegoś? - zapytałam.

- Nie, muszę już iść - powiedziała Mandy, podnosząc się z podłogi. - Mój chłopak czeka na mnie przez całe popołudnie.

Paznokcie u jej stóp lśniły, pokryte różowym lakierem petulant pink.

Kiedy Mandy wyszła, Ashley wciąż leżała na łóżku, wpatrując się w swoje brzoskwińoworóżowe paznokcie. Przynajmniej punkowy okres nie trwał zbyt długo.

Zawahałam się przez chwilę, po czym usiadłam na krześle przy biurku i przysunęłam się nieco w jej stronę.

- Chcesz porozmawiać o tym, co się dzieje? - zapytałam, zapominając, że nie należy nigdy zadawać nastolatce pytań, implikujących odpowiedzi „tak” lub „nie”, jeżeli nie chce się usłyszeć...

-Nie.

Ashley oparła się i skrzyżowała ramiona na piersiach. Spróbowałam jeszcze raz.

- Twój nauczyciele mówią, że chętnie się z tobą spotkają, gdybyś chciała nadrobić braki.

- Powiedz im, że bez łaski - burknęła Ashley, opadając na poduszkę. - Nie wracam tam. Nienawidzę tej budy. Lekcje są beznadziejne. A ludzie koszmarni. Nienawidzę ich wszystkich, nawet tych, którzy podobno są moimi przyjaciółmi. Nauczyciele są wredni. Pan Morland to idiota. Nie znoszę trenera pływania. I jego asystentki. I sekretarek. Nawet kucharek. Ciekawe, czemu pominęła ochroniarzy.

- W takim razie zabierzemy cię stamtąd - uciekłam się do psychologii rewersyjnej. - Możesz zacząć od nowa. Zmienisz szkołę. Na pewno uda się to załatwić od przyszłego tygodnia.

- Nie będę zmieniać szkoły! - krzyknęła Ashley, zmieniając postawę szybciej niż Olga Korbut na równoważni. - Jak możesz proponować coś takiego? Tato jest mordercą, moje życie jest do dupy, a ty jeszcze chcesz mnie pozbawić znajomych? Lepiej od razu mnie zabij.

- W takim razie czego chcesz? - zapytałam, wciąż łudząc się, że można rozsądnie rozmawiać z czternastolatką o emocjach bardziej chwiejnych niż trapez w Cirque du Soleil. - Wiesz, jak w tej chwili wygląda sytuacja. W jaki sposób możemy ją obrócić na swoją korzyść?

- Nie możemy - padła odpowiedź.

- Ja spróbowałam - powiedziałam, wstając. - Miałaś rację wtedy rano, więc kiedy podrzuciłam cię do szkoły, zebrałam się na odwagę, poszłam na zakupy, a potem wróciłam do pracy. Zrobiłam sobie pasemka i zdobyłam nowego klienta. Pewnie bym się na to wszystko nie zdobyła, gdybyś mnie nie przekonała, za co chciałam ci podziękować. Okazało się, że nie było tak źle.

Ashley popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

- A tak przy okazji, podoba ci się mój nowy kolor? - zapytałam, przeczesując włosy palcami.

- Niezły - odparła. - Bardziej blond niż zwykle. Lśniący. Wyróżnia się.

- Nie, w tym mieście blondynka najlepiej wtapia się w tłum.

Po raz pierwszy Ashley uśmiechnęła się lekko.

Dan nie wrócił do domu na kolację. Zjadłam trochę zimnych klusek sezamowych, które zostały w lodówce, na stojąco, przy blacie, prosto z kartonowego pudełka. Oto, czym stało się nasze życie rodzinne. Ashley wzięła do swojego pokoju krakersy i ser, Grant spóźnił się z powrotem z treningu tenisa, Jimmy'ego bolał brzuch, bo zjadł za dużo pizzy z pepperoni na przyjęciu urodzinowym. Najwyższa pora, żebym z nim porozmawiała. Dokończyłam kluski, załadowałam tacę smakołykami i poszłam do jego pokoju.

- Niespodzianka - powiedziałam, stawiając szklanę z mlekiem na stoliku nocnym obok łóżka. - Przekąska przed snem.

- Brzuch mnie boli - jęknął, obejmując się chudymi ramionkami w pasie.

- Wiem. Mnie też czasem boli. Chcesz wiedzieć, kiedy? Jimmy popatrzył na mnie niepewnie.

- Na przykład bolał mnie tej nocy, kiedy policjanci przyszli do naszego domu. Żołądek fikał mi takie koziołki, jak Jimmy Fields w Aquaparku. Jimmy pokiwał głową z powagą.

- Mnie też wtedy bolał brzuch. Widziałem broń. Położyłam dwa czekoladowe ciasteczka obok szklanki z mlekiem.

- Policjanci zwykle używają broni, żeby nas chronić. Ale wtedy nas przestraszyli.

- Bałaś się? - zapytał Jimmy, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami.

Skinęłam głową.

- O, tak. Ale już się nie boję. Ludzie czasem popełniają błędy. Nawet policjanci. Myślę, że ci policjanci także się pomylili.

- Mnie też tak się wydaje - stwierdził Jimmy stanowczo.
- Poza tym tatuś jest z nami w domu i nic mu się nie stało. Kochamy tatusia, a tatuś kocha nas.
- Kocham tatusia - potwierdził Jimmy.

Zanurzył jedno ciastko w mleku i odgryzł spory kawałek.

Położyłam się obok niego, żeby mu poczytać i zanim doszliśmy do połowy *Frog and Toad*, Jimmy zasnął. Przez kilka minut leżałam bez ruchu, tuląc w ramionach mojego słodkiego, bezbronnygo synka. Czułam na szyi dotyk jego spoconego policzka i wdychałam odurzający zapach małego chłopca, mieszanki mydła, świeżej pościeli i brudnych tramppek. W końcu wymknęłam się z jego pokoju, mrużąc oczy w ostrym świetle korytarza, i zajrzałam do Ashley. Leżała na futrzanej kapie na łóżku, której wściekle pomarańczowy kolor nawiązywał do lat sześćdziesiątych, a którą z całą pewnością moja córka kupiła, żeby mnie dręczyć. Czytała *Zabić drozda*.

- Uczę się, czym jest niesprawiedliwość - powiedziała drwiąco, widząc mnie w drzwiach. - Bardzo adekwatne do mojego życia.

- I to na wielu poziomach - zgodziłam się.

Na koniec poszłam sprawdzić, co słyhać u Granta, który wrócił z tenisa i zaczął odrabiać matematykę.

- Mamo, posłuchaj tego zadania - powiedział, ledwo weszłam.

Cały Grant - wierna kopia swojego ojca, zapomina o wszystkim innym i całą uwagę skupia na rozwiązaniu problemu, którym na pewno nie jest dla niego morderstwo.

Popatrzył na mnie i raz jeszcze spróbował zwrócić moją uwagę.

- Mamo, jesteś gotowa? Masz normalną stronę z gazety. Wiesz, jaka jest cienka. Na nią kładziesz dwie następne. Potem cztery. Osiem. Szesnaście. Rozumiesz. Za każdym razem podwajasz ich ilość. Jak wysoki będzie stos, kiedy zrobisz to sześćdziesiąt cztery razy?

Chrząknęłam. Ostatni raz potrafiłam pomóc Grantowi w matematyce, kiedy był chyba w szóstej klasie.

- Nie mam pojęcia.

Popatrzyłam na kartkę papieru, na której robił notatki i zaryzykowałam.

- Dobra. Metr dziewięćdziesiąt, jak ty. Uśmiechnął się.

- Spróbuj jeszcze raz.

- Wyższy czy niższy?

- Znacznie wyższy.

- Trzydzieści metrów.

- Nie jesteś na stadionie.

- Wysoki jak Empire State Building. Podsunął mi kartkę.

- Pomóc ci? -Tak.

- Minie słońce. W przybliżeniu jakieś sto dwadzieścia pięć milionów mil.

Super, no nie?

- Nie rozumiem.

- To postęp geometryczny. Za każdym razem podwajasz i rośnie w niesamowitym tempie.

- Super - przytaknęłam, mimo że w dalszym ciągu nie rozumiałam. Jak można sięgnąć słońca, układając stos z gazet?

- Podwoisz to jeszcze raz i wrócisz prosto na ziemię - dodał Grant. -

Pokazać ci obliczenia?

Roześmiałam się.

- Wierzę ci.

Nie umiałam matematyki, ale zaczynałam pojmować ideę. Małe rzeczy mogą w jednej chwili rozdać się do niewyobrażalnych rozmiarów.

Wystarczy podwajać problemy i ani się człowiek obejrzy, jak jego świat stanie w płomieniach. Czy to właśnie czekało moją rodzinę?

Pocałowałam Granta w czubek głowy, zgodnie z wieczornym rytuałem na dobranoc, przed którym się nie bronił

i w końcu poszłam do naszej sypialni. Dan siedział na łóżku w swoim miękkim szlafroku od Loro Piana i czytał numer „JAMA”. W którymś momencie wrócił do domu i nawet nie raczył się przywitać. Zawahałam się, potem przebrałam w brzoskwiniovą jedwabną koszulę nocną i usiadłam na łóżku obok niego. Od czasu aresztowania Dan prawie codziennie wracał późno do domu albo pracował w swoim gabinecie, kładąc się, kiedy ja już dawno spałam. Na większą intymność nie potrafiliśmy się ostatnio zdobyć.

- Co czytasz? - zapytałam, poruszając neutralny temat.

- Kolejny artykuł o zastosowaniu trwałego kwasu hialuronowego do augmentacji ablacji zmarszczek twarzy - odparł, przewracając stronę.

- A bardziej po ludzku?

Mój dom opanowali przybysze z obcej planety. Przestałam rozumieć, co do mnie mówią.

- Och, chodzi po prostu o redukcję zmarszczek. W tym artykule przedstawiono wyniki badań, dowodzących, że pewne substancje, które można wstrzykiwać - jak na przykład Hylaform - rzeczywiście skutkują. Zwłaszcza w wypełnianiu fałdy nosowo-wargowej.

Nieświadomie dotknęłam palcem rowka pomiędzy nosem a ustami.

- Uważasz, że powinnam to sobie zrobić? - zapytałam poślubionego mi chirurga plastycznego.

Zważywszy jego niechęć do zabiegów plastycznych mających na celu jedynie poprawienie urody, jak dotąd nie uległam powszechnej modzie na botoks i inne wypełniacze, ale może nadeszła już odpowiednia pora.

Dan zerknął na mnie znad swoich okularów bez oprawek.

- Według mnie wyglądasz bardzo dobrze - powiedział. Skrzywiłam się.

Jaka kobieta przyjmie komplement bez zastrzeżeń?

- Dzięki. Ale wszędzie mam zmarszczki mimiczne ze zmartwienia, i z dnia na dzień robią się coraz bardziej widoczne.

- Nie zauważyłem.

Wszystko przed nim. Jako stały czytelnik medycznych czasopism powinien wiedzieć, że gliniarze, mordercy i oszczercze nagłówki w gazetach są główną przyczyną powstawania kurzych łapek.

Dan odłożył gazetę i musnął palcem moje ramię.

- Co tam dzisiaj pisali w gazetach? - zapytał.

Od lat posługiwaliśmy się tym pytaniem, kiedy chcieliśmy się nawzajem dowiedzieć, co działo się w domu. Westchnęłam.

- Czyja wiem. Mieliśmy drobny kryzys, bo okazało się, że Ashley ucieka ze szkoły. Pan Morland zadzwonił do mnie i rozmawialiśmy z Mandy, która rzekomo nie miała pojęcia, gdzie podziewa się Ashley. Mandy potrafi tak świetnie zaciemniać obraz, że zapędziłaby w kozi róg samą Alicję Silver-stone. Ale wiedziała, że Ashley pomalowała sobie paznokcie na czarno, i to ją zdradziło. Szczerze mówiąc, jestem dumna z siebie, że na to wpadłam.

- Świetnie. - Dan zawahał się, chyba niezbyt pewny, czy do końca zrozumiał, o czym mówię. - Też jestem z ciebie dumny - dodał po chwili, kiedy z zadowoleniem zrozumiał, że nie musiał w niczym aktywnie uczestniczyć. - Dziękuję ci, że wszystkim się zajęłaś.

Wszystkim się zajęłam? W czasach PA - przed aresztowaniem - zachowanie Ashley wywołałoby istne trzęsienie ziemi. Zwrócilibyśmy się o pomoc do dziecięcych i rodzinnych psychologów. Dzwoniłabym do doktor Laury, doktora Phila i doktor Joy Brownie. Teraz problemy wieku dorastania przykuły naszą uwagę tylko przelotnie. Mieliśmy większe zmartwienia i bardziej absorbujące tajemnice, których nie był w stanie rozwiązać najpiękniejszy lakier do paznokci „północna czerwień” od Chanel.

Dan zdjął szlafrok i położył się, odrzucając poduszki wsparte o twarde zagłówek naszego łóżka ze stali. Ostrożnie wślizgnęłam się pod kołdrę obok niego, wtulając się w jedwabne prześcieradła w kolorze kości słoniowej i tęskniąc za dniami, kiedy miało dla mnie znaczenie, że pościel od Yvesa Delorme'a jest bardziej miękka w dotyku od tej od Frette'a. Oboje leżeliśmy sztywno na plecach, wpatrując się w sufit, jak stare małżeństwo z komiksu w „New Yorker”.

W końcu Dan obrócił się na bok i po raz drugi dotknął mojego ramienia. - Lacy, nigdy wcześniej nie widziałem tej całej Tashy - powiedział cicho, niemal szepcząc mi do ucha. - Nie wiem, kim ona jest. Przejrzałem wszystkie dokumenty w pracy, ale jej nazwisko nic mi nie mówi. Staram się ją gdzieś umiejscowić, ale nic mi z tego nie wychodzi.

Głos miał płaczliwy, niemal błagalny. Zależało mu, żebym mu uwierzyła, i oczywiście wierzyłam mu. Dan był moim mężem, kochałam go i podziwiałam. Kochaliśmy się, mieliśmy razem dzieci i dzieliliśmy życie. Gdybym mu teraz nie ufała, jakie znaczenie miałyby osiemnaście wspólnie przeżytych lat?

- Rozwiążemy to - szepnęłam. - Wiem o tym. Pomogę ci. Dan pogładził mnie po ramieniu.

- Błagam. Bądź przy mnie - powiedział.

- A gdzie indziej miałabym być?

Objął mnie ramieniem i poczułam, jak jego ciało rozluźnia się, ja jednak byłam zbyt spięta, aby odpowiedzieć tym samym. Zamknęłam oczy i zaczęłam miarowo oddychać, udając, że usnęłam. Dan zasnął naprawdę, pierś unosiła mu się i opadała rytmicznie. Jakiś czas leżałam bez ruchu, potem przesunęłam się ostrożnie na drugi koniec łóżka. Spojrzałam na Dana przez ramię, on jednak nawet nie drgnął, a ja odczułam ulgę. Nie chciałam, żeby się obudził, i pomyślałam, że uciekam od niego. Nawet nie chciałam dopuścić do siebie myśli, że mogłaby to być prawda.

Na palcach poszłam do swojego małego gabinetu, wmawiając sobie, że środek nocy to idealna pora na nadrobienie zaległości. Gdybym chociaż jakieś miała. Na szczęście, migła lampka na mojej automatycznej sekretarce, co widząc, pogratulowałam sobie odpowiedzialności. Jakiś czas temu zadzwoniła Sammie, asystentka Julie Boden, z pytaniem, czy mogę przyjść do biura jej szefowej w czwartek o dziewiątej rano. Zostawiła adres i numer telefonu, wraz z informacją, że jeśli pora mi nie odpowiada, mogę zadzwonić w każdej chwili. Zwykle pracują do późna. Posiedziałam przez chwilę przy biurku, potem wróciłam do łóżka. Dan chciał, żebym przy nim była, więc bardzo proszę, jestem. Starłam się nie myśleć o Danie i Tashy, i położyłam dłoń na piersi mojego śpiącego męża. Dawniej, kiedy nie mogliśmy się od siebie oderwać, żartowaliśmy, że seks rozwiązuje każdy problem. Teraz nawet nie chciałam myśleć, czy aby seks sam nie stał się problemem.

Rozdział

piąty

Biuro Julie Boden znajdowało się w wielkim przeszklonym wieżowcu przy Westwood Boulevard. Na podziemnym parkingu zostawiłam samochód obsłudze i wjechałam windą bezpośrednio do agencji reklamowej Briggs & Briggs na osiemnastym piętrze. Kiedy znalazłam się w gabinecie Julie, odniosłam wrażenie, że trafiłam do jej domu na wsi. Miała antyczne biurko z drzewa piniowego, miękką białą sofę obitą muślinem, kwieciste poduszki i stół do kawy przerobiony ze starego kufra. Wreszcie pojęłam. Julie nie potrzebowała zwykłych akcesoriów, aby roztaczać wokół siebie atmosferę potęgi i władzy.

- Pięknie urządziła pani to wnętrze - powiedziałam, gdy wymieniliśmy uścisk dłoni.

Jeszcze raz przyjrzałam się uroczemu biurku i zrozumiałam, że pochodzi z Anglii, mniej więcej z roku 1890, zaś stół do kawy był niegdyś kufrem z brytyjskiego parowca, oznaczonym autentyczną dekalcomanią marynarki Jej Królewskiej Mości.

- Wspaniałe meble - dodałam. - Takie oryginalne. Gdzie je pani zdobyła?
- Tu i tam - odparła ze wzruszeniem ramion, obrzucając wzrokiem pokój.
- Chyba w jakichś sklepach z antykami

w Melrose. Kupuję, co mi się podoba - dodała po chwili, na wypadek gdybym domyśliła się, że to jej dekorator wyszukał rzadkie eksponaty.
-Och.

Sama to powiedziałam Royowi - najlepsi dekoratorzy sprawiają, że człowiek zapomina o ich udziale w urządzeniu wnętrza.

Uznając dyskusję o wystroju wnętrza za zakończoną, Julie wezwała swoją asystentkę głośnym warknięciem.

- Sammie!

Do gabinetu wbiegła młoda kobieta, ubrana w obcisłe spodnie khaki i niemal białą koszulę. Wydawała się sympatyczna i pełna energii, miała jasnobrązowe włosy i okulary w szylkretowej oprawie. Przy jej biurku zauważyłam logo Uniwersytetu Vassar, co zapewne oznaczało, że zrobiwszy dyplom z angielskiego, zjawiała się w Kalifornii w poszukiwaniu wspaniałej pracy.

- Przynieś mi zieloną herbatę ze świeżą miętą, bez cukru, z cytryną. Z Healthy Drinks na rogu - warknęła Julie, najwyraźniej nieświadoma, że napoje z Jamba Juice zawierają więcej antyoksydantów.

- A pani gość? - zapytała Sammie.

Czemu nikt jej nie powiedział, że powinna była zostać w Pcimiu Dolnym.

- Nic, dziękuję. Może szklanek wody.

- Schłodzonej czy w temperaturze pokojowej?

- W temperaturze pokojowej.

Dlaczego napicie się czegokolwiek w Los Angeles niezmiennie zamieniało się w tak skomplikowany ceremoniał?

Sammie wyszła i zaraz wróciła z małą butelką wody evian, po czym oddaliła się wykonać polecenie szefowej. Julie gestem zaprosiła mnie, abym usiadła. Natychmiast opadłam na sofę i utonęłam w miękkich poduszkach. Sofa niezbyt nadawała się na biurowe wyposażenie, bo musiałam zadzierać

głowę, żeby widzieć Julie, która siedząc na twardym prostym krześle za biurkiem, spoglądała na mnie władczo z góry. Jeśli się jednak zastanowić, może ten efekt był zamierzony.

Jako szefowa jednej z najbardziej wziętych agencji reklamowych w L.A., Julie Boden doskonale знаła się na tworzeniu wizerunku. Czarny, zgrabnie skrojony kostium od Versace zdradzał jej wysoką pozycję, a ekstrawaganckie czerwone skórzane botki od Dolce & Gabbany na dziesięciocen-tymetrowych cieniusieńkich obcasach miały świadczyć o jej kreatywności. Kiedy się upewniła, że zauważyłam to wszystko, zdjęła żakiet, zostając w bluzce bez rękawów, ukazującej jędrne, opalone, wyrzeźbione na siłowni ramiona. Jedno z oprawionych zdjęć ukazywało Julie w głęboko wyciętej sukni, pozującą na czerwonym dywanie przed Kodak Theatre. Na innym, w stroju do uprawiania sztuk walk, z wysoko uniesioną smukłą nogą atakuje przeciwnika efektownym kopnięciem. Kobieta spełniona.

- Alain dzwonił do mnie w pani sprawie - powiedziała Julie. Odruchowo spojrzała na moje włosy. - Podobno potrzebuje pani informacji o Royu Evansie.

- Roy jest moim nowym klientem. Będę mu urządzać mieszkanie.

- Coś podobnego. - Ton Julie był beznamiętny. - Doprawdy imponujące, że tak dokładnie sprawdza pani swoich klientów. Alain wspominał coś o morderstwie, ale nie widzę związku.

- Bardzo możliwe, że żaden związek nie istnieje - przyznałam szczerze. - Toczy się śledztwo w sprawie o morderstwo przeciwko mojemu mężowi. Okazuje się, że Roy znał ofiarę.

Julie uniosła idealnie wymodelowane brwi.

- O kogo chodzi?

- Charakteryzatorkę, która z nim pracowała.

Julie popatrzyła na mnie z lekkim niedowierzaniem, studiując moją twarz, jakby sprawdzała, czy przypadkiem

nie żartuję. Kiedy zrozumiała, że wręcz przeciwnie, prychnęła głośno.

- Charakteryzatorka? Wspaniale - powiedziała.

- Dlaczego?

Julie machnęła lekceważąco ręką. Paznokcie miała krótkie, okrągłe i lśniące, a na jednym z palców połyskiwał pierścionek z wielkim topazem

- z rodzaju tych, które kobiety kupują sobie same.

- Nieważne. Po prostu pasuje do jego osobowości. Roy myśli, że lubi silne, interesujące kobiety, ale w końcu okazuje się, że go przerastają. -

Pokręciła głową. - Przymilna charakteryzatorka. Wspaniale. Jak się nazywała?

- Tasha Barlow.

Julie poderwała głowę, a malujące się na jej twarzy rozbawienie wywołane wieścią o flircie Roya przemieniło się w szok. Chwyciła z biurka nieotwartą puszkę dietetycznej coli i zaczęła obracać w dłoniach.

W koszu na śmieci zauważyłam trzy inne, już opróżnione. W innej epoce spięta Julie Boden byłaby nałogową palaczką, ale w postmilenijnym Los Angeles musiało jej wystarczyć wypijanie hektolitrow napojów gazowanych.

- Tasha Barlow? - powtórzyła cicho.

- Znała ją pani?

- Nie, skądże. - Otworzyła puszkę i upiła z niej długi łyk. Po chwili chrząknęła. - Roy nigdy o niej nie wspominał. Nie sądzę też, żeby pracowała przy kręceniu którejs z naszych reklam.

- Mogę zapytać, o jakie reklamy chodzi?

- To pani nie wie? - Popatrzyła na mnie dziwnie. - Jestem tutaj dyrektorem kreatywnym. Produkuję telewizyjne reklamy dla naszych klientów. Roy występował w kilku ostatnich.

Skinęłam głową zachęcająco, ona jednak zmierzyła mnie wzrokiem, wyraźnie obruszona, że musi mi tłumaczyć, na czym polega jej niezwykle ważna praca.

- Przypuszczam, że widziała pani moją reklamę Super Pucharu - powiedziała, zapewne dochodząc do wniosku, że lepiej zapoznać mnie ze swoim sukcesem, niż rozwodzić się nad moją ignorancją. - Statek kosmiczny ląduje na Marsie i przemienia się w niebieskiego buicka. Nagle z samochodu wyskakuje gwiazdor rocka i rozbrzmiewa muzyka. Bardzo postmodernistyczne.

Zaskoczyłam.

- O rany, byłam zachwycona. Jak wszyscy. W jednej reklamie występował Paul McCartney, a w innej Bon Jovi, prawda?

- Tak jest.

- A Roy? Chyba go nie zauważyłam.

- Bo stoi tyłem, trzymając mikrofon, kiedy pojawia się gwiazda. Nic nie mówi.

- Przykro mi, że nie zwróciłam na niego uwagi.

- Najważniejsze, że zauważyła pani reklamy - rzekła Julie, postanawiając mi odpuścić. - W tej chwili puszczane są nasze trzy reklamy, a sprzedaż buicków gwałtownie wzrosła. Jeszcze nie zdecydowaliśmy, czy zatrudnimy Roya przy kręceniu dwóch następnych.

- Skoro tamte odniosły taki sukces, zapewne nie będziecie chcieli niczego zmieniać - powiedziałam.

- Roy nie ma raczej wpływu na ich sukces, jak pani sama zauważyła. Z początku był zachwycony, że może znaleźć się z McCartneyem na jednym planie zdjęciowym, ale w tej chwili domaga się wynagrodzenia równie wielkiego, jak jego ego, a to nie wchodzi w grę.

Julie znowu napiła się coli, po czym z hukiem odstawiła puszkę na biurko. Nie wiedziałam, czy jej lekceważenie ma podłoże osobiste, czy też jest czysto zawodowe.

- Proszę mi powiedzieć coś więcej o Royu - podjęłam. - Jak się z nim pracuje?

- Już go pani poznała, prawda?

- Spotkaliśmy się tylko raz.

- I co pani o nim sądzi?

Spędziłam zaledwie niecałą godzinę w towarzystwie Roya Evansa i nagle wszyscy chcą poznać moją opinię o nim.

- Jest czarujący - powiedziałam.

- Wolne żarty. A niebo jest niebieskie - zachnęła się Julie, najwyraźniej nie zamierzając prześcigać się ze mną w komplementach na jego temat.

- Ma chyba sporo przyjaciół wśród znanych ludzi - nie rezygnowałam. -

Opowiedział mi kilka zabawnych anegdotek.

- Niech zgadnę. Na pewno już pani wie, że Jennifer Lopez go uwielbia.

- Pokazał mi nagranie wideo.

Zaśmiała się krótko, ale nie wyglądała na rozbawioną.

- Szybko sobie z panią poczyna. Proszę uważać, to dopiero początek. Ale mniej więcej po dwóch tygodniach zaczniesz się powtarzać. Rozbroi panią kompletnie i będzie panią bawił do łez. Pan Czarus. Jego atencja panią ujmie. Ale proszę zbytnio nie ulegać, bo szybko czeka panią rozczarowanie.

Twarde spojrzenie Julie i ściągnięte usta sugerowały, że ona doszła już do tego ostatniego etapu. Chciałam zapytać, czym Roy naraził się jej, ale weszła Sammie z lśniącą torebką z Healthy Drinks, którą postawiła ostrożnie na biurku.

- Sammie, nie zapomnij odsłuchać moich wiadomości - rozkazała Julie, zapominając o „dziękuję.”

- Natychmiast się tym zajmę.

- Daj mi znać, gdyby było coś ważnego.

Sammie szybko wyszła, a Julie wyjęła herbatę z torebki. Posłała mi lekki uśmiech.

- Bardzo dużo piję. Herbaty i dietetycznej coli. Moje jedyne słabości.

- Słyszałam o znacznie gorszych.

- Zwłaszcza w tym mieście.

Uśmiechnęłam się, próbując usiąść wygodniej na kanapie, ale odniosłam wrażenie, że utonąłam w stosie żelków.

- Rozmawialiśmy o Royu. Mężczyźnie o dość płytkiej osobowości.

Odnoszę wrażenie, że pani za nim niezbyt przepada.

- Czyżby? - zapytała Julie, unosząc brew. - Są tacy, według których lubię go aż za bardzo. Zaangażowałam go do pracy przy reklamach. Niezbyt wiele przemawiało za jego wyborem i dużo mnie kosztowało, żeby przekonać mojego klienta, że wypadnie dobrze.

- A teraz jest pani gotowa przekonać klienta, że pora to zmienić.

Julie poruszyła kilkakrotnie ustami.

- Być może - burknęła w końcu. Zastanowiłam się przez chwilę.

- Wygląda na to, że pan Czarus czasami też rozczarowuje.

Julie chciała coś powiedzieć, ale powstrzymała się, zdejmując pokrywkę z wielkiego kubka. Rozerwała paczuszkę ze słodzikiem i wolno wsypała jej zawartość do herbaty. Pilnowała się teraz, żeby osobiste uczucia nie zaważyły na jej profesjonalnym podejściu.

- Ujmę to w ten sposób - powiedziała. - Jeżeli znajdę nowy talent do moich reklam, wtedy porozmawiamy o rozczarowaniach. Na razie to mój człowiek. Pan Czarus. I tyle.

Gierki Julie zaczynały mnie irytować. Tym bardziej, że nawet nie potrafiłam określić, na czym polegają.

- Dlaczego mnie pani zaprosiła, skoro nie miała pani zamiaru być ze mną szczerą? - zapytałam, przestając się przejmować, co sobie o mnie pomyśli.

- Zrobiłam przysługę Alainowi - odparła lekceważąco.

- Och, na miłość boską. Alain to tylko fryzjer. Wszyscy go uwielbiamy, ale pani jest bardzo zajęta kobietą. Nie spotkała się pani ze mną tylko dlatego, że Alain panią o to poprosił.

- Jeżeli pani chce, może pani już sobie iść - warknęła.

- Nie chcę. Chcę się dowiedzieć, dlaczego zgodziła się pani ze mną spotkać z chwilą, kiedy Alain użył w jednym zdaniu słowa morderstwo i Roy Evans.

Poruszyła się niespokojnie na krześle.

- To chyba oczywiste. Prowadzę kampanię reklamową wartą miliony dolarów dla bardzo ważnego klienta. Jeżeli jedna z zaangażowanych w nią osób wpłątana jest w jakiś skandal, muszę o tym wiedzieć.

- I nie byłaby pani zdziwiona, gdyby Roy okazał się zamieszany w morderstwo.

- Proszę mi niczego nie imputować - warknęła, wstając z krzesła i przechodząc przed biurko. - Niczego podobnego nie powiedziałam.

- W takim razie pozwoli pani, że zapytam: Czy byłaby pani zdziwiona, gdyby okazało się, że Roy jest zamieszany w morderstwo?

Oparła się o krawędź biurka, niemal tuż przy mnie, i skrzyżowała nogi.

- Byłabym wstrząśnięta - odparła, bez wątpienia wyrażając oficjalne stanowisko.

- Tasha Barlow została uduszona - powiedziałam, bez jakiegoś szczególnego powodu.

Moje słowa ją zaskoczyły i jeden but poślizgnął się na drewnianej podłodze. Udało jej się zachować równowagę.

- Chce pani powiedzieć, że przypadkiem? Podczas uprawiania seksu?

- Nie wiem. Być może. Czy to pasuje do Roya?

- Pasuje do wielu mężczyzn.

Podeszła do okna, przez chwilę wpatrując się w panoramiczny widok na wzgórze, dzisiejszego ranka tylko częściowo przysłoniętych przez gęsty smog. Po jakimś czasie odwróciła się do mnie.

- Proszę posłuchać, Roy to ciężki kaliber, doskonale pasujący do stereotypu. Seks, drugs i rock'n'roll, rozumie pani?

Nie będę udawała, że jest inaczej. Za dużo pije, pali za dużo trawy. Kokaina, od czasu do czasu krystaliczna amfa. Ma wiele zalet, które przesłoniły mi jego typowe ludzkie wady. Każdy jest od czegoś uzależniony.

- On od koki, pani od dietetycznej coli.

Julie wykrzywiła usta w lekkim uśmiechu, który jednak wyglądał bardziej jak grymas.

- Jakie ma preferencje seksualne? - zapytałam. - Krystaliczna amfetamina wzmacnia orgazm, prawda? Daje poczucie, że człowiek może wszystko. Czy Roy należy do tych mężczyzn, którzy czasem dają się ponieść i trochę za daleko posuwają się w seksie?

- Nie mam pojęcia. A pani mąż? Zignorowałam tę aluzję do Dana.

- Podczas kręcenia tych reklam musiała pani przebywać w tym samym miejscu co Roy. Mieszkaliście w jednym hotelu, i tak dalej.

- Nie sprawdzam moich aktorów w łóżku.

- Oczywiście.

Nie musiała tego robić, skoro leżała już obok niego. Alain dał do zrozumienia, że Julie i Roya łączyła bliska zażyłość. Popatrzyłyśmy teraz na siebie, ale ugryzłam się w język. Po co mówić coś, co słysząc, wyrzuciłaby mnie za drzwi?

Za późno. Julie musiała wyczuć, że wkroczyła na grząski grunt. Jej obcasy zastukały zdecydowanie o podłogę, gdy wracała na swoje miejsce za biurkiem.

- Bardzo miło mi się z panią rozmawiało, ale muszę przygotować reklamę. Wychodząc, proszę zamknąć drzwi za sobą.

Na wypadek, gdyby nie wyraziła się wystarczająco jasno, odwróciła się do mnie tyłem i podniosła słuchawkę telefonu. Nasza rozmowa dobiegła końca. Wysłałam, głośno zamykając za sobą drzwi.

Sammie podniosła wzrok nad komputera.

- Udana wizyta? - zapytała.

Wydawała się szczerze zatroskana - inteligentna młoda kobieta, która najwyraźniej widziała nieraz, jak ludzie wychodzą z gabinetu Julie z płaczem.

- Nie wiem. Masz ostrą szefową. Mam nadzieję, że dzisiaj nie ucierpisz z mojego powodu.

- Przyzwyczyłam się - odparła Sammie. - Potrzebne pani potwierdzenie? Oczywiście, że potrzebowałam potwierdzenia - kto go nie potrzebował? Bardzo mi był potrzebny ktoś, kto by potwierdził, że jestem na właściwej drodze do rozwiązania tej tajemnicy. Że zdołam pomóc mojemu mężowi i ocalić rodzinę. Ale potwierdzenie, o którym mówiła Sammie, nie sięgało tak daleko, zaczęłam więc szukać w torebce Furii kwitu z parkingu.

- Proszę sprawdzić w kieszeniach - poradziła Sammie, kiedy wciąż bezskutecznie usiłowałam znaleźć kwit, który jakby rozpułynał się w powietrzu.

- Jestem pewna, że włożyłam go do torebki - powiedziałam.

Ale włożyłam rękę do kieszeni czarnych spodni od Prądy i wyjęłam kwit. Sammie uśmiechnęła się i z wprawą przybiła dwukrotnie pieczętkę potwierdzającą na jego odwrocie.

- Nie zapłaci pani za parking - wyjaśniła, oddając mi kwitek.

Może miała też w swojej szufladzie jakąś pieczętkę, która pozwoli Danowi nie pójść do więzienia.

Kiedy Sammie wstała, żeby mnie odprowadzić do windy, przypomniałam sobie, jak Julie kazała jej sprawdzić wiadomości. Jeżeli była to zwykła procedura, Sammie musiała wiele wiedzieć o wszystkim, co działo się w biurze. Przypuszczalnie nawet odebrała wiadomość od Alaina.

- Sammie, przyszedłam tutaj, bo chciałam dowiedzieć się czegoś o Royu Evansie - odezwałam się, mówiąc szybko, bo

prawie doszliśmy już do końca korytarza. - Podejrzewam, że Julie miała z nim coś w rodzaju romansu, prawda? O którym wszyscy wiedzieli, tylko nie mówili o tym głośno. Ale w tej chwili Julie jest chyba na niego porządnie wkurzona. Wiesz coś na ten temat?

- W zasadzie nie. - Sammie przygryzła krawędź środkowego palca. - Roy w dalszym ciągu dzwoni po kilka razy dziennie, ale Julie kazała mi mówić, że jest na spotkaniu. Dawniej rozmawiała z nim całymi godzinami. Przy zamkniętych drzwiach.

- Kiedy to się zmieniło?

- Tydzień, może dwa temu.

Sammie nacisnęła guzik przywołujący windę, która zjawiała się niemal natychmiast. Psiakrew. Gdyby mi się śpieszyło, winda na pewno utknęłaby na czterdziestym piętrze.

Wręczyłam Sammie moją wizytówkę.

- Każda informacja może okazać się pomocna - powiedziałam. - Gdybyś coś usłyszała, zadzwoń do mnie.

Sammie rzuciła okiem na wizytówkę, ale nie wyglądało na to, aby w najbliższym czasie miała popędzić do telefonu.

Kiedy znalazłam się na dole, mimo potwierdzonej przepustki zapłaciłam za parking i ostrożnie wyjechałam, pogrążona w myślach. Co prawda podczas mojego spotkania z Julie żadna z nas nie zasłużyłaby na nagrodę za uprzejmość, ale przynajmniej coś osiągnęłam. Kilka telefonów, parę pytań i już poznałam nowe fakty. Co prawda obraz wciąż był zamazany, ale miałam coś na początek.

Po powrocie do domu zmieniałam spodnie od Prądy na dres z Gapa i usiadłam w kuchni, żeby zanotować wszystko, czego się dowiedziałam. Im dłużej jednak przyglądałam się zebranych tropom, tym bardziej moje podeksycytowanie malało. Powiedzmy, że miałam rację. Tasha Barlow nie tylko pracowała jako charakteryzatorka Roya Evansa, ale również z nim sypiała. Tymczasem Roy Evans wdał się w romans ze

swoją szefową, Julie Boden. Trzy wierzchołki jednego trójkąta. Julie zadurzyła się na tyle mocno, by zatrudnić Roya przy produkcji wielkiej reklamy, ale w ciągu kilku ostatnich tygodni namiętność wygasła, bo Roy czymś jej się naraził. Bardzo musiał jej podpaść, bo przestała z nim rozmawiać. Ale założenie, że tym czymś było zamordowanie Tashy Barlow, jest zdecydowanie pochopne. Przecież mógł najzwyczajniej w świecie zapomnieć o jej urodzinach. Albo co gorsza, pamiętał o nich i przysłał jej pudełko czekoladek Whitman's.

Zjadłam kilka winogron z lodówki, ale jedno wyplułam, bo było gorzkie w smaku. Seks i skandal to w Los Angeles rzecz normalna. Mogę wybrać na chybił trafił trzy osoby w tym mieście i jest duża szansa, że odkryję podobne pogłoski krążące na ich temat. Czy w tej sytuacji zdobyte przeze mnie informacje mogły w jakikolwiek sposób pomóc Danowi?

Załamana poszłam do spiżarni i przeszukałam półki. Rano nie zjadłam śniadania, nic więc dziwnego, że teraz pochłonięłam polanego czekoladą pączka. No, niech będzie, że dwa. A ponieważ pora lunchu dawno już minęła, wróciłam do mojej srebrzystej lodówki i urządziłam sobie ucztę, składającą się z kawałka zimnego kurczaka i sera brie, nie tracąc czasu na sadowanie się przy stole. Spoglądałam już łakomym okiem na resztki tiramisu, kiedy się opamiętałam. Musiałam znaleźć jakieś inne lekarstwo na ukojenie nerwów.

Dlatego właśnie wylądowałam w gabinecie Dana z płynem do czyszczenia.

W sprzątaniu znajdę upust dla rozpierającej mnie energii, a gabinet Dana idealnie się do tego nadawał. Dan nie pozwalał naszej sprzątacze wchodzić do swojego gabinetu, twierdząc, że sam sobie poradzi z odkurzaniem i wycieraniem kurzu. Muszę przyznać, że szło mu całkiem nieźle: czasopisma medyczne leżały w skórzanych koszykach, papiery były posegregowane w oznaczonych różnymi kolorami teczkach, a na mahoniowych półkach książki stały w porządku alfabetycz-

nym. Czułam się niezręcznie, naruszając osobistą przestrzeń Dana, ale przypomniałam sobie, że przecież wyświadczam mu przysługę. Może i panował tutaj porządek, ale pod biurkiem na pewno zebrało się mnóstwo kłębow kurzu.

Na automatycznej sekretarce migotała czerwona lampka, informując, że dzisiaj rano nagrały się trzy wiadomości. Wycierając kurze, musiałam przez przypadek nacisnąć guzik odtwarzania, ponieważ zupełnie niespodziewanie...

Och, do diabła, kogo ja oszukiwałam? Tak bardzo chciałam się czegoś dowiedzieć, że gdybym natknęła się na sejf zamkniętą na śrubę kotwową, do jego otwarcia użyłabym wiertarki udarowej. Mizerny przycisk odtwarzania na pewno nie był w stanie mnie powstrzymać.

Pierwsza wiadomość, nagrana o 9.21, pochodziła od asystentki Chaunceya Howella i zawierała prośbę, aby Dan spotkał się z Chaunceyem jak najszybciej. Druga składała się z dziesięciosekundowej ciszy, po czym ktoś odłożył słuchawkę. Mniej więcej minutę później została nagrana trzecia wiadomość. Tym razem męski głos odezwał się chropawym szeptem.

„Nic się nie zmieniło, doktorze. Wiem, co zrobiłeś. Jeszcze jeden powód, żebyś siedział cicho”.

I odgłos gwałtownie odkładanej słuchawki.

Drżąc, raz jeszcze włączyłam odtwarzanie, przeskoczyłam dwie pierwsze wiadomości i zamarłam, gdy chropawy szept rozległ się ponownie, docierając do najdalszych kątów pokoju.

Tym razem słyszałam, jak ktoś wolno nabiera powietrza, zanim przemówi. Po czym nastąpiła przerażająca wiadomość: „Nic się nie zmieniło, doktorze. Wiem, co zrobiłeś. Jeszcze jeden powód, żebyś siedział cicho”.

Ręce trzęsły mi się jak szalone, ale raz jeszcze zdołałam włączyć odtwarzanie i wysłuchać niskiego rytmicznego głosu, przekazującego porażającą wiadomość. Ktokolwiek był jego

właścicielem, był też prawdziwym mistrzem: trzy wypowiedziane przez niego zdania brzmiały powściągliwie, ale groźnie, spokojnie, lecz przerażająco. Nie miałam pojęcia, o co w nich chodzi. Czułam się jak kajakarz złapany przez falę, miotany nią na wszystkie strony, ale zbyt zdezorientowany, aby wystawić głowę ponad wodę. Obeszłam gabinet, starając się uspokoić, po czym wróciłam do biurka i po raz kolejny odsłuchiwałam wiadomość.

Mózg miałam otepiały. Jeżeli istniał jakiś klucz do zrozumienia tej wiadomości, ja go nie miałam. Wpatrywałam się w automatyczną sekretarkę, jak gdybym chciała odkryć jej znaczenie, koncentrując się z całej siły na falach radiowych. Niczego jednak nie usłyszałam, nawet szumów.

Musiałam porozmawiać z Danem. Cokolwiek się działo, nie byłam w stanie sama tego odgadnąć.

Po kolacji przeczytałam Jimmy'emu trzy bajeczki o szczęśliwej króliczej rodzinie, nie zdradzając, że nasza szczęśliwa ludzka rodzina może rozpaść się w każdej chwili. Kiedy Jimmy zasnął, poszłam do swojego gabinetu, włączyłam komputer i przez godzinę płaciłam rachunki. Na początku miesiąca ktoś kupił cztery pary koszmarnie drogich butów u Charlesa Jourdana, płacąc moją kartą kredytową. Westchnęłam. To musiałam być ja. Ale beztrudnie zakupy na Rodeo Drive wydawały się takie odległe w czasie. Położyłam głowę na biurku, starając się zrozumieć, co się z nami stało.

- Masz jakieś plany na jutro?

Podskoczyłam. Nie słyszałam, kiedy wrócił do domu, i teraz, na dźwięk jego głosu, odwróciłam się gwałtownie.

Stał oparty o framugę drzwi, w szarych spodniach, jas-noblękitnej koszule polo, granatową marynarkę trzymając przewieszoną przez ramię. Włosy miał lekko zmierzwiłone, a nos muśnięty słońcem. Na pozór wyglądał jak uosobienie faceta z reklamy Ralphi Laurena - ale nie do końca. Dan był człowiekiem pokonanym. Poczulałam, jak pęka mi serce.

Wykonałam dzielące nas trzy kroki i pocałowałam go w policzek.

- Cześć! - powiedziałam z ożywieniem. - Jadłeś kolację? Dan wzruszył ramionami.

- Nie rób sobie kłopotu. Nie jestem głodny.

- Przygotuję ci coś do jedzenia - powiedziałam. Żaden kryzys nie pozwoli mi zapomnieć, że jestem dobrą żoną i gospodynią.

Dan skinął głową.

- Jakie więc masz plany na jutro? - zapytał ponownie.

- Rano odwożę dzieci do szkoły, a potem mam spotkanie z nową klientką.

Byłam zaskoczona, kiedy zadzwoniła do mnie nowa trzecia żona wziętego hollywoodzkiego producenta. Niechętnie przedstawiłam jej swoją sytuację, ale jej to nie przeszkadzało - musiała urządzić nową rezydencję i żadne pierwsze lepsze morderstwo nie było równie ważne, jak znalezienie odpowiedniej wazy z okresu dynastii Ming.

-Och.

Dan rozejrzał się po pokoju, spoglądając na litografię Warhola wiszącą nad moim biurkiem, jakby nigdy wcześniej jej tam nie widział. W zasadzie była to prawda. Ogromny czarno-biały kwiat był kiedyś pomalowany na żółto, ale kolor wyblakł, pozostawiając jedynie linie rysunku. W pracowni Warhola zaproponowali, że pomalują go na nowo i wystawią certyfikat autentyczności, ale nie zwracałam sobie tym głowy. Oto trwała wartość współczesnej sztuki.

- O dziesiątej mam spotkanie z Chaunceyem i pomyślałem, że mogłabyś pójść ze mną - powiedział Dan.

- Oczywiście. Umówię się z klientką na popołudnie. Nic nie jest ważniejsze od ciebie - rzekłam szybko. Znowu go pocałowałam. - Chodźmy do kuchni.

Dan rzucił marynarkę na balustradę. Schodząc ze schodów, starałam się zachowywać swobodnie, ale mogłam my-

śleć tylko o jednym. Czy po drodze na piętro Dan zajrzał do swojego gabinetu? Czy odsłuchiwał wiadomości pozostawione na automatycznej sekretarce?

Pierwsza wiadomość dotyczyła spotkania z adwokatem. Dan umówił się z nim na jutro, ale podejrzewałam, że asystentka Chaunceya porozumiała się z Danem osobiście; po telefonie do domu dzwoniąc na jego komórkę lub wzywając go przez pager. Jeżeli Dan nie odsłuchiwał jeszcze wiadomości w swoim gabinecie - w tym tej od tajemniczego mężczyzny - będę przy nim, kiedy usłyszy ją po raz pierwszy. Zobaczę wyraz jego twarzy i będę mogła ocenić pierwszą reakcję.

Wyjęłam patelnię i ustawiłam ją na przednim palniku kuchenki. Nie, to było nie w porządku. Dan był moim mężem, na miłość boską. Graliśmy w jednej drużynie. Nie musiałam go oszukiwać, śledzić, ani posuwać się do żadnych wybiegów w nadziei, że się z czymś zdradzi. Mogę rozmawiać z nim wprost.

-Dan.

Obróciłam się, by spojrzeć mu prosto w twarz. Stał po drugiej stronie kuchennej wyspy i otworzywszy katalog Sharper Image, w skupieniu przerzucał strony przedstawiające zwierzęta-roboty, fotele do masażu i odświeżacze powietrza. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego mężczyźni tak fascynują oczyszczacze powietrza - dlaczego ci sami, którym nie przeszkadza uciążliwy smród cygar Montecristo Caban, za wszelką cenę pragną stać się posiadaczami odświeżacza Ionic Breeze Quadra.

- Słucham? - zapytał, podnosząc na mnie wzrok.

- Mm... - umilkłam. Mój mąż. Jedna drużyna. Mogę go zapytać dosłownie o wszystko. Chrząknęłam. - Hm, kochanie, chcesz sałatkę z makaronu, która została z kolacji, czy wolisz omlet?

- Wszystko jedno. - Zamknął katalog, rezygnując z marzeń o zjonizowanym i czystym powietrzu. - Co ci łatwiej przygotować. Dziękuję ci, kochanie.

Wbiłam trzy jajka do miski, wymieszałam je z posiekaną cebulą, czerwoną papryką i rozdrobnionym serem jarlsberg.

- Co dzisiaj porabiałeś? - zapytałam. Jestem tchórzem, bez dwóch zdań.

- Nic specjalnego. Miałem kilku pacjentów. Głównie pracowałem nad artykułem do „Roczników chirurgii plastycznej”. Prawie go skończyłem.

- Przypomnij mi, o czym on jest?

- O pourazowej rekonstrukcji. Jak przywrócić pacjentowi twarz po wypadku. Wydawca twierdzi, że moja praca jest nowatorska. Prawdziwy przełom.

Westchnął, i mimo komplementu przygnębiony i tak oklapły, jak balon w kształcie Wielkiego Ptaka tydzień po paradzie Macys.

Wlałam jajka na patelnię i przyglądałam się, jak ser powoli się roztopia, podczas gdy jajka się ścinają. Tak się dzieje, kiedy robi się gorąco.

Niektórzy z nas miękną, inni twardnieją.

- Coś nowego w sprawie... - Nie dokończyłam zdania, bo jeszcze nie nauczyliśmy się o tym rozmawiać. Coś nowego w sprawie morderstwa? Coś nowego w sprawie dziewczyny, której nie zadusiłeś w brutalny sposób, chociaż ktoś to zrobił?

Dan od razu domyślił się, o co chciałam zapytać. Jeszcze bardziej oklapł na krześle.

- Nie - powiedział. - Zobaczymy, co jutro powie Chauncey.

Przełożyłam omlet na talerz i dla ozdoby dorzuciłam kilka truskawek i jagód. Jeżeli zabraknie mi zleceń na dekorację wnętrza, na pewno znajdę pracę w sieci restauracji IHOP.

- Ślicznie - powiedział Dan, kiedy podsunęłam mu talerz. - Dziękuję.

- Zrobić ci tosty?

- Bardzo proszę. Gdybyś była taka miła. Mój Boże, ależ jesteśmy dla siebie uprzejmi.

Szczęśliwa, że znalazłam pretekst, by się czymś zająć, z zapalem przygotowywałam tosty, smarowałam je masłem, kroiłam. Czułam się bezpieczniej, kiedy nie musieliśmy na siebie patrzeć.

- Wiem, że to zabrzmiało głupio - odezwałam się. - Ale tak sobie dzisiaj myślałam, że może ktoś cię wrobił w to morderstwo.

- Czemu miałby to robić?

- Nie wiem. Bo mógł. Bo chciał coś udowodnić. Nie mam pojęcia.

Dan jadł powoli, ze wzrokiem wbitym w talerz.

- Zobaczmy, co powie Chauncey - powtórzył, nie patrząc na mnie.

Zaniosłam talerz z kunsztownie ułożonymi tostami do stołu, postawiłam przed Danem i usiadłam.

- Na pewno wciąż o tym myślisz, tak samo jak ja - powiedziałam, nachylając się ku niemu. - Musiałeś dojść do jakichś wniosków.

Dan odłożył widelec.

- Owszem, myślę. Ale nie doszedłem do żadnych wniosków. Nie wiem, co się dzieje, Lacy. Naprawdę nie wiem.

Po raz pierwszy w życiu zastanawiałam się, czy mój mąż mnie okłamuje. Czy to przez tę wiadomość, którą odsłuchałam, czy też doszła do głosu żonina intuicja?

Podparłam ręką brodę.

- Musimy przejść przez to razem - rzekłam cicho. - Nie możemy mieć przed sobą żadnych sekretów. Nigdy się od ciebie nie odwrócę, choćbyś mi powiedział nie wiem co.

- Żadnych sekretów - powiedział Dan.

Ale nie patrzył na mnie, a ja nie wiedziałam, co też takiego interesującego jest w pustym talerzu.

Kiedy rano zjawiliśmy się w biurze Chaunceya, nie miał on dla nas żadnych przełomowych wieści, za to kazał nam pod-

pisać sześć różnych formularzy, zupełnie jakbyśmy finalizowali kupno domu, a nie mieli do czynienia z morderstwem. Potem pokazał nam kilka dokumentów, które zebrał - w tym policyjny raport i dane na temat Tashy Barlow.

Przejrzeliśmy je, po czym Chauncey wziął je od nas, ułożył porządnie na biurku, a sam splótł dłonie.

- Musimy omówić prawną strategię - powiedział, nachylając się ku nam. - Mamy jeszcze trochę czasu, ale chcę wam przedstawić opcje.

Co też uczynił. Umowy z prokuratorem. Porozumienie przedprocesowe. Orzeczenie sądowe. Staralam się nadażyć, ale wszystko to wydawało mi się bez sensu i w końcu straciłam cierpliwość.

- Czy nie powinniśmy szukać prawdziwego mordercy zamiast zajmować się czymś takim? - zapytałam.

- Nie ma niezawodnej strategii prawnej - odparł Chauncey. - Wszystko może się w każdej chwili obrócić przeciwko nam.

- To znaczy, że komuś morderstwo ujdzie na sucho, a my tymczasem będziemy ustalać strategię? - Cała się gotowałam z oburzenia, usilnie starając się tego nie okazywać, ale Chauncey nieraz miał do czynienia ze zdenerwowanymi klientami.

- Chcę ustalić, co będzie najlepsze dla Dana - powiedział.

- To znaczy?

- Jeszcze na to za wcześnie. Ale musimy być realistami. Możemy na przykład zgodzić się na zarzut nieumyślnego spowodowania śmierci z wyrokiem dziesięć do piętnastu lat. Dan mógłby wyjść po trzech latach. Myślę, że prokurator by się do tego przychylił.

- Dan jest niewinny. Po co mamy iść na układ z prokuratorem?

- Ponieważ alternatywa przedstawia się dość ponuro, Lacy. Jeżeli uznają go winnym, wyrok to dwadzieścia pięć lat do dożywocia. Nie zapominaj o tym.

- Ale on jest niewinny.

- Rozumiem.

Wstałam i postąpiłam krok w stronę Chaunceya.

- Nie, ty tego nie rozumiesz - rzekłam podniesionym głosem. - Gdybyś rozumiał, nie kazałbyś iść Danowi do więzienia ot, tak sobie, dla zabawy.

- Ty wiesz, że on jest niewinny. Ja też mogę być o tym przekonany - przemówił Chauncey łagodnie. - Ale jeśli sprawa trafi do sądu, wszystko może się stać.

- Ale on jest niewinny - powtórzyłam. Chciałam się na niego rzucić i zmusić, żeby zaczął w końcu słuchać. Ale tylko walnęłam pięścią w jego biurko. - Niewinny, słyszysz? Niewinny. To jest nasz punkt wyjścia.

- Oczywiście.

Obróciłam się i popatrzyłam na Dana, który siedział skulony na kanapie, nie włączając się w moją tyradę. Odetchnęłam głęboko i poszłam usiąść obok niego. Chauncey spoglądał na mnie ze współczuciem.

- Przykro mi, Lacy.

Odetchnęłam jeszcze raz. Nie rozplaczę się.

- Nie. To mnie jest przykro. Przepraszam cię. Nie chciałam sprawiać problemów. Chcę tylko, żeby to się skończyło. I wciąż myślę, że jest coś, co nam umyka. Coś, czego Dan nie potrafi połączyć z tym wszystkim.

- W takim razie zacznijmy łączyć - rzekł Chauncey. Przez chwilę wszyscy milczeliśmy.

I nagle dotarło do mnie, że fakty są istotne, ale liczy się też to, jakim Dan jest naprawdę człowiekiem.

- Dobrze - powiedziałam w końcu. - Proszę bardzo. Oto, co się łączy. Bak pełen benzyny.

- Benzyny?

Chauncey otworzył teczkę, jak gdyby spodziewał się znaleźć w policyjnym raporcie jakąś wzmiankę o paliwie - ropie, benzynie zwykłej bądź super.

- Rano zawsze bardzo się śpieszę i któregoś dnia kilka lat temu zeszłam do garażu, żeby odwieźć dzieci do szkoły i okazało się, że mój bak w cudowny sposób z pustego zamienił się w pełny.

Popatrzyłam na Dana, który uśmiechnął się lekko, choć wcale nie był rozbawiony.

- Wcześniej rano, przed wyjściem do pracy Dan zatankował mój samochód - wyjaśniłam. - Nie lubię zajmować się samochodami, więc zrobił mi taką małą, miłą niespodziankę, żeby dzień dobrze mi się zaczął. Niczego nie chciał w zamian. Po prostu cieszył się, że może coś dla mnie zrobić.

Chauncey zdjął okulary i pomasażował sobie nasadę nosa. Wiedziałam, że nie wie, do czego zmierzam, ale ponieważ tyle mu płaciliśmy, mógł mi pozwolić paplać o samolotach, pociągach czy samochodach, skoro taka była moja wola.

- Mężczyźni nie zawsze mówią wprost - ciągnęłam, starając się wyjaśnić, o co mi chodzi. - Zapominają o kwiatkach na urodziny. Nie wiedzą, że walentynki wypadają w lutym. Ale wyrażają się na swój sposób. W dobrym małżeństwie kobietą wie, co mąż chce jej powiedzieć.

Napełniając mi bak, Dan lepiej wyraził swoją miłość do mnie, niż kupując mi jakąś błyskotkę u Buccelattiego.

Chauncey popatrzył na Dana, który był chyba lekko zażenowany.

- Lacy i ja robimy sobie nawzajem różne drobne przysługi. Nic wielkiego - powiedział.

Usiadłam wygodniej. To b y ł o coś wielkiego. Każdy mąż może zamówić przez telefon kwiaty. Ale ilu z nich pojechałoby z własnej, nieprzymuszonej woli na stację benzynową o szóstej rano? Chauncey musiał zrozumieć, jaki Dan jest naprawdę. Musiał uważniej słuchać. Podobnie jak ja.

Rozdział szósty

Nie miałam pojęcia, że jadę do mieszkania Tashy Barlow, dopóki prawie się tam nie znalazłam. Po wyjściu z biura Chaunceya przez kilka minut jeździłam bez celu, kiedy nagle zorientowałam się, że jestem na Pico Boulevard i kieruję się na zachód. Adres, który zobaczyłam w policyjnym raporcie u Chaunceya, utkwił mi w pamięci. Mieszkanie w pobliżu oceanu wydawało się dość eleganckie jak na dziewczynę z Twin Falls i zastanawiałam się, jakim cudem Tasha mogła sobie na nie pozwolić. Kiedy dzieliło mnie od niego tylko kilka przecznic, zatrzymałam się na czerwonym świetle i rozejrzałam po okolicy - sklep Jack's 99 Cent, sklep spożywczy 7 Eleven, kilka straganów z owocami i małe drogowskaz „PLAŻA MIEJSKA, 3 KILOMETRY”. A więc to tak. Nie było tu żadnych nadmorskich rezydencji. Tasha na pewno chwaliła się koleżankom, że mieszka przy plaży, ale jedyny powiew oceanu pochodził ze sklepu rybnego tuż obok.

Zaparkowałam przed jej budynkiem i zauważyłam strzępy żółtej policyjnej taśmy zwisające smętnie z drucianego ogrodzenia. Jeszcze jeden powiewał na pobliskim słupie telefonicznym. Policja zjawiała się i poszła sobie, najwyraźniej uznając, że ich śledztwo w tym miejscu dobiegło końca.

Przy wejściu do budynku przeczytałam karteczki z nazwiskami obok dzwonek. Przy numerze 4C widniały dwa: BARLOW/WILSON. Zadzwoiłam. Nic. Ale kiedy już miałam odejść, rozległo się skrzekliwe: „Kto tam?”

- Cześć, jestem Lacy - powiedziałam. - Chciałam porozmawiać o Tashy.

- To znaczy?

Cóż, dobre pytanie.

- Hm, jestem znajomą Roya Evansa.

Interkom umilkł. Po chwili rozległ się brzęczyk i mogłam wejść.

Zebrałam się na odwagę, pchnęłam drzwi i znalazłam się w mrocznym obskurnym korytarzu. Zobaczyłam kolejne drzwi i kiedy przez nie przeszłam, ponura atmosfera czynszowej kamienicy znikła, a ja znalazłam się na otwartym dziedzińcu, na którym znajdował się wielki basen. Woda była brudna, większość leżaków wyglądała na połamane, ale dziedziniec skąpany był w słonecznym blasku, dodającym miejscu urody. Musiałam się roześmiać. Po dzieciństwie spędzonym w płaskim, rolniczym Ohio zawsze uważałam, że nawet najędzniejsze przybytki mieszkalne w Los Angeles nie są takie najgorsze. Budynek, w którym znajdowało się mieszkanie Tashy, był pięciopiętrową konstrukcją w kształcie litery L, z klatką schodową umieszczoną pośrodku. Weszłam na czwarte piętro i ruszyłam zewnętrznym korytarzem.

Ale mieszkanie 4C nie istniało.

Co tu się dzieje? Na drzwiach widniały numery 3D, 4D, 5D...

Przystanąłam, po czym zeszłam piętro niżej. No jasne, nawet numeracja mieszkań w Hollywood musiała być kreatywna: 1C, 2C, 3C... Stałam przed kolejnymi drzwiami i zapukałam.

Kobieta, która otworzyła mi drzwi, miała jakieś dwadzieścia kilka lat, ale była gruba - niegrzecznie tak mówić

- i miała czarne włosy, które koniecznie trzeba by umyć. Biały T-shirt marszczył się na jej wielkim, obwisłym brzuchu, a z czarnych szortów wystawały blade, otyłe nogi.

- No? - zapytała. - Roy chce mi coś powiedzieć?

Chyba zbyt długo zwlekałam z odpowiedzią, bo dziewczyna popatrzyła na mnie wściekle i niecierpliwie potrząsnęła głową.

- Spakowałam jego taśmy - powiedziała. - Niech pani wejdzie. Może mu je pani oddać. Nie chcę go więcej widzieć.

Promienie słońca, w których był skąpany dziedziniec, tutaj nie docierały i chwilę trwało, zanim moje oczy przywykły do mroku. Potem musiały jeszcze przywyknąć do mrocznego wystroju: zniszczonej brązowej sofy, z błyszczącymi pomarańczowo-czerwonymi poduszkami, stojącej chwiejnie na zwykłym tweedowym dywanie, będącym zapewne stałym wyposażeniem mieszkania. Brązowa dwuosobowa kanapa stała pod dziwnym kątem, prawdopodobnie mając w ten sposób zasłonić wielką ciemną plamę na dywanie. Na rozchwierutanym bambusowym stoliku umieszczono niewielki telewizor, całości zaś dopełniały dobrane na chybił trafił lampy i stół z laminatu. Pokój od dawna nie był malowany, a ponura beżowa farba popękała i miejscami odłaziła od ścian.

- Taśmy są w pokoju Tashy - oznajmiła moja przewodniczka.

Pchnęła zamknięte dotąd drzwi wiodące do sypialni - i wprost oniemiałam. Wrażenie, że z piekła trafiłam do nieba, było jeszcze silniejsze niż na dziedzińcu. Prywatne sanktuarium Tashy wyglądało jak pałac, połyskujący w delikatnych odcieniach beżu i bieli. Centralne miejsce zajmowało ogromne mosiężne łóżko, przykryte kołdrą ze złocistej mory, ze stosem ozdobnych, niezwykle kosztownych, krytych jedwabiem poduszek. Na grubym, białym dywanie z pluszu leżał delikatny perski kobierzec, a ściany pokrywały tapety w delikatny wzór. W oknach wdzięcznie falowały firanki z prze-

zroczystej tkaniny - mogłabym przysiąc, że to Scalamandre. Co prawda ogromny plazmowy telewizor i ciężki mosiężny zamek w drzwiach trochę psuły efekt, ale nie zakłócały wrażenia ogólnego przepychu.

- O rany - powiedziałam. - Prezenty od Roya? - domyśliłam się.

Dziewczyna prychnęła pogardliwie.

- Nic z tego. Ten wielki pan Roy tylko udaje hojnego, że niby daje takie duże napiwki, i takie tam, ale to skąpiradło. Może mu pani to powtórzyć. - Jej oczy napęłniły się łzami. - Terry też o tym wiedziała.

Podeszła do szafy i drżącymi rękami wyjęła z niej torbę na zakupy z Whole Foods, którą mi wręczyła. W środku znajdowały jakieś ubrania i upchnięte byle jak taśmy wideo i płyty DVD - niektóre w porządnie opisanych pudełkach, inne wrzucone luzem.

- Niech mu je pani odda - powiedziała. - I powie mu, że to od Nory. Niech mu pani powie, że są beznadziejne.

- Co na nich jest? - zapytałam.

- On - odpowiedziała. - W programach. Uwielbiał oglądać siebie, kiedy szedł do łóżka z Terry. Obrzydliwe, nie? Terry uważała, że to zabawne, ale według mnie to chore. Powiedziałam jej: „Na co mu ty, skoro on sam siebie kręci?”

Spojrzała na mnie, oczekując reakcji, ponieważ jednak nic nie powiedziałam, mówiła dalej.

- Najbardziej lubił „Vabank z gwiazdami”. Zna pani ten program? Raz w nim był i wygrał dziewięć tysięcy dolarów Wielkie mi coś. - Zniżyła głos o oktawę, nieźle naśladowując monotony, śpiewny sposób mówienia gospodarza programu Alexa Trebeka. - Ostatnia kategoria: kapele rockowe. Odpowiedź: Nie gromadzi się na nim mech. - Wróciła do własnego głosu. - Ho ho ho. „Co to jest Rolling Stone?”. Udało mi się. Mojej prababci też by się udało. Ale kazał nam to z Terry oglądać tyle razy, jakby dostał nagrodę Nobla.

Uśmiechnęłam się złośliwie. Oglądać taśmy z samym sobą, leżąc w łóżku. Nawet jak na Hollywood był to wyjątkowy przykład narcyzmu. Założę się, że nagranie z Jennifer Lopez także wylądowało w torbie. Roy Evans był bez wątpienia zafascynowany sobą bardziej niż czymkolwiek innym na ziemi.

Nora jednak była daleka od fascynacji.

- Niech pani powie swojemu kumplowi Royowi, że okropna z niego kanalia - powiedziała, powstrzymując Izy.

- I ma fart, że kogo innego ubrali w to morderstwo.

Chwilę trwało, zanim uzmysłowiłam sobie, że ten „ktoś inny” - ten, kogo ubrali w morderstwo - to Dan.

Nora wróciła do salonu, a kiedy podążyłam za nią, dostrzegłam na wpół spakowaną walizkę w kącie.

- Wyprowadzasz się? - zapytałam.

- Nie w tej chwili. - Podążyła za moim wzrokiem. - Chodzi pani o walizkę? Nie zdążyłam się jeszcze rozpakować. Nie było mnie, kiedy... - Zawahała się, ponieważ podobnie jak ja, jeszcze nie wiedziała, jak ma mówić o morderstwie. - Kiedy... t o się stało, byłam u rodziców w Twin Falls. Byłam też u rodziców Theresy. Dali mi jej koronę Miss Ziemniaka Idaho, żebym jej przywiozła. - Znowu zebrąło jej się na płacz.

- Kiedy Terry stała się sławna, nie zostawiłam jej. Musiałam ją chronić. Ale teraz już jej nie mam po co chronić.

Zaczęłam rozumieć. Theresa, najładniejsza dziewczyna w Twin Falls w Idaho, zebrała pieniądze i odwagę i uciekła z zapyziałego miasteczka, żeby spróbować szczęścia w Hollywood. Nora, jej lojalna przyjaciółka pojechała razem z nią, żeby ją wspierać.

- Myślisz, że policja złapała właściwego faceta? - zapytałam.

- To znaczy, czy myślę, że to zrobił Roy? - Popatrzyła na mnie, chyba po raz pierwszy. - Pani jest jego nową dziewczyną?

- Hm, nie. W zasadzie nie.

- Niech pani lepiej uważa. Na początku jest słodki, ale to zbok, mówię pani. Zawsze wymyśla jakieś dziwactwa. Kazał jej nosić szpilki w łóżku. Mówił, że lubi babki w wysokich obcasach. Przynosił sprośne gazety i pornosy i lubił ją wiązać, i takie tam. No i wciąż oglądał taśmy z sobą. Theresa mówiła, że musi sobie zrekompensować, bo ma naprawdę małego.

Takie rozmowy to nie moja liga.

- Kiedy się dowiedziałam o... - Nora zachłysnęła się - o... tym, co się stało, nie pomyślałam, że to Roy. Pomyślałam sobie: „Johnny. O mój Boże. Znowu mu odbiło”. - Wzruszyła ramionami. - Co za ironia. Theresa zadawała się ze świrem i byłym skazańcem, a w końcu zrobił to doktor. Bo to on. On tu był, wtedy w nocy.

Poczułam, jak ściska mnie w piersiach.

- Z doktorem też się zadawała? - zapytałam, starając się, aby zabrzmiało to nonszalancko. Chyba mi się nie udało.

- Nie wiem. - Pociągnęła głośno nosem i wytarła go wierzchem dłoni. - Za dużo było ludzi, z którymi się zadawała. To podłe miasto. Zmusza dziewczyny, żeby robiły okropne rzeczy. Ale Johnnynego kochała, wie pani? I Johnny też ją kochał. Roy ją tylko wykorzystywał. Zawsze jej mówiłam: „Terry, on cię wykorzystuje dla seksu”. A ona mówiła: „Tak, ale ja jego też wykorzystuję”. Wymyśliła sobie, że pomoże jej w karierze. Ale on tego nie zrobił. Wiedziałam, że tak będzie. Troszczył się tylko o siebie.

Nora usiadła na rozklekotanej kanapie, wygrzebała na wpół schowaną pod jedną z poduszek chusteczkę i głośno wydmuchała nos.

- Chcę powiedzieć Johnnynemu, że Terry bardzo go kochała - rzekła. - Chcę mu powiedzieć mnóstwo rzeczy. Ale on nie zadzwonił ani nic. Chyba się boi.

- Siedział w więzieniu? - zapytałam. To mogło być interesujące.

- Tak, ale całkiem się zmienił. Johnny DeVito. Siedział chyba sześć lat. A może osiem. Opowiedział Terry o wszystkim. Kupował jej wszystko, co chciała. Wszystko w jej sypialni jest od niego. Wciąż jej mówił, jaka jest piękna, i nie mógł uwierzyć, że go kocha, bo jest taki... - Jej głos ucichł i potarła nos chusteczką.

- Jest jaki?

- Brzydki - powiedziała Nora po prostu. - Jest brzydki. I jedyne, czego nigdy nie chciał powiedzieć, to skąd ma te wszystkie blizny na twarzy. Postawiłam torbę z taśmami, którą wciąż trzymałam w ręce i opadłam na kanapę obok Nory. Ponieważ bardzo chciała się wygadać, a ja byłam akurat pod ręką, nie kazała mi sobie pójść.

- Mówiłaś o tym wszystkim policji? - zapytałam. Potrząsnęła głową.

- Przecież byłam w Twin Falls, nie pamięta pani? Kiedy wróciłam, już złapali tego faceta. Tego całego doktora. Mój kolega Tony mówi, że jak policja wie, kto to zrobił, nic innego ich nie obchodzi. Po prostu robią swoje. Jak z Robertem Blade. Albo z O.J.

Czy Nora uważała, że w tamtych sprawach policja złapała właściwych sprawców, czy też wręcz przeciwnie? Byli winni, czy niewinni? Cóż, to nie nasza sprawa, jak powiedziałaaby Ashley.

- Skoro policja uznała, że doktor jest winny jakie ma dowody? - zapytałam, starając się mówić spokojnym głosem.

Chauncey powiedział, że jak dotąd prokuratura nie podzieliła się z nim żadnymi informacjami, może więc mnie uda się czegoś dowiedzieć.

- Wszystkie - odparła Nora, obgryzając skórkę przy kciuku. - Naocznego świadka. Odciski palców. DNA. Gracie Adler, która mieszka obok, widziała go, jak wchodził do mieszkania. Słyszała, jak Terry krzyczy na całe gardło... - Nora przerwa-

la, po czym unosząc głos o pół oktawy, zaczęła naśladować Tashę. -
Niech pan przestanie, doktorze Fields. Niech pan przestanie, doktorze
Fields, niech pan przestanie!

Czułam, że drzę od czubka głowy po koniuszki palców u stóp.

- W Los Angeles na pewno jest niejeden doktor Fields

- powiedziałam, żeby powiedzieć cokolwiek.

- Ale był samochód - powiedziała Nora z namaszczaniem. - Gracie
widziała go na parkingu dwa albo trzy razy. Granatowy mercedes 520 z
rejestracją „BESTDOC”. Trudno coś takiego przegapić, no nie? Gracie
kiedyś mnie o to pytała. Mówi, że nie jest wścibska, ale w jej wieku
przydałby się jej taki Best Doc, najlepszy lekarz, więc kiedy zobaczyła, że
przyjechał, sprawdziła, dokąd poszedł.

Tablice rejestracyjne z napisem „BESTDOC” Dan dostał od personelu
biura na Boże Narodzenie. Z początku był skrepowany, ale oni się nie
poddawali, i w końcu stały się jego znakiem rozpoznawczym.

- Może ktoś inny przyjechał jego samochodem - odezwałam się ochryple.

- Ktoś, kto się pod niego podszył.

- Policyjny rysownik zrobił portret na podstawie opisu Gracie i okazało
się, że doktor wygląda dokładnie tak samo jak na rysunku. Poza tym
jego odciski palców były na kieliszku. - Wskazała na zdezelowany barek
pełen butelek z alkoholem i puszek z piwem. - Tam znaleźli dwa kieliszki
- na jednym były odciski doktora, na drugim Terry.

- A DNA? - zapytałam słabym głosem.

- Wyrzucił chusteczkę do kosza na śmieci. Też się zgadzało. On tu był.

Zabił ją. Gdybym tylko była w domu... - Znowu zaczęła płakać, a ja
wstałam i podeszłam do okna, żeby przekonać się, czy jestem w stanie
poruszać kończynami. Poza tym byłam kompletnie otepiała. Usłyszałam
dość.

- Przykro mi z powodu twojej straty - szepnęłam ledwie słyszalnie. -

Pójdę już.

Nora otrząsnęła się.

- Proszę zaczekać. - Pociągnęła głośno nosem i popatrzyła na kciuk, który obgryzała. - Czy może pani zapytać Roya o jedną rzecz? Niech go pani spyta, czy dał kiedyś Terry jakieś pieniądze.

- Pieniądze? - powtórzyłam bezmyślnie. - Za co?

- Nie wiem dokładnie. Może za te dziwactwa, które tak lubił. Gliny znalazły kopertę od doktora, pełną forsy. Było tego kupę - chyba jakieś pięć tysięcy dolarów. Teraz myślą, że wszyscy faceci płacili Terry pieniądze, a ona była... robiła to zawodowo, wie pani, o co mi chodzi. Za tyle kasy doktor musiał chcieć czegoś naprawdę sprośnego. Jeszcze bardziej niż Roy. I prawdopodobnie wtedy ją udusił.

Zachwiałam się, jakby Nora grzmotnęła mnie czymś ciężkim w głowę. Pociemniało mi w oczach i musiałam oprzeć się o kanapę, żeby się nie przewrócić.

- Nie zniosłabym tego, gdyby okazało się, że Terry stała się dziwką - mówiła dalej Nora, nie zauważając mojego stanu. - Przekłula sobie język i pokazała mi złoty kolczyk. Ale to nie znaczy, że kazała sobie płacić za obciążanie druta. Faceci ją uwielbiali za to, jaka była. Pewnie nawet ten doktor. Mówiła, że musi robić to, co musi, ale...

Nie czekałam na dalszy ciąg. Wyszłam.

Załamana pojechałam wzdłuż wybrzeża i wysiadłam w Santa Monica Palisades, przyłączając się do tłumu przechadzającego się po promenadzie. Wysportowane młode kobiety w szortach do joggingu ze spandeksu i brzuchaci producenci w średnim wieku wyprowadzający swoje wypielegnowane psy mieszały się z bezdomnymi rozwalonymi na trawie, do czego mieli prawo od czasów, gdy Jerry Brown był burmistrzem. Zeszłam po długich schodach wyżłobionych w skale, przeszłam pod Pacific Coast Highway i znalazłam się na plaży. Zrzuciłam moje błyszczące sandałki od Sigersona

Morrisona i przecięłam szeroką piaszczystą plażę, omijając deskorolkowców, rowerzystów i grających w siatkówkę. Zatrzymałam się dopiero, kiedy chłodne wody Pacyfiku zaczęły ochlapywać mi kostki. Stałam wpatrzona w ocean. Nagle wszystko uległo zmianie. Opowieść Nory nie była zbyt piękna, ale prawdopodobnie w miarę dokładna. Jak mogłam udawać, że Dan nie miał nic wspólnego z Tashą Barlow? Wbrew jego wypowiedzanym szeptem zaprzeczeniom i spojrzeniu zbitego psa, musiałam spojrzeć w faktom oczy.

Weszłam odrobinę głębiej do wody i przyglądałam się liściowi unoszącemu się na łagodnej fali. Co ja teraz miałam począć? Byłam żoną człowieka, który być może popełnił morderstwo. Poruszałam stopą tam i z powrotem, tworząc małe wiry z wody i piasku. Z jednej strony mogłam się zabić. Wystarczy, że wypłynę w ocean i poczekam, aż woda mnie pochłonie. Jak Wirginia Woolf, chociaż nie obciążę sobie kieszeni kamieniami. Albo jak bohaterka powieści Kate Chopin *Przebudzenie* ulegnę złudnie kuszącemu wezwaniu morza. Swoją drogą, to wspinała powieść. O rany, Nora mnie przebudziła, nie da się ukryć.

Ale nie, dawno temu straciłam prawo do takiego braku umiaru (nawet w wyobraźni). Miałam trójkę wspaniałych dzieci. Chcę, żeby wiedziały, że złe nowiny to jeszcze nie koniec świata. Bez względu na to, co się wydarzyło, trzeba się pozbierać i iść dalej.

Cofnęłam się o kilka kroków i klapnęłam na piasek, odczuwając przewrotne zadowolenie, że moja jedwabna spódnica od Escady przesiąka wilgocią. Dan był w tamtym mieszkaniu tej nocy, kiedy Tasha Barlow została zamordowana. Przyszedł z plikiem pieniędzy. Pił wino. Spędził czas z kobietą, która - według policyjnych raportów - została znaleziona naga, w samym tylko różowym, obszytym piórami marabuta szlafrocisku. Tasha Barlow była gotowa

spełnić każdą fantazję mężczyzny, jeżeli mogła dostać coś w zamian, czy to referencje w życiorysie, czy kopertę z pieniędzmi. Jeżeli Dan poszedł do niej, żeby uprawiać z nią perwersyjny seks, coraz więcej kawałków układanki zaczynało do siebie pasować.

Fale uderzały rytmicznie o piasek, ich małe spienione czubki nadbiegały i cofały się, nadbiegały i cofały się. W oddali kołysało się z wdziękiem kilka łódek, poza tym jednak ocean był spokojny i pusty, ogrom głębokiego błękitu rozciągający się w nieskończoność. Nie wiem, dlaczego przypomniał mi się dzień jakiś miesiąc po moim przyjeździe do Los Angeles. Spotkaliśmy się z Danem na imprezie i zaczęliśmy się spotykać. Poszliśmy na spacer w Malibu, poznając się nawzajem. W pewnej chwili Dan rozpostarł ramiona i mruknął: „Kiedy patrzę na bezkres oceanu, zawsze zastanawiam się nad ogromem wszechświata”. Ogrom wszechświata? Szczeniackie i zuchwałe. Zastanowiłam się przez ułamek sekundy, po czym odpowiedziałam kpiąco: „Ja jestem z Ohio. Kiedy patrzę na bezkres oceanu, zawsze zastanawiam się, czy mogłabym nauczyć się surfować”. Dan przystanął, a we mnie zamarło serce, że ten przystojny, błyskotliwy mężczyzna, który potrafi być poważny nawet na plaży w słoneczny dzień, uzna mnie za zbyt beztroską. On jednak uśmiechnął się i powiedział: „To chyba o wiele lepsza myśl”. Później, kiedy nadszedł wieczór, wrócił ze mną do mojego małego pokoiku w Sunset Vue Motel i po raz pierwszy kochaliśmy się. Kiedy po wszystkim leżeliśmy objęci, zaspokojeni i świeżo zakochani, wyszeptalam: „Po tym, co właśnie zrobiłeś, nagle poczułam ogrom wszechświata”. Potem stało się to naszym żartem - ogrom wszechświata. Życie i miłość były nieskończone, bezkresne. Tyle możliwości, taka obfitość ziarenek piasku. Wzięłam garść gładkich połyskujących drobinek i pozwoliłam, żeby przesypały mi się przez palce. O ilu takich możliwościach myślałam teraz?

Dobra, spróbujmy od nowa. Może Dan rzeczywiście był u Tashy, ale czy to musiało oznaczać, że chciał z nią uprawiać perwersyjny seks? Nie musiał jej też zabić. Przyjmując taki scenariusz, musiałabym odrzucić wszystko, co wiem o swoim mężu. Kiedy na początku tego całego zamieszania Dan powiedział, że nigdy nie wiedział, ani nie słyszał o Tashy Barlow, mówił prawdę. Był autentycznie zaskoczony. Żaden zebrany przez policję dowód, nawet jeżeli to było DNA, nie mógł bardziej przekonujący od prawdy, którą знаła żona.

Czy rzeczywiście? Ilu mężczyzn wiodło drugie, sekretne życie, o którym ufne małżonki nie miały pojęcia? Kilka razy oglądałam Jerry'ego Springera. Znałam mężczyzn, którzy lubili przebierać się za kobiety, czy od czasu do czasu odwiedzać miejscowe dominy. Kiedyś w „Vanity” czytałam artykuł o żonatym angielskim lordzie, który umarł, bo udusił się podczas spotkania z prostytutką, dzięki której miał osiągnąć nowe szczyty erotycznych doznań.

Ale tamte żony nie znały swoich mężów tak dobrze, jak ja znam swojego. Zesłam z plaży i wróciłam do samochodu. Chciałam pojechać do domu i porozmawiać z Danem, ale przedtem musiałam jeszcze coś załatwić. Skierowałam się na wschód, jadąc z powrotem Pico, aż dotarłam do Beverly Boulevard, przed dobrze mi już znaną kancelarię. W mokrej i pobrudzonej piaskiem spódnicy klejącej mi się do nóg i z rozmazanym przez oceaniczną wilgoć makijażem wjechałam windą prosto z garażu, minęłam recepcjonistkę, informując ją, że idę się zobaczyć z panem Howellem, po czym uśmiechając się radośnie do asystentki Chaunceya, weszłam przez otwarte drzwi prosto do jego gabinetu. Kiepską mają tu ochronę.

Chauncey popatrzył na mnie zaskoczony, ale będąc prawnikiem z krwi i kości, błyskawicznie zapanował nad wyrazem twarzy.

- Lacy, wejdź, proszę - powiedział serdecznie, jak gdyby zaprosił mnie na popołudniową herbatkę i ucieszył się, że wreszcie przyszedłam.

Zdjął okulary do czytania i gestem zaprosił, abym usiadła. Ja jednak, nie tracąc rezonu, uparcie stałam w swoich brudnych sandałkach na jego antycznym tybetańskim dywanie.

- W zeszłym tygodniu Jimmy zmoczył się do łóżka - powiedziałam, nie tracąc czasu na powitanie. - Ostatni raz mu się to zdarzyło, kiedy miał dwa lata.

Chauncey otworzył usta - może chciał mi przypomnieć, że jest prawnikiem, a nie dziecięcym psychologiem - ale zaraz je zamknął.

- Ashley została punkiem i uciekała ze szkoły - ciągnęłam. - Grant stara się zachowywać normalnie, ale Bóg jeden wie, jak mu się uda zdać egzaminy w przyszłym miesiącu. Moja rodzina się rozpada.

- Rzeczywiście przechodzicie ciężki okres, i w najbliższym czasie chyba nie będzie łatwiej - rzekł spokojnie Chauncey.

- Czy dlatego dzisiaj rano proponowałeś nam, żeby Dan poszedł na ugodę? Żeby oszczędzić nam samozniszczenia podczas procesu?

- Nie proponowałem, żeby Dan poszedł na ugodę. Przedstawiałem wam różne opcje.

- Być może uznałeś to za najlepszą opcję, ponieważ wiedziałeś to, co ja także już wiem - powiedziałam. - Że Dan był u Tashy Barlow tej nocy, kiedy zginęła.

Chauncey założył obsadkę na swoje pióro Mont Blanc, droższe o jakieś sześćset dolarów od długopisu, którym posługiwał się w sądzie, i popatrzył na mnie.

- Wiesz na pewno, że Dan tam był?

- W zasadzie tak. Ty także wiedziałeś, prawda?

- Przypuszczałem - rzekł po trwającym ułamek sekundy wahaniu.

- Dlaczego nie powiedziałeś o tym dzisiaj rano? Dlaczego nie zapytałeś Dana?

- Nie znam jeszcze wszystkich oficjalnych raportów. Prokurator nie ma obowiązku mi ich dostarczyć, ale znamy się wystarczająco długo. Kiedy dowiem się więcej, ostrożnie przedstawię to Danowi. W tej chwili nie chciałem, żeby twój mąż powiedział coś - mnie czy komukolwiek - co musiałby później sprostować.

- To znaczy, że wolisz nie wiedzieć, czy jest winny.

- Dzisiaj rano wyczułaś, że nie jestem do końca przekonany o jego niewinności. W ciągu dwudziestoletniej praktyki nauczyłem się nie wyciągać pochopnych wniosków. Życie, podobnie jak prawo, należy interpretować - powiedział, jak gdyby czytał z tablicy informacyjnej pana Morlanda.

- Dobrze, w takim razie zinterpretuj to - powiedziałam, podchodząc do niego. Moja spódnica falowała ciężko, przy każdym kroku sypiąc piaskiem niczym czarodziejskim proszkiem. - Uważam, że Dan jest niewinny. Nie obchodzi mnie, gdzie był tamtej nocy. Może zabójcą jest Johnny DeVito. Słyszałaś o nim? To były więzień, z którym Tasha się spotykała i który dawniej miał skłonności do przemocy. Dawał jej mnóstwo prezentów, a ona go kochała. Czy nie sądzisz, że jest bardziej prawdopodobnym kandydatem na mordercę niż Dan?

Chauncey zanotował coś w leżącym przed nim notesie.

- Były więzień ze skłonnościami do przemocy spotyka się z kobietą, która ginie - powtórzyłam z naciskiem. - Podejrzane, prawda?

- Może - rzekł Chauncey niezobowiązująco.

- Wiedziałaś o Tashy Barlow i Johnnym DeVito? Czy w ogóle ktoś wiedział? Czy policja prowadzi w jego sprawie śledztwo, czy skupiła się wyłącznie na Danie? Słowo daję, Chauncey, uważam, że powinniśmy to wiedzieć, zgodzisz się ze mną? - Powiedziałam to zdecydowanie za szybko, tak wy-

sokim i piskliwym głosem, że miał szansę roztrzaskać stojący na biurku kryształowy zegar od Baccarata. Chauncey tylko westchnął.

- Lacy, posłuchaj. Nie wiem, skąd to wszystko wiesz. Sprawdzę tego Johnny'ego. Ale musisz ostrożnie podchodzić do tego rodzaju informacji.

- Pochodzą z pewnego źródła.

- Niewątpliwie - odparł Chauncey. Ale nie zapytał o nic więcej.

- Musisz jeszcze coś sprawdzić - powiedziałam jeszcze głośniejszym głosem, podnosząc głos o kolejną oktawę. Może uda mi się przynajmniej roztrzaskać kryształową patelnię na słodycze. - Chciałabym wiedzieć, czy odciski Johnny'ego DeVito były na kopercie, według policji przyniesionej przez Dana.

Chauncey zmarszczył brwi.

- Jakiej kopercie?

- Tej, w której były pieniądze.

- Lacy, nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Uśmiechnęłam się triumfalnie. Chauncey nie znał faktów, które policja wyjawiała lojalnej przyjaciółce Tashy, Norze. Nagle to ja byłam lepiej poinformowana.

- Dan zostawił kopertę pełną pieniędzy w mieszkaniu Tashy - stwierdziłam autorytatywnie, odrzucając wilgotne, przesiąknięte solą włosy. - Według policji, Dan, hm, poszedł do Tashy Barlow w konkretnym celu. Ale to idiotyczne. Chauncey, przecież widziałeś Dana. To ostatni mężczyzna w Hollywood, który musiałby płacić za seks.

Ledwie wypowiedziałam te słowa, zrozumiałam, jak żałośnie musiałam wypaść - oszukana żona, która nie rozumiała, że jeżeli jej przystojny Dan szukał panienki, marząc o perwersyjnym seksie, tym samym plasował się w tej samej lidze, co Hugh Grant, Charlie Sheen i mnóstwo innych facetów, którzy teoretycznie nigdy nie muszą za to płacić.

Chauncey potarł skroń.

- Rzeczywiście, krążą pogłoski, że ofiara mogła zginąć podczas uprawiania seksu.

- Dan nigdy by... - przerwałam i przygryzłam wargę.

Dan nigdy by nie zapłacił żadnej kobiecie za tego rodzaju usługi. To nie w jego stylu. Ale nie mogłam rozmawiać z Chaunceyem Howellem, czy w ogóle kimkolwiek o seksualnym życiu mojego męża.

Odwróciłam się i wyszłam.

W domu pobiegłam na górę, włączyłam komputer i w okienku wyszukiwarki wpisałam „Johnny DeVito”. Sześćdziesiąt trzy tysiące odnośników. Przejrzałam listę, ale google mi nie sprzyjało. Nie znalazłam nic o Johnnym DeVito, byłym skazańcu. Ani o Johnnym DeVito, zaginionym. Kliknęłam na trzecią stronę i nagle na monitorze wyświetliło się „Niebezpieczny Johnny”. Wyprostowałam się, zaskoczona. Czy właśnie z tym miałam do czynienia - z mężczyzną znanym jako Niebezpieczny Johnny? Nagle pojęłam. Google było wyszukiwarką, nie medium.

Niebezpieczny Johnny to film z lat osiemdziesiątych, w którym jedną z ról grał Danny DeVito i program wyszukiwarki zestawił dwa imiona i odesłał mnie do tej strony. Mimo to widok imienia wywołał u mnie dreszcz niepokoju. Niebezpieczny Johnny. A jeżeli przezwisko rzeczywiście oddawało jego prawdziwą naturę - i nikt poza mną nie zdawał sobie z tego sprawy?

- Cześć, mamó.

Na dźwięk głosu Granta podskoczyłam. Zanim zdążyłam odwrócić się od komputera, Grant wszedł do pokoju i zajrzał mi przez ramię.

- *Niebezpieczny Johnny*? Rany, mamó, co ty kombinujesz?

- Nic - powiedziałam. - Nie o to mi chodziło. Chciałam znaleźć informacje o Johnnym DeVito, ale zamiast człowieka znalazłam film.

- Następnym razem napisz tekst w cudzysłowie - doradził mi Grant ze znajomością rzeczy.

Skinęłam głową, wciąż nie mogąc się przyzwyczaić, że mój syn jest już na tyle duży, by wiedzieć więcej na jakiś temat ode mnie. W kwestii komputerów, iPodów i Xboxów w porównaniu z nim byłam dzieckiem błądzącym we mgle.

- Kim jest ten facet? - zapytał Grant, przechodząc od tematyki technicznej do znacznie bardziej drażliwej.

Wzruszyłam ramionami.

- Sama nie bardzo wiem.

- Ma coś wspólnego z tatą? - Grant natychmiast zaskoczył.

- Być może. Johnny znał... ofiarę. I siedział w więzieniu.

Och, do licha, czemu rozmawiam o tym z moim nastoletnim synem?

Prawdopodobnie dlatego, że jest tutaj, chce wiedzieć i ma umysł bystrzejszy niż my wszyscy.

- Chciałam dowiedzieć się czegoś o nim.

- Może ja spróbuję.

Wstałam, a Grant wślizgnął się na moje miejsce przed komputerem.

Zaczął uderzać w klawisze, szybko przeskakiwać ze strony na stronę, wreszcie nacisnął „Drukuj”. Po kolejnych kilku minutach znowu coś wydrukował. Dla Granta komputer był czymś równie oczywistym i prostym jak zwykły ołówek. Czemu mnie to dziwi? Nie na darmo wprost od picia soczku jabłkowego przeszedł do zabawy komputerem Pentium Apple PC.

- Znalazłem kilka artykułów prasowych - powiedział Grant, wyjmując kartki z drukarki. - W archiwach „L.A. Times”. Dwie historie o tym, jak twój koleś poszedł do więzienia.

Przeczytaliśmy je wspólnie. Niebezpieczny Johnny (odtąd myślałam o nim w ten sposób) trafił do więzienia za handel narkotykami. Jeden artykuł wspominał o powiązaniach z przestępczością zorganizowaną, napomykał też, że

być może kilka lat wcześniej uniknął skazania za morderstwo. Artykuł był dość zwięzły, nie było też w nim żadnych zdjęć.

- Pasuje, jeżeli ten klient to zrobił - powiedział Grant.

- Byłoby super.

Przyjrzałam się uważnie datom artykułów. Coś mi zaświtało, ale nie potrafiłam tego sprecyzować.

Wkrótce po północy zasnęłam, czekając na powrót Dana. Przykryta kołdrą z gęsiego puchu, śniłam, że leżę na brzegu oceanu w Malibu i przyglądałam się, jak Niebezpieczny Johnny śmiga po falach na desce surfingowej Spyder. Zrobił podwójnego half-pipea i wyskoczył na zalaną plażę tuż obok mnie. Ujrzałam jego pokrytą szramami twarz i serce mi zabiło, bo wydało mi się, że ją rozpoznaję. Znałam tego człowieka. Już go kiedyś widziałam. Staralam się zapamiętać jego rysy, ale on wskoczył na deskę i powiosłował rękami przez rozkołysany ocean. Wbiegłam do wody, ale słońce - zbyt jaskrawe - poraziło mnie w oczy. W jego przeszywającym blasku twarz Johnny'ego zaczęła się rozmywać, aż stała się niewyraźną plamą otoczoną słonecznym halo. Niebezpieczny Johnny zniknął w oślepiającym białym świetle. Jego twarz

- tajemnicza, na wpół zapomniana - także znikła. Przysłoniłam oczy dłonią, starając się dojrzeć coś w pulsującej blaskiem mgiełce, ale było za późno.

Obudziłam się gwałtownie i zamrugałam gwałtownie, usiłując pozbyć się jaskrawoczerwonych plamek pod powiekami. Dłuższą chwilę trwało, zanim zrozumiałam, że nie jestem na plaży. Nikt nie pływał na desce surfingowej. Oślepiające słońce z mojego snu, które w tej chwili świeciło mi prosto w oczy, okazało się światłem pochodzącym z halogenowych lamp punktowych rozmieszczonych nad łóżkiem.

Usiadłam i zmrużyłam oczy, z wolna przytomniejąc. - Dan? - zawołałam niepewnie.

Oślaniając oczy przed jaskrawym światłem, ujrzałam mojego męża, jak ściągając skarpetki, stoi obok swojej komody, przepięknie rzeźbionego, dziewiętnastowiecznego mebla z prowincji Fujian. Nie była to czynność wymagająca iluminacji o natężeniu tysiąca watów. Kiedy zdarzyło mu się wrócić do domu późno, Dan zazwyczaj rozbierał się przy łagodnym świetle z łazienki. Dzisiaj jednak włączył górne lampy, nie zwracając sobie głowy, żeby je przynajmniej nieco przyćmić.

- Co się dzieje? - zapytałam zaspianym głosem.

Dan odwrócił się, z twarzą wykrzywioną grymasem złości.

- Po południu poszłaś do biura Chaunceya. Po jaką cholere to zrobiłaś? - Głos miał lodowaty i przerażająco cichy. Pod zimnym, wyważonym tonem wyczuwałam z trudem hamowaną wściekłość.

- Chciałam z nim porozmawiać - powiedziałam nieprzekonująco.

- Rozmawialiśmy rano. A ty później wpadłaś do niego, wyglądając jakby ktoś cię wyciągnął krowie z gardła.

Chauncey opisał mnie w ten sposób? Jedna przemoczona spódnica od Escady i od razu stałam się rywalką Courtney Love w pretendowaniu do miana najgorzej ubranej kobiety? Ale nie w tym rzecz.

- Musiałam powiedzieć Chaunceyowi kilka rzeczy - odparłam ze stoickim spokojem. - Chciałam tylko pomóc.

- Nie rób tego. - Słowa zabrzmiały jak strzał z pistoletu. - Nie pomagaj. Twarz miał ściągniętą gniewem, na policzkach pojawiły się głębokie bruzdy. Zasunął szufladę z hukiem - nie należy traktować w ten sposób dziewiętnastowiecznego oryginału - i kiedy gwałtownie zbliżył się do łóżka, skuliłam się na poduszkach, odruchowo unosząc ręce do piersi obronnym gestem.

Dan zatrzymał się.

- Boisz się mnie? - zapytał.

Spróbowałam się opanować, bo nie chciałam okazywać strachu. Nie miałam zamiaru zachowywać się, jakbym bała się własnego męża. Ale Dan zdążył dostrzec mój odruch paniki.

- Oczywiście, że się ciebie nie boję. - Wstałam z łóżka z trzęsącymi się kolanami. - Po prostu mnie zaskoczyłeś, to wszystko. Włączyłeś światło. Byłeś taki wściekły. Nic poza tym. Przykro mi, że moja wizyta u Chaunceya tak cię zdenerwowała. Niepotrzebnie. Nie wiem, czemu jesteś taki zły.

- Nie wiesz? - Dan wziął poduszkę ręcznie uszytą z pozostałości tunezyjskiego dywanu i cisnął ją o wezglowie łóżka. - To moja sprawa, mój problem, i tak się składa, że Chauncey jest moim adwokatem. Jeżeli masz jakieś wątpliwości, rozmawiaj o nich ze mną, nie z nim.

- Nie mam żadnych wątpliwości - powiedziałam.

- Gówno prawda, Lacy. - Stał po przeciwnej stronie łóżka, mierząc mnie wściekłym spojrzeniem z wielkiej odległości, która nas dzieliła. -

Chauncey powtórzył mi wszystko, co mu powiedziałaś. Sprawdziałaś mnie. Jak jest naprawdę, Lacy? Myślisz, że to zrobiłem? Uważasz, że policja ma rację?

- Oczywiście, że nie.

Powinłam była do niego podejść, wziąć go za rękę, ucisnąć. Zrobić cokolwiek, byle mu pokazać, że wspieram go z całego serca. Jednak nie ruszyłam się z miejsca, tylko stałam z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Dan zawahał się, patrząc na mnie, jakby nie wiedział, kim jestem. A może myślał, że to ja patrzę na niego w ten sposób.

- Chcesz, żebym się wyprowadził? - zapytał. Zachwiałam się lekko.

- Dlaczego miałbyś to robić?

- Skoro uważasz, że jestem winny, muszę wynosić się stąd w cholere. Jeszcze dzisiaj. W tej chwili. Tak? Decyduj.

Sam także skrzyżował ramiona na piersiach, nieświadomie mnie naśladować.

Staliśmy, mierząc się nawzajem wzrokiem. Czy do tego miało się sprowadzić osiemnaście lat małżeństwa? Do wątpliwości, gniewu, poczucia winy - i męża wyprowadzającego się w środku nocy?

Przygryzłam wargę, czując napływające mi do oczu łzy. Nie, łączyła nas też miłość, przyjaźń, trójka dzieci, udany seks i oryginalne prace Jaspera Johnsa wiszące w holu. To musiało się liczyć.

- Nie mam o czym decydować. Chcę, żebyś tu był - powiedziałam. Bez względu na moje wątpliwości, był moim partnerem. Na całe życie. - Po prostu chciałam zebrać trochę dowodów z naszej strony. Z twojej strony. To wszystko.

Łzy popłynęły mi strumieniem po twarzy i wściekła otarłam je pięścią.

- Nie mogę znieść myśli, że niszczyć twoje życie - rzeki Dan, ale w jego głosie nie było już słycać gniewu. Cierpiał, kiedy płakałam.

- Zniszczysz mi życie, jeżeli się wyprowadzisz. Kiedy się poznaliśmy, byłam tylko głupią dziewczyną z Ohio. Ty byłeś bystrym chłopakiem poniżanym przez ojca. Do wszystkiego co mamy, doszliśmy razem, bez niczyjej pomocy.

- O Boże, Lacy.

Dan usiadł na skraju łóżka i ujrzałam, że drżą mu usta. Mój mąż, zawsze taki spokojny i opanowany, nigdy nie okazujący emocji. Doktor Dan, który nauczył się trzymać uczucia na wodzy i nigdy przed nikim nie okazywał słabości, nawet przede mną. Drżące wargi to niewiele, ale ich widok przeszył mi serce równie mocno, jakby padł na kolana i błagał o miłość.

- Chcę, żeby układało się nam jak najlepiej, nie wiesz o tym? - zapytałam, podchodząc, by usiąść obok niego. - Przepraszam, że cię dzisiaj zdenerwowałam. Nie o to mi chodziło.

Dan objął mnie ramionami, a kiedy schowałam mu głowę na piersi, przytulił mnie jeszcze mocniej. Jak za dawnych czasów. Przywarłam do niego, kurczowo go ściskając. Nie chciałam, żeby kiedykolwiek mnie zostawił. Bez względu na wszystko, musieliśmy wierzyć nawzajem w swoje oddanie.

- Pocałuj mnie - szepnął Dan, a mnie nie trzeba było zachęcać. Jego złość i mój strach przemieniły się we wzajemne pożądanie. Zarzuciłam mu nagą nogę na biodro, przywierając do niego, chcąc unicestwić wszelką dzielącą nas przestrzeń.

- Przytul mnie, chcę, żebyś był blisko - powiedziałam. - Kocham cię - dodałam, jak najszczerzej, z głębi serca.

- Ja też cię kocham.

Naparł na mnie i pchnął na poduszki. Po chwili leżał na mnie i całowaliśmy się, sięgając po siebie tak zachłannie, jak owej pierwszej wspólnie spędzonej nocy w Sunset Vue Motel. Dan zdjął mi przez głowę jedwabną koszulkę i po raz pierwszy od tygodni poczułam gorący dotyk skóry mojego męża. Schylił głowę ku moim piersiom, z początku całując je delikatnie, potem zataczając na nich kółka językiem, coraz szybciej i szybciej, aż niemal do bólu zapragnęłam go całą sobą.

- Boże, pragnę cię - powiedziałam, wtulając się w niego.

- Masz mnie - odpowiedział.

Wargi Dana wędrowały po mojej skórze, ręce sięgnęły do piersi. Po chwili skupił swoją uwagę wyżej, z wolna przesuując palce ku mojej szyi...

Mojej szyi.

Zamarłam. Całe pożądanie wyciekło z mojego ciała i poczułam, że zamieniam się w kamień. N i e dotykaj mnie t a m. Spróbowałam usiąść, ale Dan napierał na mnie swoim całym ciężarem, a ja zebrałam się w sobie, żeby nie drgnąć, kiedy jego palce dotknęły nagle nadwrażliwego, miękkiego miejsca pod moją brodą.

- Chodź tutaj - szepnęłam gwałtownie. - Pocałuj mnie.

Jeżeli zostawi moją szyję w spokoju, może uda mi się zatracić w jego objęciach.

Dan wyciągnął swoje długie ciało na moim, nasze usta się zetknęły, oczy spotkały. Ale ja nie widziałam twarzy mojego męża. Widziałam Taszę Barlow - żywą, po chwili martwą. Martwą, uduszoną, bladą. Ze śladami kciuków na szyi.

Zamknęłam oczy, modląc się, aby okropna wizja znikła, ona jednak uparcie tkwiła mi przed oczami.

- Chcę się z tobą kochać - powiedział Dan, nie zauważając jeszcze, że moje pożądanie się wypaliło, a ja leżę zimna i spięta.

W odpowiedzi poruszyłam biodrami, z zapalem udając namiętność, której nie czułam. Nie mogłam go odepchnąć. Nie teraz, kiedy tak gorączkowo potrzebowaliśmy zjednoczenia. Dan chciał się przekonać, że jego żona go kocha i ufa mu, a ja rozpaczliwie pragnęłam dowodu, jakiegokolwiek, że mój mąż jest nadal czułym, szlachetnym człowiekiem, któremu przysięgałam miłość i uwielbienie. Jeżeli odrobina małżeńskiego seksu miała nam pomóc znowu uwierzyć w siebie nawzajem, byłam jak najbardziej za.

Wbiłam palce w plecy Dana. Wszedł we mnie, a z moich ust wyrwał się jęk - namiętności i jednocześnie strachu, gdy zastanawiałam się, co dalej nastąpi.

Rozdział siódmy

Kiedy obudziłam się rano, Dan spał, łagodnie obejmując mnie w pasie ramieniem i łaskocząc oddechem w ucho. Przez chwilę leżałam nieruchomo, wpatrzona w odblaskowe cyfry na wyświetlaczu radia z budzikiem. Miałam nadzieję, że mnie zahipnotyzują i uda mi się z powrotem zasnąć. Nic z tego. Kiedy godzina z 7:01 zmieniła się na 7:09, byłam napięta jak struna i gotowa, aby zerwać się z łóżka.

Wstałam, bo chociaż była sobota, musiałam iść do pracy. Roy Evans nagrał trzy wiadomości potwierdzające, że o dziesiątej mamy się spotkać w jego mieszkaniu i omówić plan jego urzędzenia. Cicho przemknęłam do łazienki i odkręciłam wodę w granitowej kabinie prysznicowej, włączając ogromną dyszę, mającą sprawiać wrażenie, że człowiek pluska się w strugach tropikalnego deszczu. Siedemdziesiąt pięć strumieni wody, wypływających z szybkością trzech galonów na minutę, aby ożywić ciało i duszę. A przynajmniej na pewno błyskawicznie człowieka zmoczyć.

Ustawiłam funkcję prysznica na masaż i wystawiłam plecy na kojące działanie wody. Wczorajszego wieczoru Dan dał mi jasno do zrozumienia, że w rozgrywającym się w naszym życiu dramacie mam odegrać rolę wspierającej go żony. Nie

życzył sobie, abym go sprawdzała, czy bawiła się w statystkę, jak w serialu *Prawo i porządek*. Kiedy jednak szorowałam łokcie delikatną gąbką z Gwatemali (znacznie delikatniejszą od zwykłych) zdołałam przekonać samą siebie, że wizyta u Roya nie kłóci się z wyrażonym przez niego życzeniem. Nawet Dan powinien przyznać, że chodzi o urządzenie mieszkania, a nie prowadzenie śledztwa.

Mimo to nie powiedziałam mu, dokąd się wybieram, kiedy wyruszyłam na spotkanie z Royem w jego mieszkaniu w Venice, oddalonego od mieszkania Tashy Barlow zaledwie o kilka mil. Swego czasu Venice było ekscentrycznym, eklektycznym nadmorskim miastem, opanowanym przez wyrzutków i ćpunów cierpiących na nadmiar tatuaży i niedostatek pieniędzy, głównie zainteresowanych popalaniem trawki. Obecnie nadmorska promenada była mekką dla turystów, zjeżdżających się tutaj, aby podziwiać dziwaczną zbieraninę połykaczy ognia, treserów krokodyli i wciąż lubiących to miejsce chłopaków Muscle Beach. Wzdłuż plaży mieściły się zakłady, w których można sobie było założyć kolczyk w języku, albo wytatuować całe ciało, lecz kadzidelka musiały ustąpić wobec popularności T-shirtów i taniej biżuterii. Istny Disneyland nad Pacyfikiem.

Nieco dalej od morza Venice stawało się urocze. Dwadzieścia lat mieszkałam w L. A., ale nigdy wcześniej nie widziałam kanałów i kiedy teraz przemierzałam wąskie jednokierunkowe uliczki, mogłam podziwiać hiszpańskie bungalowy z lat dwudziestych i czterdziestych, domki w stylu rustykalnym i okazałe rezydencje z przełomu wieków. Może jednak urządzenie mieszkania znajdującego się w tej okolicy nie okaże się takie złe.

Powinłam się była domyślić. Kiedy dotarłam pod adres Roya, budynek okazał się nowy, z białej cegły, nieciekawym, oddalony od plaży o kilka przecznic. Weszłam na górę i zadzwoniłam. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast, jakby stojąca za nimi kobieta czekała na mnie.

Na powitanie zmierzyła mnie spojrzeniem. Odwdzięczyłam się tym samym. Staralam się patrzeć na jej twarz, co nie było łatwe, jako że głęboko wycięta, koronkowa bluzka skrywała gigantycznych rozmiarów biust, którego stworzenie musiało mocno nadszarpnąć światowe zasoby silikonu. Równie nienaturalną substancją wstrzyknięto niechybnie do ust

kobiety, bo sprawiały wrażenie opuchniętych i dla podkreślenia efektu zostały pokryte lśniąca złotą szminką. Pomyślałam, że kiedy wyjdzie na słońce, może zacząć się rozpuszczać.

Chyba zrobiłam na niej równie korzystne wrażenie jak ona na mnie, ponieważ z nieskrywanym obrzydzeniem popatrzyła na moje spodnie capri od Lilly Pulitzer i płaskie pantofle od Gucciego.

- Przyszłam do Roya Evansa - odezwałam się grzecznie. - Jestem Lacy Fields.

- Wiem, kim pani jest - odburknęła jęklwym i poirytowanym głosem. - Proszę wejść. Spokojnie, ja już wychodzę.

Zamrugnęła oczami, mocno podkreślonymi fioletową kreską i sztucznymi, zbyt długimi rzęsami. Makijaż bez wątplenia nadający się do występu w filmie porno, ale jak na poranek w domu, nieco zbyt przesadzony.

- Nie musi pani wychodzić - odpowiedziałem, ona jednak potrąciła mnie, wychodząc rozkołysanym krokiem na korytarz, przy okazji uderzając mnie w kostkę dziesięciocentymetrowym, cienkim obcasem. Gdybym ich wcześniej nie widziała w sklepie Helmuta Langa i nie wiedziała, że kosztują pięćset dolarów, pomyślałabym, że swoje pomarańczowe, ozdobione błyszczącymi kamyczkami sandaalki wygrzebała z kontenera z używaną odzieżą przed Trashy Lingerie.

Podreptała korytarzem. Idąc, kołysała kształtnymi, umięśnionymi pośladkami, opiętymi elastyczną spódnicą w lamparci wzór, uwydatniającą opływowe kształty. Nie ja jedna byłam świadkiem jej teatralnego wyjścia.

- Wspaniale ciało, nie sądzisz? - rozległ się obok mnie starannie modulowany głos.

Obróciłam się gwałtownie i ujrzałam stojącego w drzwiach Roya Evansa, z zadowolonym uśmiechem na twarzy. Objął mnie mocnym ramieniem i obejrzał od stóp do głów.

- Twojemu także nic nie brakuje - dodał lubieżnie.

Uśmiechnęłam się lekko, zaraz jednak spoważniałam, nie chciałam bowiem, aby zauważył, że komplement sprawił mi przyjemność. Poza tym przyjąć jego pochlebstwa za dobrą monetę to jak pomylić wycie wilka z miłosną piosenką.

Ujmując mnie mocno za łokieć, Roy przeprowadził mnie przez próg, po czym zdecydowanie zamknął drzwi na zamek. Zauważyłam, że jest świeżo umyty, ogolony i pachnie wodą Burberry.

- Wyglądasz fenomenalnie - powiedział, na wpół mnie obejmując. Przygotowana na jego pochlebstwa, drugi raz nie dałam się zwieść. Odsunęłam się od niego, nie odwzajemniając zachwyty.

- Nie chciałam spłoszyć twojej przyjaciółki - powiedziałam.

- Jej nic nie jest w stanie spłoszyć - odparł ze śmiechem. - To była Deanna. Kobieta, która ma nadzieję zostać kolejną panią Evans. I której błazeństwa położyły kres mojemu małżeństwu z ostatnią panią Evans.

- Cóż, tym bardziej więc powinna była zostać. Skoro mamy zająć się urządzeniem, a ona będzie tu spędzać wiele czasu...

- Najchętniej byłaby tu przez cały czas - Roy przerwał mi wesoło. - Wspaniałe, fenomenalne ciało, nie uważasz? I bardzo imprezowa panienka. IM-PRE-ZOOO-WA. Niestety, o niezbyt nachalnej inteligencji.

- Które to braki nadrabia w innych kategoriach - zauważyłam.

- O, tak. - Roy zaśmiał się znowu. - Od lat marzyłem o jej cyckach i tyłku.

- Długo ją znasz?

- Od liceum - odparł. - Wtedy nie chciała się ze mną spotykać, bo nie byłem dość dobry. Ale jej piersi także nie należały w owych czasach do największych. Natomiast ostatnio moje konto w banku napęczniało tak samo jak jej piersi i bum. Spotkaliśmy się znowu.

- Czyż może być lepszy powód, żeby występować w telewizji? - rzekłam.

- W końcu dostałaś dziewczynę, która w szkole nie zwracała na ciebie uwagi.

Roy zaśmiał się.

- Jak tylko trafiłem do telewizji, zaczęła kręcić przede mną dupcią. Kręciła i kręciła. Aż w końcu mnie złowiła - nie trwało to zbyt długo. Dupcia i piersi to wystarczająca podstawa do złapania męża w Hollywood. Dawałam Deanne duże szanse. W końcu niejedna powędrowała do ołtarza dzięki znacznie słabszym aktywom.

- Pracuje w biznesie? - zapytałam.

- W sprośnym biznesie - odparł Roy, puszczając do mnie oczko.

W porządku, jak na razie miałam dosyć rozmów o De-annie.

- Cóż, pora wziąć się do pracy - powiedziałam. - Obejrzyjmy twoje mieszkanie.

Zaczęłam obchodzić pomieszczenia, przyglądając się wszystkiemu, chociaż nie było zbyt wiele do oglądania. Kwadratowe pokoje. Żadnego uroku. Przyzwoite okna i niezłe światło, ale nic poza tym. Roy wprowadził się do budynku, który nie miał nic do zaoferowania. Z okien salonu w oddali majaczył Pacyfik i podejrzewam, że Roy wybrał właśnie

to miejsce w nadziei, że widok na ocean zrobi wrażenie na znajomych. Co było prawdopodobne - pod warunkiem, że wcześniej zaopatrzy ich w silne lornetki.

- Wspaniały widok, prawda? - zapytał Roy, podążając krok w krok za mną. Mogłam przewidzieć taką jego wypowiedź.

- Wspaniały - przytaknęłam.

Przeszłam się po salonie, szukając inspiracji. Z zieloną welurową kanapą niewiele da się zrobić. Podobnie jak ze zniszczonym i lekko zmatowiałym lustrem w drewnianej ramie, nieporadnie udającym okres wczesnoamerykański.

- Kupiłem je w sklepie z antykami w Vermont - oznajmił Roy, widząc, że przyglądam się lustru. - Eleganckie, nie uważasz? I bardzo drogie. Aha, o to więc chodziło. Chciał kupować rzeczy z klasą, ale nie miał pojęcia o jakości. Ani wartości.

- Owszem, eleganckie, pod warunkiem, że skupimy się wyłącznie na oryginałach - powiedziałam. - Koniec z reprodukcjami..

-Ale to jest...

- Reprodukcja - oznajmiłam stanowczo. - Musimy poszukać kilku naprawdę wspaniałych okazów. Na przykład konsoli z marmurowym blatem w stylu Ludwika XVI do przedpokoju. Widziałam jedną w Sotheby's. Jeżeli cena nie gra dla ciebie roli, nadaje się naprawdę idealnie. Skinął głową.

- Wchodzę w to. Co jeszcze?

- Wykosztujemy się na kilka naprawdę dobrych rzeczy i zaoszczędzimy, wykorzystując to, co już masz.

Roy wskazał na sofę, ja jednak pokręciłam głową. Zielony welur nie pasował do moich planów. Podobnie jak stojący naprzeciwko niej skórzany fotel z wyłącznikiem z boku.

- Fotel do masażu - powiedział Roy, naciskając przełącznik. - Usiądź i przekonaj się sama, jakie to wspaniałe.

Pokręciłam głową.

- Nie, dziękuję.

- Kobiety to uwielbiają - rzekł Roy.

Znowu pokręciłam głową. Lecz Roy zbliżył się i nachylił ku mnie. Zrobił to tak szybko i naturalnie, że w zasadzie nie mogłabym powiedzieć, iż rzeczywiście mnie popchnął, mimo to jednak nagle stwierdziłam, że siedzę w wibrującym fotelu, a kiedy spróbowałam wstać, okazało się, że nacisk jego rąk na moje ramiona to uniemożliwia.

- Powiedz mi, co wiesz o morderstwie Tashy Barlow.

Swobodny, melodyjny ton, który opanował do perfekcji, znikł z jego głosu, a wpatrujące się we mnie oczy nabrały złowieszczonego wyrazu.

- Prawdę mówiąc, nic nie wiem.

Siedziałam bardzo spokojnie - na tyle, na ile było to możliwe z wibrującą pode mnie skórą fotela - starając się zachować zimną krew.

- Ale próbujesz się czegoś dowiedzieć. Węszysz. Może myślisz, że uda ci się mnie w nie wrobić i przy okazji oczyścić męża?

- Nie mam zamiaru nikogo w nic wrabiać - odparłam nerwowo. -

Przyszłam tutaj, żeby pomóc ci w urządzeniu mieszkania.

Pichnął, ale puścił moje ramiona i mogłam wstać.

- W takim razie urządzajmy - powiedział już normalnym tonem. Nagle zwątpiłam, czy przypadkiem groźba w jego głosie nie jest wytworem mojej wyobraźni. - Chodź, pokażę ci sypialnię.

W normalnych okolicznościach zbyłabym taką propozycję bez trudu.

Biorąc zaś pod uwagę zajście sprzed kilku minut, może powinnam była uciec. Ale nie, nie wpadnę w me-lodramatyczny nastrój. Przyszłam tutaj w określonym celu i coś mi podpowiadało, że klucz do morderstwa Tashy mógł równie dobrze znajdować się w ogromnym łóżu Roya, jak gdziekolwiek indziej.

Wzięłam głęboki oddech. Lubi się sprośnie zabawiać, jak powiedziała Nora. I rzeczywiście, przy wejściu do sypialni, zamiast powitalnej wycieraczki czekała na mnie para przewróconych sandałów na szpilkach tak wysokich, cienkich i ostrych, że z powodzeniem mogłyby udawać miniaturowe sztylety. Tuż obok na klamce wisiał uwodzicielsko lśniący czerwony pas z przyczepioną do niego przezroczystą pończochą. Roy najwyraźniej nie zadał sobie trudu, żeby posprzątać po długiej nocy z Deann której pozostałości widoczne były na każdym kroku. Na imponującym mahoniowym łożu z czterema kolumnami leżały skotłowane czarne satynowe prześcieradła i stopy poduszek ułożone pod dziwnym kątem. Na podłodze wały się dwie puste butelki po szampanie mumms i na wpół opróżniona butelka cytrynowej wódki absolut, razem z dwoma kieliszkami do wódki i jednym smukłym do wina, ze śladami czerwonej szminki. Kolejny kieliszek - prawdopodobnie rzucony o ścianę - leżał rozpryśnięty na tysiące kawałeczków na niebieskim dywanie. Częściowo wypalone drogie świece i tanie kadzidełka tłumaczyły słodkavo-kwaś-ny, przenikliwy odór unoszący się w powietrzu. Całości dopełniały porozrzucane wszędzie niedopałki skrętów. Dopiero po chwili zauważyłam zwisającą dumnie z jednej kolumny damską pończochę, na drugiej zaś jasnorożowy jedwabny szalik powiewający niczym flaga. Roy zachichotał obleśnie, kiedy dostrzegł, że spoglądam na niedwuznacznie udekorowane kolumny.

- Deanna lubi robić to ostro. A ja chcę, żeby moja Deanna była szczęśliwa, rozumiesz? To wyuzdana dziewczyna. Lubię, kiedy moje dziewczyny są wyuzdane.

Nieświadomie cofnęłam się o krok. Co tu się dzieje? Podczas naszego pierwszego spotkania Roy robił wszystko, aby zrobić na mnie wrażenie człowieka wyrafinowanego i kulturalnego, teraz nawet nie starał się zachować pozorów. Czy kierował się jakimś motywem, pokazując mi to seksualne

pobojowisko, czy też po upojnej nocy, wypełnionej pićciem, paleniem trawki i dzikim seksem, czuł się niezwyćiężony?

- Cóż - odezwałam się dziarsko, stojąc twardo w moich różowych pantofelkach na płaskim obcasie. - Pomyślmy, co tu można zrobić.

Zgodnie z twoimi potrzebami.

Umilkłam na chwilę. Moje zwyczajowe pytanie: „Co robisz w sypialni?”, które kierowałam do moich klientów, na ogół wywoływało śmiech. Ale w ten sposób reagowały mieszkające na przedmieściach żony, którym w łóżku zdarzało się pisać liścik z podziękowaniami (jakby nie mogły usiąść przy biurczku) lub które lubiły w łóżku czytać gazetę (zamiast w wygodnym fotelu). Nie śmiałam jednak zapytać o to Roya, którego buduarowe wyczyny zdecydowanie przewyższały w swej różnorodności program starego Eda Sullivana.

- No właśnie, jakie mam potrzeby? - zapytał Roy głębokim, sugestywnym głosem. - Pozwól, że pokażę ci, co lubię zbierać.

- Och, zbiory to wspaniały pomysł! - wykrzyknęłam skwapliwie, jakby właśnie zaprezentował mi kilkanaście jajek faberge. - Znam pewien dom, w którym cały jeden pokój jest wypełniony pamiątkami po Elvisie. Pewien mój klient ma wszystkie kostiumy kąpielowe ze „Sports Illustrated”, dałam je więc oprawić i urządziłam z nich wystawkę w przeszklonej gablotce.

Uśmiechnęłam się diabolicznie do Roya, aby zrozumiał, że żaden zbiór nie jest w stanie mnie zaszokować.

- W takim razie na pewno cię zainteresuje mała kolekcja sado-maso? Serce zabiło mi odrobinę mocniej, niż bym sobie tego życzyła. „Lubi wiązać ludzi”, powiedziała Nora. Do czego dokładnie to mogło prowadzić?

- Autentyczne, stare egzemplarze sado-maso mogą być warte fortunę - powiedziałam sztywno. - Uważane są za prawdziwe antyki.

Roya Bez słowa sięgnął pod łóżko, chwilę pogrzebał między skotłowanymi prześcieradłami i zużytymi chusteczkami, po czym wyciągnął coś, co wyglądało jak psia obroża.

Z trudem przełknęłam ślinę. Może jednak coś jest w stanie mnie zaszokować. Tego rodzaju zabawki nie miały wiele wspólnego z wyszywanymi cekinami strojami Elvisa. Roy zaprezentował mi obrożę z taką dumą, jakby pokazywał diamentową kolie, z tą drobną różnicą, że był to pasek z blade-niebieskiej skóry ozdobiony kolorowymi kamykami w jarmarcznych odcieniach czerwieni, zieleni i żółci. Do obroży doczepiony był cienki rzemień - bardzo krótki jak na psią smycz - zakończony dziwnym metalowym kółkiem.

- Co byś zrobiła z czymś takim? - zapytał. - Według mnie to zbyt ładne do trzymania w gablotce. Tego trzeba używać.

Raz jeszcze przyjrzałam się obroży. Daleko jej było do jajka faberge.

- Prawdę mówiąc, nawet nie wiem, co to jest - rzekłam, choć nie było to do końca prawdą.

Obracał obrożę w rękach - jak na tak postawnego mężczyznę, miał bardzo delikatne palce - aż wreszcie podszedł do ściany i zahaczył metalowe kółko o haczyk, którego wcześniej nie zauważyłam. Obroża zawisła niczym dziwaczny, brzydki naszyjnik.

- Mam tego dużo, dużo więcej - powiedział Roy. - Uważam, że o wiele lepiej nadają się do dekoracji wnętrz, niż jakiś tam Picasso. Chociaż z takim upodobaniem malował gołe baby, że chyba sam był sado-maso, nie sądzisz?

Nie miałam na ten temat wyrobionego zdania, ale kiedy następnym razem wybiorę się do Muzeum Sztuki Współczesnej, z nieco większą uwagą obejrzę *Panny z Awinionu*.

- Podejź tutaj - powiedział. - Musisz się temu dokładnie przyjrzeć.

Z wahaniem postąpiłam ku niemu.

- Co według ciebie... - zaczęłam, kiedy objął mnie ramieniem po raz kolejny i poczułam dotyk jego ciepłej skóry na swoim nagim ramieniu, i nagle...

KLIK.

Poczułam, że się duszę, i zaczęłam łapczywie chwytać ustami powietrze, nie do końca rozumiejąc, co się stało. Przed sekundą przyglądałam się jarmarcznej obroży, a teraz stałam z twarzą przy ścianie, nie mogąc się poruszyć, ani nie widząc nigdzie obroży.

Wtedy zrozumiałam. Miałam ją na szyi.

Za plecami usłyszałam śmiech Roya.

- Niektórzy lubią zakładać ją od przodu, inni od tyłu

- powiedział. - Na tobie wygląda w ten sposób naprawdę świetnie.

Spróbowałam się odwrócić, ale skórzana obręcz mi to uniemożliwiała, a obrzydliwe, tandetne kamyki wrzynały mi się w szyję. Podniosłam rękę, żeby sprawdzić, czy nie cieknie mi krew i łzy napłynęły mi do oczu.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Roy.

- Zdejmij to ze mnie.

Wydawało mi się, że krzyczę, ale tak naprawdę dobyłam z siebie jedynie chrapliwy szept.

- Oczywiście, że zdejmę - odparł Roy serdecznie. - Ale chcę, żebyś sobie wyrobiła dokładny obraz. Wierzysz w oryginały? To jest oryginał. Na dodatek bardzo stary. Z dziewiętnastego wieku. Z tego co słyszałem, król Karol V był zagorzałym amatorem sado-maso.

- Karol V żył w czternastym wieku - wyszeptałam.

- W okresie wojny stuletniej, i tak dalej. Ty prawdopodobnie myślisz o królu Jerzym V.

- Dziękuję, że mnie poprawiłaś.

- To mógł być też król Henryk VIII - paplałam dalej. Może jak nie przestanę mówić, uda mi się przekonać samą siebie, że te straszne rzeczy nie dzieją się naprawdę. - Zył

w szesnastym wieku, ale miał mnóstwo żon, więc pewnie lubił...

- Seks - wszedł mi Roy w słowo. - Lubił seks. Podobnie jak Napoleon. W którym wieku żył?

- Pod koniec osiemnastego - odparłam, chociaż dobrze wiedziałam, że Roy kpi sobie ze mnie.

Dlaczego prowadzę tę dyskusję o królach Anglii, skoro jestem przywiązana do ściany?

- Skąd ty tyle wiesz? - zapytał Roy. Stał zbyt blisko, dmuchając mi w twarz. Chyba wyczuwał w jego oddechu zapach alkoholu, odrobinę przytłumiony miętowym odświeżaczem do ust. - Taka panna mądralińska, co?

- Roy - odezwałam się cicho, próbując nie wpaść w panikę. - Zdejmij to ze mnie. W tej chwili. To wcale nie jest zabawne.

- Dopiero, jak mi powiesz, co wiesz - rzekł przez zaciśnięte zęby. Chyba już mu nie chodziło o angielskich królów. - Chcę, żebyś mi powiedziała dosłownie wszystko, co wiesz.

- Nie jest tego zbyt wiele.

- Och, dajże spokój. Wiesz, i to dużo. A przynajmniej tak ci się zdaje. I coś przede mną ukrywasz. A to znaczy, że jesteś niegrzeczną dziewczynką i trzeba cię ukarać.

Tak jak trzeba było ukarać Taszę Barlow? Szczękałam zębami, mimo że w pokoju było ciepło.

- To boli. Musisz to ze mnie zdjąć - powiedziałam. W moim głosie zaczęła pobrzmiwać rozpacz. Być może Roy to właśnie lubił. Musiałam zmienić taktykę, nie zdradzać się przed nim z moim strachem. - Jeżeli chcesz, znajdę ci więcej takich zabytkowych obroży. Karola, Henryka, Napoleona. Pójdziemy do Sotheby's. - Spokojnie, spokojnie, spokojnie. - Nawet jeszcze dzisiaj po południu.

Czy to możliwe, że starałam się kupić sobie wolność, obiecując mu kosztowne antyki?

- Dzisiaj po południu? Być może. Zależy, co się stanie wcześniej.
Roy demonstracyjnie popatrzył na zegarek. Po chwili już go nie było.
Wyszedł z pokoju.

- Roy? - zawołałam.

Odpowiedziała mi cisza. Wydawało mi się, że słyszę, jak drzwi wejściowe otwierają się i zamykają. -Roy!

Próbowałam krzyknąć, ale gardło miałam wyschnięte. Nie widziałam niczego poza ścianą przed sobą. Znalazłam się w trudnym położeniu - i to całkiem dosłownie. Nie panikuj, upominałam samą siebie, chociaż dyszałam już ciężko ze strachu. Jeżeli zemdleję, prawdopodobnie uduszę się, uwięziona w tym straszliwym urządzeniu. Moje całe ciało dygotało z przerażenia. Czułam się jak ryba miotająca się bezsilnie, schwytana na wędkę - przestraszona, czująca zbliżający się koniec.

Weź się w garść, skarciłam się surowo. Musi być jakieś wyjście z tej sytuacji.

Uniosłam ręce nad głowę, żeby sprawdzić, w jaki sposób zostałam przywiązana do ściany. Hak był z solidnego metalu i w żaden sposób nie byłam w stanie wyrwać go ze ściany. Uważnie zbadałam go palcami na całej długości, w poszukiwaniu jakiegoś słabego punktu. Wyczułam tylko małą dziurkę do klucza, którego z całą pewnością nie posiadałam. Mogłabym zacząć krzyknąć. Na tym piętrze musiało być sześć mieszkań i ktoś musiałby mnie usłyszeć. Przecież ludzie w tego rodzaju budynkach wечно uskarżają się na hałaśliwych sąsiadów. Nie bacząc na zaciskającą mi się na szyi obrozę, rozejrzałam się po pokoju. Pomimo zaciągniętych zasłon, promienie słońca przedostawały się przez rogi trzech wielkich okien, kładąc się kolorową smugą na środku poza tym ciemnego pomieszczenia. Trzy okna. Trzy ściany z oknami. To oznaczało, że żadna z nich nie stykała się z sąsiednim

mieszkaniami. Czwarta ściana, ta, do której byłam przykuta, oddzielała sypialnię od salonu Roya.

Skoro Roy miał świra na punkcie sadomasochistycznych praktyk, doskonale wybrał sobie mieszkanie - z sypialnią usytuowaną w taki sposób, by nikt nie mógł usłyszeć dobiegających z niej ewentualnych krzyków.

Ktoś musiał mieszkać piętro niżej. Z całej siły tupnęłam w podłogę, ale beżowa wykładzina skutecznie tłumiała wszelkie odgłosy, poza tym moje buty na płaskim obcasie nie były w stanie narobić zbyt wiele hałasu.

Mimo to spróbowałam jeszcze raz, ale moja stopa wyśladowała z taką siłą, że poślizgnęłam się i obroża wbiła mi się w szyję z niesłychaną siłą.

- Auuuuuuuuu - usłyszałam własne wycie, a po policzkach pociekły mi łzy. Czy Tasha Barlow zginęła właśnie w ten sposób? Jako ofiara chorego żartu? Czy też raczej jako ochocza współ-uczestniczka igraszek obmyślonych w chorym, skrzywionym umyśle Roya, które wymknęły się spod kontroli? Uduszona przez psią obrożę. Oto nagłówek, który wzbudziłby zachwyt brukowców.

Zamknęłam oczy, starając się myśleć. Roy nie zostawiłby mnie tutaj na pewną śmierć. Narkotyki, którymi nafaszerował się w nocy, na pewno przestały już działać. Tasha została uduszona we własnym mieszkaniu, a Roy niechętnie przyznawał się do znajomości z nią. Moje martwe ciało znalezione w jego ustronnej sypialni byłoby czymś znacznie gorszym. Stałoby się znaczącą rysą w jego telewizyjnej karierze.

Jak długo już tu stałam? Straciłam kompletnie poczucie czasu. Nie wiedziałam, czy upłynęło pięć minut, czy dwadzieścia. Usłyszałam, jak otwierają się drzwi i po chwili Roy znowu stał obok mnie.

- Co ty tu jeszcze robisz? - zapytał z szerokim uśmiechem.

Milczałam.

Popatrzył na moje czerwone oczy i zalaną łzami twarz.

- Och, nie. Lacy, tak mi przykro - powiedział. - Nie wiedziałaś, że to tylko taki żart?

Nachylił się, i z półki, do której z łatwością mogłam dosięgnąć, zdjął klucz.

- Klucz leżał tutaj. Byłem przekonany, że od razu go znajdziesz. Otworzył łańcuch i byłam wolna. Pocierając obolałą szyję, wolno odsunęłam się od niego i przeszłam do salonu. Miałam stuprocentową pewność, że klucza nie było na półce. Podczas nieobecności Roya sprawdziłam każdy centymetr pokoju, który mogłam dojrzeć.

- Hej, naprawdę nie chciałem cię przestraszyć. Dotknął moich palców i uśmiechnął się przymilnie, na powrót wchodząc w rolę czarującego człowieka telewizji.

- W takim razie o co ci chodziło? - zapytałam.

Usiadłam na kanapie, zbyt roztrzęsiona, by wyjść. Zdawałam sobie sprawę, że powinnam natychmiast uciec i nigdy więcej nie oglądać Roya Evansa - ale z drugiej strony chciałam usłyszeć jakieś wytłumaczenie.

- Och, to miała być taka zabawa w stylu ukrytej kamery. Reality TV jest bardzo popularna w dzisiejszych czasach. Pomyślałem sobie, że mógłbym wykorzystać ten pomysł w jednym z moich programów. Byłem przekonany, że sobie poradzisz, przecież taka z ciebie panna mądralińska. Wiedziałaś, że kłamie. Bez trudu można go było zakwalifikować jako psychopatę. Ale był też kimś znacznie bardziej przerażającym. Byстрыm i przebiegłym manipulatorem, całkowicie kontrolującym prowadzone przez siebie gierki.

- Cóż, tak czy owak - powiedział swobodnie - powinnaś być bardziej ostrożna. Bo inaczej znowu wpakujesz się w jakieś tarapaty.

Aha, stara się mnie od czegoś odwieść. Najpierw Dan, teraz on nie chce, żebym weszła. Czy Roy zaplanował całe

to zajście z obrożą i kluczem? Czy też działał spontanicznie, ulegając otumanionej przez kokę chorej wyobraźni?

To było nie do zniesienia. Zerwałam się i podeszłam do drzwi.

- Muszę iść - oznajmiłam. Spojrzał na mnie spokojnie.

- Jeszcze nie - rzekł. - Musisz mi coś dać. Coś, co należy do mnie.

Chciałbym to odzyskać.

- Nie mam niczego, co należy do ciebie - odparłam. Spróbowałam otworzyć drzwi, ale były zamknięte na zamek, z którym nie potrafiłam sobie poradzić.

- Rzeczy, które dała ci Nora. Nie wiedziałaś, że o tym wiem, aleja dużo wiem, Lacy. Wiem, co kombinujesz. - Zbliżał się do mnie, powoli, lecz nieuchronnie. - Moje rzeczy. W torbie na zakupy, o ile sobie przypominam. Oddaj mi ją, natychmiast.

Trzymałam rękę na klamce.

- Nie mam jej.

- Gdzie jest? - W jego głosie znowu brzmiała groźba.

- Wyrzuciłam ją - odparłam, kłamiąc mu w żywe oczy.

Torba na zakupy. Wczoraj, po wyjściu od Nory pojechałam prosto na plażę. Byłam tak roztrzęsiona, że kompletnie zapomniałam o rzeczach, które mi dała. Powiedziała, że należą do Roya. Zostawił je u niej w mieszkaniu. O ile pamiętałam, były to jakieś ubrania i taśmy. Miałam je oddać Royowi. Mogłabym to zrobić, ponieważ torba musiała wciąż jeszcze leżeć w bagażniku mojego samochodu. Aż do tej chwili ani razu o niej nie pomyślałam.

- Wyrzuciłam je do śmieci - powiedziałam, nagle uświadamiając sobie, że skoro Royowi tak na nich zależy, powinnam je tym bardziej zatrzymać. - W domu w Pacific Palisades, gdzie mieszkam. Na naszej ulicy wywożą śmieci we wtorki i piątki, więc już ich nie ma. Mamy także recycling, ale po to przyjeżdżają w środy - o czym najczęściej i tak zapominam.

Kiedys gdzieś przeczytałam, że gdy się kłamie, powinno się wymyślić możliwie najprostszą bajeczkę. Nie kombinować. Aleja nie mogłam przestać.

- Dan zawsze się wścieka, jeśli nie sortuję plastiku i metalu, czasem nawet sprawdza śmieci, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie wyrzuciłam do nich jakichś gazet - paplałam dalej jak nakręcona. - Ale dam sobie głowę uciąć, iż w tym tygodniu tego nie zrobił. Przestał to robić. Chyba udało mi się go przekonać, że jedna butelka po dietetycznej pepsi nie spowoduje globalnego ocieplenia, rozumiesz?

W końcu udało mi się odblokować zamek i otworzyłam drzwi.

- Przepraszam cię - powiedziałam w pośpiechu. - Nie potrzebowałam tych rzeczy, a nie przyszło mi do głowy, że chciałbyś je odzyskać. Wzięłam je tylko dlatego, że Nora nalegała.

I wybiegłam na korytarz, podążając tą samą drogą, którą wcześniej - zdawało mi się, że od tamtej chwili upłynęły całe godziny - szła Deanna. Miałam nadzieję, że Roy nie pofatyguje się za mną.

Jak szalona jechałam Pacific Coast Highway, pragnąc znaleźć się jak najdalej od niego. Ręce na kierownicy trzęsły mi się gwałtownie i wiedziałam, że powinnam się zatrzymać i trochę ochłonać. Uznałam jednak, że to bez sensu, bo odzyskanie spokoju zajmie mi co najmniej kilka miesięcy. Po przejechaniu kilku kilometrów zobaczyłam znak, który musiałam podświadomie zarejestrować, kiedy ostatnio jechałam tędy do Malibu. Skreśliłam w głąb lądu na następnym zjeździe i znalazłam się na zupełnie sobie obcych ulicach dzielnicy magazynów. Zatrzymałam się przed długim prostokątnym budynkiem z cementu z ogromnym niebieskim napisem, który zauważyłam z autostrady - MAGAZYN DO WYNAJĘCIA. Objechałam budynek kilka razy, nigdzie nie zauważając wejścia, aż w końcu dostrzegłam asfaltową ścieżkę i domyśliłam

się, że musi prowadzić do drzwi. Wsiadłam z samochodu i wbiegłam do środka. Stary Koreańczyk, siedzący w maciu-peńkim biurze, nawet na mnie nie spojrzał, kiedy go wypytywałam o powierzchnie magazynowe. Wskazał na obłazącą ścianę, gdzie wisiała ręcznie wypisana informacja o wielkości pomieszczeń i cenie za wynajem. Wybrałam najmniejsze i w zamian za klucz wręczyłam mu gotówkę.

- Płacić do trzeciego każdego miesiąca albo wszystko wyrzucić - powiedział łamanym angielskim.

- Oczywiście - odparłam.

Wróciłam biegiem do samochodu po torbę na zakupy, a kiedy ponownie weszłam do budynku, Koreańczyk rozwiązywał krzyżówkę i nawet na mnie nie spojrzał. Czy kiedykolwiek zainteresowało go, co kryje się w pilnowanym przez niego magazynie? Skradzione diamenty?

Poćwiartowane ciała? Krzesło i fotel w stylu Ludwika XIV zdobyte w nielegalny sposób? Może miał zapasowe klucze i kiedy nikogo nie było w pobliżu, myszkował po skrytkach?

Idąc pośpiesznie wilgotnym cementowym korytarzem, pomyślałam o więzieniu w Los Angeles i wyobraziłam sobie piekielny krąg zarezerwowany dla projektantów więzień i składów magazynowych.

Ciemny, kręty korytarz był popękany i nierówny. Nagle wydało mi się, że z jednego ze schowków dobiega mnie dziwny, piskliwy dźwięk, ale może był to jedynie wytwór mojej wyobraźni. Nie, odgłosy dobiegały z sufitu. Spojrzałam w górę i dostrzegłam, jak pomiędzy krokwiemi bezszelestnie przemyka ciemny kształt. Nietoperze. Na pewno. Instynktownie uniosłam ramiona, żeby osłonić twarz, zapominając, że w jednej ręce niosę torbę na zakupy i twarda, ostra krawędź jednej z taśm uderzyła mnie boleśnie w żebra.

- Auuuu!

Po raz drugi tego samego dnia wydałam przeraźliwy krzyk bólu, który tym razem odbił się echem w betonowym

korytarzu - „Au! Au! Au!” Zadziałała adrenalina i ruszyłam biegiem, ponaglana własnym przerażonym oddechem wibrującym mi w uszach. Wcześniej zupełnie zapomniałam o istnieniu torby z Whole Foods, teraz jednak przy każdym kroku spodziewałam się wroga, zdecydowanego mi ją za wszelką cenę odebrać.

Wreszcie dotarłam do mojej malutkiej komórki, przez chwilę szamotałam się z kluczem, w końcu jednak drzwi ustąpiły i wrzuciłam torbę do środka. Nareszcie bezpieczna. W ustach poczułam gorzki smak żółci, jakby mi się zbierało na wymioty i oparłam czoło o zimny beton, próbując się uspokoić. Z wahaniem dotknęłam żeber. Były obolałe, ale przynajmniej nie złamane. Odkąd przestałam wydawać pełne hysterii odgłosy, w korytarzu zapanowała cisza, nigdzie też nie czaił się żaden napastnik, gotowy mnie zaatakować. Podniesiona na duchu, otworzyłam ponownie skrytkę i zajrzałam do torby. Nie chciało mi się wierzyć, żeby Roy ryzykował dzisiaj utratę reputacji jedynie po to, aby odzyskać parę butów czy dwa garnitury - nawet jeżeli stanowiły niepodważalny dowód, że spędzał u Tashy wiele czasu. Większość taśm i płyt DVD była porządnie opisana, oznaczona datą i tytułem odcinka *Night Beat* - prawdopodobnie we wszystkich występował Roy. Były też co najmniej trzy taśmy z oderwanymi nalepkami, wyglądające na używane części od reszty.

Nagle coś mi zaświtało. Nora powiedziała, że Roy uwielbiał oglądać na wideo samego siebie. Leżąc w łóżku z Tashą. Może jednak nie na wszystkich taśmach znajdowały się nagrania z telewizji. Pomyślałam o Deanne, paradującej dzisiejszego ranka niczym królowa porno. Czy Roy Evans wybierał swoje kobiety w ten właśnie sposób? A może kręcił swoje własne pornosy? A jeżeli gwiazdami jednego z nich byli on sam i Tasha Barlow?

Przez chwilę wahałam się, czy jednak nie zabrać taśm do domu, żeby je obejrzeć, ale szybko zrezygnowałam z tego po-

myslu. Przynajmniej na razie, pamiętając o obietnicy złożonej Danowi. I na pewno nie w obecności kręcących się po domu dzieci. Póki co, sekret Roya - jeżeli w ogóle takowy istniał - musiał poczekać w tym schowku, zabezpieczony nędznym kluczem, który włożyłam do portfela, i pod opieką obojętnego na wszystko Koreańczyka.

Rozdział ósmy

Po powrocie do domu marzyłam tylko o gorącej kąpieli. Czułam się przemarznięta do szpiku kości. Według eleganckiego mosiężnego barometru-termometru-higrometru ustawionego w holu temperatura wynosiła 17 stopni - chłodno jak na L.A, co jednak nie tłumaczyło, dlaczego dygoczę niczym sześciolatka w bożonarodzeniowej szopce. Słyszając, że wchodzę, do holu zszedł Grant, i na mój widok zatrzymał się.

- Dobrze się czujesz, mamó? - zapytał, spoglądając na mnie z troską. Usiłowałam stać prosto i nie chwiać się, jak flaga na stadionie Dodgersów - mimo że miałam czerwone oczy, bladą twarz i raczej ponury nastrój. W odpowiedzi na jego pytanie udało mi się jedynie skinąć potakująco głową.

- Na pewno? - spytał.

Wyciągnął w moją stronę kartkę papieru, opuścił ją jednak, dochodząc zapewne do wniosku, że nie mam siły jej wziąć.

- Nic mi nie jest - powiedziałam zdecydowanie. Gdybym nie miała dzieci, prawdopodobnie osunęłabym się bez siły na ziemię, ale w obecności syna nie mogłam/nie powinnam była/ani myślę się załamać. Grant nie może uj-

rzeń roztrzęsionej, szlochającej kobiety, kiedy potrzebna mu jest dojrzała, opanowana matka.

Pokazałam na trzymaną przez niego kartkę.

- Co tam masz?

Grant zwlekał przez chwilę, w końcu jednak doszedł chyba do wniosku, że nic mi nie jest i zeskoczył ze schodów.

- Znalazłem tego faceta, o którego ci chodziło - powiedział.

Nie zdążyłam jeszcze odłożyć kluczy, ale wzięłam od niego zdjęcie i przyjrzałam mu się. Nic specjalnego - zamazane ujęcie mężczyzny wychodzącego z budynku sądu, w dziwny sposób trzymającego przed sobą sweter. Po chwili zrozumiałam, że sweter był owinięty wokół jego nadgarstków, zapewne aby ukryć kajdanki.

- Johnny DeVito? - zapytałam.

- Johnny DeVito - potwierdził Grant.

Ponownie spojrzałam na zdjęcie. A więc to on - nasz były więzień kochaś, człowiek, który według Nory kochał Taszę, i który z całą pewnością kupił jej kosztowne i ładne meble do sypialni. Głowę trzymał lekko pochyloną, ale widać było zarys twarzy, podpuchniętej i odrobinę zniekształconej.

Nie do końca brzydkiej, jak utrzymywała Nora, ale też dalekiej od ideału.

- Znalazłem to w Internecie i powiększyłem, żebyś mogła mu się lepiej przyjrzeć - powiedział Grant. - To zdjęcie z dużej odległości.

Przepraszam za nie najlepszą jakość.

Fotografia była zamazana, niezbyt wyraźna. Wyszukana drukarka laserowa Granta na pewno mogła wydrukować zdjęcie dużo lepszej jakości - wiem, ile musiałam zapłacić za masę pikseli - co oznaczało, że problem tkwił w pierwotnym źródle. Prawdopodobnie była nim gazeta, a więc Johnny De-Vito musiał z jakiegoś powodu trafić do prasy.

Uniosłam zdjęcie do światła.

- Szkoda, że nie widać więcej - westchnęłam. - Wygląda, jakby ktoś celowo zamazał mu twarz.

Grant wzruszył ramionami.

- Wiem, trochę to dziwne. Ale to jego jedyne zdjęcie, jakie w ogóle udało mi się znaleźć. Co nie było łatwe.

- Nie musiałeś tego robić - powiedziałam, na powrót wchodząc w rolę troskliwej matki. - Masz inne, dużo ważniejsze rzeczy na głowie.

Egzaminy na studia. Test z matematyki... - umilkłam, ponieważ ze zdziwieniem stwierdziłam, że nagle przestałam się przejmować stopniami Granta.

- Z radością obleję matkę, jeżeli dzięki temu tato zostanie oczyszczony - powiedział Grant znacznie bardziej przejętym głosem niż zwykle.

- Jedyńka w niczym mu nie pomoże - odrzekłam, ale nie kontynuowałam tematu. Szkoła była ważna dawno temu i na odległej planecie, odkąd jednak rozpoczęło się śledztwo przeciwko Danowi, wszyscy znaleźliśmy się w innej galaktyce, w której dawne reguły już nie obowiązywały.

Grant wsunął ręce do kieszeni spodni.

- Możesz dowiedzieć się czegoś więcej o tym facecie? - zapytał. - Udowodnić, że on to zrobił?

- Chciałabym - odparłam z westchnieniem głośniejszym, niż zamierzałam. - Zdobyłam kilka cennych informacji, lecz tato wścieka się, że bawię się w detektywa i chce, żebym przestała. Chyba nie ma racji, ale znasz tatę. Potrafi być piekielnie uparty.

Grant spuścił wzrok i zaszurał stopą, a ja zdałam sobie sprawę, że nie powinnam była tego mówić. Rodzina musi działać wspólnie. Nie wolno szkalować ojca.

- Czy tato wie o tym całym DeVito? - spytał Grant.

- Wątpię - odparłam, a po chwili dodałam: - Powinieneś go o to zapytać. Oboje jednak wiedzieliśmy, że tego nie robi. Wyższy ode mnie Grant nachylił mi się przez ramię, żeby jeszcze raz popatrzeć na zdjęcie.

- Znowu urosłeś - powiedziałam, odwracając głowę, aby na niego spojrzeć. - Przybyło ci pięć centymetrów w ciągu ostatniej nocy? Uśmiechnęłam się, a Grant tylko wzruszył ramionami, lekko zakłopotany. Ciężko jest być nastolatkiem, którego życie zmienia się w tak błyskawicznym tempie, że nie sposób dotrzymać kroku samemu sobie. Mogłam to zrozumieć.

- Jestem na tyle wysoki, żeby przyłożyć temu całemu Johnny'emu, kiedy go już znajdziesz - odparł Grant, napinając ramię, smukłe i muskularne pod koszulką tenisową Fila.

Bez wątpienia miałby szanse, mierząc się z DeVito na korcie, ale te szanse drastycznie malały, kiedy w grę wchodziła inna broń niż rakietka tenisowa marki Prince.

- Powiedz mi, czego się dowiedziałas - poprosił Grant, cofając się o krok i krzyżując ramiona na piersiach. - Jakie zdobyłaś dowody, które mogłyby pomóc tacie?

Oj, byłoby o czym opowiadać. I nie byłoby to przyjemne. Mogłabym mu zdradzić dziwaczne szczegóły moich detektywistycznych eskapad, poczynając od psiej obroży Roya, i dowiedzieć się, co o nich sądzi mój inteligentny syn. Ze swoim ścisłym umysłem - w końcu dostał z fizyki 98 punktów - na pewno właściwie zanalizowałby je wszystkie i może nawet stworzył jakąś teorię, znalazł wśród nich dowód. Nie zrobiłam tego jednak. Grant i tak był już bardziej w to wszystko zamieszany, niż powinien.

- Dowody jasno wskazują, że tato jest niewinny - oświadczyłam, przechodząc od razu do sedna.

Grant westchnął i przewrócił oczami.

- Cienko, mamó.

Fakt. Cienka gadka mamusi.

- Ale lada chwila nastąpi przełom - powiedziałam, starając się, aby moje słowa tchnęły optymizmem. - Mam dobre przeczucia.

- Kiedy ostatnio miałaś dobre przeczucia, dostałem hipotermii - burknął Grant. - Pamiętasz ten dzień na Bear Mountain? Powiedziałaś, że mogę zostawić kurtkę w samochodzie i jeździć na nartach w samym T-shircie. Tylko że zaczął padać śnieg.

- To co innego - stwierdziłam zdecydowanie. - Tym razem na horyzoncie zdecydowanie się przejaśnia.

Grant popatrzył na mnie z powątpiewaniem, za co trudno było mi go winić.

- A tak przy okazji, facet z FedExu dostarczył kilka pudeł dla taty. Są w garażu. Kazałem mu je tam wnieść, na wypadek gdyby były w nich jakieś bomby czy coś w tym stylu. Uznałem, że nie powinny być w domu. Popatrzył na mnie wyzywająco, ja jednak nie zareagowałam. Biorąc pod uwagę ostatnie zajścia, skąd mogliśmy mieć pewność, że to r z e c z y w i ś c i e nie bomby? Trudno mieć pretensje do mojego syna, że nie chciał, aby zaskoczył nas kolejny koszmar.

Przed dom zajechał kolega Granta, Jake, swoim nowym niebieskim subaru outback - w końcu dzieciak z L.A. w odpowiednim samochodzie - i kiedy chłopcy się oddalili, poszłam do garażu. W kącie stały trzy kartonowe pudła ze zwrotnym adresem biura Dana. Zerwałam taśmę z jednego z nich i zajrzałam do środka. Zakurzone teczki i stosy zabazgranych kartek zdradziły mi, że to stare akta pacjentów. Grant z całą pewnością ogląda za dużo wieczornych filmów. Tutaj nic nie mogło wybuchnąć.

Wróciłam do domu i schroniłam się w łazience, w końcu mogąc zmyć z siebie poranek spędzony z Royem Evansem. Nalałam wody do głębokiej wanny z jacuzzi i dodałam do niej kilka kropel olejku do kąpieli o zapachu kwiatów francuskiej limonki, potem zapaliłam ustawione na półce świece o zapachu japońskich grapefruitów i sycylijskich cytryn. Zupełnie jakbym brała kąpiel w ONZ.

Kiedy wyszłam z wanny, pachniałam jak sałatka owocowa i udało mi się zapomnieć, że moja sytuacja jest raczej śmierdząca. Może ten olejek do kąpieli rzeczywiście był warty sto dolarów. O szóstej postanowiłam się zabrać za przygotowanie rodzinnej kolacji. Zawsze wierzyłam, że udałoby się zapobiec zagładzie cywilizacji, gdyby każda rodzina raz dziennie zasiadała razem do stołu, wspólnie celebrując posiłek i rozmowę. Osobiście nie miałam ochoty na jedzenie, o rozmowie nie wspominając, ale w żaden sposób mnie to nie powstrzymało. Ponieważ nie miałam siły gotować, zadzwoniłam do Pacific Hunan i zamówiłam kilkanaście chińskich dań. Kiedy przesyłka została dostarczona, zaniiosłam torby do salonu i przełożyłam jedzenie do wesołych czerwonych misek, które ustawiłam na kamiennym pałacowym stole (bardzo drogim, ale niezniszczalnym, o czym zawsze przekonywałam swoich klientów). Rozłożyłam wielkie lniane serwetki i przy każdym nakryciu umieściłam kolorowe pałeczki ze szkła, następnie sprawdziłam drewno w kominku i włączyłam gaz, rozpalając ogień. Nieźle. Wyjęłam z szafy trzy ogromne poduszki obite kilimem i ułożyłam je przed kominkiem, po czym cofnęłam się o kilka kroków, by ocenić efekt. Wszystko wyglądało skromnie i bardzo przytulnie. Zupełnie jak w „Elle Decor”.

Zawołałam wszystkich na kolację.

Aranżacja chyba zrobiła wrażenie.

- Bardzo ładnie, mamó - powiedziała Ashley.

Była to pierwsza miła uwaga, jaką wygłosiła od kilku tygodni.

Grant włączył odtwarzacz i nastawił płytę ze ścieżką dźwiękową z *Przebojów i podbojów*, jedyną, jakiej mogliśmy razem słuchać. Nastrój był odpowiedni i pomiędzy springrol-sami a kurczakiem kung fu Ashley i Grant zaczęli śpiewać razem z The Kinks *Everybody's Gonna Be Happy* - wszyscy będą szczęśliwi. Oby. Jimmy'emu udzielił się ich dobry humor

i postanowił pokazać, że potrafi zjeść naraz nitkę makaronu z lo mein, posługując się jedynie palcami. Nie odważyłam się nawet spojrzeć na Dana, kiedy Wesley Harding śpiewał *I'm Wrong About Everything* - w niczym nie mam racji.

Podaliśmy deser. Jimmy złapał mandarynkę i z zapalem zaczął ją obierać, rozsiewając skórki na prawo i lewo. Dan sięgnął po ciasteczko z wróżką i rozerwał je, odkładając na bok małą karteczkę, kiedy wgrzyzał się w twarde ciasto.

- Chcecie usłyszeć nowinę? - zapytał z uśmiechem. - Dobrą nowinę? Wszyscy skupiliśmy na nim uwagę.

Ashley odłożyła swoje pałeczki i przestała jeść. Jimmy, wyczuwając, że dzieje się coś ważnego, oblał sobie bosą stopę sokiem z mandarynki.

- Moja przyszłość maluje się co najmniej różowo - powiedział Dan, bawiąc się karteczką z wróżką. - Oto, jak brzmi wróżba. Albo raczej, jak powinna brzmieć.

Ashley westchnęła - króciutko - a wyraz oczekiwania malujący się na jej twarzy był łatwy do odczytania: Skończyło się. Tato nam powie, że ten horror wreszcie się skończył.

Bob Dylan zawodzącym głosem śpiewał, że potrafi jasno myśleć i jest dość silny, aby nie odczuwać nienawiści.

Próbowałam przełknąć, ale ledwo mogłam oddychać, czekając na następne słowa Dana. Jedno zdanie i nasze życie stanie się na powrót normalne. Ktoś inny został aresztowany. Policja złożyła przeprosiny. Może nawet Tasha Barlow żyła.

- Powiedz - odezwałam się drżącym, niepewnym głosem. - Powiedz wreszcie.

- Dobre wiadomości to dobre wiadomości - rzeki Dan. Czekaliśmy. Dan popatrzył na nas z dumą, rozkoszując się chwilą. Nareszcie przemówił.

- Jacyś ważni ludzie czytali mój artykuł o rekonstrukcji twarzy i chcą, żebym napisał podręcznik. To będzie pierw-

sza taka pozycja na rynku. Na dodatek wydana przez Harvard University Press.

Ashley stęknęła głośno, dając upust rozczarowaniu, a mnie wydało się, że coś wyssało całe powietrze z pokoju. Bob Dylan nie krył złości na samego siebie:

Me oszukuję się, nie uciekam i nie chowam się, Nie boję się uczuć pogrzebanych w sercu.

Ashley wstała gwałtownie i kopnęła poduszkę z taką siłą, że trafiła nią w na wpół opróżnioną miskę z krewetkami foo young. Krewetki wypadły na kamienny stół, a gęsty sos spłynął na dywan, tworząc na nim krwiste plamy.

- Co nas obchodzi twoja głupia książka! - krzyknęła Ashley z pełną złości goryczą, która ją przepelniała od jakiegoś czasu. - Kto ją będzie czytał, kiedy trafisz do celi śmierci?

Wybiegła z pokoju, wywołując reakcję łańcuchową, jakiej w zasadzie należało się spodziewać. Jimmy zaczął gwałtownie szlochać, Grant burknął „przepraszam” i wyszedł, Dan natomiast milczał i z ustami ściągniętymi w wąską linię zabrał się za zbieranie krewetek. Stałam z otwartą buzią, niezdolna się poruszyć. Jak zwykle wszystko było przeze mnie. Nie powinnam była podawać ciasteczek z wróżbą.

W sobotę z samego rana zadzwoniłam do Nory.

- Rozmawiałaś z Royem - powiedziałam, starając się, aby nie zabrzmiało to jak wyrzut. - Myślałam, że nie masz zamiaru się z nim spotykać.

- No tak, ale zadzwonił. Chciał swoje rzeczy z powrotem, ale już je dałam pani. I powiedział mi, że wcale pani nie jest jego dziewczyną.

Powiedziała to z triumfem, zupełnie jakbyśmy o niego rywalizowały i ona by wygrała. Niech go sobie bierze.

- Miałaś jakieś wieści od Johnnynego DeVito? - zapytałam.

- Nie. - Pociągnęła nosem. - Ale koniecznie muszę z nim porozmawiać.

Zostawiłam mu kilka wiadomości, tylko że teraz zmienił numer.

Znalazłam kartkę, którą przysłał Tashy. Chyba dość dawno, bo znalazłam ją z jakimiś zasuszonymi kwiatami. Pamiętam, że przysłał jej róże na urodziny. Na kartce był adres zwrotny i pomyślałam, że mogłabym tam pojechać. Może go znajdę. Ale samochód mam w warsztacie.

- Chcesz, żebym cię zawiozła? - zapytałam.

Rany. Skąd mi to przyszło do głowy? Ale już było za późno na cofnięcie propozycji, bo Nora ją przyjęła bez chwili wahania.

Godzinę później zatrzymałam się i pomachałam do Nory, czekającej na mnie przed domem. Siedziała rozwalona na szczycie schodów wiodących do jej budynku. Podniosła się powoli i podeszła do samochodu. Ubrana była w jasnoniebieskie nylonowe spodnie od dresu, ciasno opięte na biodrach, i bluzę do kompletu, która choć luźna, nie skrywała opony sadła w pasie. Smutek najwyraźniej nie pozbawił jej apetytu.

Przywitałyśmy się krótko i Nora wsiadła, od razu zapinając pas.

- Dokąd jedziemy? - zapytałam, gotowa do drogi. Wrzuciłam bieg i zerknęłam we wsteczne lusterko. Jak

dotąd, nikt za mną nie jechał. Z drugiej jednak strony, niby kto miał to robić?

Nora wyciągnęła przethuszczony skrawek papieru i przeczytała mi adres, w jakimś mieście, o którym nigdy wcześniej nie słyszałam.

- To gdzieś blisko? - zapytałam. Wzruszyła ramionami.

- A bo ja wiem.

Nie spytałam, jak zamierzała tam trafić. Wpisałam adres do wyszukiwarki GPS i zaczęłam, aż mapa się wyświetli.

Studiowałam ją przez chwilę. Miasto znajdowało się w dolinie po drugiej stronie wzgórz, w nieznanej mi okolicy.

- To kawał drogi - powiedziałam.

Ponieważ jednak żadna z nas nie zmieniła zdania, ruszyłam.

Po drodze nie rozmawiałyśmy ze sobą. Ciszę zakłócał jedynie syntetyczny głos GPS, co kilka minut udzielający nam wskazówek.

Wyjechałyśmy na autostradę. W tygodniu, w godzinie szczytu wszystkie osiem pasów byłoby zatłoczone, ale w ten sobotni poranek droga wyglądała jak trasa w Le Mans - niewiele samochodów, za to wszystkie pędzące z szybkością 140 kilometrów na godzinę. Trzymałam się prawego pasa, nie przekraczając stu kilometrów na godzinę - no, może stu dziesięciu - ale Nora chwyciła się kurczowo brzegu fotela i wyglądała, jakby lada chwila miała zacząć krzyczeć.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam.

- Nienawidzę autostrad - powiedziała. - U nas takich nie ma.

- Nie jesteśmy już w Kansas - rzuciłam, wymijając honde, dla której ograniczenie prędkości miało chyba jakieś znaczenie.

- Nie jestem z Kansas, tylko z Idaho - powiedziała. Nie wiem, czy mój dowcip jej się nie spodobał, czy też

pochodziła z jedyne miasta na świecie, w którym nie odbyła się jeszcze premiera *Czarnoksiężnika z krainy Oz*.

Zjechałyśmy z autostrady i zgodnie z poleceniami elektronicznego głosu zagłębiłyśmy się w nuworyszowskie przedmieście zabudowane ogromnymi domami ściśniętymi na małych działkach. Wyglądały na zbudowane tanim kosztem, za to były krzykliwie ozdobione korynckimi kolumnami, doryckimi łukami, masywnymi balustradami i wykończeniami w stylu wiktoriańskim. Nierzadko wszystkie te elementy występowały jednocześnie w jednym domu.

- Oooch - jęknęła Nora z nosem przyciśniętym do szyby, jakby była na Swingin' Safari Ride w Disneylandzie. - Niech pani popatrzy. Obłądne, no nie?

Raczej szalone, ale po co miałam się z nią spierać? Zły gust można było kupić za każdą cenę. Skręciłyśmy w Hillman Driver, gdzie zwołniałam przed numerem 17, widocznym na ustawionej od frontu skrzynce pocztowej. Sam dom stał nieco cofnięty, na szczycie wzniesienia o spadzistych zboczach. Mogłabym powiedzieć, że był w amerykańskim stylu kolonialnym (pomieszanym z angielskim z okresu Tudorów), gdyby nie tarasy z krętymi białymi balustradami. Nawet niebrzydkie - gdyby dom stał przycupnięty na brzegu Morza Śródziemnego.

- Widziała pani kiedyś coś równie wspaniałego? - zapytała Nora, oddechem znacząc niewielkie kółka na szybie.

- Nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego - przyznałam zgodnie z prawdą.

Zatrzymałam się przy krawężniku i wyłączyłam silnik. Ozdobne mosiężne ogrodzenie okalało dom, ale główna brama stała otworem. Mimo to nie odważyłam się wjechać lexusem na stromy podjazd.

- Nie da rady podjechać bliżej? - zapytała Nora.

- Przecież możemy dojść na piechotę - odparłam, wysiadając z auta.

Zmierzyła mnie spojrzeniem - może w Twin Falls nie chadza się piechotą - ale zaraz ruszyła przodem. Zostałam nieco z tyłu, gdy posapując i dysząc, pokonywała strome schody. Kiedy w końcu dotarła na ganek, nacisnęła przycisk dzwonka. Po długiej chwili daremnego oczekiwania zadzwoniła znowu. I jeszcze raz.

- Idzie pani? - zapytała, patrząc na mnie ze szczytu schodów.

Twarz miała poczerwieniałą z wysiłku.

- Zaczekam tutaj. Wygląda na to, że nikogo nie ma.

- Przyjechałyśmy z tak daleka. Ktoś musi być w domu!

Cofnęła się o kilka kroków, żeby móc spojrzeć na wyższe piętra. W starym odcinku *Napisała: morderstwo* w oknie na drugim piętrze drgnęłyby firanka, po czym zaraz opadłyby z powrotem. Ale CBS nie zaakceptowała scenariusza i nic się nie wydarzyło. W domu panowała cisza.

- Oglądasz za dużo programów kryminalnych - powiedziałam ze złośliwym uśmiechem.

W prawdziwym życiu ludzie nie otwierają drzwi tylko dlatego, że ktoś przed nimi stanął.

Ruszyłam podjazdem do bramy, ale Nora nie spuszczała wzroku z domu.

- Halo!!! - zawołała. - Halo!!! Szukam Johnny'ego. Muszę porozmawiać z Johnnym. Wiem, że tu jest.

Cisza, cisza, cisza. Nawet listek nie drgnął.

Nora zaczęła zachowywać się jak kompletna idiotka.

- Halo!!! Johnny! - Jodłując, odchyliła się w tył, by nadać swemu głosowi większą moc. - To ja, Nora! Muszę z tobą porozmawiać! Tasha cię kochała! Muszę powiedzieć ci coś ważnego!

Skrzyżowałam ramiona, czekając, aż skończy. Nagle jednak ujrzałam, jak drzwi uchylają się odrobinę. Zauważyłam tylko niewyraźny zarys kogoś, kto je otworzył. Był co najmniej dziesięć centymetrów niższy i dwadzieścia kilogramów cięższy od człowieka na zdjęciu Granta. Nawet jeżeli Johnny De-Vito odsiedział jakiś czas w więzieniu, wątpliwe, by zmienił się aż do tego stopnia.

Nagle drzwi zamknęły się z powrotem, a Nora zniknęła z ganku.

Wstrząśnięta, ruszyłam w stronę domu, mając wrażenie, że ktoś włączył odtwarzanie w zwolnionym tempie. W rzeczy samej, ktoś w domu coś włączył, gdy bowiem zbliżałam się do podjazdu, zdobne ogrodzenie ożyło z jękiem i ciężka metalowa brama zaczęła się zamykać. Skrzydła zbliżały się do siebie coraz szybciej, z każdą sekundą czyniąc przejście węższym.

Po której stronie chciałam się znaleźć, gdy brama w końcu się zatrzaśnie? Zwlekałam o sekundę długo - może zadziałała moja podświadomość, bo tkwiłam w miejscu jak wmurowana. Zły wybór! Z chwilą gdy brama się

zamknęła, zmieniłam zdanie i spróbowałam wbiec na podjazd. Ale przez pozostałą szparę nie przecisnęłaby się nawet Kate Moss.

- Nora? - zawołałam. - Nora? Wszystko w porządku? Lecz mój drżący głos ledwie przedarł się przez pręty bramy, a do domu zostało mu jeszcze daleko.

Bez sensu załomotałam w ciężką mosiężną konstrukcję, a potem zaczęłam chodzić przed nią tam i z powrotem, jakbym planowała ucieczkę z więzienia. Z tą różnicą, że chciałam się do więzienia wdrzeć, a nie się z niego wydostać. Co robić? Nie miałam numeru komórki Nory, nie mogłam więc do niej zadzwonić. Z mieszkańcami domu także nie miałam się jak skontaktować. Nie miałam pojęcia, kim są, a bez nakazu Pacific Bell nie poda mi numeru na podstawie adresu. A może zawiadomić policję? Ale co im powiem? „Przyjechałyśmy do tego domu i zadzwoniłyśmy - teraz moja znajoma jest w środku i wydaje mi się, że coś tu jest nie tak”. Bardzo sensowne wyjaśnienie.

Zaczęłam krążyć wokół parceli, brnąć przez grząską trawę w swoich klapkach od Miu Miu. Wysoki plot, solidny i nie do przejścia, był zbyt wysoki, by się na niego wspiąć. Zresztą i tak bym nie potrafiła.

Spróbować skoku wzwyż? Nigdy nie udało mi się opanować flopa Dicka Fosbury. Zajrzałam przez plot do parceli obok, zastanawiając się, czy nie powinnam porozmawiać z sąsiadami. Usiłowałam coś dojrzeć, ale ponieważ nie patrzyłam pod nogi, potknęłam się o korzeń. Lewy kłapek spadł mi z nogi i głową naprzód padłam na wilgotną ziemię.

-Oj!

Przez chwilę leżałam nieruchomo, wsłuchując się w echo własnego krzyku, po chwili pozbierałam się powoli, szacując straty. Zakrwawione kolano, cała w błocie, z pulsującą boleśnie kostką. Pomasażowałam ją z niepokojem i uznałam, że jest tylko skręcona, nie złamana. Ostrożnie wstałam. Obolała, do-kuśtykałam jakoś do samochodu i usiadłam za kierownicą.

Nie chciałam zostawiać Nory, ale jak długo miałam czekać w nadziei, że w końcu się pojawi? Przypomniało mi się, że na studiach czekało się piętnaście minut na przyście wykładowcy, potem człowiek się pakował i wychodził. W barze przy Sunset czas oczekiwania na randkę w ciemno wydłużał się do dwudziestu minut. W eleganckiej restauracji, pogryzając paluszki chlebowe, współnikowi w interesach dawało się pół godziny. Ale co najnowsze podręczniki etykiety zalecały w sytuacji, w której się znalazłam? „Czekaj czterdzieści minut, aż współlokatorka ofiary morderstwa wyłoni się z tajemniczego domu. Jeżeli tego nie zrobi, możesz wracać do męża i dzieci!”

Opuchnięta kostka dawała mi się we znaki i chciałam stamtąd zniknąć. Wyglądałam przez lekko pobrudzoną szybę od strony kierowcy, starając się zapamiętać każdy szczegół domu, w którym zniknęła dziewczyna. Może powinnam napisać liścik i dokuśtykać, żeby wsunąć go przez bramę, aby Nora mogła do mnie zadzwonić, kiedy wyjdzie. Jeśli wyjdzie. Zadrżałam. Coś tu było nie tak.

Drzwi od strony pasażera otworzyły się i ktoś usiadł obok mnie.

Odwróciłam się, odczuwając ulgę, że Nora w końcu wróciła.

- Gdzie byłaś... - zaczęłam, ale słowa zamarły mi na ustach.

Osoba, która usiadła obok mnie, nie była gruba, nie była kobietą, nie była Norą. Szczupły, raczej wysoki mężczyzna w znoszonych błękitnych dżinsach i białej koszuli siedział

z twarzą skierowaną do przodu, nie patrząc na mnie. Czapkę Dodgersów miał nasuniętą głęboko na czoło i wysoko podniesiony kołnierzyk koszuli. Gdy wpatrywałam się w niego, odwrócił się lekko w moją stronę, ale w dalszym ciągu w zasadzie nie widziałam jego twarzy, tylko odbicie samej siebie w szklach ogromnych, lustrzanych okularów.

- Jedź - powiedział cicho.

- Kim jesteś?

Nie wiedziałam, czy mam być zaskoczona czy też raczej przestraszona. W odpowiedzi poruszył lewą ręką i w tej samej chwili srebrzysty nóż zalśnił w promieniach słońca. Zaparło mi dech, ale rozwiązał się mój dylemat. Przestraszona.

Nie na tyle jednak, by nie wiedzieć, że muszę uciec z samochodu. Szarpnąć drzwiami, przetoczyć się w lewo i już jestem na ziemi. Zrzucić buty, zerwać się i w nogi. Błyskawiczna decyzja. Do dzieła. Raz, dwa - kopnąć, szarpnąć, przetoczyć się...

- Auuu! - wrzasnęłam po raz drugi dzisiejszego dnia. Przeszywający ból szarpnął mi ramię i cofnęłam się, opadając na oparcie siedzenia. Instynktownie masowałam obolałą prawą rękę.

Co się, do cholery, stało?

Ręka bolała mnie potwornie i kiedy na nią spojrzałam, znowu zaparło mi dech. Może i byłam szybka, ale mój gość na pewno był szybszy - wokół prawego nadgarstka zatrzasnął mi kajdanki i przykuł mnie nimi do kierownicy. Nie wierzyłam własnym oczom. Najpierw psia obroża, teraz kajdanki. Czy byłam jedyną osobą w Los Angeles nieopętaną manią skuwania?

- Kim jesteś? - krzyknęłam. - Czego chcesz?

- Chcę, żebyś ruszyła - odparł cicho.

Okulary przeciwsłoneczne przekrzywiły mu się nieco i dostrzegłam okropne blizny okalające jego oko i duże, nie

regularne zgrubienia biegnące wzdłuż twarzy. Nareszcie pojęłam. Obok mnie siedział brzydki Johnny DeVito.

- Włącz silnik i ruszaj - powiedział cichym, przerażającym głosem, brzmiącym dziwnie znajomo.

Nie przekręciłam kluczyka.

- Gdzie jest Nora? - wychrypiałam.

W głowie kłębiło mi się sto tysięcy pytań, a zadałam właśnie to.

- Nie ma znaczenia - rzekł. Po czym tym samym spokojnym, przerażającym głosem dodał - Rób, co ci mówię.

Z zamętem w głowie próbowałam opracować plan ucieczki. Oby był lepszy niż w przypadku Roya. Odjechać, zacząć wrzeszczeć przez okno, użyć klaksonu dla zwrócenia uwagi. Z drugiej strony, zawsze czytałam, że lepiej kopać, walczyć, stosować opór tam, gdzie się jest.

Przemieszczając się, prowokuje się zabójcę do ataku.

A ja nie miałam cienia wątpliwości, że Johnny jest zabójcą.

Poza tym trzymał w ręce nóż, który teraz przyłożył mi do nagiego ramienia. Walczyłam, starając się od niego odsunąć, on jednak przycisnął nóż bardziej, aż poczułam, że ostrze przecina mi skórę. Pojawiła się na niej równiutka linia niewielkich kropelek krwi.

- Przestań! - wrzasnęłam. - Już jadę. Zdumiewające, ale cofnął nóż, trzymając go spokojnie

w dłoni w odległości zaledwie kilku centymetrów od mojego ramienia.

Niezgrabnie włączyłam silnik i ostrożnie naciskając pedał gazu, odjechałam od krawężnika z szybkością dziesięciu kilometrów na godzinę.

- Jedź normalnie - powiedział Johnny.

Jak miałam jechać normalnie z opuchniętą kostką, raną ciętą na ramieniu i ręką przykutą do kierownicy? Ale tylko skinęłam głową i przyspieszyłam. Nagle uświadomiłam sobie, że przecież to ja mam samochód pod kontrolą. Mogłam

przyśpieszać do oporu, nawet rozbić się o słup telefoniczny albo zjechać w przepaść.

Nie, nie zrobię tego. Przecież byłam przykuta kajdankami do kierownicy i nie mogłam uciec. Johnny DeVito przechytrzył mnie. Pociągnęłam nosem i spojrzałam na swoje ramię. Johnny cofnął nóż, zanim zdążył zrobić mi prawdziwą krzywdę. Z rany wyciekła tylko odrobina krwi, która zgromadziła się teraz w zagłębieniu mojego łokcia.

Kazał mi skrócić w lewo, co posłusznie uczyniłam. Potem dwa razy w prawo i znowu w lewo. Poza tym Johnny milczał, nie wypuszczając noża z ręki. Ale przynajmniej trzymał go na kolanach, a nie przy mojej twarzy. Nawiązać kontakt. Może to właśnie musiałam zrobić. Nawiązać osobisty kontakt z zabójcą. Niedawno w wiadomościach mówili o kobiecie, która uspokoiła porywacza, czytając mu *Życie z celem*. Niestety, nie miałam książki pod ręką, za to tylko jeden cel - ocalić życie.

- Zupełnie nie znam tej okolicy - powiedziałam, starając się zachować spokój. Mój głos załamywał się odrobinę, ale poradzę sobie. - Bardzo tu ładnie. Ciekawa zabudowa.

Nie odezwał się, ale kątem oka widziałam, jak pociera kciukiem ostrze. Zły znak. O czym jeszcze moglibyśmy porozmawiać? Trzeba znaleźć jakiś neutralny temat.

- Zauważyłam, że jesteś fanem Dodgersów. Świetna drużyna, nie sądzisz? Mój tato pochodził z Nowego Jorku i uwielbiał Dodgersów, kiedy jeszcze byli w Brooklynie, ale nigdy nie chciał ich oglądać w L.A. Nie mógł im wybaczyć, że się przenieśli. Dobrze, nie uważasz?

Johnny DeVito wciąż zachowywał kamienną twarz, niewzruszony urokiem mojego tatusia. Pewnie by go też nie obeszło, że ojciec umarł, kiedy miałam zaledwie dziewięć lat - chociaż mnie to obchodziło aż za bardzo. Ale nie zamierzałam rozmawiać o śmierci z człowiekiem z nożem w ręce.

Kolejny temat. Coś, co nie każe mu dojść do wniosku, że stanowią dla niego jakieś zagrożenie. Co wtej chwili - spójrzmy prawdzie w oczy - było nierealne.

Odetchnęłam głęboko.

- Zapewne zastanawiasz się, skąd wzięłam się przed twoim domem. To znaczy, nawet nie wiedziałam, że to twój dom. Każdy mógł w nim mieszkać. Przyjechałam wyłącznie dlatego, że Nora tak chciała.

Trafiłyśmy tu dzięki GPS, więc nie znalazłabym tego miejsca drugi raz, nawet gdyby od tego zależało moje życie.

Prawie się zakrztusiłam. Może jednak moje życie zależało od tego.

Teraz jednak nie było już sensu przerywać. Chciałam mówić dalej. I mówiłam. Nawet nie próbując na niego spojrzeć, paplałam jak nakręcona.

- Teraz ty jesteś moim GPS, bo mi mówisz, dokąd mam jechać. Wiesz, o co mi chodzi. Ha, ha. - Bardzo zabawne. On jednak się nie roześmiał. - Jeżeli chcesz, żebym cię gdzieś podrzuciła, z radością to zrobię, a potem włączę program i wrócę do domu. Rzecz jasna, będziesz musiał mi zdjąć te urocze kajdanki. - Poruszyłam nadgarstkiem. - Nie dlatego, że mi przeszkadzają, broń Boże, ale kiedy wysiądziesz, byłoby miło, gdybyś je zabrał ze sobą.

Patrzył prosto przed siebie.

- Zamknij się - powiedział cicho.

- Słucham?

- Zamknij się.

Zacisnęłam usta. Może jednak powinnam była rozmawiać z nim o pogodzie.

Upłynęło kilka minut, podczas których jechałam ponurą ulicą, w zasadzie kompletnie pustą.

- Skręć w prawo na następnym rogu i zatrzymaj się na poboczu. Tuż obok kubła na śmieci.

Zatrzymałam lexusa dokładnie tam, gdzie mi kazał. Jeżeli zamierzał mnie zabić i wrzucić moje zwłoki do kubła,

wspaniale mu to ułatwiłam. Mój umysł pracował gorączkowo w poszukiwaniu jakichś opcji, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Johnny znowu trzymał nóż w pogotowiu.

Kiedy silnik przestał pracować, zapanowała przerażająca cisza.

- Widziałem, co twój mąż zrobił Tashy - odezwał się Johnny swoim niskim, mrukliwym głosem. - Powiniennem zrobić ci to samo.

Nagle pacnął mnie prawą ręką w twarz - nie było to uderzenie, raczej pchnięcie, jak gdyby wciskał mi w twarz bananowe ciasto. Wbił mi place - zadziwiająco gładkie - w nos, a podstawę dłoni w usta. Usiłowałam go ugryźć, on jednak tylko odepchnął mnie ze złością i cofnął rękę. Na dłoni miał rozmazaną moją różową szminkę o dwunastogodzinnej trwałości, co zdawało się go autentycznie zezłościć. Dwa razy uderzył mnie mocno w brodę i policzki. Poczułam, jak do oczu napływają mi łzy.

Z ohydym, złośliwym uśmieszkiem cofnął się i zaczął wywijać nożem.

- Upokorzył ją. Obnażył. Tak samo będzie z tobą. Zdejmuj spodnie.

Wpatrywałam się w niego zaszokowana, ale nawet nie drgnęłam.

- Nigdy nie słuchasz za pierwszym razem - powiedział Johnny i zamachnął się nożem, przecinając cienki materiał moich spodni od Donny Karan, przy okazji raniąc mnie też w nogę.

Wrzasnęłam. Po raz kolejny cofnął nóż.

- ściągnij spodnie albo je na tobie potnę - powiedział. - Bluzkę też.

Roztrzęsiona i zapłakana, wyplątałam się ze spodni i nie radząc sobie najlepiej, lewą ręką zaczęłam rozpinać guziki bluzki.

Johnny gapił się na mnie z otwartą gębą. Czarny haftowany stanik La Perla z jedwabiu z przezroczystą wyściółką miał

wywierać na mężczyznach właśnie takie wrażenie, w tej chwili jednak byłabym o wiele szczęśliwsza, mając na sobie zwykły T-shirt Hanesa. Jeszcze nie zauważył majteczek, przeźroczyстых z tyłu, z przodu ozdobionych falbanką z koronki.

Staralam się wyglądać poważnie, a nie jak kobieta rozbierająca się w obecności mężczyzny z nożem.

- Nie dam rady zdjąć bluzki w tych kajdankach - powiedziałam.

- Postaraj się.

Wyzwolilałam się z lewego rękawa, potem zsunęłam prawy, aż zawisł na kierownicy. Johnny kiwnął głową, po czym nachylił się i małym kluczykiem otworzył zamek. Rzucił bluzkę i spodnie na tylne siedzenie i przyłożył mi nóż do nogi.

- Wsiadaj z auta - rozkazał. - W tej chwili.

Tym razem postanowiłam go posłuchać od razu. Otworzyłam drzwi i wyskoczyłam. Nie oglądając się za siebie, ruszyłam biegiem, by jak najszybciej oddalić się od samochodu. Nie bacząc na obolałą kostkę, postanowiłam pobić życiowy rekord, pomimo kłapek na wysokich obcasach. Mogłam się ich pozbyć, ale czując twarde żwir przez cienkie podeszwy, uznałam, że bosy będzie mi się biegło jeszcze gorzej. Zatem biegłam. Jeżeli Johnny DeVito miał broń, niech sobie strzela. Musiałam uciec.

On jednak mnie nie gonił. Kiedy w końcu odważyłam się spojrzeć przez ramię, samochód zniknął. Johnny odjechał.

Zatrzymałam się, by złapać oddech. W pierwszej chwili czułam ulgę.

Wyzwolilałam się z kajdanek i pozbyłam się Johnnynego. Nie zabił mnie.

Ruszyłam i po chwili zrozumiałam, w jak idiotycznej znalazłam się sytuacji. Szłam przemysłową ulicą w bieliźnie za pięćset dolarów, bez telefonu komórkowego i grosza przy duszy. Trochę też bałam się, że Johnny DeVito pojawi się z nienacką, by jednak zemścić się za śmierć Tashy.

Szłam środkiem ulicy, machając gorączkowo do przejeżdżających samochodów. Dwa mnie ominęły, jeden głośno zatrał. W pewnej chwili zwolniła sfatygowana biała furgonetka i przez okno wychylił się śniady Latynos.

- Dobrze się pani czuje? - zawołał.

-Nie!- odwrzasnęłam. - Potrzebuję pomocy!

Gapił się na mnie. Może nigdy wcześniej nie widział z bliska francuskiej bielizny, ale nie musiał nadrabiać zaległości wzrokiem tak pożądlivym. Nagle uśmiechnął się szeroko.

- Bierze pani udział w jakimś reality show? - zapytał bardzo z siebie zadowolony. - Jeśli tak, znalazła pani właściwego człowieka. Gotowa na następne wyzwanie?

Potrząsnęłam głową.

- To się dzieje naprawdę!

Rozejrzał się po ulicy, szukając kamer, wyraźnie zawiedziony, że żadnej nie zauważył. Ruszyłam w jego stronę, ale on zatrzymał mnie wyciągniętą ręką. Skoro nie miał szans na występ w telewizji, nie zamierzał tracić czasu. Odjechał.

Wyczerpana i roztrzęsiona, szłam dalej, zataczając się jak pijana. Rana na ramieniu zaczęła mi krwawić, niestety nie miałam czym jej opatrzyć. Na pewno nie zamierzałam użyć do tego celu stanika.

Skreśliłam za róg i ujrzałam przed sobą długą przyczepę Silver Star, z rodzaju tych, które służą aktorom za garderobę podczas zdjęć do filmu. Zwykle jest ich co najmniej kilka, a wokół kłębią się kilometry kabli, stoją reflektory i kręci się mnóstwo zaaferowanych ludzi. Tutaj jednak panował całkowity spokój. Nigdzie ani śladu związkowców wlewających w siebie hektolitry kawy i zajadających się lukrowanymi pączkami, ani uzbrojonych w clipboardy asystentek w ciasno opiętych dżinsach seven. Żadnych czekających cierpliwie statystów, starających się sprawić wrażenie gwiazd, ani członków kierownictwa studia, udających, że płaci im się za coś więcej niż za pojawienie się. Kompletna cisza. I pustka, jeśli nie liczyć kilku pomarańczowych słupków, zapewne oznaczających plan, na którym coś zacznie się dziać w bliżej nieokreślonej przyszłości.

Powoli podeszłam do przyczepy, ostrożnie wspierałam się po chwiejnych metalowych schodkach i zastukałam do drzwi.

Otworzył je otyły strażnik o potężnej szczęce, odziany w granatowo-złoty uniform. Na mój widok parsknął śmiechem.

- Zaczną kręcić dopiero w przyszłym tygodniu - powiedział. - Pan Clooney jeszcze nie przyjechał. Jak chcesz napisać do niego list, dołożę go do reszty.

- Nie chodzi mi o Georgea Clooneya - odparłam. - Prawdę mówiąc, znam go. Spotkaliśmy się dwa razy. Ale nie dlatego tu jestem. Kilka godzin temu zostałam porwana i przywieziona tutaj. Musiałam się rozebrać.

Potrzebuję pomocy.

Strażnik był lekko ubawiony.

- Porwana przez obcych?

- Przez człowieka z bliźnami, uzbrojonego w nóż. Byłego skazańca.

- Lepsza byłaby bajka o obcych - rzekł z namysłem strażnik. - Może by nawet zainteresowała pana Clooneya. Chyba jednak nie. Teraz woli poważniejsze tematy. Ale muszę ci przyznać, że się starałaś. Jak tylko zaczynają kręcić film, codziennie pojawiają się co najmniej trzy dziewczyny w bieliź-nie. Liczą na to, że go poznają.

- Zostałam zaatakowana - powiedziałam, pokazując swoje krwawiące ramię.

- Czym, laserową strzelbą czy laserowym mieczem?

- Zwyczajnym nożem. Strażnik westchnął.

- Kiepsko się starasz.

Zaczął zamykać drzwi, ale w porę udało mi się je przytrzymać łokciem.

- Proszę posłuchać, nazywam się Lacy Fields. Moim mężem jest Dan Fields, chirurg plastyczny. Obcy ukradli mi też samochód, lexusa, a muszę jakoś dojechać do domu. Może

pan zadzwonić do firmy wynajmującej samochody? Korzystamy zawsze z Rogal Wheel, kiedy musimy pojechać na lotnisko, więc mamy u nich otwarty rachunek. Ale może być jakakolwiek inna firma. Naprawdę. Strażnik popatrzył na mnie z niedowierzaniem, po czym zdecydowanie zamknął drzwi.

Usiadłam na metalowych schodkach. Słabo świecące słońce nie dawało zbyt dużo ciepła i nagle zrobiło mi się zimno. Objęłam się w pasie ramionami, zastanawiając się, czy nie poprosić strażnika, żeby pożyczył mi jakąś koszulę. Ale na pewno doszedłby do wniosku, że chcę zdobyć jakąś pamiątkę po George'u Clooneyu i sprzedać ją na eBay.

Siedziałam tak bardzo długo, łudząc się, że może jednak zadzwonił i lada chwila zjawi się lincoln z Royal Wheel. Kiedy jednak w końcu podjechał do mnie samochód, był to tylko niebieski Chevrolet. A zamiast szofera w mundurze i czapce, wysiadło z niego dwóch mężczyzn w zwykłych spodniach i koszulach. Jeden z ziemistą gębą, drugi przystojny, o twardej twarzy.

- Pani Fields - odezwał się jeden z nich z nieskrywaną ironią w głosie. - Znowu się spotykamy. Jestem detektyw Reese. Wygląda na to, że potrzebuje pani pomocy.

Ale nie takiej pomocy. Reese i Shields byli gliniarzami, którzy aresztowali mojego męża.

Rozdział dziewiąty

Spędziłam na posterunku trzy godziny, kiedy wreszcie zjawił się Reese z informacją, że znaleźli mój samochód.

- Za rogiem, tuż obok miejsca, z którego panią odebraliśmy - powiedział. Siedział na krześle okrakiem, tyłem do przodu, z ramionami złożonymi na oparciu. Zniżył głowę tak, że oparł brodę na dłoniach i wpatrywał się we mnie swoimi przenikliwymi zielonymi oczami. Ciekawe, czy nauczył się tego w szkole dla detektywów, czy też podpatrzył w serialu *Prawo i porządek*.

- Jest zniszczony? - zapytałam.

- Nie, wygląda na to, że jest w doskonałym stanie. - Reese mrugnął oczami, opuszczając i unosząc swoje długie rzęsy. - Biorąc pod uwagę pani historię, trochę to dziwne, że właśnie tam go znaleźliśmy, nie sądzi pani?

- Wręcz przeciwnie. Idealnie pasuje do tego, co wam powiedziałam. - Szarpnęłam rękaw bezkształtnej, ohydnie zielonej koszuli, którą dał mi Reese, razem z kolorystycznie dobranymi spodniami, które zsuwały mi się z bioder. Miałam jeszcze do wyboru pomarańczowy więzienny kombinezon. - Podejrzewam, że DeVito odjechał, kiedy wyrzucił mnie z auta, a potem sam wysiadł.

- A jak wrócił do domu? - zapytał Reese.
- Skąd mam wiedzieć? Pewnie wysiadł i zadzwonił po kogoś. Nie chciał, żeby go złapali w kradzionym samochodzie.
- Bardzo ostrożny porywacz - rzeki Reese wolno. - Pod dywanikiem zostawił kluczyki.

Pociągnęłam łyk odgazowanej dietetycznej coli, którą godzinę wcześniej dostałam od detektywa Shieldsa. Był to jedyny miły gest, na jaki się zdobył, poza pożyczaniem mi marynarki, kiedy wsiadłam do ich radiowozu. Poprosiłam, żeby odwieźli mnie do domu, oni jednak zabrali mnie do tego pokoju przesłuchań na komisariacie. Dali mi do zrozumienia, że jeżeli będę z nimi współpracować, nie oskarżą mnie o obrazę moralności.

- Grożono mi. Porwano. Poraniono nożem - tłumaczyłam z oburzeniem. - To ma być obraza moralności?

Poza tym, biorąc pod uwagę przyjęte w L.A. standardy, mój strój wcale nie był szokujący. Stanik? Litości. Przynajmniej miałam go na sobie. Czego nie da się na ogół powiedzieć o gwiazdkach paradujących po Melrose Place w sobotnie popołudnia. Na ulicach zachodniego L.A. widzi się więcej nagich piersi, niż smoczków w dziale dla niemowląt w Walgreens.

Reese westchnął i wyciągnął przed siebie nogi. Wyglądałoby to o wiele lepiej, gdyby nosił kowbojskie buty, tym bardziej że mógł się pochwalić jedynie lekko znoszonymi mokasynami.

- Zaczniemy jeszcze raz od początku, proszę pani - powiedział. Rzucił okiem na żółty notes, w którym robił notatki. - Pojechała pani swoim lexusem do niejakiego Johnny'ego DeVito, ale użyła pani GPS, nie wie pani więc, jak tam trafić. Pojechała pani z Norą Wilson, była współlokatorką Tashy Barlow, ale nie wie pani, gdzie ona się w tej chwili znajduje. Podobnie jak nie wie pani, gdzie znajduje się Johnny DeVito. Wie pani tylko, że okolica nie przypadła pani do gustu. Fatalnie zaprojektowane domy.

- Hillman, numer siedemnaście - powiedziałam. - Podałam wam adres. Architektoniczna ohyda.

Reese odhaczył coś w swoim notesie, po czym kontynuował.

- Przyjechała pani pod dom, który wcale nie musiał należeć do tego całego DeVito. Którego, przy okazji, każe nam pani odnaleźć, ponieważ uważa pani, że to on, a nie pani mąż zabił Tashę Barlow.

- Zgadza się - przytaknęłam skinieniem głowy. Reese przyglądał mi się przez długą chwilę, wreszcie pokręcił głową. Ale mówił dalej, tym razem już nie zaglądając do swoich notatek.

- Kobieta, z którą pani tam pojechała, weszła do tego domu, ale z niego nie wyszła. Pani wróciła do samochodu, do którego po chwili wsiadł mężczyzna. Przykuł panią kajdankami do kierownicy i kazał pojechać na opustoszałą ulicę. Tam, grożąc pani nożem, zmusił panią do rozebrania się, ale nawet pani nie tknął.

- Właśnie tak - powiedziałam.

- Och, na miłość boską - rzekł Shields, który w tej chwili wszedł do pokoju. - Wciąż gracie w to samo? Jeszcze nie zrezygnowała?

- Zrezygnowała z czego? - zaciekawiałam się.

- Z kłamania - odparł Shields.

Oparł się łokciami o stół i nachylił ku mnie. Oddech cuchnął mu pizzą z czosnkiem, a pod pachami bładoniebieskiej koszuli miał wielkie plamy potu. Jeżeli Reese i Shields bawili się w złego i dobrego gline, zaczynałam się gubić, bo co chwilę zamieniali się rolami. Może powinnam ich traktować jak zwykłych ludzi wykonujących swoją robotę. Popatrzyłam na Reesa, który wzruszył ramionami.

- To naprawdę dziwnie brzmi, proszę pani. Dość podejrzanie. Można w zasadzie pomyśleć, że pani to wszystko zmyśliła.

- Właśnie - przytaknął Shields. - Bo ona to zmyśliła. Sama pojechała na plan filmowy, rozebrała się do bielizny i skleciła tę zwariowaną bajeczkę.

- Skoro wszystko sobie zmyśliłam, jak wytłumaczycie to? - zapytałam, wskazując na zranione ramię, w tej chwili porządnie zabandażowane. Musiałam podpisać kilka formularzy, zanim policyjna pielęgniarka dała mi nasączony alkoholem wacik i gazę opatrunkową, po czym kilka kolejnych, żeby zgodziła się zakleić plastrem nogę, w którą Johnny dźgnął mnie nożem.

Shields zaśmiał się krótko.

- To powierzchowne rany - powiedział. - Mogła je pani sama sobie zadać. Upuściła pani trochę krwi, żeby wzbudzić współczucie, nie robiąc sobie większej krzywdy.

- Po co miałabym to robić? - zapytałam.

- A skąd ja mam to wiedzieć? - rzekł Shields. - Może jest pani psychopatką. Albo ekshibicjonistką. Może lubi pani zwracać na siebie uwagę. Ale coś pani powiem. Dojdę do tego. A kiedy to zrobię, coś mi mówi, że nie tylko pani mąż wyląduje za kratkami.

Wyprostowałam się i skrzyżowałam ramiona na piersiach. Nie dam się zastraszyć.

- Ja jestem ofiarą, a nie przestępcą - powiedziałam. Shields uniósł brwi.

- Nieźle pani sobie radzi jak na amatorkę - rzekł. - Mnóstwo szczegółów, co jest dość ryzykowne, a mimo to trzyma się pani swojej wersji. Ale chce pani wiedzieć, co panią zdradziło? Proszę tego nie potraktować jako obrazy. Pani stanik i majtki.

Patrzyłam na niego zdumiona.

- A mianowicie?

- Są do kompletu.

Zamrugalam i wyprostowałam się jeszcze bardziej.

- Uważa pan, że kłamię, bo moja bielizna jest do kompletu?

Shields stracił nieistniejący okruszek z rękawa, po czym skinął głową.

- Jestem żonaty od piętnastu lat, więc wiem to i owo o damskich ciuszkach. Pani paraduje w eleganckiej bieliznie. Co to ma być, jakieś walentynki? Codziennie rano widzę, jak moja żona się ubiera. Wkłada to, co akurat jest czyste, a koronkowe fatałaszkę trzyma na specjalne okazje. Tak więc sobie myślę, że dzisiaj pani tak się ubrała, bo wiedziała pani, że inni panią zobaczą.

- Zawsze noszę ładną bieliznę - odparłam wyniośle, czując, jak na policzki wypływa mi lekki rumieniec. - Zwykle La Perłę. Czasami kupuję Cosabella, ale mają ciasne majtki. Dzisiaj rano chciałam włożyć stanik Chantelle, ale ma za dużo koronek i byłoby je widać przez bluzkę. - Spojrzałam w dół na swoje piersi, potem podniosłam wzrok na detektywów, prawdopodobnie niemających wyrobionego zdania na temat niewidocznych przez bluzkę staników. - Moja matka zawsze powtarzała, że kobieta w taniej bieliznie czuje się brzydka i zaniedbana. Panie detektywie Shields, proszę powiedzieć żonie, żeby pozbyła się niepasujących do siebie kiepskiej jakości staników i majtek i kupiła sobie francuską bieliznę. Jeżeli nie stacją na La Perłę, mają też tańszą kolekcję, o nazwie Malina. Na ogół nie jest z jedwabiu - zniżyłam głos, jakbym zdradzała jakiś sekret - ale na pierwszy rzut oka prawie nie widać różnicy. I jest seksowna, więc zapewne i tak bardzo szybko zedrze ją pan z małżonki. Umilkłam i w pokoju zapadła cisza. Shields wsunął pulchne dłonie do kieszeni i cofnął się o kilka kroków. Widziałam, że Reese walczy z cisnącym mu się na usta uśmiechem.

Wstałam.

- To by było na tyle. Powiedziałam wam wszystko, co wiem. Czy sądzicie panowie, że mogę już sobie iść?

Reese popatrzył na Shieldsa, który ledwie dostrzegalnie skinął głową. Może bał się, że zacznę robić mu wykład na temat wkładek higienicznych.

- Dziękujemy, że była pani tak pomocna - odezwał się Reese, wstając. - Przekażemy to naszym przełożonym i skontaktujemy się z panią. W tej chwili jest pani wolna. Czy mam zadzwonić do pani męża albo odwiedzić panią do domu?

Nie miałam ochoty ani na jedno, ani na drugie. Póki co, wolałam zachować swoje przeżycia dla siebie. Udawać, że w ogóle do nich nie doszło.

- Skoro znaleźliście mój samochód, wrócę nim do domu - powiedziałam.

- Odeślę panom ubrania, które byliście tak uprzejmi mi pożyczyć - dodałam, posyłając im uśmiech w założeniu czarujący. - I proszę dzwonić, ilekroć będziecie mieli jakieś pytania na temat bielizny.

Moja historia niedługo pozostała tajemnicą - wyszła na jaw po upływie zaledwie dwunastu godzin. Nazajutrz z samego rana zadzwoniła do mnie niezwykle podekscytowana moja przyjaciółka, Molly Archer.

- Lacy, mogłaś mi powiedzieć, że chcesz trafić do show-biznesu - zakpiła.

- Pomogłabym ci. Muszę przyznać, że twoja eskapada była bardzo pomysłowa, ale trochę mnie dziwi, że zdecydowałaś się na nią akurat teraz.

- Jaka eskapada? - zapytałam niepewnie.

- W samej bieliźnie do przyczepy Georgea Clooneya. Przełknęłam ślinę.

- Skąd o tym wiesz?

- Wiem? Ja na to patrzę. Piszą o tym w dzisiejszym internetowym wydaniu „The National Enquirer”, i założę się, że w przyszłym tygodniu puszczą to w druku.

Usiadłam przy biurku i wyszukałam odpowiednią stronę. Dwa kliknięcia i oto jest - zdjęcie, na którym widać mnie prawie naga koło przyczepy George'a Clooneya i wielki tytuł: „GOTOWA NA WSZYSTKO”.

- O mój Boże - jęknęłam.

- O co ci chodzi? - zapytała radośnie Molly. - Wyglądasz powalające Co za nogi. Na pewno ćwiczysz jogę. Kto zrobił zdjęcie?

- Nie mam pojęcia - odparłam. - Był tam tylko prywatny ochroniarz. Musiał mieć aparat schowany w kieszeni, czy coś w tym rodzaju, kiedy otworzył drzwi.

- Oooh, a więc to on sprzedaje zdjęcia brukowcom!

- wykrzyknęła Molly. - Kochanie, za chwilę do ciebie od-dzwonię. Teraz muszę zadzwonić do George'a i ostrzec go, że ma kreta wśród pracowników.

Rozłączyła się, aja szybko przeczytałam artykuł, według którego byłam podstarzałą aktorką rozpaczliwie starającą się o rolę w nowym filmie Clooneya. Standardowa procedura brukowców - zdobyć zdjęcie i dorobić do niego historyjkę. W sumie byłoby to zabawne, gdyby nie fakt, że poza Molly wiele innych osób rozpozna mnie na zdjęciu. Wczoraj wieczorem udało mi się wrócić do domu i przebrać, zanim zobaczy mnie Dan czy dzieci, i szczerze mówiąc, chciałam jeszcze przez jakiś czas nie przyznawać się im do swojej niefortunnej przygody.

- Co ja mam zrobić? - zapytałam w panice Molly, kiedy zadzwoniła po raz drugi.

- Przede wszystkim, powinnaś to uznać za komplement

- powiedziała. - Jakiś redaktor zobaczył zdjęcie i wziął cię za aktorkę.

Przynajmniej nie uznali cię za prześladowczynię.

- A gdzie niby miałabym ukryć broń? Ale co się stanie, kiedy prasa zorientuje się, kim jestem, i połączy mnie z Danem?

- „Żona doktora mordercy oszalała ze stresu” - odparła Molly, cytując naprędce zmyślony nagłówek. Bez wątpienia miała już do czynienia z historiami publikowanymi przez brukowce. - A tak przy okazji, co w zasadzie robiłaś koło przyczepy George'a Clooneya? Na dodatek w samej bieliźnie? - zapytała po chwili z wyraźnym niepokojem w głosie.

Milczałam i po chwili Molly westchnęła głośno.

- Rany, to wcale nie jest zabawne, prawda? - zapytała, teraz już całkiem poważnie. - Stało się coś okropnego?

- Nawet nie wiesz, jak bardzo - przyznałam. - Prawdę mówiąc, umieram ze strachu.

- Natychmiast do mnie przyjeźdź - rozkazała. - Zbyt długo się nie widziałyśmy. Musimy pogadać.

Byłam już umówiona z klientką w Pacific Design Center, powiedziałam więc Molly, że później do niej wpadnę. Moja klientka, żona producenta filmowego, który właśnie odniósł swój pierwszy kasowy sukces, przyszła na spotkanie w czarnej haftowanej minispódniczce, sandałach od Christiana Louboutina na dwunastocentymetrowych obcasach, białym T-shircie od Jamesa Perse'a i bolerku z różowego futerka. Idealny strój na wybieranie lamp do nowej posiadłości w Benedict Canyon. Przez godzinę podziwiałymy różne opcje, ale tym razem moje zdolności perswazji zawiodły mnie. Zakochała się w ręcznie kutym, trzypoziomowym żyrandolu z żelaza i brązu w kształcie jelenich rogów i za nic nie chciała się dać przekonać do znacznie prostszego w stylu werońskim.

- Tylko żelazo z brązem zrobi odpowiednie wrażenie. Słyszałam, że Russell Crowe ma się wprowadzić obok - powiedziała, jakby ten fakt był uzasadnieniem jej wyboru.

Może ogiery lubią jelenie. Co mi tam, w końcu to jej trzydzieści tysięcy dolarów, nie moje. Taka rozrzutność co prawda przyprawiła mnie o lekkie mdłości, wątpiłam jednak, by udało mi się ją przekonać, żeby wydała mniej na żyrandol, a to co zaoszczędzi, przeznaczyła na pomoc dzieciom w potrzebie.

Ponieważ już byłam w West Hollywood, nie pojechałam autostradą, lecz wybrałam La Ciénega biegnącą obok muszli koncertowej Hollywood Bowl, by przejechawszy wzgórze, dotrzeć do Burbank. Agencja Molly znajdowała się w domku przy West Olive, niedaleko siedzib NBC, ABC i Warner Brothers. Dzięki temu Molly mogła znaleźć odpowiedniego aktora i w ciągu godziny dostarczyć go na plan. Normalnie

nie odbywało się to w ten sposób, ale kierownictwo sieci na tyle jej ufało, aby przystać na taki układ.

Kiedy weszłam, korytarz przed pokojem przesłuchań wypełniony był pięknymi aktorami najwyżej dwudziestoparoletnimi, o szerokich barach, jasnych włosach, wspaniale umięśnionych brzuchach i w obcisłych dżinsach, pięknie podkreślających kształtne pośladki. Poczęstowałam się miniaturowym ciasteczkiem z makiem z tacy pełnej przeróżnych pyszności, którymi nikt się nie interesował, ponieważ żaden z obecnych nie odważyłby się nawet tknąć węglowodanów. Udział tłuszczu w ciałach stłoczonych w korytarzu nie przekraczał pięciu procent.

Chwilę później pojawiła się zaaferowana Molly i na mój widok podbiegła, by mnie uściskać.

- Tak się cieszę, że przyszedłeś. Stęskniłam się za tobą. Wzięła mnie za rękę i zaciągnęła do swojego eleganckiego gabinetu - wyłącznie czerń i chrom, same lśniąco powierzchnie. Obok biurka stał oryginalny fotel Wassilyego Marcela Breuera, z siedzeniem ze skórzanych pasów, które musiały boleśnie wbijać się w uda, ustawiony pod takim kątem, że kolana automatycznie układały się w mało wygodnej pozycji. Fotel nadawał się wyłącznie do muzeum, gdzie powinien stać odgradzony czerwonym sznurem, by przypadkiem nikomu nie przyszło do głowy na nim usiąść.

Molly przycupnęła na kanapie pokrytej imitacją skóry lamparta i zapraszająco poklepała miejsce obok siebie. Podeszłam więc i usiadłam.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam ci w niczym ważnym - powiedziałam, wykręcając szyję, by na nią spojrzeć. Zważywszy wykrzywiony kształt kanapy, rozmowa twarzą w twarz nie była łatwa. Molly odrzuciła z twarzy ciemne kręcone włosy i zaśmiała się lekko. Była piękna w zupełnie niehollywoodzkim stylu. Miała błyszczące oczy i nieskazitelną cerę, istny dar od Boga,

bez najmniejszego udziału Lancôme. Poza nią nie znałam kobiety, która nosiłaby równie oszczędny makijaż i chociaż byłyśmy w tym samym wieku, drobniutkie zmarszczki-śmieszki wokół oczy zamiast dodawać, tylko ujmowały jej lat.

- Zbieramy obsadę do reality show Foxa - wyjaśniła z uśmiechem. - Szukamy typowych kalifornijskich surfin-gowców. Mają pokazać gołe pośladki. Ponieważ uznałam, że jestem już za stara, poprosiłam dwie młode dziewczyny, aby przeprowadziły casting. Ja tam nawet nie wchodzę. Pomyślałam sobie, że te nagie tyłeczki mogłyby mnie podniecić, co byłoby zapewne niezgodne z prawem albo - co gorsza - wcale by mnie nie podnieciły, jednoznacznie robiąc ze mnie panią w średnim wieku.

Roześmiałam się.

- To znaczy, że nawet nie będziesz podglądać? Mrugnęła.

- Chyba że mnie o to poprosisz.

Podeszła do płaskiego lustra na jednej ze ścian i nacisnęła przełącznik - i nagle pojawiło się wielkie okno z widokiem na pokój castingowy.

Popatrzyłam na Molly zdumiona.

- Lustro fenickie? - zapytałam. Skinęła głową.

- Dopiero kazałam je zamontować. Fajne, no nie? Czuję się jak detektyw Molly Archer.

Skrzywiłam się.

- Pobawiłam się trochę w panią detektyw, i uwierz mi, to tylko z pozoru jest zabawne.

Molly zasłoniła dłonią usta, jakby chciała z powrotem wepchnąć w nie wypowiedziane słowa.

- Najmocniej cię przepraszam, kochanie - powiedziała, wracając na kanapę. - Kompletnie nie myślę. A teraz wszystko mi opowiedz. I jak to się stało, że niemal nago wylądowałaś na planie filmowym.

- To dość długa historia - ostrzegłam.
- Nie szkodzi. Chcę wiedzieć wszystko, od początku do końca - odparła zdecydowanie.

Usadowiłam się wygodniej - co nie było łatwe na pozbawionej oparcia kanapce - i opowiedziałam wszystko z grubsza, dochodząc do ostatniego dnia, który opisałam ze szczegółami, poczynając od chwili, gdy przyjechałam po Norę, a kończąc na powrocie do domu. Molly kilka razy pokręciła głową, a kiedy umilkłam, gwizdnęła cicho.

- Rany - powiedziała. - Nie wiem, co myśleć.
- Ja też nie. - Odetchnęłam głęboko. - Chcesz usłyszeć coś równie dziwnego?
- A masz coś jeszcze? Jeszcze jeden taki dzień i możesz wystąpić we własnym reality show. Ozzie Osbourne nigdy nie był nawet w połowie równie interesujący.

Zaczęłam opowieść o swojej przygodzie z Royem Evansem. Doszłam do psiej obroży, a wówczas Molly wstała i zaczęła krążyć po swojej lśniącej drewnianej podłodze. Kiedy skończyłam, twarz miała poczerwieniałą ze złości.

- Wiąże kobiety w swojej sypialni. Najmniejsze, co mogę zrobić, to załatwić, żeby wywalili tego dupka z pracy. - Pokręciła głową. - Ciekawe, czy w pracy zachowuje się równie dziwnie. Gdyby tak było, ktoś musiał coś zauważyć. Zadzwońię do Tima - powiedziała, podnosząc słuchawkę, by wybrać numer do przyjaciela, producenta *Night Beat*.
- Nagle przypomniałam sobie, że kiedy ostatnio kontaktowali się z mojego powodu, planowali wspólną kolację.
- Jak się udała twoja randka z Timem? - zapytałam, gdy wybierała numer.
 - Nie doszło do niej. Najpierw on był zajęty, później ja nie miałam czasu.
 - Wzruszyła ramionami i zamiast zacząć rozpaczać nad nieudanym życiem towarzyskim kobiety robiącej karierę w L.A, z wściekłością odłożyła słuchawkę. — A teraz zgłasza się jego poczta głosowa. Szlag by to trafił.

Jeszcze parę razy przespacerowała się tam i z powrotem, wreszcie, usiłując się uspokoić, nacisnęła przełącznik feni-ckiego lustra. Kolejny kandydat na surfera przeszedł przez pokój i stanął w świetle reflektora. W przeciwieństwie do pozostałych kandydatów miał ciemną skórę i włosy, ujmujący uśmiech i bicepsy Schwarzeneggera. Molly przyjrzała mu się z uznaniem i włączyła interkom. Zobaczyłyśmy, jak prowadząca casting asystentka podnosi słuchawkę.

- Czy on umie mówić? - zapytała ją Molly.

- Jest świetny - powiedziała dziewczyna, powstrzymując się, by nie popatrzeć w lustro. - Zabawny, czarujący i przeszedł test, który mi podsunęłaś. Chętnie bym się z nim przespała. I z radością dałabym mu tę rolę. Szkoda, że nie jest blondynem.

- Prowadzimy casting do reality show - warknęła Molly.

- Połowa populacji tego stanu to Latynosi i jak zobaczę w telewizji jeszcze jednego blondasa surfującego na fali, chyba się porzygam. To ma być prawdziwe. Bierzemy go.

Dziewczyna zachichotała, a Molly wyłączyła interkom i odwróciła się do mnie.

- Wybacz. Taka mała przerwa, żeby mi się lepiej myślało. - Przez chwilę stała bez ruchu, wpatrując się w lustro fe-nickie, wreszcie potrząsnęła głową i chwyciła swoją torebkę.

- Tim pracuje z Royem, może więc wie, co się dzieje. Jeżeli nie, chcę, żeby poznał twoją historię. I żebyś mu ją opowiedziała osobiście.

Jedziemy do niego.

Mogłam zaprotestować, ale kiedy Molly przystępowała do działania, zamieniała się w tornado - nic nie mogło jej powstrzymać ani wyrzucić z raz wyznaczonego kursu. O wiele bezpieczniej było ruszyć wraz z nią, niż próbować się jej przeciwstawić.

W ponurym podziemnym parkingu Molly zdecydowała, że do stacji telewizyjnej pojedziemy moim lexusem.

- Chcę usiąść na miejscu, na którym siedział Niebezpieczny Johnny. Może coś mi przyjdzie do głowy. Mam talent do wyłapywania aury.

- Jeśli ci się uda tym razem, możesz zacząć przepowiadać przyszłość na Sunset - powiedziałam. Otworzyłam drzwi od strony pasażera i wyciągnęłam wielkie pudło z próbkami tkanin, które wrzuciłam na przednie siedzenie. - Włożę je do bagażnika, żebyś miała więcej miejsca. Molly wsiadła do auta, a ja szybko otworzyłam bagażnik i wrzuciłam do niego pudło. Już miałam zamknąć klapę, kiedy coś nieokreślonego zwróciło moją uwagę. Zatrzymałam się i zajrzałam do bagażnika. Serce waliło mi tak mocno, że z trudem oddychałam.

Cały tył bagażnika zajmował wielki, pękaty czarny wór na śmieci, podobny do tych, których używają ogrodnicy do zbierania suchych liści. Zamykał go ciasny węzeł. Nachyliłam się, żeby kciukiem zrobić w worku dziurę i sprawdzić zawartość, ale szybko się cofnęłam. Jeżeli to był dowód, nie powinnam niczego dotykać. Zresztą nawet nie miałam na to ochoty. Wyjęłam z pudła kilka próbek materiałów i owinęłam sobie nimi palce - jednej ręki wiejską kratką Pierre Deux, drugiej jasnobrzoskwiniowym jedwabiem Pindler & Pindler. Kosztowne tkaniny świetnie się nadawały do tej roboty. Bez problemu rozwiązałam węzeł. Zapach powinien był powiedzieć mi wszystko. Ja jednak rozchyliłam worek i zajrzałam do środka. Może otworzyłam usta, ale na pewno nie krzyknęłam. Mój umysł nie przyjmował tego do wiadomości. A może byłam w szoku. W mrocznym garażu dostrzegałam jedynie niewyraźny zarys rozdętej twarzy spoglądającej na mnie zza przezroczystego plastikowego worka zawiązanego wokół szyi wybałuszonymi oczami, co sprawiało wrażenie, jakby w worku była kiść winogron. Dostrzegałam skołtunione włosy i poplamiony krwią dres. Na świecie było tyle wspaniałych, przepięknych tkanin, a to biedactwo musiało umrzeć ubrane w niebieski nylon.

- Pomóc ci tam? - krzyknęła Molly z przedniego siedzenia.

Uchyliła nieco drzwi, bo w samochodzie musiało być gorąco jak w saunie.

- Nie, już idę - odpowiedziałam.

Mój głos brzmiał zadziwiająco normalnie. Uniosłam ramiona i zatrzasnęłam klapę bagażnika. Gdy rozległo się ostateczne „łup”, pojęłam cały koszmar tego, co się stało. Podobnie jak tuż po wypadku samochodowym, kiedy nagle poduszka powietrzna eksploduje w twarz, człowiek nie może oddychać i nie jest nawet pewien, czy jeszcze żyje. Wie jedynie, że wydarzyło się coś zbyt potwornego, by dało się to opisać. Złapałam się za brzuch i pochyliłam w przód, wymiotując na zderzak. Otarłam usta brzoskwinowym jedwabiem i znowu zwymiotowałam. Molly rozmawiała przez telefon i oddaliła się nieco od samochodu, prawdopodobnie w poszukiwaniu lepszego zasięgu. Nie wiedziała, co się stało, a ja zrobiłam się nagle zbyt słaba, by ją zawołać. Wyobraziłam sobie, jak jedziemy do stacji telewizyjnej i zatrzymujemy się przy bramie, gdzie strażnik sprawdza mój bagażnik. Może nawet trafiłabym na tego samego, który ostatnio pozwolił sobie na niesmaczny żart o trupie w bagażniku. Tylko że tym razem nie byłby to żart. Faktycznie znalazłby trupa.

Molly wróciła do auta. Jej zmysł wyczuwania aury chyba chwilowo nie działał, bo była niezwykle uradowana.

- Dodzwoniłam się do Tima - oznajmiła wesoło, wrzucając do torebki swoją cieniutką motorolę z wmontowanym aparatem fotograficznym. - Kilka dni temu natknął się na Roya w sali dla VIP-ów w Białym Lotusie. Najmodniejszy klub w Hollywood i Roy bawi się w jego najświętszym sanktuarium. Gdzie sprawiedliwość na tym świecie? - Roześmiała się. - Okazuje się, że Roy wachał kokę i robił z siebie kompletnego dupka. Tim jest gotowy zrobić wszystko, żeby go zwolnili.

Umilkła, a ja siedziałam, skulona i nieszczęśliwa, z kluczykami w dłoni i rękami ściśniętymi na kolanach.

- W każdym razie Tim chciałby z tobą porozmawiać - powiedziała Molly na koniec. - Jedziemy?

- Nie - powiedziałam. Rozplakałam się i oparłam głowę o kierownicę. - Niedobrze mi.

Otworzyłam drzwi i zgięta w pół znowu zaczęłam wymiotować, a wymiociny, łzy i smarki zbierały się u moich stóp, tworząc kałużę i obryzgując mi moje cytrynowozielone baletki.

- W bagażniku - zdołałam wykrztusić, kaszląc i dławiąc się, przekonana, że zaraz zemdleję, chciałam więc, żeby Molly się dowiedziała. - Nora nie żyje. Ktoś ją wsadził do mojego bagażnika.

- Mój Boże. Nie - zmartwiła się Molly. Nachyliła się, by przytrzymać mi głowę. - Jak myślisz, kto to zrobił? Niebezpieczny Johnny? Ktoś inny? Kto?

- Nie Daaaan - jęknęłam.

Ta myśl pojawiła się nie wiadomo skąd, będąc raczej błaganiem niż stwierdzeniem. Osłabłam i Molly złapała mnie w pasie, bym nie wpadła w swoje własne wymiociny. Jakoś udało jej się wywlec mnie z samochodu i zaprowadzić do swojego gabinetu, gdzie bez sił opadłam na lamparcią sofę, jęcząc

i szlochając z żalu. Nora nie była co prawda moją najdroższą przyjaciółką, mimo to jej śmierć dotknęła mnie do żywego. Jak miałam wierzyć w dobro i sprawiedliwość, skoro w moim bagażniku leżała dziewczyna, której jedynym grzechem było nadmierne objadanie się lodami?

Molly pozwoliła mi płakać przez trzy minuty, po czym, będąc kobietą czynu, chwyciła mnie za rękę.

- Musimy obmyślić jakiś plan - powiedziała. - Dzwonimy na policję? Pokręciłam głową.

- Reese i Shields uważają, że Dan jest mordercą, a ja wariatką. Jak myślisz, co zrobią? Wiedzą, że wczoraj z nią byłam. Zamkną mnie do więzienia.

Molly zadrżała.

- OK, w takim razie zrobimy tak. Odwieziemy samochód do South Central i zostawimy kluczyki w stacyjce. Ukradną go w jednej chwili. Ty zgłosisz kradzież, policja znajdzie auto i ciało, ale ty się z tego wywiniesz.

Skrzywiłam się.

- Nie kupią tego. Tym bardziej, że według nich zmyśliłam całą tę historię z Johnnym DeVito. - Skuliłam się na kanapie, podciągając kolana pod brodę jak przestraszona sześciolatka. - Jesteśmy ugotowane. Oglądasz za dużo telewizji. Nie tak łatwo pozbyć się ciała.

- Bzdura. To trudne tylko wtedy, kiedy nie chcesz, żeby ciało zostało odnalezione - powiedziała Molly. Podeszła szybko do biurka, najwyraźniej podjąwszy już decyzję. - Posłuchaj, Lacy, źle się czujesz. Nie możesz się tym teraz zajmować. Moja asystentka odwiezie cię do domu. Zostaw mi kluczyki. Garaż jest zamknięty, więc twój samochód jest bezpieczny.

Spojrzała na mnie w sposób jasno mówiący, że jakikolwiek protest z mojej strony nie ma sensu. Nie protestowałam zatem. Poza tym w tej chwili bardzo mi odpowiadało, że ktoś podejmuje za mnie decyzje i mówi mi, co mam robić.

W domu przez cały wieczór unikałam Dana, a kiedy w końcu zasnął w gabinecie, oglądając jakiś stary film, okryłam go kocem, nawet nie starając się go budzić i namawiać, żeby poszedł do łóżka. W sypialni przez całą noc leżałam jak na szpilkach, spodziewając się, że lada chwila policja znowu zjawi się pod drzwiami. Rzuciałam się na posłaniu do drugiej nad ranem, w końcu zapadłam w sen, podczas którego dręczyły mnie koszmary o zalanych krwią samochodach i opuchniętych ciałach wspinających się po schodach, by zatańczyć na moim łóżku. Obudziłam się z krzykiem.

A mój krzyk zbudził Jimmy'ego.

- Mamusiuuuu! Mamusiuuuu! Boję się!

Przerażone wrzaski Jimmyego wyrwały mnie ze snu. W jednej chwili oprzytomniałam i pognałam do jego sypialni.

- Już dobrze, kochanie - powiedziałam uspokajająco, gładząc spocone czółko mojego małego synka i mocno go tuląc. - To był tylko zły sen. Nie dzieje się nic złego.

Położyłam się przy nim, kołysząc go tak samo jak wtedy, kiedy był malutki. Jimmy pochlipywał jeszcze przez chwilę, wreszcie zasnął z głową przytuloną do mojej piersi, kurczowo ściskając niebieski kocyk w kaczuszki, który miał od urodzenia. Przed kilkoma miesiącami zrezygnował z kocyka i poczucia bezpieczeństwa, jakie mu dawał, ale od tamtej nocy, podczas której Reese i Shields wymachiwali nam przed nosem bronią, błagał, abym mu go oddała. Moje biedne maleństwo. Czy jeszcze kiedykolwiek poczuje się bezpiecznie? A ja?

Kiedy dwie godziny później zadzwonił telefon, na palcach wyszłam z pokoju Jimmyego, zbyt wyczerpana, aby stawić czoło kolejnej nocnej aferze. Mimo to przygotowałam się na następne złe wieści. Może ktoś włamał się do mojego samochodu? A może to tylko Mandy koniecznie musiała podzielić się z Ashley jakąś plotką, która nie mogła zczekać do rana.

Drżącym głosem powiedziałam: „halo”. W odpowiedzi rozległ się znajomy głos.

- Kochanie, to ja, Molly - wyszeptała moja przyjaciółka.

- Wybacz, że cię budzę, ale musisz to usłyszeć. Policja znalazła martwe ciało koło Białego Lotusa. Porzucone na samochodzie Roya Evansa.

Musiałam zczekać, aż wiadomość do mnie w pełni dotrze.

- Molly, jak ci się...

- Zawsze zakładaj, że twój telefon jest na podsłuchu

- przerwała mi szybko Molly. - Przecież sama mi to zawsze powtarzałaś.

Umilkłam.

- Muszę lecieć - powiedziała w końcu Molly. - Porozmawiamy rano. To znaczy po południu, bo wcześniej będę

zajęta. Ale zanim pójdziesz spać, wyrzyj przez okno. Jeśli chcesz wiedzieć, zrobiłam to wyłącznie po to, żeby zaimponować Timowi, nie tobie.

Rozłączyła się, a ja z niepokojem wyjrzałam przez żaluzję w mojej sypialni. Z przodu nie zauważyłam niczego ciekawego, podeszłam więc do bocznego okna, wychodzącego na okrągły podjazd. Stał na nim samochód Granta, który nigdy nie lubił chować go w garażu. Rowerek Jimmy'ego - nowy, z bocznymi kółkami - opierał się o drzewo. Nieco dalej dostrzegłam w ciemności potężną sylwetkę mojego lexusa. Zakładałam, że już bez przerażającego ładunku.

W tej chwili nie mogłam już iść spać, nawet gdybym chciała. O szóstej włączyłam komputer i weszłam na jeden z najpopularniejszych blogów w L.A. - ClubGirl.com, czytany przez wszystkich, bo jego autorka spędzała całe noce poza domem, szukając sensacji. Dzisiaj trafiła jej się prawdziwa gratka. Policja czekała przed Białym Lotusem, aby przesłuchać Roya Evansa w sprawie niezidentyfikowanego ciała. Evans jednak wyszedł z klubu, mając w kieszeni uncję koki, a zaczepiony przez policjantów, stał się agresywny. Został zatrzymany na noc pod zarzutem posiadania narkotyków. Według szefa stacji telewizyjnej, Tima Rileya, Roy Evans został zawieszony w zawodowych czynnościach na czas trwania śledztwa.

Rozdział dziesiąty

Przy śniadaniu Grant zaczął cytować filozofię, co stanowiło miłą odmianę po próbach wyjaśnienia mi zawilosci fizyki kwantowej.

- Uczymy się o Arystotelesie na lekcjach cywilizacji świata - powiedział pomiędzy łykami soku pomarańczowego. - No wiesz, o tym facecie, który powiedział, że etyka to kwestia kontekstu. To, co w jednej sytuacji wydaje się złe, w innej jest słuszne.

Napiłam się kawy. Na studiach kochałam się w profesorze prowadzącym seminarium z filozofii. Dzięki temu przeczytałam wszystko, co nam zadawał, niestety podczas zajęć moje myśli nieustannie błądziły i nie potrafiłam skupić się na temacie.

- Arystoteles to ten, który powiedział, że cnota jest ważniejsza od poszczególnych działań, prawda? - zapytałam, usiłując przypomnieć sobie coś poza dokładnym kolorem oczu profesora. - Przeciwnie niż Kant, który wierzył w imperatyw kategoryczny. Zachowanie absolutne, bez wyjątków. Żadnych tam „cel uświęca środki” i tak dalej.

Grant poprawił się na krześle.

- Któremu z nich wierzysz? - zapytał.

Zastanowiłam się nad okolicznościami - czego Kant nigdy by nie zrobił - i zrozumiałam, że Grant nie bez przyczyny podjął ten temat.

- Obaj mają w pewnym sensie rację - powiedziałam, dolewając mu soku do szklanki. - Jeżeli zrobiłeś coś nie do końca w porządku, wówczas Arystoteles daje ci lepszą wymówkę.

- Nie „nie w porządku”, zważywszy na sytuację - odparł Grant.

Wyjął z plecaka gruby plik papierów, przejrzał je pobieżnie, po czym mi podał.

- Ja i Jake zastanawialiśmy się, jak moglibyśmy pomóc tacie. Zresztą, to był pomysł Jake'a, nie mój. On to zrobił, nie ja.

- To znaczy co zrobiliście? - zapytałam.

Ponieważ Jake był najlepszym przyjacielem Granta, nie miałam wątpliwości, że mój syn miał znaczący udział w przedsięwzięciu.

Grant pochylił się i podrapał po głowie. Albo dzisiaj rano nie umył włosów, albo nie chciał na mnie spojrzeć.

- Mam wykaz połączeń telefonicznych Tashy Barlow. To nie było trudne. Jake znalazł ten niesamowity program, dzięki któremu można ukraść nazwę użytkownika i hasło. W związku z czym mógł się włamać do jej rachunku w Pac Bell. - Teraz już na mnie patrzył. - Jake zdaje egzamin z informatyki i dostanie piątkę - dodał, jakby to wszystko tłumaczyło. - Może nawet piątkę z plusem.

- W czasie egzaminów semestralnych także bawił się w hakera? Grant wzruszył ramionami.

- Nie, ale to naprawdę nic takiego. Wszyscy to robią. To znaczy, nie wszystkim wychodzi to tak dobrze, jak Jake'owi, ale to prawdziwy geniusz.

- Geniusz, który może wylądować w więzieniu. Haker-stwo to nie zabawa.

- Tato jest oskarżony o morderstwo, co też jest raczej mało zabawne - rzekł stanowczo Grant. - Więc postąpiliśmy właściwie, nie uważasz? To tak, jakbyśmy ukradli chleb, żeby nakarmić głodne dziecko. Może wbrew prawu, ale ze słusznych pobudek.

Próbowałam się nie uśmiechnąć. Grant był znacznie bardziej inteligentny, niż powinien. A biorąc pod uwagę moje ostatnie wyczyny, czy mogłam prawić mu kazania z etyki? Może rzeczywiście czasem trzeba postąpić źle, żeby osiągnąć coś dobrego. Tak jak mówił ten facet, Arystoteles.

- I czego się dowiedzieliście? - zapytałam, przerzucając kartki i przyglądając się komputerowo wydrukowanym listom telefonicznych numerów. - Do kogo dzwoniła?

Grant był wyraźnie zadowolony, że wróciliśmy na grunt praktyczny.

- Do wielu ludzi, w tym chyba z milion razy do Johnny'ego DeVito. Ale jest jedna sprawa, mamó. Nigdy nie dzwoniła do taty. Ani jednego telefonu od taty, ani do taty, przynajmniej tak wynika z tego, co znalazł Jake.

Powinnam się ucieszyć, że Dan nie ucinał sobie regularnych pogawędek z dziewczyną, której rzekomo nawet nie znał. Przynajmniej seks przez telefon nie wchodził w grę. Grant przechylił się przez stół i wziął ostatnią stronę z pliku kartek.

- Nie złość się, mamó, ale kiedy Jake znalazł numer Johnny'ego DeVito, szybko odkrył sposób, żeby dotrzeć do jego wykazu połączeń. Jesteś gotowa na to? - Uśmiechnął się triumfująco. - Jakiś czas temu Johnny trzy razy dzwonił do taty. Dzwonił na jego komórkę i do biura. Tato dzwonił do niego dwa razy. Większość rozmów trwała krótko, ale było ich całkiem sporo.

Popatrzyłam na Granta bezradnie.

- Kochanie, nie jestem pewna, czy to dobra wiadomość.

Grant wzruszył ramionami.

- Fakty nie są ani dobre, ani złe. To po prostu fakty. Znasz credo pana Morlanda: to wyłącznie kwestia interpretacji. - Wstał od stołu i wziął swój plecak. - Ale uważam, że to naprawdę coś, a ty?

Machnął mi ręką na pożegnanie i wybiegł z domu, a ja, oniemiała, siedziałam przy stole.

A więc Dan i Johnny rozmawiali ze sobą przez telefon. Tak czy inaczej, Dan znał Johnny'ego, a Johnny znał Dana.

I wtedy coś zaskoczyło.

Johnny DeVito, siedzący obok mnie w samochodzie, z nożem w ręce, przemawiający złowrogo. „Widziałem, co twój mąż zrobił mojej Tashy. Powinienem zrobić to samo tobie”. Jego niski, przepełniony groźbą głos brzmiał znajomo. Miałam wrażenie, że już go wcześniej słyszałam. Bo słyszałam - a teraz już wiedziałam, gdzie i kiedy. Na automatycznej sekretarce w gabinecie Dana.

Tym razem nie uciekając się do wybiegów w postaci mleczka do czyszczenia mebli, biegiem pokonałam przedpokój i wpadłam do gabinetu Dana. Elektroniczny wyświetlacz na automatycznej sekretarce pokazywał, że nie ma żadnych nowych wiadomości, a kiedy nacisnęłam przycisk „Play”, odpowiedziała mi cisza. Dan wykasował wszystko. Ale to nie miało znaczenia, bo i tak znowu usłyszałam nagranie z taśmy. W głowie wyraźnie brzmiał mi głos Johnny'ego: „Nic się nie zmieniło, doktorze. Wiem, co zrobiłeś. Masz jeszcze jeden powód, żeby milczeć”.

Doktorze. Każdy mógł w ten sposób zwracać się do Dana, ale najczęściej robili to pacjenci. Czy to nie logiczne? Pokryta bliznami twarz

Johnny'ego majaczyła mi przed oczami wyobraźni. Może Johnny zgłosił się do Dana, licząc, że mój mąż mu pomoże. Któżby lepiej zajął się zniekształconą twarzą, jeśli nie lekarz cieszący się światową sławą w dziedzinie rekonstrukcji twarzy?

Otworzyłam szafę i znalazłam pudła z kartotekami pacjentów, które Dan przysłał do domu, upchnięte za stosem gazet. Grant bał się, że mogą zawierać bombę - ja jednak miałam nadzieję znaleźć w nich sensację. Nie zastanawiając się długo, opadłam na kolana i zaczęłam otwierać pudła, kalecząc sobie palec o twarde karton i łamiąc paznokiec na zabezpieczającej je taśmie. Nieważne. W pierwszym pudle nie znalazłam niczego, w drugim też nie. Już miałam zrezygnować, kiedy w trzecim zauważyłam koperty leżące na samym dnie, każda opatrzona czerwoną taśmą z napisem: „PRYWATNE, NIE OTWIERAĆ”. Przejrzałam je pobieżnie, po czym na chybił trafił otworzyłam jedną. O Jezu. „Prywatne” to za mało powiedziane. Czy Dan rzeczywiście robił lifting twarzy słynnej gwiazdki filmowej o alabastrowej cerze, Naomi Kind? I to kiedy miała zaledwie trzydzieści pięć lat? Co tam tajemnicze morderstwo, mogłabym sprzedać tę informację „Star” i zarobić fortunę. Rozerwałam kilka następnych kopert z napisem „NIE OTWIERAĆ” i rozdziawiłam usta ze zdumienia na widok nazwisk. Jedna sławna aktorka po drugiej. Julia Ross. Helen Holmes. Christy Thames. Wszystkie mogłyby mu zapłacić swoimi Oskarami. Między jedną operacją rekonstrukcji twarzy a drugą, dzięki którym zasłużył sobie na miano Świętego z Hollywood, mój mąż pracowicie poprawiał obwisłe biusty i opadające powieki. Kto o tym wiedział? Bo ja na pewno nie. Czy według izby lekarskiej zasada poufności pomiędzy lekarzem a jego pacjentem obejmowała również żonę lekarza? Trudno powiedzieć, co zasługiwało na większy podziw - chirurgiczne talenty mojego męża, czy też talent do zachowania tajemnicy.

Na razie jednak miałam dość sekretów i tajemnic. Wyrzuciłam wszystkie opatrzone czerwoną taśmą koperty na podłogę i zaczęłam w nich grzebać. Albo znajdę informację, na której mi zależy, albo zdobędę mnóstwo plotek, któ-

rymi podzielę się z Molly. Należało jej się. Za to, co zrobiła dla mnie wczoraj w nocy, przynajmniej tak mogę się odwdziżyć.

Nie znalazłam kartoteki, o którą mi chodziło. Sprawdziłam chyba z tysiąc razy, ale nie natrafiłam na kopertę starannie opisaną nazwiskiem Johnny'ego DeVito. Klapnęłam na podłogę, patrząc na bałagan, którego byłam sprawczynią, i starałam się uspokoić. W głowie zaczęły mi się rodzić nowe teorie. Jeżeli Dan poprawiał mankamenty urody tych wszystkich aktorek, może także operował Taszę Barlow. Ale nie była na tyle sławna, by trafić pomiędzy te kartoteki. Lecz jeszcze dziesięć minut temu nawet by mi przez myśl nie przeszło, że Dan mógł poznać Naomi Kind w innych okolicznościach niż bal charytatywny dla Odważnych Lekarzy, na którym wręczała mu nagrodę. Udając, że widzi go po raz pierwszy w życiu, udowodniła, że jest jeszcze lepszą aktorką, niż sądziłam.

Wrzuciłam kilka kartotek do pudła, ale nie zrobiłam tego starannie. Zdecydowanym krokiem udałam się na górę, dotykając palcami listy z wykazem telefonicznych połączeń, którą schowałam do kieszeni szlafroka. Czas skończyć całe to udawanie.

Usłyszałam szum prysznica i wślizgnęłam się do łazienki wypełnionej gęstą mgłą.

- Kochanie? - zawołałam.

Cisza. Dan nie słyszał mnie przez szum wody.

Zaczekałam chwilę, po czym rozwiązałam pasek szlafroka i pozwoliłam mu opaść na podłogę. Z własnym mężem mogłam porozmawiać zawsze i wszędzie, niepotrzebny był mi do tego pokój przesłuchań. Rozsunęłam drzwi z mrożonego szkła i weszłam do kabiny.

Dan spojrzał na mnie zaskoczony.

- Cześć - powiedział niepewnie.

- Cześć.

Spróbowałam się uśmiechnąć.

- Chcesz, żebym ci umyła plecy? - zapytałam.

Jakże miło i przytulnie. Mąż i żona razem pod prysznicem. Chociaż, czyja wiem, czy rzeczywiście tak przytulnie, zważywszy, że nasza kabina prysznicowa była wielkości standardowego pokoju w Hiltonie.

Dan popatrzył na mnie, jakbym zwariowała, ale ja zdjęłam myjkę z haczyka, potarłam nią o wielką kostkę werbenowego mydła L'Occitane i przesunęłam się, aby znaleźć się za jego plecami. Zaczęłam pocierać myjką jego wspaniale umięśnione, szerokie, spięte ramiona, zataczając duże, zdecydowane koła.

- Jak dobrze - powiedział Dan, kręcąc głową, jakby starał się rozluźnić szyję.

- Tak właśnie ma być - odparłam.

Łatwiej będzie rozluźnić węzeł w jego szyi niż ten, który zagnieździł się w moim żołądku. Odłożyłam myjkę i zaczęłam mu masować plecy samymi rękami, wbijając kciuki w kręgosłup i przesuwając rozczapierzonymi palcami po mięśniach czworobocznych. A może to był mięsień najszerszy grzbietu. Całe szczęście, że to Dan był lekarzem, nie ja, bo nigdy nie zdołałam nauczyć się anatomii.

Na tyle jednak znałam się na częściach ciała, by zorientować się, że pod wpływem ciepłych strumieni wody Dan zaczynał się rozgrzewać. Co prawda nie o takie rozgrzanie mi chodziło, ale być może wraz ze wzrostem podniecenia jego instynkt obronny znacznie maleć.

- Mam jedno pytanie - odezwałam się, nie przestając masować jego twarde mięśni.

- Strzelaj.

- Co wiesz o Johnnym DeVito?

Nazwisko podziało jak kubeł zimnej wody - stuprocentowa antyviagra.

Stojąc za nim, nie widziałam jego twarzy, ale poczułam, że zeszywniał i odsunął się ode mnie.

- Czemu to cię interesuje? - zapytał.

- Ponieważ coś łączy ciebie i Johnny'ego DeVito - odparłam. - I ponieważ boję się go. Nagrał wiadomość z pogrózkami na naszej automatycznej sekretarce. Mnie groził nożem, to długa historia, którą opowiem ci później. Być może to on zabił Tashę Barlow. Mógł też zabić jej współlokatorkę. Jeżeli to twój znajomy, to nie uważam, aby to była najlepsza znajomość.

Dan podeszedł do granitowego murku otaczającego prysznic i usiadł na nim.

- Nie jest moim znajomym - powiedział, wyraźnie znekany. - Poznałem Johnny'ego DeVito wiele, wiele lat temu. To stara historia. A potem nagle, ni stąd, ni zowąd zadzwonił do mnie.

Umilkł.

- Po co? - zapytałam.

Dan pokręcił głową i potarł wierzchem dłoni brodę pokrytą porannym zarostem.

- Lacy, wiem, że ci ciężko, ale rozmowa na ten temat w niczym nie pomoże. Zapomnijmy o Johnny'ym DeVito, za to spróbujmy uratować nasz związek, dobrze?

Odrzuciłam mokre włosy z twarzy.

- Możemy próbować, ale jeżeli nie zaczniemy rozmawiać, może być na to odrobinę za późno. Zupełnie, jakbyśmy próbowali uratować Partenon. Jeszcze nie zauważyłeś? Już zaczyna się sypać.

Dan uśmiechnął się ponuro.

Podeszłam i usiadłam obok niego, udem dotykając jego nagiego uda. W innych okolicznościach mogłoby to się wydawać seksowne, w tej chwili jednak byliśmy oboje nadzy, odziani jedynie w strach i niepewność.

Może to także miało pewne znamiona intymności.

- Mnóstwo ludzi ryzykuje dla ciebie życie - powiedziałam bez ogródek. - Molly wyciągnęła trupa z mojego auta. Grant i Jake włamali się do dwóch rachunków telefonicznych

w Pac Bell. Mnie dwukrotnie związano. A ty nie możesz mi powiedzieć, co cię łączy z Johnnym DeVito?

Dan zamrugał oczami, jakbym bełkotała w suahili, nie zapytał jednak, o czym mówię.

- To było wiele, wiele lat temu - powiedział natomiast.

- Już to mówiłeś.

Dan ściągnął usta, po czym najwyraźniej podjął decyzję.

- W porządku, było tak. - Zacerpnął głęboko powietrza.

- Pewnego dnia, późnym wieczorem Johnny DeVito zjawił się w moim gabinecie. Chyba z piętnaście lat temu. Nie wiedziałem, kim jest, ale zamiast twarzy miał krwawą miazgę. Kawałki skóry zwisały, nos miał praktycznie odcięty i skórę zdartą z czoła. Powiedziałem, żeby poszedł do szpitala, ale on chciał, żebym go pozszywał. Był przekonany, że policja już przeszukuje szpitale.

Zmusiłam się, by milczeć, chociaż nie posiadałam się ze zdumienia.

- Powtarzałem, że nie mogę mu pomóc - mówił Dan.

- On jednak zagroził mi bronią. A potem wyciągnął gruby plik pieniędzy. W tamtych czasach tyle pieniędzy to było coś, Lacy. Nasi rodzice nic nam nie dawali. Ty byłaś w ciąży, a ja dopiero zaczynałem praktykę. Wziąłem te pieniądze i zrobiłem wszystko, co mogłem.

- Nie brzmi to jakoś okropnie - powiedziałam drżącym głosem. - Może teraz tak byś nie postąpił, ale wtedy sytuacja była inna. - Znowu Arystoteles.

- Wtedy też nie powinienem był tego zrobić - rzekł Dan. - Od razu domyśliłem się, że Johnny DeVito brał udział w walce na noże. Znasz ten stary dowcip o tym, jak facet wychodzi po awanturze w barze z podbitym okiem i mówi: „Owszem, ale powinienes zobaczyć tego drugiego”. Cóż, w tym przypadku ten drugi nie przeżył.

- Kto to był?

- Jakiś diler narkotyków. Obaj byli ważni i diabli wiedzą, o co im poszło. Powiedziałem Johnny'emu, żeby zgłosił się za parę dni na zmianę opatrunków, ale on nigdy się nie pojawił. Po tygodniu zadzwonił, że twarz ropyje mu z jednej strony. Nic dziwnego, że wdała się infekcja. Potrzebował potężnej dawki antybiotyków. - Dan uderzył zaciśniętą pięścią w otwartą dłoń. - Gdyby przyszedł, mógłbym mu jakoś pomóc. Powiedziałem mu, że zostaną blizny.

Dan wydawał się bardziej przybity nieudaną operacją niż czymkolwiek innym.

- Mów dalej - ponagliłam go.

- Nie zostało już tego wiele - powiedział Dan. - Chciałem zadzwonić na policję, ale zostałem aresztowany za współudział. W końcu wszystko jakoś przyszło. Po latach Johnny trafił do więzienia pod jakimś innym zarzutem w związku z narkotykami. Szczerze mówiąc, kiedy o tym usłyszałem, poczułem się lepiej. Ale potem go wypuścili. Nie kontaktowaliśmy się, dopóki do mnie nie zadzwonił. Chciał odzyskać swoje pieniądze za operację.

Wbrew sobie roześmiałam się.

- Dałeś mu dożywotnią gwarancję? Myślałam, że tylko J. J. Bean to robi. Dan spuścił wzrok z głęboko nieszczęśliwą miną. Wstałam i zakręciłam wodę, potem wzięłam dla każdego z nas po miękkim tureckim ręczniku. Dan przykrył sobie kolana, ja owinęłam się miękką tkaniną w pasie. Dan wzruszył ramionami.

- Co miałem zrobić, Lacy? Johnny DeVito to drań, ale wyjątkowo bystry. Wiedział, jak rozwinęła się moja kariera. Znał moją reputację. A ja bałem się, że zechce to wszystko zniszczyć. Nie mogłem udowodnić, że kogoś zabił, ale on mógł rozpowiedzieć wszystkim, że zniszczyłem mu twarz.

- Miałeś wytłumaczenie.

- Które w tym mieście nie na wiele by się zdało. Nie z moimi pacjentami.

Skinęłam głową. Temu nie mogłam zaprzeczyć.

- Umówiłem się z nim, żeby mu oddać trzydzieści tysięcy - kontynuował Dan. - W gotówce. Nic nie wskazywało na to, że będzie mnie szantażował. Powiedział tylko, że chce wyjść na prostą, co z jego twarzą nie było łatwe. Stwierdził, że to i tak wyjdzie dla mnie taniej niż oskarżenie o błąd w sztuce. Powinienem być mądrzejszy, bo nie zostawił mnie w spokoju, tylko zaczął mnie naciskać.

- To znaczy?

- Chciał więcej pieniędzy. Po pierwszym razie zaczął mi przysyłać maile, gdzie i kiedy mam się stawić z gotówką. To się powtórzyło dwa razy. Boże, Lacy, mogłem ci powiedzieć. Albo zawiadomić policję. Kogokolwiek. Pewnie bym tak zrobił, ale wtedy pojawiło się to szalone oskarżenie o morderstwo. Pomyślałem sobie, że kiedy się przyznam, że daję pieniądze byłemu skazańcowi, raczej mi to nie pomoże.

W zamyśleniu przeczesalam sobie palcami mokre włosy, upychając wilgotne kosmyki za uszami.

- Gdzie spotykałeś się z Johnnym, żeby mu przekazać pieniądze? - zapytałam.

- U niego.

- W takim niby eleganckim domu ze śródziemnomorskim patio?

Dan pokręcił głową.

- Nie, w takiej norze, w apartamentowcu w zachodnim L.A. Tanim mieszkaniu do wynajęcia, jednym z tych, których tak nie znosisz.

- Brązowy tweedowy dywan, rozklekotana brązowa kanapa z jaskrawopomarańczowymi poduszkami - powiedziałam. - Bambusowy stolik pod telewizor i wyszczerbiony stół z laminatu.

- Świetny opis. Przypuszczam, że one wszystkie wyglądają tak samo - powiedział Dan z lekkim uśmiechem.

- To prawda, są podobne - zgodziłam się, czując jak serce mi wali. - Ale to mieszkanie... czy przypadkiem nie był to numer 4C w budynku, w którym numer cztery znajdował się na trzecim piętrze?

Dan popatrzył na mnie zaskoczony.

- Faktycznie.

Objęłam mojego męża. Do oczu napłynęły mi łzy i wtuliłam twarz w zagłębienie jego ramienia. Co za ironia, że Dan robił, co mógł, aby uniknąć drobnego skandalu - i koniec końców wpakował się w znacznie większy.

- To wszystko tłumaczy, kochanie, także te wszystkie dowody przeciwko tobie, które znajdowały się w mieszkaniu ofiary. Teraz już rozumiem. A ty nie? Spotykałeś się z Johnnym DeVito w mieszkaniu Tashy Barlow. Była jego dziewczyną.

W południe razem z Danem siedzieliśmy na kanapie w gabinecie Chaunceya Howella, trzymając się za ręce i uśmiechając do siebie skrycie. Nareszcie wyjaśnienie, które ma jakiś sens. Spowiedź była ulgą dla duszy, ale również miała doskonały wpływ na przepełniony miłością seks na łazienkowej podłodze.

Ale Chaunceyowi daleko było do naszej ekscytacji.

- Interesująca historia, nie wiem tylko, co nam daje - powiedział

Chauncey. - Czy masz jakiś dowód, że Johnny DeVito cię szantażował?

- Nie dawał mi żadnych kwitów - brzmiała raźna odpowiedź Dana. - Ale zastanówmy się. Robiłem przelewy z moich rachunków i potem wypłacałem gotówkę. To chyba wystarczy.

- Wypłacałeś gotówkę? - zapytał ponuro Chauncey. - To jedynie dowodzi, że twoja żona kupowała kosztowne antyki i usiłowała uniknąć podatku od sprzedaży.

- Nie kupiłam niczego od wielu miesięcy - obruszyłam się.

No, może tygodni. Albo raczej od kilku dni. Nie ma chyba na myśli dreźnieńskich talerzy deserowych z 1940 roku, które kupiłam na e-bay? Jeszcze nawet ich nie dostarczono.

- Po prostu daję wam próbkę tego, co powie prokurator - wyjaśnił Chauncey.

- Mam maile z instrukcją, dokąd mam iść i ile przynieść pieniędzy - przypomniał mu Dan.

Chauncey się skrzywił.

- Maile, w których każe ci przynieść pieniądze do mieszkania Tashy Barlow, również tego dnia, kiedy została zabita. Prokurator może dojść do wniosku, że to była zapłata za spotkanie z nią.

- Ale to nieprawda - powiedział Dan.

Chauncey wzruszył ramionami, a ja przewróciłam oczami z rozpaczy. Według mnie wszystko sumowało się równie elegancko, jak książeczka czekowa Billa Gatesa. Nasz prawnik jednak dostrzegął we wszystkim dziury większe niż w deficycie Busha.

- Trzydzieści tysięcy dolarów to trochę dużo jak na zapłatę za jedną schadzke - odezwałam się, dostrzegając rysę w wątpliwościach Chaunceya.

- Policja znalazła tylko pięć tysięcy w kopercie - rzeki on na to, zaglądając do swoich notatek.

W hollywoodzkim kręgu Dana, pięć tysięcy mógł wydać pierwszy lepszy producent za wieczór w Spago z przyjaciółmi, uświetniony makaronem z truflami i szampanem dom perignon. Podobna suma wchodziła również w grę za noc dzikiego, ale potajemnego seksu.

Dan skinął głową.

- Prosił tylko o pięć tysięcy. Wcześniej dwa razy o tyle samo.

Chauncey zabębnił palcami w biurko.

- Rozumiem, że z początku nie chciałeś nikomu mówić o szantażu.

Miałeś nadzieję, że sprawa skończy się sama

z siebie. Ale dlaczego nie powiedziałeś o tym policji, kiedy przyszli cię aresztować?

W tej chwili Chauncey nie udawał prokuratora, naprawdę chciał poznać odpowiedź na swoje pytanie.

- Ponieważ nie przyszło mi do głowy, że między tymi dwoma sprawami może istnieć jakiś związek. - Dan na chwilę przysłonił dłonią oczy, potem wyraźnie rozgoryczony pomasaował sobie nasadę nosa. - Zawiozłem Johnnyemu pieniądze do obskurnego mieszkańka w zachodnim Los Angeles. Młoda aktorka zginęła w pobliżu plaży. Dopiero Lacy uświadomiła mi, że chodziło o jedno i to samo miejsce.

Chauncey pokiwał głową.

- Słuchaj, nie twierdzę, że to nam nie pomoże - dodał nieco łagodniejszym tonem. - Sprawa przeciwko tobie jest poszlakowa. A biorąc pod uwagę twoją historię z szantażem, możemy przynajmniej sugerować inne okoliczności. Opowiedz wszystko jeszcze raz od początku.

Dan skrzywił się, ale posłuchał go. Za pierwszym razem Johnny DeVito czekał na niego w mieszkaniu i zanim pozwolił mu odejść, przeliczył pieniądze w kopercie. Zapewnił, że ich rachunki są wyrównane. Ale potem pojawiły się maile z dalszymi żądaniem. Dan dowiedział się, że ktoś go wpuści do budynku, po czym powinien udać się do mieszkania 4C. Drzwi będą otwarte, a on ma zostawić kopertę na stoliku w przedpokoju. Kiedy ostatnim razem zjawił się w mieszkaniu, na stole znalazł liścik z poleceniem, aby zaczekał dwadzieścia minut. Może się czegoś napić i czuć jak u siebie. Gdyby nikt się w tym czasie nie pojawił, może sobie pójść. Dan chodził po mieszkaniu i przejrzał gazetę. Napił się wody i kilka razy wydmuchał nos. Mniej więcej po półgodzinie wyszedł, uznał bowiem, że Johnny po prostu przyjdzie po pieniądze później.

- Co oznacza, że tamtego wieczora Johnny również był w mieszkaniu Tashy - zwróciłam się do Chaunceya na wypadek, gdyby sam na to nie wpadł.

- Albo i nie - rzekł Chauncey ze zmarszczonym czołem. - Kiedy znaleziono ciało, koperta wciąż tam była.

- Mój Boże, Chauncey, czyż to nie jest oczywiste? - niemal wrzasnęłam. Czemu on tego nie widzi? - Johnny szantażował Dana. Wiedział, że tego dnia mój mąż przyjdzie do mieszkania, żeby mu zapłacić. Wobec tego zabił swoją dziewczynę - obojętnie, z jakiego powodu - i zrobił Dana. To jasne jak słońce. Koniec historii.

Chauncey spojrzał na mnie z powagą.

- Słyszę cię, Lacy, naprawdę. I chciałbym, żeby to było takie proste. Ale sprawdziliśmy Johnnynego DeVito bardzo dokładnie. Ma na ten wieczór alibi. Nawet nie było go wtedy w mieście.

Spuściłam wzrok i wygładziłam moją układaną w delikatne fałdy spódnicę od Zaca Posen. Może byłam na nią nieco za stara, więc na wszelki wypadek włożyłam do niej elegancki biały zakiet od Celine. W tej chwili jednak nie czułabym się bezpiecznie nawet w kombinezonie narciarskim.

- Dan, pozwól, że zwrócę twoją uwagę na jeszcze jedną rzecz - ciągnął tymczasem Chauncey, bębniąc palcami w biurko. - Nawet jeżeli prokurator kupi naszą historię o szantażu, będzie to wyglądało następująco: przyszedłeś do mieszkania, w którym nie było co prawda Johnnynego, ale za to zastałeś jego dziewczynę - w skąnym peniuarze. Byłeś zły na Johnnynego i chciałeś mu przekazać wiadomość, więc zabiłeś dziewczynę.

Dan i ja spojrzeliśmy na siebie, tym razem jednak żadne z nas się nie uśmiechało.

- Po czyjej ty jesteś stronie? - zapytałam Chaunceya.

- Po waszej - odparł. - Bezapelacyjnie. Ale obrona musi wyjaśnić dowody. Wszystkie. Historia Dana tłumaczy, skąd wziął się w mieszkaniu Tashy, ale jeżeli będzie twierdził, że nigdy jej tam nie widział, jesteśmy ugotowani. Bo jak na przykład wytłumaczyć krzyki Tashy: „Niech pan przestanie, dokto-

rze Fields! Niech pan przestanie!", które słyszała sąsiadka?

Cała moja dotychczasowa pewność siebie malała równie szybko, jak ilość fanów Chicago Cubs przed World Series. Wstałam. Bolała mnie głowa i miałam tego dosyć.

- Tak przy okazji - zwróciłam się do Chaunceya, zakładając na ramię moją torebkę Fendi. - Skoro Johnny DeVito ma na tę noc alibi, to gdzie dokładnie wtedy był?

- Pracował - odparł Chauncey. Przejrzał grubą teczkę z dokumentami, po czym sięgnął po następną. Wreszcie znalazł to, czego szukał. - Od czasu wyjścia z więzienia, Johnny najmował się do pracy jako technik estradowy. Albo pracownik obsługi planu, bo tak się to chyba dzisiaj nazywa. Wtedy pracował przy kręceniu reklamy płatków honey twist i przez cały dzień i noc byli w jakimś małym miasteczku w Newa-dzie. Może to potwierdzić mnóstwo ludzi. W tym wielka pani producent o nazwisku Julia Boden.

Rozdział jedenasty

Kiedy zadzwoniłam do Sammie, dowiedziałam się, że jej szefowej nie będzie przez cały tydzień - przebywała w Rainbow Basin, na północ od Barstow, gdzie kręcili kolejną reklamę lądującego na księżycu buicka.

- Julia to prawdziwy geniusz - rozplęwała się Sammie. - Tym razem w reklamie wystąpi utalentowana Jessica Simpson.

Nazywanie Jessicę „utalentowaną” było według mnie lekką przesadą, ale w końcu Sammie była jeszcze bardzo młoda.

- A Roy Evans? - zapytałam. - Także występuje w tej reklamie?

- Nie, Julie go zwolniła. - Sammie zawahała się przez chwilę, wreszcie chrząknęła. - Wiesz, że policja zidentyfikowała ciało, które znaleźli na samochodzie Roya? To naprawdę dziwne, Lacy. Okazało się, że to współlokatorka tamtej zamordowanej dziewczyny. Tej, o którą pytałaś Julie. Niesamowite, prawda?

- Faktycznie - odparłam, nie dodając, że cała sytuacja jest niesamowita o wiele bardziej, niż Sammie przypuszcza.

- Ale policja powiedziała, że ktoś podrzucił jej ciało, kiedy Roy był w klubie - dodała Sammie. - Julie sprawdziła to trzykrotnie. Roy jest czysty.

- Poza zarzutem o posiadanie narkotyków.
 - Ach, to. - Sammie westchnęła. Po czym powtórzyła jak papuga słowa, które zapewne wypowiedziała wcześniej Julie. - To była tylko jedna uncja, a przecież jesteśmy w Hollywood. Wszyscy tak robią. Roy jest sławny albo dość sławny, i ma dobrego prawnika. Wykręci się z tego. Całe szczęście, że Sammie przyjechała do Kalifornii. W Vassar nigdy by się tego nie nauczyła.
 - Dużo ostatnio kręcicie z Julie reklam? - zapytałam, zmieniając temat.
 - Zgadłś - odparła Sammie entuzjastycznie.
- Wymieniła nazwy trzech produktów, których promocją się zajmowali, w tym płatków honey twist. Korzystając z okazji, zapytałam ją, kiedy kręcili ich reklamę. Podała mi dwie daty - jedną z nich był dzień, w którym zginęła Tasha.
- Słyszałam, że zajęło wam to dużo czasu - zaryzykowałam.
 - O tak. Dzień, całą noc i jeszcze trochę następnego dnia - odparła żywo Sammie. - Możesz sobie wyobrazić sześciolatka, który ma powiedzieć: „Bawcie się z nami i z twistami” i nie opluć się przy okazji swoimi płatkami? Dziwię się, że nie siedzą tam do dzisiaj.
 - Nie wiesz przypadkiem, czy przy obsłudze planu pracował tam niejaki Johnny DeVito? - zapytałam.
 - Nie słyszałam o nikim takim, ale mogę to sprawdzić. Usłyszałam, jak stuka w klawiaturę, by już po chwili odezwać się znowu.
 - Nie ma jego nazwiska na liście ekipy. Ale Julie musiała go zatrudnić oddzielnie, bo umieściła go w napisach końcowych.
- Rzecz niespotykana - producent wykonawczy osobiście wybiera pracowników obsługi planu. Podziękowałam Sammie za pomoc, rozłączyłam się i zadzwoniłam do Molly.

- Policja mówi, że Roy nie jest podejrzany w sprawie o morderstwo w Białym Lotusie - powiedziałam, kiedy podeszła do telefonu.
 - Nie wiadomo - odparła Molly bez zastanowienia.
 - Mój przyjaciel Tim prowadzi własne śledztwo. Od czasu sprawy Ruthergate w CBS, sieci telewizyjne nie wierzą w nic, póki nie zatwierdzi tego sama Ruth Bader Ginsburg.
- Roześmiałam się.
- Po tym, co się stało, mam nadzieję, że Tim znajdzie coś, żeby zdjąć Roya z anteny na dobre - powiedziała lojalnie Molly. - Czy gliniarze pytali Dana o ciało? - spytała, zniżając głos.
 - Jeszcze nie. Wciąż czekam, kiedy zjawi się Reese, ale póki co, spokój. Ponieważ rozmawiałyśmy przez telefon, nie powiedziałam jej, że zawiozłam lexusa do myjni w ruchliwej części L.A. i poprosiłam, żeby go dokładnie wymyli, wyprali i odświeżyli. Powiedziałam jej natomiast, że na podstawie tego, czego się dowiedziałam, Johnny DeVito znajdował się na liście płac Julie.
 - Trochę podejrzane, ale nie sądzę, żeby Julie spreparowała mu takie alibi, a ty? - zapytała Molly. - Zbyt łatwo można to sprawdzić. Ma taką gębę, że ludzie musieliby zapamiętać, czy widzieli go na planie czy nie.
 - Dobra, załóżmy, że to prawda. Ale co ich łączy? Czemu Julie Boden miałyby zatrudniać byłego więźnia do pracy na planie?
 - Nie mam pojęcia - przyznała Molly. - Nawet jeżeli Julie sypiała z Royem, Roy z Tashą, a Tasha z Johnnym, to wciąż bardzo odległa koligacja. Nie mam pojęcia, o co tu chodzi, chyba że uprawiali radosny seks w czwórkę.
 - Faj, niedobrze się robi na samą myśl - powiedziałam.
 - Ale Julie Boden kręci na pustyni w tym tygodniu. Ona coś kryje. Muszę się tego dowiedzieć.
 - Nie pojedziesz tam sama! To zbyt niebezpieczne.

- Niebezpieczne jest tylko mrozące krew w żyłach spojrzenie Julie.
- Nie do końca - odparowała Molly. - To gwiazda agencji reklamowych i mistrzyni wbijania noża w plecy. Rządzi nimi żelazną ręką. I nie zapominaj, że ma instynkt zabójcy.
- Nie zabije mnie przecież metaforą, choćby najcelniejszą.
- Nie ma mowy, słonko. Jadę z tobą.

Kłóciłyśmy się zażarcie, ale i tak wiedziałam, że Molly jak zawsze postawi na swoim. W końcu zdołała wmówić HBO, że seksowna młoda królowa brukowców, Lindsay Lohan idealnie nadaje się do roli pomarszczonej, bezzębnej azteckiej wojowniczką w nowym serialu *Cortez*. Nie miałam szans.

Zadzwoiłam do swojej sąsiadki, Jane Snowden i zapytałam, czy mogłaby odebrać Jimmy'ego ze szkoły.

- Oczywiście, to żaden kłopot - powiedziała. - Poza tym Jared błaga, żeby zaprosić mu kogoś na noc. Czy mogę zatrzymać Jimmy'ego do rana?
- Stoi - odparłam, nie do końca pewna, czy powinnam odczuwać ulgę, czy też dręczyć się poczuciem winy.

Późnym popołudniem razem z Molly jechałyśmy jej rangę roverem na wschód autostradą I-10. Kiedy skręciłyśmy na północ w I-15, zaczęłam się trochę rozluźniać, w duchu ciesząc się z towarzystwa Molly.

Przejechałyśmy przez Barstow, miasto zbudowane przez kolej Santa Fe w 1886 roku, by mogły się w nim znaleźć hotel i dworzec kolejowy. Od tamtego czasu zmieniło się niewiele - w tej chwili w mieście był dworzec i rząd tanich hoteli. Kiedy przejeżdżałyśmy, na parkingu Best Western zauważyłyśmy dwie ciężarówki i kilkanaście kosztownych samochodów, co kazało nam się domyślić, że tutaj właśnie zatrzymała się ekipa kręcąca reklamę. Ale równie dobrze hotel mógł słynąć z najlepszej restauracji w mieście.

Kilka kilometrów dalej zaczynała się pustynia i krajobraz uległ dramatycznej przemianie. Skończyła się regularna droga, a wokół nas wznosiły się warstwy piaskowca i skał osadowych, tworząc najróżniejsze przedziwne kształty. Ogromne kamienne głązy stały poprzekrzywiane pod niebezpiecznym kątem, a a faliście ukształtowany teren jarzył się feerią jaskrawych ko-

lorów. W tym burzliwym krajobrazie, pośród spektakularnych skał wyrzeźbionych przez miliony lat działania wiatru i wody szukałam sklepu z pamiątkami lub przynajmniej centrum informacyjnego, otaczało nas jednak całkowite pustkowicie.

Patrzyłam na skały, w wieczornym słońcu płonące czerwienią, pomarańczem i zielenią.

- Tu naprawdę wygląda jak na Marsie - zauważyłam.

- Tak ci się wydaje, bo wszystkie filmy science-fiction były kręcone właśnie tutaj - powiedziała Molly, zwalniając nieco na nieutwardzonej drodze. - Pustynia Mohave to hollywoodzka wersja Czerwonej Planety. Roześmiałam się i rozejrzałam wokół.

- Na co komu teleskop Hubble'a, skoro mamy to?

- Na pewno taniej tutaj dotrzeć. I bez trudu można znaleźć różne skamieliny - powiedziała Molly. - Takie, co mają po szesnaście milionów lat. Kiedyś żyło tu mnóstwo mastodontów, wielbłądów i nosorożców.

- Teraz trudno tu znaleźć nawet mrówki - odparłam. Jedynymi oznakami życia były porastające ściany kanionu drzewka Jozuego, które wyglądały jak wartownicy.

I dwoje homo sapiens siedzących w oddali pod jednym z takich drzewek. Molly także ich zauważyła i zjechawszy samochodem na pobocze, zatrzymała się.

- Może skończyli na dzisiaj. Przed hotelem Best Western zauważyłam ciężarówkę ze sprzętem.

- Skoro dotarliśmy aż tutaj, możemy nacieszyć się widokiem - powiedziała Molly, wysiadając z samochodu. - Znacznie lepiej wszystko widać, kiedy wędruje się pieszo.

Powędrowaliśmy więc wolno w górę stromego wzgórza. Spod gumowych podeszew moich mokasynów od Toda usu-

wała się śliska ziemia. Mimo wspaniałych i rozległych widoków, żadna z nas nie spuszczała wzroku z dwóch postaci siedzących pod drzewem.

- Julie Boden i Roy Evans - szepnęłam do Molly, kiedy podeszłyśmy bliżej.

- Sądziłam, że wywalili go z reklamy. Ego większe od talentu.

- Tak właśnie słyszałam.

Zbliżałyśmy się do nich od tyłu i kiedy znalazłyśmy się już w zasięgu głosu, Julie w końcu zorientowała się, że ktoś nadchodzi. Zaskoczona, odwróciła się, chyba chowając coś w piasku za plecami.

Molly podeszła, uśmiechając się przyjaźnie. Po czym, dość nieoczekiwanie jak na pustynne spotkanie, wyciągnęła rękę w powitalnym geście, zupełnie jakby krążyła pomiędzy stolikami w Spogo.

- Molly Archer z Molly Archer Casting - przedstawiła się.

Julie zerwała się na nogi i wbrew wszelkim przewidywaniom zdawała się być pod wrażeniem. Z wahaniem ujęła dłoń Molly.

- Miło mi.

- Jestem tutaj, żeby powiedzieć, że to ja powinnam była przeprowadzać casting do waszej reklamy - powiedziała Molly. - Wynajmijcie moją agencję, a następnym razem dostaniecie Stinga.

- Mamy Jessicę Simpson - odparła Julia.

- To reklama samochodu, a nie Radio Music Awards - rzekła Molly z przyganą w głosie.

- Buick chciał dotrzeć do młodej populacji.

- Nie słyszeli o potędze baby boomers? Pokolenie czterdziesto- do sześćdziesięciolatków to odpowiednik tych pomiędzy osiemnastym a czterdziestym czwartym rokiem życia.

Julie milczała, najwyraźniej rozważając słowa Molly. Ale Roy Evans, zdenerwowany rozmową o interesach, również wstał. Wydawał się jeszcze potężniejszy, niż go zapamiętałam, i miał znacznie bardziej podłe spojrzenie. Wciągnął powietrze jak wietrzący niebezpieczeństwo niedźwiedź i postąpił groźnie ku nam.

- Co wy tu, do diabła, robicie? - zapytał.

W niesamowitej akustyce pustyni jego głęboki, dudniący głos odbił się od skał, rozległ głośno w kanionie i pulsując gniewem wrócił echem do nas.

- Wybrałyśmy się na wycieczkę - odparła Molly, kompletnie niewzruszona. - Piękne miejsce, prawda? A ponieważ spotkaliśmy się, możemy sobie uciąć pogawędkę.

- Nie mam ochoty na pogawędki. Z żadną z was. Wynoście się stąd do diabła - warknął Roy.

Słońce za jego plecami szybko zachodziło i nagle miejsce, w którym staliśmy, pogrążyło się w mroku.

- Wielkie dzięki, ale zostaniemy. To teren publiczny - rzekła spokojnie Molly.

- Wynocha - powtórzył Roy spiętym głosem. - Wycieczki tutaj mogą być niebezpieczne. Zwłaszcza dla twojej koleżanki. Tej tutaj.

Na potwierdzenie, że mówi prawdę, wyciągnął pistolet i strzelił raz w powietrze.

Wrzasnęłam, najpierw raz, potem drugi. Ale potężny huk wystrzału zagłuszył moje przerażone krzyki. Odskokczyłam, gotowa rzucić się do ucieczki, ale zahaczyłam nogą o skałę i potknęłam się. Molly złapała mnie za ramię i powstrzymała przed upadkiem. Trzymała mnie mocno, sądziłam więc, że razem pognamy w dół wzgórza, ona j ednak wyprostowała się i stała niewzruszona naprzeciw Roya.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała go, z ledwie tylko wyczuwalnym drżeniem w głosie.

- Zbliź się, to się dowiesz - powiedział Roy.

Zatoczył pistoletem powolny łuk i wycelował go we mnie, mierząc mi prosto w pierś. Jeżeli pociągnie za spust, przynajmniej zginę szybko. Julie podeszła do niego i pogładziła go po ramieniu.

- Schowaj to, Roy - powiedziała cicho, ale zdecydowanie.

- Schowaj broń. Chyba nie chcesz kolejnych kłopotów.

- Ona sprawia kłopoty - odparł Roy, spoglądając na mnie ponad lufą pistoletu. - Panna porządnicka. Pieprzyłem Tashę i to od razu znaczy, że ją zabiłem, co? To właśnie próbujesz udowodnić?

- Ja... ja nie wiem - powiedziałam łamiącym się głosem, jak kandydatka do *Idola* przed pierwszym odsiewem.

- Dlaczego ktoś miałby myśleć, że zabiłeś Tashę Barlow?

- zapytała Molly wprost.

Mimo broni nie odsunęła się ode mnie nawet na milimetr.

Roy prychnął.

- Mówiłaś jej już o taśmach? - zapytał mnie. - O tych, które podobno wyrzuciłaś?

Pokręciłam głową. Nie wspomniałam o nich i do licha jeszcze ich nawet nie obejrzałam. A powinnam była, bo dla Roya prawdziwe życie rozgrywało się na taśmie.

- Wyjaśnijmy coś sobie - rzekł, rozdymając nozdrza. Popatrzył na Molly.

- W Hollywood kręci się dwa rodzaje filmów, a Tasha miała szansę wystąpić tylko w jednym z nich. Ale nawet to nie jest łatwe. Była beznadziejna w trójkątach i bez polotu w czasie normalnego pieprzenia i obciągania druta. Za to była stworzona do sado-maso. Ale i tak związana wyglądała na przestraszoną.

- Ach, to znaczy, że pomagałeś jej dostać się do porno

- stwierdziła Molly chłodno.

- To nie przestępstwo - rzekł Roy, chociaż nie miał racji.

- Tego dnia, kiedy zginęła, nakręciliśmy kilka pokazowych taśm, a zaraz potem zabrałem ją, żeby dała sobie przekłuć

język - szydził Roy. - Powinienem był to nakręcić. Krzyczała tak głośno, że temu świrowi tatuażystce na pewno stanął, dam sobie głowę uciąć.

- Co było na tych taśmach? - zapytała Molly.

- Tajlziwka, twoja przyjaciółka je ma. - Zwrócił się do mnie ze złym spojrzeniem. - A ty co, oglądasz je sobie, zanim pójdziesz się pieprzyć z tym swoim mężem mordercą? Spuszcza się, jak widzi związaną Taszę?

- Gdybym miała te taśmy, nie sądzisz, że oddałabym je policji? -

zapytałam drżącym głosem, starając się zignorować zarówno wycelowany we mnie pistolet, jak i skurcz w żołądku.

Słońce skryło się za następnym szczytem i ciemność zapadała błyskawicznie. Roy pogładził pistolet. Julie ponownie dotknęła jego ramienia.

- Przestań martwić się tymi taśmami - odezwała się do niego prawie szeptem. - Nawet jeżeli pokażą je w sądzie, popsują opinię Tashy, nie twoją.

- Pomagałem jej - syknął Roy. - Zapłaciłem jej za woskowanie bikini. Przekłucie języka. Ilekroć coś jej doradziłem, była mi zawsze wdzięczna. Zawsze pamiętała, żeby mi regularnie dziękować. Dlaczego miałbym ją zabijać?

- Nigdy byś tego zrobił - powiedziała Julie z ożywieniem.

- Pani Molly Archer z Molly Archer Casting doskonale sobie zdaje sprawę, że Tasha była ci wdzięczna. Sama wie, do czego są zdolni ludzie, żeby zaistnieć w tym biznesie.

- Nigdy nie zajmowałam się porno - zauważyła Molly spokojnie.

- To żadna różnica - rzekła Julie, poprawiając grzywkę.

- Wiesz, co mówią: gwiazdę filmową od gwiazdy porno różni tylko wielkość cycków.

Roy roześmiał się i schował broń do kieszeni. Znowu wyglądał normalnie

- zniknął pan Hyde, wrócił doktor Jekyll. Jak wtedy, w jego mieszkaniu, kiedy to w jednej sekundzie z gwiazdora stał się psychopatą - i na odwrót.

- Musimy już iść. Ekipa czeka na mnie w hotelu - powiedziała Julie. Odwróciła się tyłem do nas i przykłękała, by odkopać fiolkę, którą przedtem wepchnęła w piasek, i wsunęła ją do torebki. Pozbieraliśmy swoje rzeczy i razem zesliśmy ze wzgórza, jakbyśmy wracali z popołudniowego pikniku.

- Jak idzie praca nad reklamą? - zapytała Molly Julie, gdy dotarliśmy do jej rangę rovera.

- Powinniśmy skończyć jutro - odparła Julie tonem producenta. - Zaczynamy o świcie, żeby złapać słońce wschodzące nad pustynią. O tej porze światło jest wprost niesamowite. Wszystko nabiera niezwykłego różowego blasku.

Jak na udawanie Czerwonej Planety, róż musiał wyglądać naprawdę nieźle. W tej chwili jednak wszystko wokół nas rozpływało się w odcieniach szarości.

- Pięknie tutaj - rzekła Molly. Zwróciła się do Roya:

- Tak pięknie, że pewnie nie mogłeś się stąd ruszyć, nawet po tym, jak Julie wyrzuciła cię z reklamy - dodała ostrożnie.

Odwróciłam się, niemal pewna, że Roy znowu sięgnie po broń. Julie jednak pocałowała go lekko w policzek i ujęła pod ramię.

- Roy przyjechał mnie odwiedzić i rozweselić - rzekła.

- Zawsze potrafi człowieka zaskoczyć - dodała z ledwo dostrzegalną nutą sympatii w głosie.

Molly jechała wolno pogrążoną teraz w ciemnościach Old Fossil Road. Roy podążał tuż za nami, a blask jego reflektorów odbijał się oślepiająco we wstecznym lusterku. Kiedy wyjechaliśmy na autostradę, Molly przyspieszyła, podobnie jak on. Po chwili wyprzedził nas i zniknął w ciemnościach nocy. W końcu dostrzegłyśmy neony hotelu Best Western płonące na tle ciemnego nieba. Molly nawet nie zwolniła. Podobnie jak ja, chciała jak najszybciej stąd odjechać.

Prowadziłyśmy niezobowiązującą pogawędkę, wciąż jeszcze niegotowe na analizę dziwacznej sceny, w której dopiero co wzięłyśmy udział. W końcu jednak zapadła długa chwila ciszy, a po jakimś czasie przerwała ją Molly.

- Wjorządku? - zapytała.

- Chyba tak. - Westchnęłam. - To wszystko robi się coraz bardziej dziwne, nie uważasz? Przynajmniej Roy zdradził tajemnicę taśm. W tej chwili jestem porządnie wkurzona, że przejechałyśmy taki kawał drogi i nie dowiedziałyśmy się niczego na temat Johnny'ego DeVito.

Molly pokręciła głową.

- Jesteś jak gliny. Tworzysz jakąś teorię i szukasz wyłącznie dowodów na jej potwierdzenie. Chwilę temu miałaś bezpośredni i osobisty kontakt z bronią Roya. Nie jesteś choć trochę ciekawa tego psychologa, wymachującego pistolecikiem znanym jako specjalność sobotniej nocy?

- Co za idiotyczna nazwa - mruknęłam.

Zresztą, co za różnica. Było mi obojętne, czy był palantem z beretką, czy świrem wymachującym czterdziestką piątką, tak czy owak nie chciałam więcej mieć z nim do czynienia.

Molly wzruszyła ramionami.

- Co prawda nie zrobiłam testu balistycznego, ale jestem pewna, że to nie był rekwizyt. Miał w kieszeni pistolet i nasz widok go nie ucieszył.

Skinęłam głową.

- Roy jest przerażający. Ale wygląda mi bardziej na zdesperowanego niż niebezpiecznego. Co innego Johnny, to były więzień i szantażysta.

Prawdopodobnie też morderca.

- A Roy to tylko członek Sierra Club, szukający pięknych miejsc na piesze wycieczki?

Zamiast odpowiedzieć, wyjrzałam przez okno, żeby sprawdzić, gdzie jesteśmy, tam jednak rozciągała się wyłącznie atramentowa ciemność. Na pozór zupełnie spokojna, ale nie zdziwiłabym się, gdyby z czarnej nocy wyskoczył nagle

kojot, szarżując z pazurami na nasz bezpieczny, zamknięty samochód. Czy nie to właśnie spotkało Dana i mnie? Tkwiliśmy w swoim przytulnym i bezpiecznym idyllicznym podmiejskim życiu, kiedy nagle i niespodziewanie pojawiło się niewytłumaczalne zagrożenie.

- Jesteś głodna? - zapytała zniecierpliwiona Molly.

- Jak wilk - przyznałam, wdzięczna za zmianę tematu. - A może to tylko wielka, pusta dziura w moim żołądku.

- Przynajmniej nie po kuli - powiedziała Molly, wykazując się czarnym poczuciem humoru.

Skreśliśmy na najbliższym zjeździe i chyba po raz pierwszy w życiu ucieszyłby mnie widok Burger Kinga. Zamiast jednak trafić do Ameryki fast foodów, trafiłyśmy do miasta jak żywcem wyjętego z ubiegłego stulecia. Był w nim sklep wielobranżowy (zamknięty) i stacja benzynowa (jak wyżej). Jedyne światło dochodziło z małej, wykończonej aluminium jadłodajni i Molly zaparkowała obok szyldu, obiecującego „SPECJALNOŚĆ: KLOPSĘ ZA \$7.99”.

- Nie pamiętam już, kiedy jadłam klopsa - powiedziała Molly, gdy weszłyśmy i usiadłyśmy w łóży z czerwonymi plastikowymi siedzeniami i poplamionym stołem z laminatu.

Szklana solniczka i pieprzniczka wyglądały, jakby ktoś umieścił je tutaj w 1965 roku, zaś telewizor nad barem nastawiony był na kanał Classic Sports. Siedzący naprzeciwko niego dwaj starzy mężczyźni popijali piwo i bez sensu wydzielali się, że Dallas wygrało Super Bowl V. Na ekranie Curt Gowdy mówił o rozgrywającym Johnnym Unitas i wspominał o uniwersyteckim zespole, który wystąpi w czasie przerwy. Żadnych produkcji za wiele milionów dolarów, oślepiających reflektorów, wrzeszczących fanów i Rolling Stonesów? Nawet mnie ogarnęła lekka nostalgia.

- Nie podają tu klopsa, tylko klopsę - powiedziałam, wracając do teraźniejszości. - A to może być dosłownie wszystko.

- Od czasu do czasu trzeba trochę zaryzykować - oświadczyła Molly. - Mam tylko nadzieję, że podają to z tłuczonymi ziemniakami. Podeszła kelnerka i Molly zamówiła specjalność zakładu, czyli kłops - klopsę? Chociaż w takich miejscach raczej nie należy pamiętać o diecie, ja mimo wszystko poprosiłam o omlet bez tosta, frytek i sera.

- Z samych białek - dodałam.

- Nie da się - powiedziała kelnerka, biorąc ode mnie menu. - Widziała pani kiedyś jajko bez żółtka?

Molly wyszczerzyła do mnie zęby w uśmiechu, a kiedy kelnerka odeszła, powiedziała:

- Masz nauczkę. Czasami trzeba brać rzeczy takimi, jakie są. Cieszyć się tym, co się ma.

Westchnęłam.

- Wiem, że nie masz na myśli klopsa. Ani nawet klopsy. Czym więc się nie cieszę?

- Znowu mam ci powtarzać? - Molly nachyliła się ku mnie z oczami błyszczącymi podnieceniem. - Pomyśl tylko. Ten sam Roy Evans, który dopiero co został wywalony z reklamy, siedzi sobie na środku pustyni z Julie Boden, kobietą, która go wywaliła. A potem, ot, tak sobie, dla zabawy, zaczyna wymachiwać bronią. Zasługuje przynajmniej, żeby znaleźć się na twojej liście podejrzanych.

Wzięłam kawałek białego chleba z koszyka i zaczęłam rwać go na małe kawałeczki.

- Wiem, że Roy jest nienormalny. To świr. Ale gdyby każdy świr w L.A. miał kogoś zabić, autostrady nie byłyby takie zatłoczone.

- Zgoda. Ale przedtem nie miałyśmy pojęcia o tej sprawie z porno. - Molly umilkła, żeby także wziąć kawałek chleba, który następnie zgmiotła palcami w miękki kwadracik. - Jest tak. Roy powiedział, że Tasha miała talent do sado-maso, więc pomagał jej nakręcić film do prezentacji.

Łatwo można

się domyślić, że związał ją do tego celu. A może tak bardzo przypadło mu do gustu malujące się na jej twarzy przerażenie, że trochę go poniosło? Poprawiłam się na plastikowym siedzeniu.

- Marzenie każdej aktorki: umrzeć dla swojej sztuki. Skoro uważasz, że Roy jest mordercą, czemu byłaś taka spokojna? A może nie zauważyłaś, że groził mi bronią?

- Przepraszam. - Molly uśmiechnęła się głupkowato. - Od razu doszłam do wniosku, że nie zrobi z niej użytku, po prostu naćpał się metamfetaminy. Julia mówiła ci przecież, że od niej nie stroni. Seks, drugs i rock and roli, tak powiedziała, prawda? Widziałam aktorów, którzy brali amfę w toalecie przed przesłuchaniem. Krążą pogłoski, że dobrze jest strzelić sobie działkę przed scenami łóżkowymi, bo traci się wtedy wszystkie zahamowania. Chociaż to trochę niebezpieczne.

Dziadostwo szybko uzależnia.

Napiłam się wody i rozgryzłam kostki lodu.

- Ale to nie jest odpowiedź na twoje pierwsze pytanie: dlaczego Julie i Roy wybrali się wspólnie na pustynię.

Molly wzruszyła ramionami.

- Też widziałaś tę fiolkę. Pewnie dostarcza jej narkotyki. Zamrugałam kilka razy, starając się dostrzec dowód.

- Kiedy pierwszy raz spotkałam Julie, doszłam do wniosku, że ona i Roy byli kochankami i że coś popsulo się w ich związku. Ale mogłam się mylić.

- Albo i nie - stwierdziła łaskawie Molly. - Załóżmy, że zatrudniła go do pierwszej reklamy, bo się z nim pieprzyła. Kilka obsesyjnych tygodni, wypełnionych szalonym seksem i krystaliczną metamfetaminą. Potem namiętność wygasła i Julie poczuła się rozczarowana.

Urwałam rozek szorstkiej papierowej serwetki.

- Albo może wciąż była zakochana, ale dowiedziała się o Tashy i postanowiła pozbyć się rywalki. Chciała Roya tylko dla siebie. Komu potrzebna o połowę młodsza konkurentka?

- Nie ma nic groźniejszego od czterdziestolatki, którą wygryzła młodsza cizia - powiedziała Molly. - To twoja nowa teoria? Julie zamiast Johnnycgo DeVito?

Zgniotłam w palcach okruch chleba, robiąc z niego białą gąbczastą[^] kulkę do kompletu z kwadracikiem Molly.

- Nie wiem. Czy Julie wygląda ci na morderczynię?

- Myślę, że w sprzyjających okolicznościach każdy może stać się mordercą. Gdyby motywem były pieniądze albo władza, Julie znalazłaby się na czele mojej listy. Ale w tym wypadku jej karierze - o życiu nie wspominając - nie groziła drugorzędna aktoreczka. Pamiętaj, ona go zwolniła. Bardziej do mnie przemawia, że skończył się romans, a zaczął związek narkotykowy.

Zjawiała się kelnerka i z hukiem postawiła przed nami talerze. Molly popatrzyła na swoje danie - wymarzone tłuczone ziemniaki i brązowy ochłap czegoś, co na studiach nazywałyśmy tajemniczym mięsem. Dźgnęła widelcem grudowatą masę i z wahaniem wzięła kęs na spróbowanie. Na wierzchu mojego omletu z żółtek widniała plama ścinającego się tłuszczu, a z boku talerza piętrzyła się kupa tłustych startych ziemniaków smażonych z cebulą. Może kucharz chciał wspomóc tutejszą Jenny Craig. Zastanawiałam się, czy dodana jako dekoracja pomarańczowa skórka wystarczy mi za cały posiłek.

- Dobra, zastanówmy się nad Royem - powiedziałam. Z nieobciążonym żołądkiem mój umysł pracował na pełnych obrotach. - Ty uważasz, że kręcił porno z udziałem Tashy, związał ją, poniosło go i posunął się za daleko. Koniec historii. Ława przysięgłych kupi to bez problemu. Ja też. Ale ja kupię wszystko, co wyklucza udział Dana.

Molly skinęła głową.

- Opowiesz o tym Chaunceyowi Howellowi? Przewróciłam oczami.

- Nie, nie zniosę, jeśli znowu potraktuje mnie grzecznie, ale z politowaniem. Podziękuj mi za ciekawe wnioski,

ale przypomni, że wszystkie namacalne dowody wskazują na mojego męża. A rozwiązanie z udziałem Roya nie pasuje do zeznania sąsiadki, która słyszała, jak Tasha krzyczy: „Niech pan przestanie, doktorze Fields! Niech pan przestanie!”

Molly odsunęła swój talerz, skinęła na kelnerkę i zostawiła dwadzieścia dolarów za te cztery kęsy, które wspólnie przełknęłyśmy. Nie odezwała się, kiedy wracałyśmy do samochodu ani kiedy wsiadałyśmy do niego. W milczeniu przejechałyśmy przez ponure miasteczko i wyjechałyśmy z powrotem na ciemną autostradę. Ciszę zakłócała jedynie płyta Raya Charlesa.

- Lacy, mam jedno pytanie - odezwała się w końcu Molly. - Jeżeli to nie Roy zabił Taszę ani Johnny DeVito, ani Julie, ani żaden zamaskowany, nieznany napastnik? Czy jesteś w stanie przyjąć, że mimo wszystko Dan... ma z tym coś wspólnego?

- Jak w ogóle możesz mnie o to pytać?

- Możemy sobie stroić żarty z Chaunceya, ale nie da się zaprzeczyć, że to profesjonalista. Wynajęłaś go, bo jest najlepszy. Skoro twierdzi, że dowody świadczą przeciw Danowi, może faktycznie tak jest.

Jak dotąd miałam niezwykle udany dzień. Pojechałam do tego zapomnianego przez Boga i ludzi miejsca, stanęłam oko w oko z wycelowaną we mnie bronią i zamawiając jedzenie, ryzykowałam dyzenterię. Teraz czułam nadciągającą migrenę, zamknęłam więc oczy, starając się odgrodzić od świata. Nie byłam w stanie odpowiedzieć na pytanie Molly.

- Przecież mówiłam ci o szantażu Johnny'ego DeVito, z którego to powodu Dan znalazł się w mieszkaniu Tashy. Czy to nie wystarczające wytłumaczenie? - zapytałam.

- Jasne, ale coś mi przyszło do głowy. Dan powiedział, że poszedł na górę i wszedł do pustego mieszkania. Byłaś w tym budynku, Lacy. Jak do niego weszłaś?

- Nie ma odzwiernego, jest tylko domofon - odparłam. - Ktoś ci musi otworzyć.

- Ale kto? - zapytała Molly. - Współlokatorka Nora bawiła w Idaho, a Johnny DeVito ma alibi, które go wyklucza. Intruz albo morderca nie cieszyłby się z wizyty kogoś obcego.

Molly umilkła, jakby nie mogła zmusić się, aby dokończyć myśl. Szybko jednak zwalczyła ewentualny wewnętrzny opór.

- To znaczy, że tym, kto wpuścił Dana, była prawdopodobnie sama Tasha Barlow - powiedziała. - Co oznacza, że musieli być razem w mieszkaniu. Zagryzając wargi, wyjrzałam przez okno, nagle wściekła.

- Podobno jesteś moją przyjaciółką, Molly. Nie mogę uwierzyć, że mówisz coś takiego.

Westchnęła.

- Wybacz, kochanie. Jestem twoją najlepszą przyjaciółką. Dlatego właśnie to powiedziałam.

Wściekanie się na Molly tylko pogorszyłoby mój stan. Nachyliłam się i puściłam odtwarzacz tak głośno, aby dalsza rozmowa stała się niemożliwa. Wnętrze samochodu wypełnił zawodzący głos Raya Charlesa. Śpiewał jeden ze swoich klasycznych przebój ów *Here We Go Again*. „Raz jeszcze zostanę jej głupcem... Jeszcze jeden raz”, zawodził tęsknie.

OK, jeszcze jeden raz. Czy byłam lojalną żoną, czy też raczej głupcem? Zakochaną idiotką, wścibską, pchającą się tam, gdzie nawet diabeł by się nie odważył. Dan nieraz kogoś oszukał - czy możliwe, że mnie oszukiwał przez cały czas?

Zza okna samochodu dobiegło mnie wycie kojota. W jego żalonym zawodzeniu dosłyszałam czające się niebezpieczeństwo, czułam zbliżające się nieznane siły. Musiałam być tarczą chroniącą moją rodzinę przed wszelkim złem. Ale jak miałam to zrobić, jeżeli zagrożenie mogło czyhać wewnątrz?

Rozdział dwunasty

Następnego dnia późnym popołudniem zadzwonił Chauncey i zauważyłam, że muszę zaciskać zęby, aby jakoś przebrnąć przez tę rozmowę. Ostatnio kontakty z adwokatem przypominały wizyty u złego masażysty w drogim spa - człowiek wydał fortunę, a po skończonym zabiegu czuł się gorzej niż wcześniej.

- Prokurator okręgowy udostępnił mi wyciągi bankowe Tashy Barlow.

Nie musiał tego robić, ale łączą nas dobre stosunki - powiedział

Chauncey, uświadamiając mi, jakie ma koneksje.

- Dowiedziałeś się czegoś interesującego? - spytałam.

- Cóż, przyznaję, że owszem, nawet bardzo interesującego, Lacy. Tasha ostatnio dwukrotnie dokonała wpłat w wysokości pięciu tysięcy dolarów. Daty mniej więcej zgadzają się z tymi, kiedy według Dana płacił rzekomo szantażującemu go Johnnymu DeVito.

- To znaczy, że Johnny dawał Tashy te pieniądze. Nic szokującego - rzekłam oschle.

- Chcę tylko powiedzieć, że to nam nie pomoże - odparł łagodnie

Chauncey. - Pieniądze są kolejnym dowodem na to, że coś łączyło Dana z Tashą, a nie Dana z Johnnym DeVito.

Z hukiem odłożyłam słuchawkę. Wiedziałam, że Chaun-cey stoi po naszej stronie, ale czasem zachowywał się tak, jakby wysługiwał się przeciwnikowi. Z drugiej strony, Molly miała rację, nazywając go profesjonalistą. Poza tym miał powód, aby poinformować mnie o wyciągach bankowych. Tak jak Molly, starał się przygotować mnie na najgorsze. Ale ja nie chciałam być przygotowana - chciałam walczyć. Poszłam do pokoju Granta. On i Jake, pochyleni nad komputerem, grali w pokera on-line.

- Przykro mi, że przeszkadzam wam w wygrywaniu - powiedziałam. - Ale chciałam o coś zapytać. Mam maila, który według mnie jest ważny. Może dalibyście radę dowiedzieć się, skąd został wysłany?

Po co śledzić pieniądze, skoro możemy śledzić maile? Jake zamknął na ekranie swoje rozdanie i poprawił okulary na nosie.

- Mogę spróbować, proszę pani.

Zesłam do gabinetu Dana i znalazłam ostatniego maila od Johnnynego. Przystudiowaliśmy go razem z Danem, kiedy w końcu opowiedział mi o szantażu. Był bardzo krótki i zwięzły - zawierał jedynie dwie linijki z poleceniem, aby mój mąż zjawił się w mieszkaniu 4C z pięcioma tysiącami dolarów, a także datę i godzinę. Wykasowałam treść - nasz syn nie musiał wiedzieć o wszystkim - i przesałam resztę na komputer Granta, dopisując: „Chcę, żebyście to namierzyli”. Godzinę później wróciłam do pokoju syna.

- Znaleźliście coś? - zapytałam chłopców. Grant odchrząknął i potarł oczy.

- Mamo, w zasadzie nie można stwierdzić, że tego maila przysłał Johnny. Każdy mógł to zrobić.

Ponieważ wcześniej wydrukowałam stronę z mailem, spojrzałam teraz na nią, studiując ją, jakby to była Księga Hioba.

- Adres brzmi: johnnydevito@yourmail.com - zauważyłam. - Według mnie to od Johnny'ego.

- Albo od kogoś, kto chciał, żeby pani tak pomyślała - odezwał się Jake, poprawiając na nosie okulary w drucianej oprawce. - Bardzo łatwo jest zmienić adres nadawcy. To darmowa strona, więc sprawdziłem ją i wiem, kto się zarejestrował.

-Kto?

- Drew Barrymore. -Co?!

Grant uśmiechnął się pod nosem, a Jake zachichotał.

- Te strony mają kiepskie zabezpieczenia - wyjaśnił Jake. - Można się na nich spokojnie zarejestrować pod byle jakim nazwiskiem. Johnny DeVito mógł zacierać ślady, używając fałszywego nazwiska. Równie dobrze mógł to zrobić ktoś inny i wysłać maile jako on.

Nie miałam pojęcia, czemu ktoś miałby to robić.

- Ponieważ rejestracja nie przydała się nam na nic, pomyślałem, że wyśledzę komputer, z którego mail został wysłany - powiedział Jake. - To banalnie proste.

Jake wymienił spojrzenie z Grantem. Jeżeli znowu zrobili coś nielegalnego, nie chciałam o tym wiedzieć. Ale byłam ciekawa.

- Zrobiłeś to?

- Każdy komputer ma coś takiego, jak swój własny, wyjątkowy podpis, którego nie da się zmienić. Nazywa się adres IP - powiedział Jake.

- To jak znalezienie kogoś na podstawie odcisków palców - dodał Grant. Jake przytaknął kiwnięciem głowy.

- Poszukałem więc adresu IP, z którego zarejestrowano się na tej stronie. Jeżeli wiadomo, na jakim jest serwerze, można dotrzeć do danego komputera. To najtrudniejsze, ale poszczyściło mi się.

- A tam, poszczyściło. Po prostu wy, komputerowe świry, znacie się wszyscy nawzajem - powiedział Grant.

- To też - przyznał Jake. - Nieważne, znam kogoś, kto ma znajomego w firmie zarządzającej serwerem, a on z kolei doszedł, czyj komputer ma właśnie ten adres IP.

Patrzyłam na niego wyczekująco.

- Ten komputer należał do Tashy Barlow. Imię zawisło złowrogo w pokoju.

- Więc ten mail, który nam pani dała, ten, który według pani pochodził od Johnny'ego, został wysłany z komputera Tashy.

Przełknęłam ślinę i popatrzyłam na zmartwione twarze chłopców.

- To jeszcze nie znaczy, że napisała go Tasha - powiedziałam, starając się ukryć niepokój. - Johnny często ją odwiedzał. Logiczne, że mógł korzystać z jej komputera, prawda? - Uśmiechnęłam się, bo obaj nie spuszczała ze mnie wzroku. - Słuchajcie, chłopaki, dzięki za pomoc.

Stawiam wam kolejną rozgrywkę w pokera.

Wyszłam, starając się zachować spokój, chociaż wiadomość była szokująca. I na pewno nie podzielę się nią z Chaun-ceyem. Bez trudu mogłam sobie wyobrazić, co powie o Tashy wysyłającej Danowi maile, w których prosi, żeby zjawił się w jej mieszkaniu z pieniędzmi.

Wieczorem, jedząc z dziećmi pizzę na kolację, złożyłam im propozycję.

W piątek nie szli do szkoły z powodu Dnia Odpoczynku Nauczycieli (generalna zasada: im wyższe czesne, tym więcej dni wolnych), mieliśmy więc długi weekend. Podczas gdy nauczyciele będą wypoczywać, my możemy się zabawić.

- Mam wspaniały pomysł - powiedziałam, otwierając pudełko i nakładając kawałek pizzy bez dodatków na talerz Ashley, Jimmy'emu z pepperoni, zaś resztę - z pieczarkami i cebulą - Grantowi. - Może wyskoczmy całą rodziną na narty?

Grant wybałuszył na mnie oczy ze zdumieniem, jakbym nominowała Eminema na prezesa Narodowej Organizacji Kobiet.

- Odbiło ci, mamó - stwierdził. - Nienawidzisz nart, zapomniałaś już? Kiedy ostatnim razem pojechaliśmy do Tahoe, powiedziałaś, że raczej przeskoczysz na jednej nodze Wielki Kanion, niż znowu pojedziesz wyciągiem.

- Ja umiem skakać - oznajmił Jimmy, zrywając się z krzesła.
Zgiął jedną nogę i zaczął skakać po całym pokoju. Kiedy zbliżył się do mnie, uściśnęłam go mocno.

- Może rzeczywiście nie jest to mój ulubiony sport

- przyznałam, myśląc szybko. - Ale możemy pojechać, bo Jimmy uwielbia jeździć na nartach.

- Naprawdę? - zdziwił się Grant.

- Naprawdę? - zawtórowała mu Ashley.

- Naprawdę? - zapytał Jimmy. Wszyscy na chwilę zamarli.

- Kiedy zaprowadziłaś go do szkoły narciarskiej, płakał przez godzinę - powiedziała Ashley. - Chyba nawet nie wjechał na górę.

- Bo wtedy był jeszcze malutki. A teraz jest już dużym chłopcem. - Pocałowałam Jimmyego w czubek głowy.

- Prawda?

Jimmy przytaknął z powagą.

- Prawda - powiedział, choć odrobinę niepewnie. Przyjęłam pozycję jak do zjazdu, ze zgiętymi kolanami i palcami stóp skierowanymi do przodu.

- Potrafisz to o wiele lepiej ode mnie - powiedziałam. Jimmy natychmiast zaczął mnie naśladować.

- Ścigajmy się! - zawołałam, udając, że ruszam naprzód.

- Założę się, że pędzisz już na złamanie karku. Ziuuuu!

- Ziuuu! - odkrzyknął Jimmy.

Z uradowanym uśmiechem przemknął przez kuchnię, udając, że zjeżdża na nartach.

- Ziuuu! Ziuuu! Ziuuu! - Popatrzył na mnie przez ramię.

- Jestem szybszy od ciebie. Wygrałem!

- Wygrałeś - przyznałam. - Będziesz mistrzem stoku.

- Już nie mogę się doczekać, kiedy będę zjeżdżał naprawdę! - zawołał Jimmy, unosząc ramiona nad głową, autentycznie podekscytowany.

Uśmiechnęłam się. Jak wszystko w życiu, także rodzicielstwo polega na odpowiedniej interpretacji. W tej chwili wystarczyło tylko odpowiednio zachęcić Jimmy'ego. Ostatnie tygodnie były dla niego ciężkie, ale może wyniknie z tego coś pozytywnego. Po tym, jak był świadkiem nocnego najścia policjantów na nasz dom, na dodatek grożących jego ojcu bronią, szus po stoku nie będzie dla niego taki straszny.

- Jeżeli mamy jechać, muszę mieć nowy strój na narty - oświadczyła Ashley.

- Przecież twój jest praktycznie zupełnie nowy - przypomniałam jej.

- Ale jest taki zeszloroczny. Wściekle różowy, a w tym sezonie wszyscy noszą błękit. Najlepszy byłby jednoczęściowy kombinezon z goreteksu z paskiem z boku. I żeby miał kaptur z futrem.

- Bardzo ci na tym zależy? - zapytałam, żeby uniknąć kłótni.

- Rozpaczliwie - powiedziała Ashley dramatycznie. - Marzę o takim.

- W takim razie możesz sobie taki kupić za pieniądze na urodziny, zamiast nowego telefonu komórkowego - oznajmiłam spokojnie. - Oczywiście, mogłabyś też przekazać je fundacji Make-A-Wish. Zafundować dzień radości jakiemuś choremu dziecku. Według mnie to więcej warte niż nowa motorola razr czy błękitny kombinezon narciarski, ale decyzja należy do ciebie.

Ashley wpatrywała się we mnie nieruchomym wzrokiem i już spodziewałam się kolejnego napadu szalu typowego dla nastolatki. Ku mojemu zaskoczeniu, Ashley nagle się jednak rozluźniła.

- Dobra, wyszło na twoje - powiedziała, tylko odrobinę naburmuszona. -
Są gorsze rzeczy od zeszłorocznego kombinezonu na narty.

Skinęłam głową i posiałam jej lekki uśmiech, który - istny cud nąd
cudami - łaskawie odwzajemniła.

- To co, jak rozumiem, narty w Tahoe? - zapytał Grant.

- Może tym razem wypróbujemy Sun Valley. Coś nowego i nieco mniej
ryzykownego - powiedziałam ostrożnie.

- Och, super! - ucieszyła się Ashley. - Moja koleżanka Caroline ma tam
dom i mówi, że jest też prywatne lotnisko.

- W takim razie pójdę do garażu rozgrzać naszego gulfstreama -
powiedziałam. - Gdyby jednak okazało się, że go tam nie ma, linie Delta
mają bezpośrednie połączenie. Możemy wyjechać w czwartek po szkole.

- Tatuś pojedzie z nami? - zapytała ostrożnie Ashley. Jej twarz
pozostawała bez wyrazu i nagle zrozumiałam,
że nie wiem, jakiej oczekuje odpowiedzi.

- Mam nadzieję - odparłam.

Następny dzień upłynął mi na przeszukiwaniu szaf i gromadzeniu
narciarskich spodni, kurtek, swetrów, ciepłej bielizny, butów, nart,
kijków, kasków, golfów, skarpet, rękawic, wkładów do rękawic, masek,
ciepłych szali i butów na po nartach. Upychając to wszystko do toreb,
przypomniałam sobie nagle, czemu nie chciałam już nigdy więcej jechać
na narty. Ale jakoś udało się nam dotrzeć do samolotu, szczęśliwie
dolecieć, odebrać bagaż na docelowym lotnisku, wynająć samochód i
dojechać do mieszkania, które wynajęłam przez Internet. Wstrzy-
mywałam oddech, kiedy dotarliśmy na miejsce, ale lokum okazało się tak
idealne, jak zapewniali w ofercie - wszystko lśniło nowością, w salonie
były wielkie okna od podłogi do sufitu, wychodzące na Baldy, górę, na
której mieliśmy jeździć.

W piątek rano zaprowadziłam Jimmyego do szkoły narciarskiej.

Pomachał mi wesoło na pożegnanie, mówiąc tylko:

„Ziuuu!”, kiedy go całowałam. Sama usadowiłam się u stóp stoku dla początkujących i po kilku minutach podziwiałam Jimmy'ego zjeżdżającego z góry. Kiedy mnie zauważył, pokazałam mu uniesione do góry kciuki, a on uszczęśliwiony skierował się na wyciąg. Ponieważ znacznie więcej przyjemności sprawiało mi oglądanie doskonałego umiejętności synka niż pokonywanie tras osobiście, nie ruszyłam się z miejsca. Po południu Jimmy potrafił już prowadzić narty równolegle i ładnie skręcać.

- Mamusiu, możemy pościgać się naprawdę? - zapytał mnie po którymś zjeździe z buzią zaczerwienioną raczej z podniecenia niż zimna.

- Pobijesz mnie, bez dwóch zdań - powiedziałam, wycierając mu zasmarkany nos chusteczką.

- Pewnie tak - zgodził się, przepelnięty świeżo zrodzoną dumą i wrócił na wyciąg.

Ashley i Grant uparli się, żeby Dan pojechał z nimi na trasy dla zawodowców, mimo że w żaden sposób nie był w stanie za nimi nadążyć.

- Nie szkodzi, że musimy na niego czekać - powiedział Grant, kiedy wszyscy spotkaliśmy się w knajpie na popołudniowej gorącej czekoladzie. - Tato zawsze na nas czekał, kiedy byliśmy mali. Czas na rewanż.

- Na mnie nie będzie musiał czekać - oświadczył Jimmy, zlizując bitą śmietaną ze swojej czekolady. - Jestem szybki.

Może jednak stał się zbyt pewny siebie.

Pierwszego dnia nie mogłam jeździć, bo chciałam oglądać Jimmy'ego.

Drugiego co innego stanęło mi na przeszkodzie, a mianowicie ból pleców. Przynajmniej taką podałam oficjalną wersję. Prawda zaś była taka, że tę nagłą niedyspozycję planowałam od tygodnia.

- Przecież wczoraj nic nie robiłaś, jak to więc możliwe, że bolą cię plecy?

- zapytała Ashley na wieść, że nie wybiorę się z nimi na stok.

- Może dlatego, że tyle czasu stałam - tłumaczyłam się bez przekonania. Potarłam dłonią nasadę pleców, żałując, że nie jestem lepszą aktorką.

- Co będziesz robić przez cały dzień? - zapytał Dan.

- Pozwiedzam okolicę albo pójdę na zakupy. Tu jest tak pięknie. Nie martwcie się o mnie.

Dan i dzieci zajęli się zbieraniem sprzętu, nie mogąc się doczekać, by wykorzystać idealne warunki narciarskie - ciepły, słoneczny dzień i metrową pokrywę śnieżną. Wsunęłam dwa batoniki kit kat do kieszeni kurtki Jimmy'ego, aby zagłuszyć poczucie winy, że nie będę mu dzisiaj towarzyszyć.

Zawiozłam rodzinę na stok, po czym wróciłam do miasta, nie zatrzymałam się w nim jednak, ale pojechałam dalej dwupasmową drogą, jedyną prowadzącą do miasta. W przeciwną stronę panował potworny ruch, samochody jechały jeden za drugim, wioząc do Sun Valley amatorów narciarstwa, ale mój pas był prawie pusty. Kto w taki dzień decyduje się na wyjazd z gór?

Popatrzyłam na zegarek: dziewiąta rano. Po skończonej jeździe Dan i dzieci wrócą do domu skibusem - prawdopodobnie około czwartej po południu. To oznaczało, że mam dla siebie siedem godzin. Jeżeli założę, że dojazd do Twin Falls zajmie mi dwie godziny i tyle samo powrót, i tak zostanie mi jeszcze mnóstwo czasu. Nikt nie musi się dowiedzieć, że nie szukałam w sklepach swetrów ani nie wybrałam się na masaż.

Gdyby jednak ktoś z mojej rodziny jakoś dowiedział się, że pojechałam na cały dzień do Twin Falls, powiem, że zrobiłam to pod wpływem nagłego impulsu. Nie był to przecież jedyny powód naszego rodzinnego wypadu. Przyznaję, odrobinę ich oszukałam, planując ten wyjazd na narty, jako że miałam w zanadrzu własny motyw. Ale czy ktoś mógłby mieć o to pretensje, skoro jazda na nartach w przepięknych górach poprawiła wszystkim humor?

Po godzinie jazdy autostradą skręciłam w drogę 93, kie-dując się na południe. Zanim tu przyjechaliśmy, poszperałam trochę w Internecie i spisałam wszystkie numery telefonów Barlowów w Twin Falls.

Znalazłam trzy. Dopiero tuż przed wyjazdem przypomniałam sobie, że Tasha Barlow nazywała się kiedyś Theresa Bartowski. Sprawdziłam szybko - tylko jeden numer. Nie zadzwoniłam przed wyjazdem.

Kiedy dotarłam do Twin Falls, wyjęłam z kieszeni kartkę papieru i rozwinęłam ją. Z wahaniem sięgnęłam po telefon i wybrałam numer pierwszych Barlowów z mojej listy. Poczta głosowa. Drugi numer - sytuacja powtórzyła się. Pod trzecim numerem nikt nie odbierał.

Zadzwoniłam do Bartowskich. Numer został odłączony.

Nie tego się spodziewałam.

Postanowiłam poczekać godzinę. Pokręciłam się po mieście, przeczytałam czasopismo, które ktoś zostawił w samochodzie. Potem znowu spróbowałam dodzwonić się pod wszystkie cztery numery. Z takim samym skutkiem, jak poprzednio.

Zniechęcona, podjechałam na stację benzynową i zapytałam mężczyznę w małym sklepiku, czy mogę skorzystać z toalety. Podał mi klucz. Na drzwiach widniał wielki napis: „TYLKO DLA KLIENTÓW”. Przejęta świętością zasad mor-lanych obowiązujących w małych miasteczkach, wychodząc złapałam dietetycznego sprite'a i wręczyłam dwudziestodolarowy banknot mężczyźnie za ladą. Ugryzł kolejny kęs pączka z galaretką, odłożył go i popatrzył na banknot.

- Nie ma pani drobnych? - spytał, opierając się o ladę.

Zmechacony wełniany sweter podwinął mu się na okazałym brzuchu, ukazując białą oponę sadła. Mężczyzna szarpnął za pasek spodni, usiłując je podciągnąć, w końcu jakoś mu się udało uporządkować spodnie i sweter na tyle, by osłonić nimi brzuszko.

- Ile płacę?

- Równno dolara.

Zacząłam grzebać w torebce, ale nie znalazłam żadnych banknotów o mniejszym nominale. Sięgnęłam do portmonetki i uważnie przeliczyłam wszystkie znajdujące się w niej monety.

- Mami tylko osiemdziesiąt siedem centów - przyznałam z żalem.

- Może być - rzekł jowialnie mężczyzna, oddając mi banknot i biorąc w zamian monety.

- Cóż, bardzo panu dziękuję - powiedziałam, nagle wdzięczna za trzynaście centów rabatu za napój, na który i tak nie miałam ochoty.

- Skąd pani jest? - zapytał, uruchamiając staromodną kasę, która dzwonkiem potwierdzała zakup. Była tak stara, że wyglądała na interesujący antyk. Cóż za zdobycz do domu producenta w Benedict Canyon, którego urządzeniem właśnie się zajmowałam - stanowiłaby doskonały temat do rozmowy w urządzonym supernowocześnie salonie.

- Mm, z Los Angeles - powiedziałam.

Co by sobie pomyślał, gdybym zapytała, czy nie sprzedałby mi swojej kasy?

Twarz mu posmutniała.

- Z Los Angeles. Fatalnie. Wygląda pani na miłą osobę. A to podłe miasto. - Potrząsnął głową. - Podłe miasto, to całe Los Angeles. Zmusza porządne dziewczyny do robienia złych rzeczy.

Coś w jego słowach zabrzmiało znajomo. No tak. Przecież Nora powiedziała niemal dokładnie to samo, kiedy opowiadała mi o Tashy. Spróbowałam nie pokazać po sobie żadnej reakcji.

- Słyszałam, że ludzi stąd spotkała ostatnio jakaś tragedia w Los Angeles - odezwałam się powoli.

Skinął głową.

- Dwie dziewczyny umarły. Theresa, najładniejsza dziewczyna, jaką pani w życiu widziała. Nie tylko w Idaho

- wszędzie. Ale uroda to nie wszystko. Pojechała do Los Angeles i zepsuła się. Nasza Nora robiła wszystko, żeby ją nawrócić na dobrą drogę. I w końcu ona także umarła. - Przyłożył pulchny kciuk do oka i otarł łzę.

Co dziwne, ja też czułam, że ściska mnie w gardle.

- Żadna z nich nie zasługiwała na śmierć - ciągnął drżącym głosem. - Ale Nora, ona zawsze była ta dobra. Za dobra, żeby umrzeć.

- Znałam Norę - odezwałam się cicho. - W sumie przez przypadek, ale spotkałyśmy się dwa razy. Tamtej drugiej dziewczyny nie znałam. Mężczyzna wydmuchał nos. Potem wytarł dłoń w nogawkę spodni i wyciągnął ją w moją stronę.

- Jestem Bill Wilson, ojczym Nory.

- Miło mi pana poznać - odrzekłam. - Nazywam się...

- Jak ja się nazywam? W tych stronach raczej nie powinnam była przedstawiać się jako „Fields”, bo nazwisko Dana na pewno było wypisane wielkimi literami na tablicy w miejscowym barze. Ale zanim wyszłam za mąż, miałam przecież jakąś tożsamość. - Jestem Lucy Montgomery.

- Miło mi.

I wymieniłam uścisk dłoni z ojczymem Nory.

Spodziewałam się, że zapyta, skąd ją znałam, ale podszedł następny klient z sześciopakami coca-coli i wielkim opakowaniem fritos, odsunęłam się więc, aby mógł zapłacić. Potem jakaś kobieta z numerami rejestracyjnymi z Newady zawołała, że zacięła się pompa dystrybutora, wobec czego pan Wilson przeprosił mnie i wyszedł jej pomóc. Wrócił po minucie.

- Wcale się nie zacięła, tylko trzeba podnieść dźwignię, cholera - mruknął. - Turyści.

Uśmiechnęłam się pod nosem.

- Jesteśmy wszędzie - powiedziałam.

- W sumie mi nie przeszkadzają - odparł, niespecjalnie czystą szmatą przecierając ladę, aby usunąć plamy po kawie.

- Dzięki nim jakoś się tu kręci. W tej chwili ja też dzięki nim funkcjonuję. Posmutniał, kiwnęłam więc współczująco głową. Całymi dniami myślałam o obu dziewczynach, ale nie wiem czemu, nigdy nie przyszło mi do głowy, że ich śmierć przyczyniła się do cierpienia ich bliskich. Chociaż moja sytuacja przedstawiała się dość ponuro, w żaden sposób nie dało się jej porównać z bólem, jaki musiał odczuwać Bill Wilson. Człowiek nigdy nie zdaje sobie sprawy z własnego szczęścia, póki go nie utraci. Niczego nie należy uważać za oczywiste. Przymknęłam oczy i w duchu zmówiłam dziękczynną modlitwę za Granta, Ashley i Jimmygo.

- Musi być bardzo ciężko panu i pańskiej żonie. I rodzicom Theresy. Mój plan nie wypalił i spotkanie z Billem Wilsonem było zupełnie nieoczekiwane. W zasadzie nawet mi na nim nie zależało. Miałam raczej nadzieję wydobyć jakieś informacje od innych pogrążonych w smutku rodziców.

- Moja żona jest silna - powiedział Bill Wilson. - Wiara pomaga jej przez to przejść. Zawsze spędzała dużo czasu w kościele, ale teraz wciąż powtarzam, że ksiądz powinien nazwać ławkę jej imieniem. - Uśmiechnął się słabo. - Jak chce, niech się modli. Pobraliśmy się, kiedy Nora miała trzynaście lat, ale przyjęła moje nazwisko i byliśmy jak rodzina. Jej ojciec nigdy nie był specjalnie udany, zabił się, kiedy Nora miała dziewięć lat. Biedna mała, jak ona to musiała przeżyć.

- Mój Boże, to straszne - powiedziałam.

Nie mogliśmy kontynuować naszej rozmowy, bo w sklepie znowu zrobił się ruch. Wszedł kierowca ciężarówki, przy którego opadających dzinsach spodnie Billa wyglądały jak szyte na miarę na Jermyn Street, i zażądał dwóch kawałków pizzy z pepperoni. Nadmiernie opalona kobieta w obcisłych czarnych narciarskich spodniach i białych botkach podeszła, żeby zapłacić za benzynę, pytając przy okazji, gdzie

mogłaby się napić podwójnej cappuccino z odtłuszczonym mlekiem.

- Najbliżej będzie w Sun Valley - odparł Bill. Kobieta nadeła się, a ja zaśmiałam się krótko. Myślę, że

polubiłabym Billa Wilsona. Wielka szkoda, że nie poznaliśmy się w nieco innych okolicznościach.

Kiedy sklep opustoszał i Bill znowu mógł skupić swoją uwagę na mnie, postanowiłam mimo wszystko spróbować.

- Dobrze pan znał rodziców Theresy? - zapytałam. Wzruszył ramionami.

- Państwo Bartowski wyprowadzili się kilka tygodni temu. Wciąż docierały do nich wszystkie plotki i chcieli zamieszkać gdzieś, gdzie mogliby zacząć od nowa.

- Jakie plotki?

- Och, no wie pani. To, co już mówiłem, że Terry nie była już tą samą, słodką dziewczyną. Przewróciło się jej w głowie. Stała się dziwką, jeśli chce pani znać moje zdanie. - Sięgnął po na wpół zjedzonego pączka z galaretką, którego przedtem odłożył i zjadł go do końca. Sięgnął do pudełka po następnego i zmiętą serwetką otarł cukier z palców. Trudno mieć pretensje do człowieka, że stara się jakoś osłodzić sobie życie.

- Nora przyjechała do nas tuż przed tym, jak Terry zginęła. Mówiła, że dzieją się okropne rzeczy i że Terry nie chce mieć jej przy sobie.

Powiedziała jej nawet, żeby nie wracała. Widać było, że Nora cierpi.

Kilka razy poszła do kościoła z matką i rozmawiała z księdzem. Doszli do wniosku, że diabeł wstąpił w Tashę i że Nora musi wracać i ją uratować.

Ale już nie zdążyła.

Bałam się, że znowu zacznę płakać, ale jakoś się powstrzymałam.

- To znaczy, że Nora była w Twin Falls, kiedy Terry zginęła - powiedziałam.

- Chciałbym, żeby tak było. Wtedy zatrzymałbym ją w domu. Nie pozwoliłbym jej wrócić do tego przeklętego mia-

sta i żyłaby teraz. Ale ona pojechała swoją starą jetą i powiedziała, że nie będzie się śpieszyć z powrotem. Wyjechała stąd dzień przed morderstwem. Nie wiem, kiedy dokładnie tam dojechała. Może na następny dzień.

- I wtedy... - nie dokończyłam. - Jak pan myśli, co się z nią stało? W jaki sposób... - ...wylądowała martwa w bagażniku mojego samochodu? Zbyt trudne pytanie, aby je zadać.

- Piekielne miasto - powtórzył Bill. - Wciągnęło ją. Nikt nie chciałby zabić Nory, chyba że ten sam człowiek, który zabił Terry. A może jeden z tych, którzy psuli Terry. Trudno powiedzieć. Nora była święta, ale nie da się być świętym w mieście diabłów.

Jeżeli wierzyć gazetom, Dan był Świętym z Hollywood, a jeśli zgodzić się ze słowami jej ojczyma, Nora była świętą współlokatorką. Teraz ona nie żyła, a on był oskarżony o morderstwo. Może świątobliwość nie była tym, czym miała być.

Zjadłam kilka kawałków pizzy z pepperoni Billa Wilsona i napiłam się letniej kawy, tylko po to, aby nieco dłużej zabawić w jego sklepie.

Pomiędzy jednym klientem a drugim Bill opowiedział mi, że jego żona w każde popołudnie pracuje w kościelnej kancelarii.

- Jak ma zajęcia, nie myśli bez przerwy o Norze - wyjaśnił. Nie zaproponował, abym ją odwiedziła. - Płacze, ile razy mówi o tym, co się stało. Więc jej tłumaczę: nie mów o tym. - Jego proste rozwiązanie miało sens, chociaż nie sprawdziliby się w wielkim Los Angeles, gdzie odpowiednią na wszystko były sesje u psychoterapeuty trzy razy w tygodniu po dwieście dolców za godzinę (w tej chwili już za czterdzieści pięć minut), podczas których bez końca mówiło się o tym, co człowieka boli. Naturalnie można było sobie wybrać metodę leczenia - na przykład emotywną, kognitywną, behawioralną, analityczną, odnoszącą się do nastawienia, interwencyjną lub hipokratyczną. Nie, to

coś zupełnie innego. Nie mogłam jednak spierać się z Billem. Bóg dał nam mechanizmy obronne, czemu więc z nich nie korzystać.

W końcu wróciłam do samochodu i jeździłam trochę, mijając po drodze niewielki kościół, do którego być może chodziła Nora. Po boisku szkolnym biegały dzieci, a kilka przecznic dalej grupka nastolatków stała na parkingu i paliła. Niewielkie, zadbane domki przy bocznych ulicach wydawały się małe i nieważne w porównaniu ze wspaniałymi rezydencjami w L.A. Ale zasadniczo wszyscy widzieliśmy takie same życie - mieliśmy domy, chodziliśmy do szkół, wychowywaliśmy dzieci na dobre i złe. Kiedy mieszka się w jednym z takich domków, staje się on dla nas centrum wszechświata.

Dorastając, Theresa Bartowski była taka, jak te dziewczynki na boisku, wspinała się na drabinki i marzyła o przyszłości, która zawiedzie ją jeszcze wyżej. Ale marzenia nastolatki o wieczorze rozdania Oskarów i klejnotach od Harry'ego Winstona znalazły swój koniec w ponurej, podwójnej śmierci. Ojczym Nory powiedział, że Terry nie była już tą samą dziewczyną, odkąd wyjechała do Los Angeles, i wierzyłam mu. Tasha Barlow wydała swoje ostatnie tchnienie w mieszkaniu w bloku z basenem, mając nadzieję, że uda jej się wystąpić w filmie porno. Śliczna, niewinna Theresa Bartowski znikła z tego świata o wiele wcześniej. Westchnęłam. Metafizyczne rozważania nie mają zbyt wielkiej wagi w sali sądowej. Nikogo nie zamordowano za metaforę. Terry/Theresa/Tasha Bartowski/Barlow nie zginęła dlatego, że umarły jej marzenia. Ktoś pozbawił ją życia. Może porzuciła swoją przeszłość, ale ktoś inny zdecydował, że nie będzie również miała przyszłości.

Zawróciłam i ruszyłam na północ, wyjeżdżając z miasta. Kiedy przejechałam niecałe dwa kilometry autostradą

93, drogowskazy skierowały mnie do największej atrakcji turystycznej Twin Falls - miejsca jednego z motocyklowych skoków Evela Knievela. W zasadzie skoku, który nigdy się nie odbył - Evel zrezygnował z jego wykonania. Grzecznie zatrzymałam się na parkingu i popatrzyłam w dół na głęboką na stc; pięćdziesiąt metrów przepaść, teraz nawodnioną i soczyście zieloną. Dalsze znaki skierowały mnie na drogę, z której mogłam obejrzeć usypane z ziemi wzniesienie, pierwotnie mające być skoczną. Niesamowite. Pomnik czegoś, co nigdy się nie wydarzyło. Wróciłam do mieszkania w Sun Valley przed resztą mojej rodziny. Pół godziny później zjawili się hałaśliwi, przemoczeni i w doskonałych nastrojach. Dan zostawił narty na stojaku w przedpokoju i sztywno podszedł do kanapy w salonie. Jedynie pełen zadowolenia uśmiech goszczący na jego twarzy powstrzymał mnie przed natychmiastowym zaproponowaniem mu środka przeciwbólowego.

- Najlepszy dzień w historii narciarstwa - oznajmił uradowany, sadowiąc się z kubkiem gorącej czekolady, który mu podałam. - Ale brakowało nam ciebie.

Dzieci przycupnęły kolo niego, opowiadając mi o swoich osiągnięciach - Grant o zjeździe z dwóch najtrudniejszych tras, Ashley i Dan o idealnie równych skrętach, które wykonywali równolegle, i wszyscy naraz o tym, jak zabrali Jimmy'ego na pierwszy prawdziwy zjazd z normalnego stoku.

- Upadłem dwa razy, ale na nartach to nic takiego - powiedział Jimmy, najwyraźniej powtarzając słowa, którymi ojciec i rodzeństwo pocieszali go.

- Po prostu wstajesz i jedziesz dalej - dodał Dan.

- I tak właśnie zrobiłem - pochwalił się Jimmy z dumą.

Dzień Ashley okazał się tym lepszy, że w porze lunchu flirtował z nią ciemnowłosy szesnastoletni chłopak, którego spotkali w restauracji.

- Ma na imię Nick, jest z Manhattanu i chodzi do prywatnej szkoły, która nazywa się Dalton - opowiadała. - Może pojedę do niego i pójdziemy razem na bal maturalny.

- Marzenie ściętej głowy - mruknął Grant, wsparty o oparcie kanapy.

- Wcale nie. Już mi przysłał sms - odparła Ashley bardzo z siebie zadowolona, jakby wiadomość na jej motoroli była pierwszym krokiem do namiętnego pocałunku, sukienki na bal z BCBG i - Boże uchowaj - zjedzonego na plaży śniadania po balu. Zadrżałam, zastanawiając się, kiedy marzenia nastolatków udoskonalają życie - i kiedy stają się niebezpieczne.

Grant pochylił się, rozciągając zmęczone wysiłkiem mięśnie, po czym lekko dotknął palców u stóp.

- Idę pod prysznic - oświadczył, prostując się gwałtownie i wykonując kilka skrętów tułowia, po czym udał się do swojego pokoju.

- Dobry pomysł - rzekł Dan.

Wstał, przy czym lekko strzeliło mu w kolanach i chociaż mięśnie miał wyraźnie obolałe, podniósł Jimmy'ego z kanapy i przerzucił go sobie przez ramię.

- Idziemy, kolego. Trzeba cię przebrać w coś suchego. Jimmy zachichotał uszczęśliwiony.

Kiedy cały ten testosteron opuścił pokój, Ashley napiła się czekolady.

- Myślisz, że mogłabym zadzwonić do tego Nicka? Umówić się z nim na jutro? - zapytała, bawiając się laską wanilii.

- Czemu nie? - odparłam z namysłem. - Ale myśl trzeźwo. Jest z Manhattanu i potem pewnie nie będziecie się mieli okazji widywać.

- Tak, chyba masz rację - przyznała Ashley.

Zlizwała odrobinę bitej śmietany z krawędzi kubka i usiadła, podwijając pod siebie nogi jak zadowolony kociak. Może jednak rzeczywistość nie była aż tak bolesna.

- Dobrze się dzisiaj bawiliście? - zapytałam, ryzykując pytanie otwarte.

- Prawie jak byśmy znowu byli normalną rodziną. - Westchnęła. - Chciałabym tu zostać i zapomnieć o tych wszystkich okropnościach. Skinęłam ze zrozumieniem głową.

- Tato był taki szczęśliwy, że może sobie pojeździć na nartach - ciągnęła.

- Wiesz, co sobie pomyślałam? Chce, żebyśmy byli z niego dumni. Zawsze to on ratował ludzi, zdobywał różne nagrody i tak dalej. Wszyscy go podziwiali. A teraz to się skończyło. Musi się czuć gorzej niż zero.

- To prawda, że chce, żebyście byli dumni - przyznałam.

- Pamiętam, gdy niedawno jedliśmy chińszczyznę i tak się chwalił tą umową na książkę. Nie powinnam była tak się na niego wściec - powiedziała Ashley z żalem. - Mandy zawsze powtarza, że jeśli chłopak zachowuje się jak kretyń, to dlatego, że czuje się jeszcze bardziej niepewny niż my.

- Mandy ma prawdopodobnie rację.

- Wiesz co, ostatnio nie jest mi łatwo być sobą - powiedziała Ashley, nie do końca gotowa zrezygnować ze współczucia innych. - Ale chyba jeszcze trudniej jest tacie.

Przesunęłam się na kanapie i objęłam ją. Mając czternaście lat, niełatwo zdobyć się na empatię. Ale ona radziła sobie całkiem nieźle.

- Jesteś wspaniałym dzieckiem - powiedziałam, tuląc ją do siebie. - I doroślejesz.

- Tak myślisz? - Ashley wypila do końca czekoladę i popatrzyła na mnie znad krawędzi kubka. Uśmiechnęła się lekko. - W takim razie może jednak umówię się z Nickiem na jutro.

Rozdział trzynasty

Tim Riley zgodził się porozmawiać ze mną o Royu Evansie i zaproponował spotkanie w Club L.A. o godzinie 6.15 rano. Jeżeli była to jedyna pora w ciągu dnia, kiedy nikt nie przeszkadzał wielkiemu producentowi telewizyjnemu, musiałam się zgodzić. Ale pięć minut po moim przyjsciu do klubu rozdzwiewczał się telefon Tima. Z przeproszącą miną przejrzał napływające strumieniem maile, po czym szybko zadzwonił do reportera w Las Vegas, żeby powiedzieć, że owszem, ten materiał musi być zredagowany i zmiksowany natychmiast. Być może wykorzysta go w wieczornym programie.

- Wiem, że nakręciłeś go w klubie stripteasu, ale dopilnuj, żeby był czysty, bo inaczej nigdy nie pójdzie na wizję - pouczył Tim redaktora. - Na czele komisji do spraw standartów i metod działania telewizji stoją w tej chwili dwaj wyznający celibat mnisi i nauczycielka z przedszkola. Odebrał jeszcze dwa telefony, w końcu rozłączył się i uśmiechnął się do mnie speszony.

- Przepraszam, chyba powinniśmy byli umówić się o wpół do szóstej. Zdarza się, że wtedy jest nieco spokojniej.

- Jeżeli o mnie chodzi, to na pewno - odparłam. - Jedyne dźwięki, jakie wtedy wydaję, to chrapanie. Czy ty w ogóle sypiasz?

- Nie w tej pracy. - Uśmiechnął się w niezwykle ujmujący sposób. - Geniusze na wschodnim wybrzeżu nie pojmują istnienia trzygodzinnej różnicy czasu. Chyba wyślę im kalkulator na Boże Narodzenie. Dopiero co wróciłem z Nowego Jorku i przysięgam, że nawet nie zamierzam przestawić zegarka.

- Chyba nie musisz - powiedziała, ujmując jego rękę, żeby przyjrzeć się wielkiemu czasomierzowi na jego przegubie. - Ten Concord prawdopodobnie pokazuje czas w dziesięciu różnych strefach czasowych. I na pewno działa bez zarzutu nawet trzysta metrów pod wodą. W każdym razie jeszcze długo po tym, jak serce przestaje bić.

Uśmiechnął się, po czym wszedł na bieżnię i ustawił ją na program „Cardio - Fit”.

- Jak na razie przynajmniej, moje serce wciąż jeszcze bije. Możemy ćwiczyć i rozmawiać?

- Jasne.

Przygotowałam się: miałam adidasy i strój do ćwiczeń, wdrapałam się więc na bieżnię obok i kątem oka przyglądałam się Timowi. Był wysoki i szczupły, miał wspaniale umięśnione łydki, ciemne kręcone włosy i nosił małe okulary bez oprawek. Wiedziałam, że jest piekielnie inteligentny i bardziej przypomina intelektualistę z Nowego Jorku niż producenta telewizyjnego z Los Angeles. Nic dziwnego, że Molly była nim zachwycona. Może uda mi się go przekonać, żeby zrobił sobie godzinną przerwę w pracy i poszedł z nią na prawdziwą randkę.

- Słyszałem, że masz taśmy porno domowej roboty należące do Roya Evansa - powiedział Tim, niemal natychmiast przestawiając szybkość bieżni z rozgrzewającego marszu na bieg. Na jego szarym podkoszulku pojawiło się kilka uroczych kropelek potu.

Ćwiczący na maszynie naprzeciwko nas młody mężczyzna parsknął śmiechem.

- Hej, Tim - zawołał. - To tak teraz podrywasz dziewczyny? Chodź, pooglądamy razem porno?

Tim nawet na niego nie spojrział, wytknął tylko ku niemu środkowy palec. Ustawiłam swoją bieżnię na odpowiednią dla mnie szybkość.

- Mam te taśmy, ale jeszcze ich nie widziałam.

- Jeszcze jedna nielegalna działalność w żalonym portfolio Roya Evansa

- powiedział Tim.

- Wiem, że prowadzisz wewnętrzne dochodzenie. Dowiedziałeś się czegoś? - zapytałam, dysząc lekko ze zmęczenia.

Nie ćwiczyłam ani razu od tamtej nocy, kiedy Dan został aresztowany - jeśli nie liczyć nieustannego ćwiczenia szarych komórek.

- Nie chcę, żeby wrócił na wizję, ale staram się być fair - odparł Tim. -

Czuję się jak jeden z tych specjalnych prokuratorów, bo każdego dnia coś nowego wychodzi na jaw. Myślę, że jak się szuka, na każdego można coś znaleźć.

Czy nie tak właśnie było z Danem? Policja starała się, jak mogła, aby znaleźć dowody, które na pewno go pogrążą.

- A co mówi się o zwłokach, które znaleźli przy samochodzie Roya? - zapytałam, ukradkiem zmniejszając szybkość mojej bieżni.

Muszę liczyć, że zachowam linię wyłącznie dzięki zżerającym mnie nerwom.

- Policja uznała, że zostało popełnione przestępstwo. Ale mówiąc nieoficjalnie, koroner podejrzewa, że mogło to być samobójstwo.

- Jak to? - zdziwiłam się, wciąż żywo pamiętając koszmar w moim bagażniku. - Trzeba nie lada zdolności, żeby zabić się, wskoczyć do czarnego worka na śmieci, po czym zawiązać go od zewnątrz. Nawet Houdini byłby pod wrażeniem.

- Fakt - zgodził się Tim, ustawiając swoją bieżnię w pozycji mającej imitować bieg pod górę. Szczerze mówiąc, sama wolałabym, żeby moja dało się przełączyć na bieg w dół. - Ale zgodnie z jego raportem, ciało było kilkakrotnie przenoszone po śmierci.

Trzeba przyznać koronerowi, że tu się nie pomylił. Krok pierwszy: ktoś włożył Nore, martwą Nore do bagażnika mojego samochodu. Krok drugi: ktoś inny wyciągnął ją z mojego samochodu i porzucił na parkingu przed Białym Lotosem. Wciąż nie wiedziałam, jak Molly udała się ta sztuczka, chociaż jak ją znam, bez trudu sprawiła, żeby pracownik klubu patrzył w inną stronę. Może obiecała mu rolę statysty w *One Tree Hill*. Na mieszkańcach Los Angeles szef filmy castingowej robi większe wrażenie niż papież na pensjonariuszach domu opieki. Wszyscy z radością ucałują pierścień w nadziei na boski rewanż w przyszłości.

- Jeżeli chodzi o Roya, wiem o dewiacjach, jakich dopuszcza się na planie i poza nim. Do tego dochodzą narkotyki. Wciąż nie potrafię powiedzieć, czy jest depresyjnym maniakiem, psychopata, czy też zwykłym ćpunem, który nie potrafi się zachować.

- Imponujący wybór.

Tim znowu zwiększył prędkość bieżni, biegnąc teraz tak szybko, że lada moment przekroczy linię mety na drugim końcu siłowni.

- Kiedy skończę, idę prosto do biura - wydyszał. - Wpadnij i obejrzymy taśmy. Załatwię popcorn.

Nie uśmiechała mi się samotna wyprawa do magazynu, ale nie miałam wyboru. Molly dość już zrobiła, Grant nawet za dużo. Ashley i Jimmy nie wchodzili w grę, a Dan nie chciałby o niczym słyszeć. Chauncey Howell był dla mnie za drogi. Nie potrzebowałam obstawy, której musiałabym zapłacić pięćset dolarów za godzinę.

Tym razem w recepcji siedział inny Koreańczyk i kiedy pokazałam mu klucz, tylko kiwnął głową. Korytarze wydawały się już lepiej oświetlone, nie zaatakował mnie też żaden nietoperz. Niepewnie powędrowałam do swojego schowka, zdając sobie sprawę, że kiedy przyszedłam tu ukryć taśmy, w głębi duszy podejrzewałam, że może być na nich porno. Chyba wcale nie chciałam ich oglądać.

Znalazłam torbę na zakupy dokładnie w tym samym miejscu, w którym ją zostawiłam. Przejrzałam jej zawartość, wyrzucając garnitur Roya, jego buty i koszule. Jeśli zapomnę zapłacić za magazyn do trzeciego kolejnego miesiąca, Koreańczyk stanie się lepiej ubranym mężczyzną.

Wróciłam do biura Tima. Wraz z dwoma innymi producentami pracował nad ostateczną wersją materiału, który miał pójść w wieczornym programie. Rzucił okiem na wyładowaną torbę i tylko pokręcił głową.

- To wszystko Roya? - zapytał.

- Tak, ale nie wszystkie to... no, wiesz. Na niektórych są po prostu jego programy. Wywiady, które nagrywał. Wszystko to, co lubił oglądać w łóżku.

Jedna ze znajdujących się w pokoju producentek, młoda kobieta w obcisłych džinsach i jaskrawopomarańczowych pumach, zachichotała.

- Mój chłopak ogląda w łóżku golfa - powiedziała.

- Kiepski afrodyzjak.

- Chyba że ktoś trafi do dziury za pierwszym razem

- odezwał się siedzący obok niej facet.

Tim pokręcił głową, po czym wstał i poprowadził mnie korytarzem w stronę supernowoczesnie wyposażonych montażów-wek. Zaglądał do każdej po kolei, ale wszystkie były zajęte.

- Mogę je obejrzeć na zwykłym magnetowidzie - powiedziałam.

- To ci zajmie całe wieki - odparł Tim. - Te taśmy są dłuższe od *Doktora Żiwago*. Trzeba je obejrzeć na szybkim podglądzie.

Zadzwoił do innej części budynku.

- Dobre wieści - powiedział, kiedy się rozłączył. - Jeden z naszych najlepszych montażystów ma kilka godzin wolnych. Corey. Jest szybki. I z niczym się nie wygada.

Dziesięć minut później chodziłam tam i z powrotem po montażówce Coreya, podczas gdy on przewijał na szybkim podglądzie pierwszą z taśm, nagrany od początku do końca, długi jak flaki z olejem wywiad Roya z jakimś trzeciorzędnym uczestnikiem programu *Robinsonowie*.

- Beznadzieja - powiedział Corey, wyjmując taśmę. - Ale nie takiej beznadziei szukamy.

Druga taśma była nudna, ale bez żadnych zdrożności, podobnie jak trzecia. Na czwartej i piątej znalazły się fragmenty z programu *Night Beat*, szósta zaś okazała się tą, którą Roy najbardziej uwielbiał - on sam w *Vabank z gwiazdami*. Carey szybko, ale uważnie przejrzał kolejnych kilka taśm.

- Jeżeli to oglądał z Tashą, chyba zamordował biedaczkę przez zanudzenie - stwierdził w końcu.

- Trochę ich tu jeszcze jest - powiedziałam, zaglądając do zdającej się nie mieć dna torby.

- Dawaj je - rzekł ze znużeniem Corey. - Chociaż jak w związku dowiedzą się, że musiałem przeglądać ten festiwal filmowy z Royem w roli głównej, zażądają dla mnie dodatku za szkodliwą pracę.

Roześmiałam się. Ale osiem taśm później torba wreszcie opustoszała, zaś najgorszy występ Roy, jaki przyszło nam obejrzeć, polegał na tym, że podczas konferencji prasowej odepchnął reportera z *Entertainment Tonight*, aby samemu zadać pytanie Usherowi.

- Nie rozumiem - powiedziałam skołowana.

Taśmy okazały się równie nieszkodliwe, jak cenzurowany wieczór w Bellagio.

Corey zaczął wkładać taśmy z powrotem do torby, a ja usiadłam kompletnie otepiała, wpatrując się w puste w tej

chwili monitoru. Dzień minął nie wiadomo kiedy i zegar w pozbawionej okien montażówce pokazywał 18.05.

- I jak, znaleźliście coś? - rozległ się głos za naszymi plecami.

Odwróciłam się i ujrzałam wchodzących do montażów-ki Molly i Tima. Tim musiał skończyć przygotowywanie programu i wysłać go za pośrednictwem satelity na Wschodnie Wybrzeże, gdzie miał ukazać się w czasie największej oglądalności. Oto korzyść płynąca z pracy w Los Angeles, ale według czasu obowiązującego w Nowym Jorku - nikt się nie wysypiał, za to wszyscy mogli zjeść kolację.

- Nic interesującego - odparłam. - Zero, nada, nul, nilch. Najbliżej seksu były pożądlive spojrzenia, jakie Roy rzucał na buciki Beyonce.

- Nie zapominaj o tym, jak padł na kolana przed Lindsay Lohan - powiedział Corey. - Co prawda zrobiła się z tego pornografia dopiero wtedy, kiedy wyjaśnił, że składa hołd aktorskiej wielkości.

Molly roześmiała się i poczęstowała się wielkim batonem snickers z doskonale zaopatrzonej miski ze słodyczami stojącej na stole. Najlepszy w telewizji był nieograniczony dostęp do niezdrowej żywności w każdej montażówce. Chociaż może to właśnie było w niej najgorsze. Tim sięgnął do naczynia i wyłowił z niego jedną pastylkę altoid o cytrynowym smaku. Dziwne, po porannych wyczynach na siłowni spokojnie mógł zaszaleć i wziąć dwie.

- Nie kapuję - powiedział Tim, ssąc w zamyśleniu pastylkę. - Z tego, co mówiła Molly, a co przyznał sam Roy, wynikało, że kręcił z Tashą porno. Skinęłam głową.

- Owszem. I był pewny, że ja mam te taśmy.

- Skoro więc nie ty, to kto je ma? - zapytała Molly.

- Pytanie dnia - przyznałam.

Molly rozejrzała się po pomieszczeniu, wreszcie jej spojrzenie spoczęło na Coreyu.

- Jesteś pewny, że niczego nie przeoczyłeś? Może pomiñałeś jakieś kiepskie obciążanie druta, nawet sobie z tego nie zdając sprawy.

- Pomyliłaś się dwa razy - odparł Corey, odchylając się do tyłu na swoim obrotowym krześle. - Po pierwsze, nie ma czegoś takiego, jak kiepskie obciążanie druta. Po drugie, nigdy bym czegoś takiego nie przeoczył. -

Uśmiechnął się. - Nie, przejrzelismy wszystkie taśmy i nic nam nie umknęło. Mogę się założyć o moją ostatnią nagrodę Emmy.

- Corey zdobył trzy - rzekł Tim, co sprawę przesądziło. Molly usiadła na krześle obok mnie, a Tim oparł się o stół,

ocierając się swoimi długimi nogami o nogi Molly.

- Zastanówmy się - powiedział Tim, kładąc przed sobą notes z żółtymi kartkami. Zanotował coś w nim, po czym uniósł jeden palec. - Punkt pierwszy. Wiemy, że Roy kręcił amatorskie sado-maso z udziałem Tashy i swoim. Punkt drugi - dwa uniesione palce - wiemy również, że tak bardzo mu zależało na ich odzyskaniu, że związał Lacy w swoim mieszkaniu, groził jej też pistoletem na pustyni. - Tim narysował kilka strzałek, następnie popatrzył najpierw na Molly, potem na mnie. - Tak dochodzimy do punktu trzeciego. Na podstawie tego, co wiemy o Royu, możemy przypuszczać, że sfilmował coś więcej niż tylko wyuzdany seks. Zastanawiam się, czy na tych zaginionych taśmach nie ma scen sado-maso, które wymknęły się spod kontroli - w wyniku czego Tasha straciła życie.

Molly pogładziła go po kolanie.

- Kochanie, jesteś najbardziej błyskotliwym mężczyzną, jakiego znam. Tak szybko na to wpadłeś.

Spojrzała na mnie, a ja skinęłam głową. My wpadliśmy na to w knajpie, przy niejadalnym omlecie i klopsie. Kiedy jednak teraz zastanowiłam się nad tym przez chwilę, dostrzegłam pewien problem.

- Skoro Roy przez przypadek nagrał, jak niechcący zabija Taszę, nie uważacie, że zabrałby ze sobą obciążający go dowód? - zapytałam.

- Chyba że spanikował i zapomniał o nim - powiedział Tim.

- To by znaczyło, że zostawił taśmę w kamerze i po prostu zwiął - rzekłam. - Czytałam policyjne raporty i widziałam zdjęcia z miejsca zbrodni. Nie przypominam sobie żadnej kamery.

- Jeżeli zabrał kamerę, zabrał też i taśmę - powiedziała Molly, szybko domyślając się, o co mi chodzi.

- Zgoda - rzekł Tim, wrywając kartkę z notesu. Zmiał ją w kulkę i wyrzucił. - Uważacie więc, że taśma nie jest dowodem zbrodni, tylko obciążającym. Skoro dziewczyna została uduszona, Roy nie chce, aby się wydało, że lubił ją wiązać.

- Kupuję to - powiedziała Molly.

Jej dłoń wciąż spoczywała na kolanie Tima. Włożyłam rękę do miski ze słodyczami i wyłowiłam z niej owiniętą w sreberko czekoladkę kiss.

- W takim razie gdzie są filmy porno Roya? - zapytałam.

- Oto jest pytanie - rzekł Tim, sięgając po długopis, aby narysować kwadrat na czystej kartce papieru. - Wracamy do pierwszej bazy.

- Taśmy musiały być gdzieś w mieszkaniu, dlatego Roy uważa, że ja je mam - wyjaśniłam. - Nora mu powiedziała, że oddała mi wszystkie jego rzeczy.

- Może wciąż tam są - podsunęła Molly.

- A może policja je zabrała na samym początku. I odrzuciła jako dowód, bo szukają wyłącznie czegoś, co mogą wykorzystać przeciwko Danowi - zastanawiałam się na głos.

Tim uniósł brwi.

- Skorumpowani gliniarze? Oto całe Los Angeles.

- Skorumpowani to jedno, ale jest jeszcze coś - odezwał się Corey, niespodziewanie włączając się do rozmowy.

- Policja nie jest aż taka dobra. - Wyrzucił taśmy z torby na podłogę. - Popatrzcie na te pudełka. Są źle opisane i pewnie walały się po całym mieszkaniu. Przeglądaliśmy je wiele godzin. Skąd policja miałaby wiedzieć, które zabezpieczyć? Założę się, że Roy nie nakleił na te pornograficzne potrójnego X.

Ukryłam głowę w dłoniach. Chciałam, żeby wszystko okazało się winą policji, ale Corey miał rację. Musiało istnieć inne wyjaśnienie. Tylko nie miałam pojęcia jakie.

Tim rzucił okiem na zegarek, sprawdzając czas w tylko jemu znanej strefie czasowej.

- Ktoś ma ochotę na kolację? - zapytał. - Możemy kontynuować naszą rozmowę i jednocześnie coś przekąsić.

Corey szybko odmówił, ja też powiedziałam, że muszę iść do domu.

Oboje wstaliśmy, szykując się do wyjścia.

- Ja pójdę z przyjemnością - rzekła Molly z radosnym uśmiechem.

Nachyliła się nad miską i zaczęła w niej grzebać.

- Czego tam szukasz? - zainteresował się Tim.

- Czekoladki kiss, takiej samej, jaką zjadła Lacy. Umieram z głodu.

Tim złapał ją za rękę i poderwał na nogi.

- Daj spokój, zasługujesz na coś lepszego. Co powiesz na pocałunek przy kolacji?

- Czekoladowy? - zapytała uwodzicielsko Molly.

- Nie - odparł Tim. - Będzie miał mniej kalorii, za to 0 niebo lepszy smak.

Kiedy wróciłam do domu, w progu powitała mnie Ashley

1 oznajmiła, że w salonie są policjanci i pytają o morderstwo Nory Wilson.

- Cholera - powiedziałam.

Usta Ashley drgnęły, kiedy próbowała powstrzymać uśmiech.

- Od kiedy tak się wyrażasz, mamó? - zapytała z udawanym oburzeniem.
- Od dzisiaj. Przepraszam. Kto jest z nimi?
- Tato. I Chauncey Howell.

Aha, więc Dan wezwał Chaunceya. Odetchnęłam z ulgą.

- Dawno przyszli?
- Tak. I masz rację, mamó, rzeczywiście cholera. Cholerna sprawa, i to do kwadratu. Nie znoszę tego miejsca. Wsiądźmy do samolotu i wynieśmy się stąd. Na przykład do Australii.
- Lepiej do Nowej Zelandii. Moglibyśmy udawać, że gramy we *Władcy pierścieni*.

- Mówię poważnie - rzekła Ashley ze zmarszczonymi brwiami. - Oskarżają tatę. Musimy uciekać. Jak w tej scenie w *Dźwiękach muzyki*, kiedy cała rodzina idzie w góry, żeby uciec przed nazistami.

- To było w Austrii, nie Australii.

- Co za różnica? Jedźmy dokądkolwiek, byle wszyscy razem.

Patrzyła na mnie płonącymi oczami, swój plan traktując absolutnie poważnie. Chciała chronić ojca, bez względu na cenę.

Objęłam ją ramionami.

- Masz rację. Rodzina daje siłę. A nasza jest bardzo silna. - Uścisnęłam ją. - Na razie będziemy walczyć o tatę tutaj. Jeśli się nie uda, rozważymy inne opcje. Nie mam nic przeciwko temu, żeby być Julie Andrews.

- Albo Frodo - powiedziała Ashley.

Poszła na górę, a ja zastanawiałam się, czy nie dołączyć do zebrania w salonie, uznałam jednak, że to nie ma sensu. Otworzyłam rozsuwane drzwi wiodące na taras i wyszłam na zewnątrz. Zapadała noc i pojawiły się pierwsze gwiazdy. Położyłam się na wyściełanym leżaku i wpatrywałam się w nie-

bo, dostrzegając spadającą gwiazdę. Zamknęłam oczy i wypowiedziałam w duchu życzenie, aby Dan został oczyszczony i skończyła się jego udreka. Dorzuciłam też życzenie dotyczące całej rodziny. W zaskakujący sposób cała ta sprawa bardzo nas zbliżyła ku sobie i miałam nadzieję, że tak będzie również i w lepszych czasach. Niezbyt wiele, jak na jedną kometa, prawda? Otworzyłam oczy i mrugający punkcik nadal tkwił na firmamencie. Niech to, moja spadająca gwiazda okazała się zwykłym satelitą. Cóż, kto powiedział, że nie można wypowiadać życzeń, widząc orbitującą stację kosmiczną?

Zdjęłam sweter, ale nie wstałam z leżaka. Wieczór był cieplejszy niż ostatnimi czasy, zwiastując zbliżającą się wiosnę; na myśl o kwitnących bzach i rozwijających swe pąki różach poczułam dreszczyk oczekiwania. Byłam gotowa narodzić się na nowo, zacząć nowe życie.

Kilka minut później Dan otworzył drzwi i dołączył do mnie, niosąc butelkę wina i dwa kieliszki na wysokich nóżkach.

- Poszli już? - zapytałam.

- Poszli.

Ostrożnie usiadł na brzegu mojego leżaka, a ja przesunęłam nogi, robiąc mu więcej miejsca.

- I co teraz? - zapytałam.

- Teraz się upiję.

Zerwał osłonkę z butelki z winem california cabernet rocznik 1993, po czym korkociągiem w kształcie królika, który dostał ode mnie rok temu na walentynki, wyjął korek.

Hmm. W tym roku walentynki już były, a ja kompletnie o nich zapomniałam.

- Nigdy się nie upijasz - powiedziałam.

- Dzisiaj postanowiłem zrobić wyjątek. - Napelił winem oba kieliszki i podał mi jeden. - Zaczynam podejrzewać, że z powodu wypijanych hektolitrów kawy miewam zaniki pamięci. To by tłumaczyło, jak zabiłem dziewczynę-

nę, o której nigdy nawet nie słyszałem. I jak zabiłem, na co wszystko wskazuje, drugą, o której istnieniu nawet nie miałem pojęcia.

- Naprawdę znowu cię podejrzewają? - zapytałam przerażona.

- Nie, chyba nie. - Napił się wina. - Chauncey twierdzi, że musieli mnie przesłuchać, ponieważ ta druga była współlokatorką pierwszej. Pewnie wyznają zasadę, że jak ktoś zabije jedną, to znaczy, że zabił wszystkie. Odrobina czarnego humoru połączona z czarnym nastrojem. Zakręciłam winem w kieliszku i upiłam niewielki łyk. Skoro postanowił zalać się w trupa, wspaniale, że chce to zrobić, pijąc simi reserve po sto dolarów za butelkę.

- A jaki miałbyś mieć motyw?

- Na przykład Nora widziała, jak duszę Taszę, postanowiłem więc pozbyć się świadka. Na szczęście, tu pojawia się haczyk. W czasie kiedy Tasha została zamordowana, Nora była u swoich rodziców w Twin Falls.

- Kto tak mówi?

- Sama Nora. Mieszkanie było zaplombowane, więc kiedy wróciła, musieli zjawić się detektywi w cywilnych ubraniach. Na wieść o tym, co się stało, wpadła w histerię. Gliniarze potwierdzili, że była w Idaho.

- To prawda, Nora była w domu. Ale wyruszyła w drogę powrotną, zanim Tasha została zabita.

- Skąd wiesz? - zapytał Dan, ponownie napełniając swój kieliszek.

- Musisz wstawić się bardziej, zanim ci powiem.

- Nie, zrób to teraz. A potem upiję się, żeby zapomnieć.

Podniosłam wzrok i znalazłam satelitę, wciąż płynącego gładko po niebie. Może to była moja szczęśliwa noc. Dan wydawał się być w niezłym nastroju po raz pierwszy od wielu tygodni, a ja miałam dosyć przemilczeń. Opowiedziałam mu

długą historię o swojej wyprawie z Sun Valley i spotkanym na stacji benzynowej Billu Wilsonie. Powtórzyłam wszystko, co ojczym Nory powiedział mi o przemianie Tashy z dobrej dziewczynki w złą i o dobrej Norze, która chciała być jeszcze lepsza. Kiedy skończyłam, Dan powiódł palcem po brzegu kieliszka.

- Pojechałaś do Twin Falls, żeby go odnaleźć? - zapytał o to, co wydawało mu się ważne.

- Niekoniecznie jego. Tak naprawdę miałam nadzieję znaleźć rodzinę Tashy. Pomyślałam sobie, że może wiedzą coś, co mogłoby nam pomóc. Dan milczał.

- Co jeszcze zrobiłaś? - zapytał po chwili łagodnie. Napiałam się wina.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? Skinął głową.

- Dobrze, w takim razie oto następna historia.

Opowiedziałam mu o naszej wyprawie z Molly na pustynię. Kiedy doszłam do momentu, w którym Roy groził mi bronią, Dan odstawił kieliszek i ujął moją dłoń. Trzymał ją mocno, gładząc kciukiem. Kręciło mi się w głowie, nie wiem, czy z powodu wina, czy też ulgi, że w końcu mogę mu się zwierzyć. Powiem mu wszystko. Opisałam więc, jak znalazłam w swoim bagażniku ciało Nory, jak również to, co wiedziałam o Royu Evansie i Julie Boden. Nie zapomniałam o taśmach porno, których nie mogliśmy znaleźć, ani o alibi Johnny'ego DeVito, które jeszcze należało wyjaśnić do końca.

W końcu umilkłam. Dan uniósł moją dłoń do ust i zaczął ją obsypywać pocałunkami. Nagle poczułam, że mam mokre palce i zdałam sobie sprawę, że to od łez spływających mu po twarzy. Spróbował je otrzeć, ale nasze palce wciąż były splecione i niechcący uderzyłam go w nos - rozśmieszyło go to, lecz nie powstrzymało łez.

- Zrobiłaś to wszystko dla mnie - powiedział, wciąż nie wypuszczając mojej dłoni z uścisku i ocierając łzy drugą ręką.

- Bo cię kocham.

- I wierzysz, że jestem niewinny. Chcesz się dowiedzieć, kto to naprawdę zrobił. Skinęłam głową.

- Jesteś zły? Mam przynieść kolejną butelkę wina? A może chciałbyś coś mocniejszego? Glenliver?

- Nie. - Ujął głowę w dłonie, to w trzy, ponieważ wciąż trzymał moją w uścisku. - Wściekłem się tamtej nocy, kiedy pomyślałem, że mnie sprawdzasz. Kiedy bałaś się, że twój mąż jest mordercą. Ale to wszystko...

- Nigdy się nie bałam...

- Owszem, bałaś się - powiedział. - Nie wiedziałaś. Bo niby skąd miałaś wiedzieć?

- W głębi serca zawsze wiedziałam. Nic mnie nie obchodziły zebrane przez policję dowody, zresztą dalej mnie nie obchodzą. Chrzanić Chaunceya, chrzanić gliny, chrzanić wszystkich, którzy nie znają cię tak dobrze jak ja.

- Kocham cię, Lacy. Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczy, że wierzysz we mnie - powiedział cicho Dan.

Nieświadomie, zaczął się bawić obrączką na moim palcu, obracając ją tam i z powrotem.

- Ja też cię kocham - rzekłam. Pocałowałam go w policzek, czując słony smak łez, kiedy zlizywałam je z kącików jego oczu. - Żałuję tylko, że nie powiedziałeś mi o niektórych rzeczach wcześniej - dodałam, psując romantyczną chwilę. - Na przykład o Johnnym DeVito.

Dan odchylił się w tył i zamknął oczy.

- Tu przyznaję się do winy. Dźgnęłam go w ramię.

- Nigdy więcej nie waż się wypowiadać tych słów. Uśmiechnął się.

- W porządku. Przyznaję, że jestem typowym aroganckim facetem, który uważa, że ze wszystkim poradzi sobie sam. Prawdziwi mężczyźni działają. Nie leżą w ciemnościach na leżaku, wypłakując się przed swoimi żonami.

Pocałowałam jego gładką brodę i zarzuciłam na niego jedną nogę.

- Teraz jesteś dla mnie prawdziwszy niż kiedykolwiek

- powiedziałam. - Prawdziwi mężczyźni popełniają błędy.

- O, popełniłem ich mnóstwo - rzekł Dan ze znużeniem.

- Dałem się szantażować, co raczej nie daje mi miejsca w galerii sławnych dobrych facetów.

- Ale też nie powinieneś z tego powodu trafić do więzienia.

Dan westchnął głęboko.

- Nie byłem aż taki święty. Przecież wiesz. -Tak?

- Widziałem, że przejrzałaś kartoteki moich pacjentów. O co zresztą nie mam pretensji.

- Nie znalazłam niczego kompromitującego - powiedziałam, nie bardzo wiedząc, do czego zmierza.

- Już dobrze. Nareszcie mogę się do tego przyznać - odezwał się tak ponuro, jakby miał zamiar wyznać, że to on spowodował pożar, z powodu którego „Hindenburg” wyleciał w powietrze. - Płaciłem Johnny'emu DeVito, żeby uratować swój wizerunek świętego, bo przez cały czas robiłem to, czym oficjalnie już się nie zajmowałem.

- To znaczy? - zapytałam zdenerwowana.

- Liftingi twarzy znanych aktorek.

- Ach, tak, te twoje tajne operacje - powiedziałam, gładząc go po muskularnym ramieniu. Był tak poważny, że z trudem powstrzymałam chichot. - Większość chirurgów chwaliłaby się nimi głośno. Albo dzwoniła do Liz Smiths, żeby zaprzeczyć krążącym plotkom. Co tylko by je wzmogło, rzecz jasna.

Dan westchnął.

- Nie mogłem tak postępować. To nie pasowało do mojego wizerunku. Ale to jest Hollywood. Im częściej mówiłem nie, tym bardziej na mnie naciskano.

- A może te tajne operacje mają coś wspólnego z morderstwem?

- Niemożliwe - rzekł z przekonaniem. I oczywiście miał rację. - Za to czuję się z ich powodu jak oszust.

- To znaczy, że nie mamy przed sobą już żadnych sekretów? - zapytałam.

- Żadnych - odparł.

- A ja wciąż cię kocham.

- Co mnie zadziwia - powiedział cicho. Pomyślałam, że znowu zacznę płakać.

- Ashley oddałaby wszystko, żeby dowiedzieć się o twoich bardzo sławnych aktorkach. Jej notowania w klasie wzrosłyby tak samo, jak tego chłopca, którego ojciec dostał Oscara za montaż dźwięku. Ty też sobie zasłużyłaś na Nagrodę Akademii za poprawianie urody.

Dan zaśmiał się cicho i wyczułam, że w końcu trochę się rozluźnił.

Przywarł całym swoim długim ciałem do mnie.

- Kochanie, jestem taki wdzięczny, że cię mam. Mój świat się rozpada, a ty wciąż potrafisz mnie rozśmieszyć.

- Razem złożymy ten świat do kupy - pocałowałam go delikatnie w usta.

Dan milczał przez długą chwilę.

- Myślisz, że Johnny DeVito mógł zabić tę swoją dziewczynę, a potem mnie wrobić w morderstwo? - zapytał w końcu.

- Nie wiem - przyznałam. - Tasha Barlow zadawała się z wieloma kanałiami. Ale Niebezpieczny Johnny znajduje się według mnie na ich czele.

Rozdział czternasty

Chauncey zawiadomił nas, że sędzia wyznaczył przesłuchanie wstępne na trzynastego kwietnia. Dobra wiadomość: w końcu poznamy listę świadków i wszystkie stawiane zarzuty. Zła wiadomość: przesłuchanie miało odbyć się szybciej, niż się spodziewaliśmy. Wiadomość najgorsza: odkryłam ją sama, kiedy poszłam zaznaczyć datę w kalendarzu. Nasz szczęśliwy dzień wypadł w piątek trzynastego.

Przedtem musiałam porozmawiać jeszcze z paroma osobami.

Gracie Adler, który zajmowała mieszkanie 5C, obok mieszkania Tashy, wydawała się być lekko zaszokowana, kiedy przedstawiłam się jako „żona najlepszego doktora w L.A.”

Z wahaniem zgodziła się na spotkanie - ale nie chciała, abym przyszła do niej. „Z oczywistych powodów”, wyjaśniła nieco piskliwym tonem.

— Zapraszam na kawę - podsunęłam. - Może spotkamy się w Starbucks koło pani domu?

Koło każdego domu był jakiś Starbucks.

- Tam nigdy nie ma wolnego miejsca - poskarżyła się. - Za dużo scenarzystów. Kupują jedną kawę i myślą, że mogą

zajmować stolik przez cały dzień. Co oni tam wypisują na tych swoich laptopach? Chcą napisać następnego *Titanica*? Mówię pani, to prawdziwa katastrofa.

Roześmiałam się, ale Gracie nie zauważyła własnego dowcipu.

- Naprawdę nie wiem, jak w tych Starbucksach wychodzą na swoje - dodała złowrogo.

Nie miałam ochoty na rozmowę o biznes planach.

- Może więc spotkamy się w Holistic Haven? - zaproponowałam. - Mają tam bardzo miłą herbaciarnię.

Podaliśmy jej adres w Santa Monica i kiedy przybyłam na miejsce pięć minut przed czasem, Gracie siedziała już przy stoliku z jasnego drewna - w L.A. nawet meble były wybielone - i dyskutowała z kelnerem.

- Zwykła earl grey - zażądała Gracie, odkładając dwu-stronicowe menu herbat, w którym podane było pochodzenie, zawartość ziół i korzyści zdrowotne każdego z napojów.

- Nasza jest niezwykła, z dodatkiem bergamotki - rzekł szykowny młody kelner z takim namaszczeniem, jakby osobiście zebrał i zmielił każdy jeden listek. - Dla niektórych jest nieco zbyt drażniąca.

Gracie ponownie zajrzała do menu.

- To co pan poleca?

- Na przykład lotos, herbatę, która dostarcza wewnętrznego blasku i całej esencji kwiatów lotosu. Albo zen zinger, oświecającą mieszankę najrzadszych herbat i ziół.

- Mieszankę oświecającą czy oświeconą? - zapytała Gracie.

- *Perdón?* - zapytał kelner, który raczej nie wyglądał na Latynosa.

Może miał nadzieję wystąpić w filmie obok Salmy Hayek.

- Zastanawiałam się tylko, co zostanie oświecone: ja czy herbata.

Uśmiechnęłam się złośliwie, ale kelner był wyraźnie zdezorientowany. Założę się, że egzamin maturalny z gramatyki nie poszedł mu najlepiej.

- Poproszę lotos - powiedziałam.

- W takim razie ja też - rzekła Grace, wręczając mu menu. - Przyda mi się odrobina wewnętrznego blasku. - Dostrzegła mój uśmiezek i mrugnęła do mnie. - Zresztą zewnętrznego także.

Gracie przekroczyła już siedemdziesiątkę, miała lekko zgarbione ramiona i dwadzieścia lat temu była zapewne o kilka centymetrów wyższa, ale wciąż tryskała energią i miała wesoły błysk w oku. Wyglądała na kobietę, którą życie, zamiast martwić, wyraźnie cieszy. Ramiona miała delikatnie opalone, efekt wielu godzin spędzonych na świeżym powietrzu, i ładnie postarzała twarz, z wesołymi zmarszczkami wokół ust.

- Jak pani znalazła to miejsce? - zapytała mnie.

- Przychodzę tu od czasu do czasu na zabiegi kosmetyczne w spa - odparłam. - Wizyta w herbaciarni ma wprowadzić klientki w odpowiedni nastrój.

- Nigdy nie byłam w spa - przyznała Gracie. - Myśli pani, że spodobałoby mi się?

- Przekonajmy się - powiedziałam, bo nagle wpadłam na genialny pomysł. - Możemy rozmawiać, a przy okazji wyma-sują nas miodem i nałożą nam jabłkowo-mleczny krem.

- Coś takiego przygotowuję chyba na Wielkanoc - zauważyła Gracie, ale podążyła za mną do salonu kosmetycznego i nie protestowała, kiedy zamawiałam dwa zabiegi na twarz.

Spis zabiegów był dłuższy od menu w herbaciarni, ale Gracie zdecydowała się na złuszczający piling z płatków owsianych i papryczki jalapeno oraz nawilżającą maseczkę ogórkowo-śmietanową.

- Lepiej tu karmią niż w restauracjach, do których chodzę - powiedziała.

Usiadłyśmy na wygodnych fotelach naprzeciwko siebie, a dwie kosmetyczki nakładały nam na twarze piling - chyba nie były to płatki quaker. Następnie puściły cichą muzykę i poleciły, abyśmy relaksowały się przez dziesięć minut, w którym to czasie upiększająca mikstura będzie działać cuda.

Ale plan na ten dzień nie przewidywał wyciszenia.

- Czy możemy porozmawiać o tamtej nocy, kiedy Tasha została zamordowana? - spytałam Gracie, gdy panie kosmetyczki wyszły.

- Pani za to płaci, ma mnie więc pani do dyspozycji przez dwadzieścia minut - odparła, sadowiac się wygodnie w fotelu.

- Otóż widzi pani, jestem odrobinę zdesperowana - powiedziałam. - Mój mąż nie zabił Tashy Barlow. Miał powód, aby przyjść do jej mieszkania, ale nie po to, żeby się z nią zobaczyć. Możemy wyjaśnić wszystkie dowody, z wyjątkiem jednego: tych krzyków, które pani słyszała.

Gracie milczała. Zaczęła drapać się po nosie, ale tylko pobrudziła sobie rękę absolutnie naturalną, całkowicie organiczną maseczką.

- Jak to się stało, że zauważyła go pani tamtej nocy? - zapytałam.

- Byłam przeziębiona, więc siedziałam w domu, użalając się nad sobą - powiedziała wolno Gracie. - Zapomniałam odesłać filmy do wypożyczalni i nie miałam co oglądać. W telewizji pokazują sam chłam; jak ludzie mogą to wytrzymać?

Roześmiałam się.

- To prawda. Nie wygląda pani na kogoś, kto szpieguje swoich sąsiadów.

- Bo nie szpieguję. Moje motto to: zajmij się czymś i nie użalaj nad sobą - rzekła Gracie. - Leżałam w łóżku, ale słuchałam taśmy z koncertem jazzowym, którą przysłał mi wnuk z Nowego Jorku. Gra na trąbce w szkolnej orkiestrze. *Fanfare for the Common Man*.

Roześmiałam się.

- Słuchanie, jak nastolatki znęcają się nad Coplandem, zasługuje na dodatkowe punkty w niebie.

- Jest bardzo zdolny - stwierdziła lojalnie. - Chociaż powiedziałam mu, że perkusista niespecjalnie mi się podoba. Miałam wrażenie, że bębni nie zawsze wtedy, kiedy powinien.

- Czy to było zanim zauważyła pani samochód mojego męża, czy potem?

- spytałam pamiętając, że Gracie rozpoznała tablice rejestracyjne Dana.

- Zanim - odparła Gracie. Poruszyła się niespokojnie na swoim fotelu. - Coś w tym bębnieniu mnie obudziło. Wyjrzałam przez okno w salonie i wtedy zobaczyłam samochód, z którego wysiadł pani mąż. Podszedł do drzwi, nacisnął dzwonek i wszedł do środka. Potem go już, oczywiście, nie widziałam. Wyłączyłam muzykę i wróciłam do łóżka. Chyba wtedy zasnęłam.

- Proszę mi powiedzieć o tym waleniu - powiedziałam. - Czy myśli pani, że mogło dochodzić z mieszkania obok i pomieszać się pani z muzyką? Że to nie była perkusja?

Gracie już miała odpowiedzieć, ale weszła kosmetyczka, żeby łagodnie wmasować maseczkę, po czym ją usunąć. Zauważyłam, że twarz Gracie poczerwieniała. Miałam nadzieję, że nie jest uczulona na papryczkę jalapeno. Na szczęście maseczka z ogórka miała działanie łagodzące, mimo że Gracie wyraźnie się podekscytowała.

- Nie myślałam o tym waleniu w ten sposób - rzekła, lekko podenerwowana. - Ale pani może mieć rację. Wtedy nie bardzo rozumiałam, o co chodzi, ale chyba przez cały czas to mi nie dawało spokoju.

- Po powrocie do domu może pani jeszcze raz posłuchać tej taśmy - podsunęłam delikatnie.

- Tak zrobię - odparła zdecydowanie.

- Czy to było na długo przedtem, zanim usłyszała pani krzyki?

- Tak mi się wydaje - rzekła. - Jak już mówiłam, zasnęłam. Zadzwoił telefon, a kiedy odebrałam, nikt się nie odezwał. A kilka minut później usłyszałam te krzyki. „Niech pan przestanie, doktorze Fields!” I po chwili: „Przestań, Dan!”, i znowu: „Niech pan przestanie, doktorze Fields!” Może trzy albo cztery razy.

- Czy to były histeryczne krzyki?

- Raczej głośnie.

- I pani wie, że to krzyczała Tasha?

- Wiedziałam, że krzyczy jakaś kobieta w mieszkaniu obok. Kiedy policja mi powiedziała, że Tasha została zamordowana, uznałam, że to była ona. Milczałam przez dłuższą chwilę.

- Czy uważa pani, że Tasha była wyjątkowo uprzejmą młodą kobietą? Gracie wzruszyła ramionami.

- Wie pani, jakie dzisiaj są te dziewczyny. Takie zajęte sobą i swoim wyglądem, że nawet nie pamiętają, żeby powiedzieć dzień dobry. Jej współlokatorka, Nora, była trochę miłsza. Pytała, jak się miewam. Raz czy dwa, kiedy szła do sklepu, zapukała do mnie i zapytała, czy czegoś mi nie trzeba. Nie jestem taka stara, żebym nie mogła się o siebie zatroszczyć. Ale to było miłe z jej strony.

Jej słowa dały mi do myślenia.

- Czyja wiem? Może ktoś, kto dorasta w Idaho jest dobrze wychowany, ale jakoś mnie to nie przekonuje. „Niech pan przestanie, doktorze Fields!”? Mogłabym tak krzyczeć, gdyby mój mąż mnie łaskotał. A tutaj ktoś dusi dziewczynę, a ona w kółko powtarza jego nazwisko? To raczej jak z kiepskiego scenariusza filmu telewizyjnego.

- Sugeruje pani, że sobie to wszystko zmyśliłam? - zapytała Gracie.

Wzięła ze stolika białą irchową ściereczkę i zaczęła wycierać sobie nią twarz. - Staruszka, która chce zwrócić na siebie uwagę i udaje, że coś słyszała?

- Ależ skąd - powiedziałam. Miałam nadzieję, że mój głos podziała na nią bardziej kojąco niż maseczka ogórkowa, od której właśnie zaczął mnie swędzić nos. - Ale proszę sobie wyobrazić, że ktoś panią atakuje. Co by pani zrobiła?

Zerwałam się z fotela i rzuciłam się na nią z wyciągniętymi rękami, jakbym chciała chwycić ją za gardło.

- Na pomoc! - wrzasnęła.

- No właśnie - powiedziałam, cofając się.

- Na pomoc! Przestań! Nie! Nie rób tego! Na pomoc! Pali się! - darła się Gracie, wciąż przerażona moim atakiem. Zerwała się z fotela i rzuciła do ucieczki.

- Gracie, proszę się uspokoić! - krzyknęłam. - Ja tylko udawałam! Nie chciałam pani przestraszyć!

Stała i popatrzyła na mnie jak na wariatkę. I wtedy zrozumiała. Wolno wróciła do swojego fotela, i w tym samym momencie do pokoju wpadły obie masażystki i elegancki kelner.

- Co się stało? - zapytała jedna z kobiet, lekko zdyszana.

- Nasze maseczki są z naturalnych składników, bez żadnych chemicznych domieszek - powiedziała druga pośpiesznie. - Nie mogły paniom zaszkodzić.

- Nic mi nie jest - zapewniła je Gracie. - Tylko odgrywałyśmy kryminalną scenę.

Zawahały się, po chwili jednak wzruszyły ramionami. Najwidoczniej nie takie rzeczy widywały w swoim salonie. Kelner rozejrzał się po pokoju.

- Zdawało mi się, że słyszę: „Pali się!” Dlatego przybiegłem.

- Dobrze pan słyszał - rzekła Gracie, nad wyraz z siebie zadowolona. -

Stara sztuczka. Podobno bardziej zwraca uwagę niż „Na pomoc!”. Chyba rzeczywiście tak jest.

Kelner tupnął nogą, prychnął lekko, po czym wymaszerował z pokoju.

Szepnęłam do kosmetyczek, że także mogą sobie pójść - same sobie poradzimy.

Starłam z twarzy ogórek i spryskałam policzki chłodną wodą. Gracie zrobiła to samo, po czym siedziała bez ruchu w swoim fotelu. Była bystrą kobietą. Można powiedzieć, że oświeconą i oświecającą jednocześnie.

- „Niech pan przestanie, doktorze Fields!” - rzekła cicho do siebie.

Spojrzała na trzymaną w ręce ściereczkę, potem przeniosła wzrok na mnie. - Według pani ktoś chciał, żebym na pewno usłyszała nazwisko.

- To możliwe. Wolno skinęła głową.

- Jest jeszcze coś. Moja sypialnia styka się z ich salonem. Te krzyki były bardzo wyraźne, a musiałyby być raczej przytłumione, gdyby Tasha krzyczała w sypialni, gdzie ten ktoś ją udusił.

- Gracie, co pani zrobiła, kiedy usłyszała pani krzyki? - zapytałam.

- Zadzwoiłam na 911 - odparła Gracie. - Nie chciałam tam iść, rozumie pani.

- I wyjrzała pani przez okno, żeby zobaczyć, czy samochód Dana wciąż stoi przed domem?

- Nie od razu - przyznała Gracie. - Dzwoniłam, wkładałam szlafrok i starałam się wymyślić, co powinnam zrobić. Byłam w panice i chyba nie myślałam jasno.

- Ale w końcu sprawdziła pani?

- Kiedy przyjechała policja. Wyjrzałam, bo usłyszałam syreny. Zdziwiło mnie, że przyjechali tak szybko.

-1 widziała pani, jak Dan ucieka do swojego samochodu?

- Nigdy tak nie mówiłam.

- Samochód jeszcze stał?

- Nie, już go nie było, z całą pewnością. Na jego miejscu stało jakieś inne auto.

Wzięłam głęboki oddech.

- Ile czasu minęło do przyjazdu policji? Potrząsnęła głową.

- Wydawało mi się, że to trwa całą wieczność. Czas płynie dość wolno, kiedy człowiek się boi, prawda? Ale tak naprawdę przyjechali bardzo szybko. Może po trzech, czterech minutach.

- Rzeczywiście szybko - powiedziałam.

Gracie przyjrzała się w lustrze swojej wygładzonej i ukojonej twarzy i przesunęła palcem po świeżo zmięczonym policzku. Nagle westchnęła i popatrzyła na mnie, jakby doznała nagłego objawienia.

- Nie mogę nawet powiedzieć, czy pani mąż był jeszcze w mieszkaniu, kiedy usłyszałam te krzyki - stwierdziła.

Kiwnęłam głową, a Gracie wstała i zaczęła krążyć po pokoju.

- A jeżeli to nie Tasha krzyczała? - podsunęłam. - Może została zabita wcześniej... co wyjaśniałoby te hałasy, które pani wcześniej słyszała. A potem zabójca postanowił zrobić doktora Fieldsa.

Gracie skrzywiła się.

- Mój Boże, myśli pani, że to krzyczał morderca? I robił to tak, żebym na pewno usłyszała?

- Możliwe. Można bardzo łatwo sprawdzić, czy dzwonił do pani ktoś z sąsiedniego mieszkania - powiedziałam, jako autorytet w sprawach telefonicznych połączeń, odkąd Grant mi wyjaśnił, na czym to polega. Znowu ujrzałam błysk w oczach Gracie.

- Nie mam nic przeciwko pani mężowi. W życiu go nie spotkałam. Po prostu powiedziałam policji, co słyszałam. Mogę spokojnie przyznać, że coś mi umknęło.

Uśmiechnęłam się.

- Wielkie dzięki. To dla mnie wiele znaczy. Gracie popatrzyła na mnie i ruszyła ku drzwiom.

- Chętnie pomogę. Powinnyśmy znowu porozmawiać. Ale następnym razem po prostu zjemy razem lunch, zamiast nakładać go na twarz, dobrze?

Kiedy wróciłam do domu, w kuchni zastałam Ashley wraz z Mandy. Na kuchennej ladzie ujrzałam otwarte puszki z mąką, cukrem i proszkiem do pieczenia, rozerwane opakowanie kakao hershey i na wpół zjedzoną paczkę czekoladowych wiórek.

- Pieczecie coś? - zapytałam zdumiona.

Mandy odwróciła się do Ashley z szerokim uśmiechem.

- Widzisz? Mówiłam ci, że twoja mama od razu potrafi domyślić się wszystkiego. Jest niesamowita. Świetny z niej detektyw.

Roześmiałam się.

- No jasne, na ladzie stoi robot, piekarnik jest rozgrzany i wszędzie walają się składniki. Gdybym była takim świetnym detektywem, wiedziałabym, co pieczecie i dlaczego.

- Czekoladowe ciasteczka. Na lekcji francuskiego mamy sprzedawać ciastka - wyjaśniła Mandy. - Madame Pierre powiedziała, że musimy przygotować coś *très français*.

- Czekoladowe ciasteczka są *français*?

- Na Champs Elysées jest McDonald - oznajmiła stanowczo Mandy.

Starając się zrozumieć, co chce przez to powiedzieć, zjadłam chrupkę.

- Chyba nie do końca pojmuję. Wydawało mi się, w McDonaldzie sprzedają hamburgery Bic Mac.

Mandy wyprostowała się.

- Chodzi o to, że granice kulturowe przestały istnieć. W Paryżu można zjeść czekoladowe ciasteczka, w Seattle sushi, a w Burger Kingu croissanty. Chcemy pokazać kulturową i kulinarną globalizację.

- Nieźle, Mandy - powiedziałam, nie kryjąc, że zrobiła na mnie wrażenie. Dziewczyna dorastała i robiła się wygadana. Spokojnie może kandydować do Kongresu.

- Faktycznie świetnie - wtrąciła się Ashley. - Atak naprawdę, to nic innego nie umiemy upiec.

- Zatrzymajcie to dla siebie - poradziłam. - Ludzie wiedzą tylko co, co im sama powiesz.

- A wracając do twojej zabawy w detektywa - powiedziała Ashley, wbijając jajko do kubka. - Mandy jest przekonana, że znajdziesz coś, co oczyści tatę.

- Na pewno - zwróciła się do mnie z ożywieniem Mandy. - Pamięta pani czarny lakier do paznokci? Od razu się pani domyśliła, że widziałam Ashley, bo wiedziałam, na jaki kolor pomalowała sobie paznokcie. Wtedy byłam na panią autentycznie wkurzona, ale teraz uważam, że to było super.

- Dziękuję - powiedziałam.

Mając czternaście lat, nigdy nie byłam super, ucieszyłam się więc, że czternastolatka uważa, że jestem super teraz.

- Założę się, że w tym przypadku też jest taka wskazówka, jak wtedy ten lakier - dodała Mandy.

- Staram się ją znaleźć - westchnęłam ze znużeniem. Dziewczynki wróciły do pieczenia, a ja poszłam na górę do swojego gabinetu. Nie włączyłam komputera, tylko siedziałam, wpatrując się w ciemny ekran i bębniąc palcami w biurko. Mandy miała rację. Powinnam to rozwikłać. Niestety, jak na razie nikt mi nie pokazał lakieru do paznokci, który pozwoliłby mi rozwikłać zagadkę.

Ale dzięki Gracie Adler spojrzałam na wszystko z innej perspektywy. Z tego, co mi opowiedziała, wysnułam wniosek, że morderca był w mieszkaniu, kiedy zjawił się w nim Dan. Moja wcześniejsza teoria, według której to Tasha go wpuściła, okazała się błędna, ponieważ wszystko, co Gracie widziała i słyszała, miało sens pod jednym tylko warunkiem: że Tasha już wtedy nie żyła.

Nagle przypomniałam sobie zamek zamontowany w drzwiach do sypialni Tashy. Zdziwiło mnie, że zabezpie-

czyła w ten sposób drzwi wewnątrz mieszkania, skoro jednak kręciła w swojej sypialni firny porno, logiczne, że nie chciała, aby ktoś jej przeszkadzał. A teraz morderca wykorzystał zamek, aby Dan nie wszedł przez przypadek do sypialni i nie znalazł w niej trupa.

Wszystko w mieszkaniu było przygotowane na przyjście Dana. Kręcąc się po nim przez dwadzieścia minut, Dan musiał zostawić swoje odciski palców i ślady swojego DNA. Nie wspominając już o kopercie z pieniędzmi. Chodziło tylko o to, żeby podejrzenia policji padły właśnie na niego.

Stąd te krzyki.

Morderca poczekał, aż Dan sobie pójdzie, po czym odegrał scenę, powtarzając kilka razy „Doktorze Fields” i „Dan”. Sprytnie. Dana nikt nie znał w budynku, morderca mógł więc być spokojny, że żaden z lokatorów nie zezna, że krzyki rozległy się, kiedy Dan już wyszedł.

A może mordercy po prostu się poszczęściło. Zamordował w afekcie, a potem napatoczył mu się ktoś, na kogo mógł zwalić całą winę. Być może też morderca wiedział, że Dan przyjdzie - i przebiegle zaplanował morderstwo tak, aby zostało przypisane właśnie mojemu mężowi.

Przebiegłość sprawcy wskazywała na Johnny'ego De Vito. Na pewno był zdolny zabić człowieka. Raz już to zrobił i nie został przyłapany.

Szantażował Dana i przypuszczalnie nie miał żadnych skrupułów. Z drugiej strony jednak nie pasował do opisu osoby, która według Gracie krzyczała. Nie tylko dlatego, że był mężczyzną. Każdy facet mógł krzyczeć falsetem, zwłaszcza że głos tłumili ściany. Ale Johnny był typem ponurego milczka. Krzyki w środku nocy jakoś mi nie pasowały do jego osobowości.

Roy Evans? Pracował w telewizji, prawdopodobnie więc bez trudu potrafiłby zmienić głos. Ale przerabialiśmy to już z Molly i Timem. Nic nie wskazywało, że to on właśnie był mordercą.

Mój umysł pracował na najwyższych obrotach. Julie Boden? Wszystkie drogi prowadziły do niej. Miała do czynienia z Royem Evansem, prawdopodobnie też była w nim przez jakiś czas zakochana. Zatrudniła Johnny'ego DeVito - z powodów wciąż dla mnie niejasnych - i zapewniła mu alibi. A jeżeli to Johnny zapewniał alibi jej? Tamtej nocy wymknęła się z planu zdjęciowego Honey Twists i pojechała do mieszkania Tashy, po czym wróciła, zanim ktokolwiek zauważył jej nieobecność. Nie, mało prawdopodobne. Producent wykonawczy zawsze podejmuje decyzje. Nie mogła ryzykować, że reżyser albo scenarzysta skarżyliby się później, że tamtej nocy można ją było złapać wyłącznie pod telefonem.

Powiedzmy jednak, że mimo wszystko podjęła takie ryzyko. Miała tyle szczęścia, że wybrała akurat ten wieczór, kiedy zjawił się mój mąż. Idealny zbieg okoliczności. W jakiś magiczny sposób dowiedziała się, jak Dan się nazywa, i postanowiła spróbować, wykrzykując głośno jego nazwisko. Ale to nie tłumaczyło, skąd wiedziała, żeby zadzwonić do Grace i krzyczeć w salonie, a nie w sypialni. Przede wszystkim zaś nie tłumaczyło motywu, którym się kierowała. Czy Julie zabiła z miłości? Wielkie nieba, ależ z tego Roya byłby szczęściarz. Aż tak jednak nie była w nim zakochana. Poza tym, kiedy po raz pierwszy wymieniłam nazwisko Tashy, Julie wyglądała na autentycznie zaskoczoną. Być może podejrzewała, że Roy pieprzy się z kimś, ale nie wiedziała, że właśnie z Tashą.

Byłam tak przygnębiona, że grzmotnęłam pięścią w biurko. Psiakrew, czemu to jest takie skomplikowane. W każdym odcinku *Prawa i porządku* wszystko wyjaśnia się w niespełna godzinę.

Z kuchni dobiegł mnie słodki zapach pieczonych ciasteczek. Może pójdzie mi łatwiej, kiedy coś przekąszę. Przeszukałam górną szufladę biurka i znalazłam karmelowy batonik

z muesli healthy & natural. Z radością go pochłonęłam. Miał więcej kalorii od opakowania m&ms, ale za to bardzo zdrowo się nazywał. Czując spływający do żołądka karmel, rozluźniłam się nieco i pomyślałam o moim minidochodzeniu w sprawie Mandy. Ktoś wiedział coś, o czym nie powinien.

Tak!

Wyprostowałam się gwałtownie, czując, jak serce mi wali. Odpowiedź była równie oczywista, jak czarny lakier do paznokci. Nie wiem, czy dlatego, że nagle opuścił mnie stres, czy też z powodu nagłego wzrostu poziomu cukru we krwi, ale już znałam odpowiedź.

Nora.

Zdradziło ją jedno słowo - a może to było przejęzyczenie?

Poczułam przyływ podniecenia. Zupełnie jak wtedy, kiedy w czasie rozwiązywania krzyżówki nagle odkrywa się znaczenie hasła numer pięć pionowo: że *Seks w wielkim mieście* nie został wyprodukowany przez HBO, lecz TBS. I w jednej chwili wszystko inne pasowało idealnie.

Według Roya Tasha przekłuła sobie język w tym samym dniu, kiedy zginęła. Osobiście jej towarzyszył i był zachwycony krzykami bólu, jakie wydawała. A Nora opisała mi złoty kolczyk w języku Tashy, chociaż nie powinna była o nim wiedzieć, chyba że widziała się z nią tuż przed jej śmiercią. Dlaczego więc Nora kłamała i powiedziała wszystkim, że wróciła dopiero nazajutrz? Może, podobnie jak Mandy, chciała chronić przyjaciółkę. Ale nie, jej chodziło o coś innego. Ona chciała chronić tylko jedną osobę - siebie samą.

Włączyłam komputer, poczekałam, aż się załaduje, po czym szybko weszłam na mapquest.com. Odległość dzieląca Twin Falls od mieszkania Tashy wyświetliła się niemal natychmiast. Wynosiła 1500 kilometrów, których pokonanie wymagało niewiele ponad czternaście godzin. Bill Wilson powiedział, że Nora wyjechała w dzień poprzedzający mor-

derstwo. Nawet swoją starą rozklekotaną jettą była w stanie przyjechać do L.A., jeszcze zanim Tasha została uduszona.

Wszystko stało się jasne. Nora była w Twin Falls i opowiedziała swoim rodzicom i księdzu o Tashy. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że Taszę opętał diabeł i tylko święta Nora mogła ją uratować. Tylko że Tasha nie chciała, aby ktokolwiek ją ratował. Nawet nie chciała, żeby Nora wróciła. Ta jednak, mając do spełnienia misję, i tak wróciła.

Spróbowałam wyobrazić sobie tę scenę. Nora zjawia się niespodziewanie i zastaje współlokatorkę podczas kręcenia filmu porno. Tasha paraduje po mieszkaniu w zwiewnym skąpym peniuarze. Chwali się świeżo przekłutym językiem, dzięki czemu będzie mogła jeszcze lepiej robić facetom laskę. Pokłóciły się i Nora starała się wytrząść diabła z Tashy - niestety, zrobiła to nieco zbyt gwałtownie.

Serce mi waliło, wstałam więc i zaczęłam krążyć po pokoju. Nora wiedziała o Danie, bo był w ich mieszkaniu już wcześniej. Wpuściła go więc, po czym sama zamknęła się w sypialni swojej nieżyjącej już współlokatorki i czekała. Reszta poszła jak z płatka. Zadzwoiła do Gracie Adler, która wcześniej wspomniała jej, że widziała na parkingu przed domem samochód z charakterystycznymi tablicami rejestracyjnymi. Potem, udając Taszę, zaczęła krzyczeć tak, aby Gracie domyśliła się, kto jest napastnikiem. Następnie musiała tylko wyjść przed przybyciem policji. Budynki mieszkalne mają schody przeciwpożarowe, na które zazwyczaj można wyjść przez kuchnię. Zeszła więc po nich i przepadła w ciemnościach. Może spędziła tę noc w jakimś tanim hotelu. A może - co bardziej prawdopodobne - pojechała z powrotem w kierunku Twin Falls, żeby w pewnej chwili zawrócić i zjawić się następnego dnia, udając niewinną i zrozpaczoną przyjaciółkę. - Mamo?

Odwróciłam się gwałtownie i w drzwiach ujrzałam Granta i jego przyjaciela, Jake'a. Już otwierałam usta, żeby prze-

kazać im wspaniałą nowinę, kiedy zauważyłam zmartwioną minę Granta.

- Co się stało, chłopcy? - zapytałam więc tylko.

- Tato powiedział nam o dacie rozprawy - rzekł Grant spiętym głosem. - Staraliśmy się zdobyć nieco więcej informacji o Johnnym DeVito, ale nie ma tego zbyt wiele.

Jake potwierdził skinieniem głowy.

- Wszedłem na jeden z czatów i znalazłem kogoś, kto znał go w liceum.

Wyszło na to, że jego ojciec był takim samym opryskiem jak on, ale Johnny miał bystrą siostrę. Mieszkali w Valley. Nie wiem, czy to w czymś pomoże.

- Wszystko może pomóc, ale wydaje mi się, że wszystko będzie dobrze. Uśmiechnęłam się do nich, a oni popatrzyli na mnie, nic nie rozumiejąc, dlaczego w takim razie byłam do tej pory chodzącym kłębkim nerwów.

- Jestem niemal stuprocentowo pewna, że szukaliśmy nie tam, gdzie trzeba - mówiłam spokojnie. - Johnny DeVito szantażował tatę, ale nie miał nic wspólnego z morderstwem. Nie zabił Tashy. Już wiem, kto to zrobił.

Zadzwoiła komórka Jake'a. Odebrał ją i wyszedł, najwyraźniej nieporuszony moją opowieścią na tyle, by zostać. Musiałam pamiętać, że ta sprawa nie jest centrum wszechświata. Stanowiła wyłącznie centrum mojego własnego, małego światka.

I może Granta.

- Wiesz, kto ją zabił? - zapytał, nie odrywając ode mnie wzroku.

- Wiem. - Uśmiechnęłam się do niego z triumfem.

- Jesteś gotowy? Bo to w pewnym sensie niespodzianka.

- Zrobiłam przerwę dla wzmocnienia efektu. - To Nora, jej współlokatorka.

Grant otworzył usta i gapił się na mnie, nie zamykając ich przez chwilę.

- Ale przecież ona także nie żyje, prawda?

- Owszem.

- To nie ma sensu - powiedział Grant. - Skoro Nora zabiła Taszę, kto zabił Norę?

Do tego jeszcze nie doszłam.

- Może sama się zabiła. - Spodobała mi się ta teoria. - Po tym, jak udusiła Taszę, nie chciała już żyć. Jej ojciec popełnił samobójstwo, kiedy była małą dziewczynką. Może odziedziczyła po nim skłonności samobójcze.

Grant skrzyżował ramiona na piersiach i zakołysał się w przód i tył.

- Masz dowody? - zapytał w końcu.

Odwróciłam się do komputera i szybko wpisałam w wyszukiwarce „rodzina” i „samobójstwo”.

- Według badań przeprowadzonych w Szwecji, ludzie, w których rodzinie byli samobójcy, mają dwukrotnie większe do tego skłonności - powiedziałam, czytając z ekranu. - Amerykanie wyliczyli, że ta skłonność wzrasta trzykrotnie.

- Mnie chodzi o prawdziwy dowód - rzekł Grant, lekceważąc wyniki badań socjologicznych, jakby miały tyle samo wspólnego z nauką, co wróżenie z kart tarota. - Czy autopsja nie wykazałaby, że to było samobójstwo?

Skinęłam głową.

- Były ku temu pewne przesłanki. Ale ciało tyle razy przenoszono, że lekarz sądowy stwierdził morderstwo.

- Wobec tego na czym się opiera twoja teoria? - zapytał Grant.

- Mam przecucie, że na solidnych podstawach. Spojrzał na mnie spod zmarszczonych brwi. Chyba nie

bardzo wiedział, co chcę przez to powiedzieć, ale to bez znaczenia. Ja tak czy owak zamknę tę sprawę.

Rozdział piętnasty

- To znaczy, że Nora sama zniszczyła taśmy z porno, żeby chronić dobre imię przyjaciółki - powiedziała Molly wczesnym rankiem następnego dnia, kiedy zadzwoniłam, żeby przedstawić jej swoją teorię. - Lub przynajmniej to, co jeszcze z niego zostało.

- Otóż to - przytaknęłam. - Musiała wiedzieć o tych taśmach i wiedziała, gdzie są. Za nic w świecie nie oddałaby ich Royowi.

- Cóż, to się trzyma kupy - rzekła Molly z namysłem.

- Podobnie jak cała reszta. Morderca najwyraźniej dobrze znał mieszkanie. I wiedział, że Dan przyjdzie.

Molly umilkła, a ja zorientowałam się, że zasłoniła dłonią słuchawkę i rozmawia z kimś innym. Po chwili jej towarzysz wziął od niej słuchawkę.

- Lacy? - rozległ się męski głos. Zglupiałam.

- Hm, tak. A kto mówi?

- Tim. Leżę obok Molly, słyszałem więc wszystko, co mówiłaś. I obawiam się, że nie masz racji.

Nie mam racji? Czy on oszalał?

- Leżysz obok Molly? - zapytałam, skupiając się na znacznie ważniejszej sprawie. - To znaczy, w 1 ó ż k u ?

- Nie, na kanapie. Nie udało nam się dojść do sypialni. Czy ja chciałam tego słuchać? Oczywiście, że chciałam

- nawet w trakcie rozwiązywania sprawy o morderstwo.

Usłyszałam, jak Molly chichocze i wyrywa Timowi słuchawkę.

- Lacy, kochanie, musimy ci podziękować, bo to wszystko dzięki tobie - powiedziała. - Pamiętasz, jak zadzwoniłaś do mnie pierwszy raz, a ja skontaktowałam się z Timem, żeby sprawdzić, co wie? Okazało się, że wie wszystko. W końcu udało nam się pójść na kolację i jak zaczęliśmy rozmawiać, miałam wrażenie, że znamy się od zawsze. Tak jakby łączyło nas coś wielkiego.

- O, bardzo wielkiego - odezwał się w tle Tim. Molly prychnęła i zignorowała go.

- Co ci mam powiedzieć? Jak za długo rozmawiasz z kimś o filmach porno, różne rzeczy przychodzą ci do głowy.

- Na kanapie?

- Było bosko - zaświergotała Molly.

Głos w telefonie uległ zmianie, bo Tim włączył głośnik, abyśmy mogli wszyscy rozmawiać. Wspaniale. Teraz Molly

1 Tim będą mieli wolne ręce - albo wręcz przeciwnie.

- Wracając do twojego rozwiązania sprawy - odezwał się Tim. - Jest zbyt idealne. Gdybym to ja miał osądzić Dana, doszedłbym do wniosku, że próbujesz zrobić kozła ofiarnego z nieżyjącej kobiety.

Przełknęłam z trudem.

Sądzić Dana? Jeżeli będzie to choć trochę ode mnie zależało, nikt nigdy nie będzie sądził mojego męża.

- Pograżona w smutku przyjaciółka morderczynią?

- mówił dalej Tim. - Nie wiem. Coś mi tu nie pasuje.

- Jeśli o mnie chodzi, Nora świetnie się nadaje - wtrąciła z ożywieniem Molly. - Od razu dałabym jej tę rolę. To

idealny przykład kogoś, kto z pozoru zupełnie nie pasuje. Takie lubię najbardziej.

- Problem w tym, że nie prowadzisz castingu do takich ról - zakpił Tim. - To dzieje się naprawdę.

- Uwielbiam wszystko, co dzieje się naprawdę - odparowała Molly. - Cały czas tym się zajmuję. Nawet Jerry Bruckheimer nie potrafi bardziej zaskoczyć.

- Miła dziewczyna okazuje się wredną morderczynią?

- Zdarza się znacznie częściej, niż ci się wydaje - rzekła Molly.

- W takim razie zabieram się stąd - zażartował Tim.

- Wracaj! - zapiszczała słodko Molly, powstrzymując jego udawaną ucieczkę z boskiej kanapy. Nie wiem, co Tim zrobił - domyślałam się, że zajął czymś ręce - ale Molly krzyknęła i zaczęła się śmiać.

Rozłączyłam się szybko. Niech sobie kontynuują scenę łóżkową bez mojego udziału. Molly, kobieta o chłodnym umyśle, w ciągu jednej nocy zmieniła się w rozchichotaną panienkę, ale poradzi sobie. Tim wyglądał na porządnego faceta i już najwyższy czas, aby moja przyjaciółka znalazła sobie kogoś wyjątkowego. Zwłaszcza kogoś, kto tak świetnie radził sobie na kanapie do castingu.

Jak należało się spodziewać, Tim był w wyśmienitym nastroju, kiedy jakiś czas później zjawiłam się w jego gabinecie. Gdy jednak wyjaśniłam mu, po co przyszłam, uśmiech szybko znikł mu z twarzy.

- Miniaturowe urządzenie do nagrywania? - zapytał z wahaniem. - Coś takiego, jak ukryta kamera?

- Musi być na tyle małe, żeby mi się zmieściło w torebce - odparłam. - Twoi reporterzy na pewno posługują się czymś takim, prawda?

- Czasami - rzekł ostrożnie. - Prawo dotyczące nagrywania bez powiadomienia o tym osoby nagrywanej nie jest

do końca jasne. Ale mogę ci zagwarantować, że taki dowód me zostanie dopuszczony przez sąd.

- Mimo to chciałabym, żeby sędzia usłyszał to podczas przesłuchania wstępnego - powiedziałam, tak naprawdę nie mając pojęcia, na co mogę sobie pozwolić. - Ma się odbyć za trzy dni, kiedy sędzia zapozna się z dowodami i podejmie decyzję, czy sprawa trafi do sądu. Nasz prawnik twierdzi, że wszystko zależy od tego, czy uzna, że wina Dana jest prawdopodobna Mam zamiar dowieść czarno na białym, że nie jest. Tim skinął tylko lekko głową i wyszedł z pokoju. Po chwili wrócił, niosąc dwie elektroniczne zabaweczki.

- Ta kamera jest trochę skomplikowana i trzeba by się zastanowić, gdzie ją umieścić. Ale jeżeli wystarczy ci tylko nagranie audio, polecałbym to. Pokazał mi płaskie urządzenie wielkości karty kredytowej

- Doskonale - powiedziałam, gładząc palcami lśniącą gładką powierzchnię. - Jesteś pewny, że to działa?

- Jasne. Naciśnij guzik, włóż do torebki i możesz nagrywać przez godzinę. Ale dam ci tylko wtedy, jeśli mi obiecasz że nie zrobisz żadnego głupstwa - rzekł, dotykając jednego z gładkich przycisków.

„Nie zrobisz żadnego głupstwa”, głośno i wyraźnie rozległo się z małego, elektronicznego urządzenia. Uśmiechnęłam się i obiecałam.

- Na czym polega twoja misja? - dopytywał się Tim.

- Chcę porozmawiać z Johnnym DeVito - wyznałam - Dan mówi, że nie odezwał się do niego od czasu morderstwa, z wyjątkiem jednej wiadomości, którą zostawił nagrany na automatycznej sekretarce. Od tamtej chwili nic, cisza żadnych telefonów ani maili.

- To źle? - zapytał Tim.

- To dziwne - odparłam. - I chcę się dowiedzieć co oznacza.

Sammie była w jeszcze lepszym nastroju od Tima, ale z innego powodu.

- Odchodzę - oznajmiła radośnie, kiedy do niej zadzwoniłam. - Wczoraj dałam Julie swoje wypowiedzenie.

- Znalazłaś lepszą pracę? - zapytałam, przekonana, że sobie na nią zasługuje.

- Może nie pracę, po prostu sprzedałam swój pierwszy scenariusz. Nawet jeżeli nigdy nie nakręcą na jego podstawie filmu, to i tak nieźle zarobiłam. Teraz już rozumiem, co to znaczy „pieniądze na odpieprz się”.

Roześmiałam się.

- Powiedziałaś Julie, żeby sobie wsadziła twoją pracę?

- Nie, jestem porządną dziewczynką z Vassar i postanowiłam rozstać się na ugodowych warunkach. Nigdy nie wiadomo, kto nam może się kiedyś przydać.

- Cóż, ty właśnie możesz mi się znowu przydać - wyznałam. - Staram się namierzyć tego Johnny'ego DeVito, o którego pytałam cię ostatnio.

Mogłabyś mi pomóc?

Szybko wyjaśniłam jej, o co mi chodzi, i Sammie obiecała, że spróbuje.

- Ponieważ i tak odchodzę stąd, mogę trochę nagiąć reguły - powiedziała.

- Ale chyba będzie lepiej, jak mu zostawię wiadomość.

- Dobrze - zgodziłam się. - Powiedz mu, że chcę się z nim spotkać jak najszybciej. Ale w miejscu publicznym.

- Załatwione - powiedziała.

- A tak przy okazji, o czym jest twój scenariusz?

- O absolwentce anglistyki z Vassar, która przyjeżdża do L.A. i pracuje u wrednej szefowej - wyjaśniła wesoło Sammie. - Wiem, nic oryginalnego.

Ale kiedy zaczęłaś pytać o Roya Evansa, wpadłam na pomysł. Szefowa ma romans z jednym ze swoich gwiazdorów. A potem młoda piękna asystentka również wdaje się z nim w romans.

Aż mi dech zaparło.

- Sammie, ty z Royem chyba nie...

- Jasne, że nie! - nie dała mi dokończyć. - Musiałam c o s wymyślić, no nie?

Rozbawiła mnie. Kiedy pożegnałyśmy się, zaczęłam bawić się urządzeniem, które dał mi Tim. Musiałam jakoś zabić czas. Ale wciąż spoglądałam na zegarek, odliczając minuty dzielące nas od przesłuchania wstępnego. Czemu ta Sammie nie dzwoni? Najchętniej od razu pojechałabym znowu na Hil-man Driver 17, zapukała do drzwi i stanęła twarzą w twarz z Johnnym DeVito.

Właściwie, czemu nie? Musiałam zacząć działać. Przebrałam się w dzinsy biodrówki i włożyłam pumy, żeby na wszelki wypadek uniknąć kłopotów z butami na obcasach. Rany, szybko się uczyłam. Nawet jeżeli po tym wszystkim nie zostanę prywatnym detektywem, zawsze będę mogła projektować kostiumy do *Kryminalnych zagadek*.

Już szłam do garażu, kiedy zatrzymałam się w pół drogi. To nie był film ani żaden telewizyjny program. Być może w następnym scenariuszu Sammie bohaterka wskoczy do swojego niebieskiego samochodu sportowego i wróci do tajemniczego domu, aby rozwiązać zagadkę. Jednak obiecałam Timowi, że nie zrobię żadnego głupstwa. A powrót na Hilman Driver na pewno byłby głupotą.

Wróciłam do domu i zadzwoniłam do Sammie.

- Zadzwoniłam na numer, który dostałam od Julie i zostawiłam dwie wiadomości - powiedziała. - Ale to tylko anonimowa skrzynka głosowa, więc nawet nie wiem, czy to jego numer.

W końcu jednak, około szóstej miała dla mnie inne informacje.

- Zadzwonił, kiedy kupowałam Julie mrożoną herbatę - powiedziała. -

Będzie w siłowni w Stanford o wpół do ósmej dzisiaj wieczorem. Możesz się z nim tam spotkać.

Znalazłam drogę do siłowni w mapęrest - wolałam me korzystać z GPS - i schowałam magnetofon do kopertówki od Michaela Kors'a. Torebka była zdecydowanie zbyt elegancka do dzinsów - nawet jeżeli zapłaciłam za nie dwieście dolarów w Barneys - ale Johnnyemu nie będzie to chyba przeszkadzało. A kopertówka nie będzie się tak rzucać w oczy jak większa torba, kiedy położę ją na stole, żeby zrobić nagranie.

Ruch był spory i musiałam jechać wolno, uważając, żeby nie wjechać komuś w tył. Wypadek w niczym by mi nie pomógł. Kiedy skręciłam, ulice wydały mi się znajome, ale nabrałam pewności dopiero na widok trzech wielkich srebrnych przyczep i zamkniętej drogi. Wiedziałam, gdzie jestem Na planie filmowym George'a Clooneya - na tych samych ulicach, po których wędrowałam w samej bielizmie. Poczulałam się nieco skrępowana, ale uznałam, że me mam się czym przejmować. Ktokolwiek widział mnie wtedy, dzisiaj na pewno mnie nie rozpozna. Przecież nikt me zwracał uwagi na moją twarz. r .

Siłownia Stanford znajdowała się w przemysłowej części miasta W gęstniejącym mroku okolica wydawała się jeszcze bardziej podupadła, niż ją zapamiętałam. Minęłam kilka ciężarówek wyjeżdżających z magazynów. Sama siłownia miała wyblakły szyld nad metalowymi drzwiami i wyłożony aluminiowym sidingiem front. Przez brudne okna dostrzegłam wiszące wewnątrz nagie żarówki i stare hantle ułożone na stojaku pod ścianą. Jeżeli moda na wystrój w stylu retro nie dotrze do siłowni i sal gimnastycznych, sławni klienci centrum fit-nessu Crunch na pewno nie przejdą do Stanford. To nie było odpowiednie miejsce do uprawiania vinyasa jogi.

Zaparkowałam przed wejściem, zgasiłam silnik i zdenerwowana zadzwoniłam do Molly, żeby jej powiedzieć, gdzie jestem Ktoś powinien wiedzieć.

- Są tam jacyś ludzie? - zapytała Molly po wysłuchaniu moich szybkich wyjaśnień.

Zmrużyłam oczy, usiłując dojrzeć, co dzieje się wewnątrz siłowni.

- Kilkoro - odpowiedziałam. -1 ktoś chyba siedzi w recepcji.

- Czy jest coś, co mogłoby cię przekonać, żebyś tam nie szła, tylko wróciła do domu?

- Mój mąż ma stanąć przed sądem za siedemdziesiąt dwie godziny - odparłam cicho. - Jeżeli uda mi się dowieść, że to Nora zabiła Taszę, może oddał zarzuty. Jestem przekonana, że Johnny DeVito coś wie. Molly chrząknęła. Wiedziała, że nie ma sensu kłócić się ze mną.

- W takim razie zrób tak: dzwoń do mnie co piętnaście minut, żeby mi powiedzieć, że nic ci nie jest.

- Nie mogę. Przy odrobinie szczęścia, za piętnaście minut będę w trakcie bardzo ważnej rozmowy.

- W takim razie wyślij sms „OK” - zażądała tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Masz pięć minut w zapasie. Po dwudziestu dzwonię na policję.

Wchodząc do siłowni, usiłowałam wyglądać na pewną siebie, wąpię jednak, czy udało mi się kogokolwiek oszukać. Mężczyzna w recepcji popatrzył na mnie bez śladu zaciekawienia. Był niski i potężnie zbudowany, wielki obwisły brzuch kontrastował z potężnymi muskularni na ramionach, które z powodzeniem mogłyby należeć do kogoś o wiele młodszego. Miał czarne ulizane włosy i śnieżnobiały T-shirt, w którym na pewno nie ćwiczył na siłowni.

- Mam się z kimś tutaj spotkać. Panem Johnnym De-Vito - wyjaśniłam, starając się, aby zabrzmiało to w miarę swobodnie.

Skinął głową, w dalszym ciągu nie okazując śladu zdziwienia.

- Miło mi - odparł, wyciągając dłoń. - Jestem Jerry DeVito, jego ojciec.

Cale moje opanowanie wzięło w łeb. Nie miałam pojęcia, co zastanę w siłowni Stanford, ale z całą pewnością tego się nie spodziewałam. Nie miałam ochoty ścisnąć jego ręki, ale zrobiłam to. Zamiast zwykłego gestu na powitanie, ścisnął mi palce tak mocno, że niemal krzyknęłam. Kiedy puścił moją dłoń, wciąż jeszcze czułam potężny chwyt. Albo był silniejszy, niż zdawał sobie sprawę, albo chciał zrobić na mnie wrażenie.

- Johnny'ego nie ma - powiedział.

- Wie pan, kiedy przyjdzie?

- Nie. - Zerknął na kogoś, kto właśnie ku nam zmierzał. - Ale może pani porozmawiać z moją córką.

Obróciłam się, podążając za jego wzrokiem i ujrzałam kobietę w doskonałym kostiumie od Prądy i brylantowym naszyjniku. Wydałam zduszony okrzyk. Kostium był faktycznie ładny, ale nie on mną wstrząsnął, lecz tożsamość kobiety. Julie Boden.

- Tt-to pańska córka? - zapytałam, z trudem artykułując słowa.

Jerry skinął głową.

- Dobra z niej dziewczyna. Pomogła mi kupić nowy dom.

- Przy Hilman Drive? - zaryzykowałam.

Znowu skinął głową i nagle uświadomiłam sobie, że już go wcześniej widziałam. To on wpuścił Norę do domu.

Podczas gdy ja starałam się dojść do siebie, Jerry DeVito odsunął się, natomiast Julie zaś stanęła tuż koło mnie.

- Ciągłe się pojawiaasz - powiedziała.

- Nie... hm, nie ciebie spodziewałam się spotkać - odparłam.

- Życie bywa doprawdy interesujące.

Ruszyła przez siłownię, najwyraźniej spodziewając się, że podążę za nią. Co, rzecz jasna, uczyniłam. Weszłyśmy do damskiej szatni, przesiąkniętej wilgotnym zapachem szkolnej

sali gimnastycznej i tak też wyglądającej - kilka pryszniców z plastikowymi zasłonami, dwie kabiny toaletowe i kilkanaście metalowych szafek. Nad umywalką krzywo wisiało pęknięte lustro. Julie wskazała na drewnianą ławkę i usiadłam, zbyt oszołomiona, by ustać na nogach.

- Czego chcesz od mojego brata? - zapytała wprost. Żadne pogaduszki nie wchodziły w grę. Zresztą i tak nie zdobyłabym się na nie.

- Szantażował mojego męża - odparłam - i pomyślałam sobie, że moglibyśmy zawrzeć układ.

- Jaki układ?

- Dan nie zabił Tashy Barlow. Uważam, że zrobiła to jej współlokatorka, Nora. Uważam też, że Johnny o tym wie i może mi pomóc tego dowieść. Julie uniosła brwi.

- A mnie wydawało się, że to twoim głównym podejrzanym jest Roy Evans. Albo właśnie Johnny. - Skrzyżowała ramiona na piersiach i odeszła kilka kroków, zaraz jednak wróciła. - Nora. Niezła jesteś.

- Uważasz, że mam rację?

- Wiem, że masz. Nora zabiła Tashę. Przełknęłam głośno ślinę i niechcący zerknęłam na swoją leżącą obok kopertówkę. Julie zauważyła spojrzenie i chwyciła torebkę. Spróbowałam ją powstrzymać, ona jednak błyskawicznie wysypała całą zawartość na ławkę. Wszystko wypadło - z wyjątkiem magnetofonu, który ukryłam w malej, zapinanej na zamek błyskawiczny kieszonce. Otworzyła moją komórkę, prawdopodobnie przekonana, że ktoś nas podsłuchuje. Zobaczyła przygotowaną przeze mnie wcześniej wiadomość: „OK”, i numer Molly. Nacisnęła „Wyślij”.

- Pozwól mi wyjaśnić jedną nieścisłość - powiedziała chłodno, jak gdyby nic się nie stało. - Johnny poprosił twojego męża o zwrot pieniędzy za swoją operację. Twój mąż zgodził się. To nie jest szantaż.

- Widziałam maile, w których żądał pieniędzy. To jest szantaż - odparłam, starając się mówić równie spokojnie jak ona.

- Owszem, ale to nie Johnny je pisał.

- A kto? Drew Barrymore?

Julie popatrzyła na mnie zaskoczona, po chwili prychnęła.

- Tasha je wysyłała. Chociaż nie zrobiła tego sama. Mózgiem całej operacji była Nora.

Teraz to ona zaskoczyła mnie.

- O czym ty mówisz?

Julie kilka razy otworzyła i zamknęła klapkę mojego telefonu, w końcu odłożyła go.

- Johnny powiedział o wszystkim Tashy. Nie mam pojęcia po co. Miała w sobie tę prowincjonalną niewinność, która budziła jego zaufanie. I to ona wpadła na pomysł, żeby wyciągnąć od twojego męża pieniądze. Kiedy Johnny nie chciał się zgodzić, zagroziła, że go zostawi. Więc zrobił to i oddał jej pieniądze. Wydała wszystko, co do centa.

Przypomniałam sobie elegancką sypialnię. Jak nic, kosztowała trzydzieści tysięcy. Chyba musiała instynktownie przeczuwać, że będzie to jej miejsce pracy.

- Więc Johnny potrzebował więcej pieniędzy od Dana, żeby Tasha była zadowolona - powiedziałam.

Julie prychnęła lekceważąco.

- Tylko że tym razem porozmawiał ze mną. Nie chciał znowu wylądować w więzieniu. Nie można powiedzieć, że się przyjaźnimy, ale w końcu jest moim bratem. Pociągnęłam za kilka sznurków, zapisałam go do związków i dostał pracę jako technik estradowy. Wiedziałam, że większość zarobków oddaje Tashy, ale przynajmniej nie kombinował na boku.

Co oznaczało, że jego alibi było prawdziwe. W noc, kiedy zginęła Tasha, był wiele mil stąd, podobnie jak Julie.

- W takim razie jak się dowiedziałas, że Dan był w dalszym ciągu szantażowany? - zapytałam.

Julie odwróciła wzrok i wtedy do mnie dotarło. Poczułam, jak ścisła mnie w gardle.

- Nora ci powiedziała - odezwałam się cicho. - Wtedy, kiedy przywiozłam ją do domu twojego ojca.

Bawiła się naszyjnikiem, zdjęła wyimaginowany włos z żakietu.

- Tak się złożyło, że akurat tego dnia byliśmy tam wszyscy razem. Johnny mieszkał z tatą, a ja przyjechałam ich odwiedzić. Zobaczyłam cię przed domem i powiedziałam Johnny'emu, kim jesteś. Wybiegł, zanim zdążyłam go powstrzymać.

W samochodzie Johnny nie chciał mnie nastraszyć; szukał zemsty, bo był przekonany, że Dan zamordował jego ukochaną. Jediną kobietę, która udawała, że go kocha.

- Szantaż jest łatwy, prawda? - zapytała Julie z goryczą. - Szybko się uczysz, na czym polega, i po prostu grasz dalej. Teraz Nora wyciągnęłaby od twojego męża każde pieniądze. Pięć tysięcy co miesiąc, może więcej. Ale to już jej nie wystarczało. Wiedziała, że kilka lat temu Johnny kogoś zabił. Morderstwo nie ulega przedawnieniu, pomyślała więc sobie, że pięćdziesiąt tysięcy to niewielka suma za to, żeby nie trafić do więzienia. Wstałam i zaczęłam odsuwać się od ławki. Nagle zrozumiałam. Dobrze to sobie wszystko poukładałam - pomyliłam się tylko co do motywu.

Całkowicie. Nora nie była dobrą dziewczynką, która zabiła przyjaciółkę, a potem, pod wpływem wyrzutów sumienia popełniła samobójstwo. Była złą dziewczyną - otyłą prowincjuszka w tanich ubraniach. Nie miała prawa zaistnieć w eleganckim świecie L.A. Niezauważana i ignorowana, spróbowała znaleźć swoje miejsce i przyczepiła się do Tashy. Ale Nora też miała swoje marzenia. Nie mogła zostać sławną aktorką, ale mogła pociągać za

sznurki. Pragnęła pieniędzy. Nie była piękna, ale chciała, aby się z nią liczone.

Inaczej teraz wyobraziłam sobie kłótnię w ich mieszkaniu. Nora zażądała od Tashy większej działki. W końcu były partnerkami, czemu więc Tasha miała brać wszystkie pieniądze z szantażu. Nora chciała, żeby dzieliły się pół na pół. Tak samo dochodami za filmy porno. Kiedy Tasha spróbowała ją zbyć, jak robiła zawsze, przyjaciółka nie wytrzymała. Uznała, że nadeszła jej kolej, aby stanąć w blasku reflektorów.

Każdy chciał znaczyć coś w życiu - to nic nowego. Podobnie jak gniew wywołany ciągłym spychaniem na margines. Być może nawet Nora zaplanowała morderstwo jeszcze w czasie pobytu w Twin Falls. Mówiąc o tym, jak dużo czasu zajmie jej powrót do L.A., chciała prawdopodobnie zapewnić sobie alibi. Wysyłane do Dana maile z groźbami miały dać jej pewność, że w określonym czasie przyjdzie on do mieszkania Tashy. Pozostawiony w przedpokoju liścik z poleceniem, aby Dan zaczekał, sprawiał, że wszystko wyglądało jeszcze bardziej realistycznie.

Tasha już nie była do niczego Norze potrzebna. Wiedziała, że sama poradzi sobie znacznie lepiej. Mogła w dalszym ciągu żądać pieniędzy od Dana. Mogła szantażować Johnnynego. Mogła też wykorzystać taśmy, żeby znaleźć dojdzie do Roya. Porno jej nie przerażało, chciała czerpać z niego korzyści dla siebie. Może nawet udałoby się jej wejść do interesu, zacząć handlować porno i narkotykami. To o wiele więcej, niż mogła jej zaoferować Tasha.

W dalszym ciągu przesuwałam się w kierunku drzwi. Ponieważ w tej chwili wiedziałam już, co wydarzyło się tamtego dnia w domu DeVito.

- Nie zamierzałaś zabić Nory - powiedziałam cicho, wycofując się wolniutko ku drzwiom.
- Ale w zasadzie nie miałaś wyboru. Stanowiła zagrożenie dla twojego brata.

Chciała szantażować jego i w jego imieniu. To musiało się skończyć.

- Zabiła Taszę i była niebezpieczną suką - odparła Julie.

- Poza tym była autentycznie wkurzająca - dodałam, niemal współczująco.

- O, tak - zaśmiała się lekko Julie.

Przez chwilę miałam wrażenie, że jesteśmy dwiema przyjaciółkami, które po wyczerpujących ćwiczeniach plotkują w damskiej szatni, susząc sobie włosy. Tylko że w tej szatni nie było żadnych suszarek, a Julie nie była moją przyjaciółką.

Zaatakowała mnie, wyrzucając nogę w idealnym wykopie kung fu. Jej but na płaskim obcasie trafił mnie w czaszkę z ogromną siłą - zanim osunęłam się na ziemię, obróciło mnie o dziewięćdziesiąt stopni.

Upadając, grzmotnęłam głową

o krawędź ławki, po czym wylądowałam na twardych kafelkach.

Zobaczyłam krew - swoją - rozpryskaną po podłodze

i zarzęziłam z bólu. Ale nie straciłam przytomności. Nie mogłam. Mimo czarnych plam latających przed oczami dojrzałam kluczyki do swojego samochodu, dosłownie tuż obok, pod ławką, tam, gdzie Julie je rzuciła. Ale sięgając po nie, zbyt wiele bym ryzykowała.

Spróbowałam wstać, w nadziei że zdołam uciec. Ale ledwo podniosłam się na kolana, Julie kopnęła mnie znowu, tym razem w kark. Padłam na płask, niezdolna się poruszyć. Czyżby złamała mi kręgosłup? Jęknęłam i przewróciłam się na bok. Zobaczyłam, jak Julie zrywa jedną z zasłon prysznicowych. Wróciła i zaczęła owijać moje bezwładne ciało w plastik. Usiłowałam się bronić, ale moje ręce trafiały w próżnię, zresztą po chwili miałam już unieruchomione ramiona. Byłam zawinięta ciasno jak mumia faraona Tutenchamona. Oślizgły plastik zakrywał mi usta i nos, zaczęłam więc kaszleć i krztusić się, walcząc o powietrze.

- Nie, nie możesz jeszcze umrzeć - Julie zsunęła nieco zasłonę. -

Dostałam nauczkę z Norą. Łatwo jest upozorować

samobójstwo, ale potem nie wolno ruszać ciała. Umrzesz, kiedy uznam, że pora cię zabić.

Dodatkowo owinęła moje związane ciało taśmą klejącą i na chwilę zniknęła. Wróciła, pchając przed sobą jaskra-wopomarańczowy wózek, jakim przewozi się skrzynie. Albo maty i hantle w siłowni.

Wsunęła pode mnie metalową platformę, po czym bez trudu ruszyła, pchając przed sobą wózek wraz ze mną.

Nie widziałam, dokąd zmierzamy, ale nagle chyba na drodze stanęła nam ściana.

- Tylko krzyknij, a zakleję ci usta taśmą - ostrzegła mnie Julie.

Przypomniała mi się rada Gracie, aby w chwilach zagrożenia krzyczeć: „Pali się!”, ale uznałam, że nic by mi to nie dało. Julie wołała jednak nie ryzykować, bo naciągnęła mi plastik na twarz i odeszła.

Zanim wróciła, prawie zemdlałam, ale ocknąłam się w chwili, gdy wózek ponownie ruszył. Usłyszałam zgrzyt tanich metalowych drzwi.

Znalazłyśmy się na zewnątrz, jak podejrzewałam, w uliczce na tyłach siłowni. Noc wydawała się wilgotna i parna - ale może tylko tak się czułam, ciasno zawinięta w plastikową zasłonę. Nagle zaczęłam się unosić. Już idę do nieba? Nie, to tylko platforma podniosła się o jakieś półtora metra. Julie pchnęła mnie z całej siły i najpierw wylądowałam na miękkich poduszkach, po czym upadłam na sztywną nierówną powierzchnię. Naciągałam szyję tak długo, aż co nieco mogłam dojrzeć, i zorientowałam się, że leżę w swoim własnym lexusie. Julie musiała go przestawić z parkingu na tył siłowni. Kupiłam ten samochód ze względu na wyjątkowo dużą pakowność. Czyż mogłam przypuścić, że któregoś dnia sama stanę się przewożonym bagażem?

Julie usiadła za kierownicą, po czym rzuciła czymś w moją stronę. Jak się okazało, była to moja kopertówka od Michaela Korsaa.

- Wysłałam wiadomość „OK”. Nie chcemy, żeby ktoś się o ciebie martwił. Będę ją wysyłać, dopóki nie umrzesz - rzekła złośliwie Julie.
- Nie musisz mnie zabijać, Julie. - Mój głos był tak przytłumiony, że nie miałam pewności, czy w ogóle mnie usłyszysz. - Zrobię wszystko, czego zażadasz.

- Nie zabiję cię, sama to zrobisz - powiedziała Julie, włączając silnik i ruszając. - Wszystko zostało zaplanowane. Mam tutaj twój list pożegnalny. Niezwykle wzruszający. Przyznajesz się w nim do zamordowania Nory, ponieważ za dużo wiedziała. Nie możesz dłużej żyć ze świadomością tego, co zrobił twój mąż. Prosisz, aby twoja przyjaciółka Molly zajęła się wychowaniem twoich dzieci, kiedy on pójdzie do więzienia.

Zamknięta w dusznym cuchnącym kokonie, z trudem przełknęłam ślinę. Nikt nie będzie wychowywał moich dzieci, tylko ja i Dan. Kto inny będzie umiał rozmawiać z Grantem o teorii strun, z Ashley o czulej strunie i z małym Jimmym

o strunowcach? Poza tym Ashley chciała przemeblować swój pokój. Jeżeli mnie zabraknie, zamiast wybranego przeze mnie perskiego dywanu ona kupi jeden z tych szmatławych różowych chodników w Portery Barn Teen. I co wtedy? Będę po wieki wieków przewracać się w grobie. Moja sytuacja wyglądała, jakbym już znajdowała się w grobie. Ale musiało być jakieś wyjście. Zamknęłam oczy i spróbowałam się skupić. Jakie rozwiązanie Sammie zaproponowałyby w swoim scenariuszu?

Błaganie o litość nie wchodziło w grę. Obiecywanie Julie, że uczynię wszystko, czego zażąda, nie zrobiło na niej wrażenia. Spróbować nawiązać z nią kontakt jak z drugim człowiekiem? Z Johnnym DeVito raczej mi się to nie udało, poza tym obawiałam się, że Julie ma w sobie niewiele ludzkich cech. Przynajmniej ja ich nie dostrzegłam. Może w końcu Molly zdenerwuje się i zadzwoni na policję. Ale przecież

wie tylko, że pojechałam do siłowni Stanford. Wątpliwe, aby Jerry DeVito powiedział policji, dokąd się udałam. Zresztą pewnie sam tego nie wie. Kiedy reszta rodziny sporządniała, Julie zeszła na drogę zbrodni. - Jak chciałabyś popełnić samobójstwo? - zapytała Julie. - Mam trochę narkotyków, gdybyś zdecydowała się na przedawkowanie. Nie jesteś zbyt chętna do współpracy. Norze skulałam ręce kajdankami i założyłam jej plastikowy worek na głowę. Ale nie chcę, żeby w twoim przypadku pojawiły się jakieś wątpliwości. Mam broń i nie zawaham się jej użyć. Tak byłoby najszybciej. Mnie osobiście najbardziej podoba się zatrucie dwutlenkiem węgla w garażu. To taki kobiecy sposób na odebranie sobie życia, nie uważasz?

Jeżeli spodziewała się, że jej odpowiem, czekało ją rozczarowanie, ponieważ byłam zajęta uwalnianiem prawej ręki. Udało mi się znaleźć odrobinę luźnej przestrzeni w poza tym ciasno krępującym mnie plastikowym kokonie i powolutku podsunęłam rękę do góry. Na wysokości ramienia utknęła i chociaż robiłam, co mogłam, nie zdołałam jej uwolnić. O mały włos nie zaczęłam krzyczeć z rozpacz.

Ale nie pierwszy raz znalazłam się w podobnie ciasnej sytuacji. Pewnego razu, wybierając się wraz z Danem na bal charytatywny, włożyłam suknię od Dolce & Gabbany w rozmiarze 34. Udało mi się w nią wbić, natomiast nie bardzo wiedziałam, jak się z niej rozbiore. Ale po dziesięciu minutach cierpliwego wicia się i wiercenia w końcu osiągnęłam sukces. Teraz musiałam wyswobodzić się z plastikowego opakowania. Odrobinę zmieniłam ułożenie ramion, układając łokieć przed sobą, po czym z całą siłą pchnęłam rękę w górę. Uwolniłam ją. Mimo wszystko jednak nie byłam aż taka bezradna.

Podeksytowana pierwszym małym zwycięstwem poczułam, jak krew żywiej pulsuje mi w żyłach - dosłownie. Ramię mi zdrętwiało i teraz, kiedy mogłam nim poruszać, czułam, jak na całej długości przeszywają je bolesne ciarki. Zaciskałam

i rozkurczałam pięść, aż całkowicie odzyskałam czucie. Zaczęłam macać wokół siebie, szukając jakiegoś narzędzia obrony. Pod siedzeniem natrafiłam na garść wyschniętych rodzynek i klocków lego, którymi Jimmy bawił się podczas długich podróży. Potem wyczułam piłkę, elektroniczną zabawkę i kilka figurek komiksowych bohaterów, tak uwielbianych przez Jimmyego. Boże, ależ by mi się teraz przydał Superman. Nie pogardziłabym nawet Halle Berry w roli Kobiety Kota. Może powinnam zacząć wyrzucać figurki przez okno w nadziei, że zwróci to czyjaś uwagę. Lecz leżąc na podłodze, nie zdołałabym cisnąć nimi z odpowiednią siłą, poza tym i tak zapewne odbiłyby się od szyby i wylądowały mi na plecach. Celować w Julie? Przypomniało mi się, jak zawsze upominałam Jimmyego i jego kolegów, że odwracanie uwagi kierowcy może być bardzo niebezpieczne. Pewnie tak, ale szansa, że trafiona piłką Julie spowoduje wypadek, była raczej niewielka. Wsłuchiwałam się uważnie w dźwięki dobiegające z zewnątrz. Jechałyśmy podrzędną drogą, na pewno nie autostradą. Mijały nas jakieś samochody. Czyli jeszcze nie byliśmy na kompletnym odludziu. Nie miałam pojęcia, dokąd Julie mnie wiezie. Kiedy jednak dotrzemy na miejsce, umrę w ciągu kilku minut. Boden miała plan. Prawdopodobnie już podpisała mój list pożegnalny.

Zaczęłam się przesuwac, centymetr po centymetrze pełzając po podłodze samochodu. Wolną ręką dotknęłam drzwi i sięgnęłam do klamki. Panie Boże, błagam Cię, spraw, żeby Julie nie wiedziała o blokadzie tylnych drzwi. Miałam jedną szansę na sto. Nie jechałyśmy zbyt szybko, ale jakoś nie potrafiłam sobie wyobrazić, że wypadam ze znajdującego się w ruchu samochodu. Ale jeśli zaczekam, aż się zatrzyma, mogę nie zdążyć. Chociaż leżałam twarzą w dół, wiedziałam, że wokół nie jest zupełnie ciemno. Wciąż migały uliczne światła, a to oznaczało, że muszą też być tu ludzie. Teraz albo nigdy.

Najdelikatniej jak mogłam, złapałam klamkę i podciągnęłam się w górę. Otworzyłam drzwi i rzuciłam się naprzód.

- Na pomoc! - wrzasnęłam co sił w płucach. - Pali się! Dobiegł mnie pisk hamulców. Huk dwóch zderzających się samochodów. Walnęłam o chodnik.

- Co do ciężkiej cholery... - rozległ się czyjś głos. I otoczyła mnie ciemność.

Rozdział szesnasty

Uparłam się, że wyjdę ze szpitala na wstępną rozprawę Dana, chociaż wciąż musiałam chodzić w kołnierzu ortopedycznym, rękę miałam w gipsie, a połamane żebra utrudniały mi oddychanie. Ale czy to ważne? Miałam wstrząśnienie mózgu, ale nie zapadłam w śpiączkę. Doktor tylko kręcił głową i powtarzał, że prawdziwa ze mnie szczęściara. I tak też się czułam.

Dzieci również nalegały, aby być w sądzie i zważywszy okoliczności, Chauncey uznał to za dobry pomysł. Siedzieliśmy wszyscy w drugim rzędzie i choć ławki były twarde i niewygodne, nawet Jimmy siedział prosto, ani trochę się nie wiercąc. Patrzył przed siebie na sędziowski stół z obu stron udekorowany flagami Stanów Zjednoczonych i stanu Kalifornia. Sala wyglądała bardzo oficjalnie i odrobinę przerażająco - słowo daję, przydałoby się trochę ją ozdobić. Czekaając na rozpoczęcie rozprawy, doszłam do wniosku, że od szarawej farby, którą pomalowano ściany, lepsza byłaby drewniana boazeria. Przydałaby pomieszczeniu nieco dystynkcji. Napis „W Bogu pokładamy nadzieję” nad sędziowskim stołem położył trochę ze starości - znacznie lepiej prezentowałby się wykonany z lśniącego brązu. I kto wymyślił, żeby barierka oddzielająca miejsca dla sędziów przysięgłych była tak wysoka, że sędziowie sprawiali wrażenie zamkniętych w więzieniu? Wyobraziłam sobie niski murek w kształcie litery S, który w elegancki sposób by oddzielał, ale nie dzielił.

Molly i Tim zjawili się zgodnie z obietnicą, pomachali nam i zajęli miejsca kilka rzędów za nami. Mandy przyszła wraz ze swoją mamą, aby wspierać Ashley. Chcąc dać wyraz swemu poparciu dla amerykańskiego systemu prawnego, włożyła białą koronkową bluzkę, całkowicie zasłaniającą pępek. W ostatnim rzędzie siedział przyjaciel Granta, Jake, lekko przerażony. Może to i dobrze. Jeżeli jedna wizyta w sali sądowej miała go przekonać, że na więcej nie ma ochoty, być może przestanie parać się hakerstwem. Zjawili się też kilku innych kolegów Granta, na których widok Jake wyraźnie się rozluźnił. Przynajmniej dzisiaj nikt nie wtrąci go do więzienia.

Woźny podszedł do drzwi i z namaszczeniem ogłosił: - Proszę wstać. Wszyscy wstaliśmy i na salę wkroczyła sędzia, atrakcyjna kobieta około pięćdziesiątki, o ciemnych włosach i gładkiej lśniącej cerze. W tym mieście nawet sędziowie byli zawsze przygotowani na zbliżenie w kamerze. Całe szczęście, że do twarzy było jej w czerni.

Wiedziałam, że sędzia dokładnie zapoznała się ze sprawą. W jej gabinecie Chauncey odtworzył nagranie z magnetofonu, który policja znalazła na tylnym siedzeniu mojego samochodu. Co tam Prada, odtąd będę już nosić wyłącznie torebki od Michaela Korsy. Każda kobieta powinna mieć w torebce małą, zapinaną na zamek błyskawiczny kieszonkę.

Pani sędzia, nie tracąc czasu, wezwała prokuratora, aby przedstawił sprawę. Pan Allan Vikars wstał z tapicerowanego krzesła przy stole oskarżenia, prostując swoją chudą wysoką sylwetkę. Przed nim leżał teczek w twardej oprawie, gruba na co najmniej piętnaście centymetrów - aż tyle było zarzutów przeciwko Danowi? Zerknął na mojego męża i stwierdziłam, że ma inteligentne spojrzenie i poważną minę. Ciężko było by patrzeć na niego, jak podczas długiego procesu sądowego wysuwa jedno oskarżenie po drugim.

- Wysoki sędzie - zaczął - w świetle nowych dowodów, które wyszły na jaw, wycofujemy wszystkie zarzuty postawione doktorowi Danielowi K. Fieldsowi w sprawie o morderstwo Teresy Bartowski, znanej również jako Tasha Barlow, zamieszkałej w Twin Falls, w stanie Idaho, oraz w Los Angeles, w stanie Kalifornia.

Umilkł. Sędzia patrzyła na niego, czekając na ciąg dalszy. Najwyraźniej prokuratorzy zazwyczaj mieli znacznie więcej do powiedzenia. On jednak już skończył.

- Panie prokuratorze, czy działa pan w porozumieniu z policją Los Angeles i występuje w imieniu biura prokuratora okręgowego?

- Tak, wysoki sędzie.

Sędzia znowu czekała, lecz prokurator wrócił na swoje miejsce i stanął obok zajmowanego wcześniej krzesła.

- Doskonale - powiedziała sędzia. - Wszystkie zarzuty zostają niniejszym oddalone. Doktorze Fields, proszę wstać.

Siedzący obok Chaunceya przy stole obrony Dan wstał niepewnie, wstrząśnięty do głębi, że chociaż zaledwie przez pięć minut, ale jednak był oskarżony. Mimo że już oczyszczony z wszelkich zarzutów, twarz miał pobladłą i zauważyłam nerwowy tik w kącie oka. Oglądając go w takim stanie przez ciągnące się w nieskończoność tygodnie, cierpiałabym niewiarygodne katusze. Nawet połamane żebra nie sprawiałyby mi takiego bólu.

Sędzia przejrzała jakieś papiery.

- Doktorze Fields, w imieniu stanu Kalifornia zarządzam wycofanie wszelkich zarzutów przeciw panu. Jest pan wolny od wszelkich oskarżeń w niniejszej sprawie.

- Hurra! - wrzasnęła Ashley, a Jimmy klasnął w dłonie. Sędzia uniosła swój młotek, po chwili jednak uśmiechnęła się pod nosem i odłożyła go.

- Doktorze Fields, chciałabym również przeprosić w imieniu sądu za nieuzasadnione aresztowanie. Mam na-

dzieję, że pańska żona szybko wróci do zdrowia i życzę panu wszelkiej pomyślności tak w życiu, jak i pracy zawodowej, którą może pan teraz kontynuować. Tym razem uderzyła młotkiem.

- Sprawa zamknięta - oznajmiła, a wszyscy zebrani na sali wydali pełen radości okrzyk.

Wstaliśmy, podczas gdy woźny otworzył drzwi przed sędzią, wracającą do swojego gabinetu. Mój mąż i Chauncey uścisnęli sobie dłonie, po czym Dan podszedł do mnie i delikatnie mnie pocałował.

- Dziękuję - powiedział. Uśmiechnęłam się.

- Właśnie podziękowałeś mi po raz cztery tysiące osiemset dziewięty trzeci. Chociaż oczywiście nie liczę tego.

- Same słowa nie wystarczą - rzekł Dan i wyjął z kieszeni małe puzderko, które mi podał. - To także nie wyrazi w pełni mojej wdzięczności, ale w ten sposób chciałbym choć w części wyrazić, jak bardzo cię kocham.

Na aksamitnym wieczku widniał napis „Cartier”, a kiedy je uniosłam, dostrzegłam błysk brylantowo-rubinowej bransoletki.

Oniemiałam.

- Dan - wykrztusiłam po chwili. - Jest cudowna. Ale nie potrzebuję jej. Potrzebuję tylko ciebie.

- Masz mnie - rzeki Dan. - A teraz masz także bransoletkę.

Ashley zajrzała mi przez ramię i nachyliła się, by dotknąć cacka.

- Rany, mamó. Jeżeli naprawdę jej nie chcesz, daj ją mnie.

- Nic z tego - odparłam ze śmiechem. Wyciągnęłam do Dana rękę - tę bez gipsu - a ona zapiał

mi cacko na nadgarstku. Mimo że wyskoczyłam z jadącego

auta, jakimś cudem nie miałam prawie żadnych zadrapań ani siniaków. Plastikowa zasłonka skutecznie osłabiła skutki mojego zetknięcia z ziemią.

- Rodzinny uścisk - rozkazał Dan.

Jedną ręką objął Granta, drugą Ashley, a Jimmy i ja dołączyliśmy do nich. Mimo moich obrażeń, zdołaliśmy się uścisnąć, jak za starych dobrych czasów.

- Dziękuję, że tak dzielnie trwaliście przy moim boku - powiedział Dan. - Kocham was wszystkich. A teraz musimy zacząć od nowa.

- Nauczyłam się, że trzeba słuchać własnej rodziny - rzekłam z uśmiechem. - Miałeś rację co do tych maili, Grant. Powinnam była zwrócić uwagę, kiedy mówiłeś, że być może pisała je sama Tasha.

- Jasne, zawsze powinnaś mnie słuchać. - Grant wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Może dzięki temu przestaniesz pakować się w kłopoty.

Podszedł Chauncey i powiedział, że Dan jest mu na chwilę potrzebny.

Kiedy odeszli, Grant i Ashley poszli porozmawiać z przyjaciółmi. Molly i Tim zjawili się u mego boku, każde całując mnie w oba policzki.

- Powinnam przewidzieć, że zostaniesz bohaterką - rzekła Molly z uśmiechem. - Świetnie ubrana dekoratorka rozwiązuje sprawę.

- Jeżeli nagram z tobą wywiad, dasz mi wyłączność? - zapytał Tim, uśmiechając się szelmowsko.

- Najpierw sprawdzę inne oferty - odparłam wesoło.

- Uważaj, bo inaczej już ci nigdy niczego nie pożyczę.

- Mam nadzieję, że już nigdy nie będziesz musiał.

- Nie wiecie, czy Julie jest w więzieniu? - zapytała Molly.

Owszem - odrzekłam. - Sędzia przesunął rozprawę w sprawie kaucji. Co mi wcale nie przeszkadza.

- A jej brat?

- Pewnie pracuje gdzieś jako technik estradowy. Dan nie będzie go skarżył o szantaż. Prawdę mówiąc, chce mu zrobić operację twarzy za darmo.

Przewróciłam oczami. Ale znałam Dana. Zrobi to, choćby nie wiem co się działo. I to tak, że Johnny będzie mógł bez problemu wystąpić przed kamerą. A już na pewno stanąć za nią.

- Moje ostatnie pytanie dotyczy Roya Evansa - rzekł Tim. - Co on miał z tym wszystkim wspólnego?

- To, o czym już wiesz - wyjaśniłam. - Kręcił z Tashą filmy sado-maso, i kiedy dowiedział się, że została uduszona, wpadł w panikę. Ale jest za głupi, żeby zabić i wrobić w to kogoś, jak to zrobiła Nora. Jeżeli więc nie masz nic przeciwko narkotynom i seksowi w stylu L.A., w sumie niczego nie można mu zarzucić.

Tim roześmiał się.

- Czy to znaczy, że znowu mogę go zatrudnić?

- Absolutnie nie - oświadczyła Molly zdecydowanie.

- Julie miała swój romansik z Royem - wyjaśniłam. - Ale nie miała pojęcia, że on zadaje się również z Tashą. Dopiero ja jej o tym powiedziałam. Kiedy byłam u niej po raz pierwszy i wspomniałam o tym, że Roya coś łączy z charakteryzatorką, była autentycznie poruszona.

Teraz już wiem dlaczego. Znała Tashę z opowieści swojego brata, Johnny'ego.

- I w ten sposób dowiedziała się, że dziewczyna, która pieprzy się z jej bratem, pieprzy się też z jej kochankiem. Nic dziwnego, że dopuściła się morderstwa. Musiała być nieźle wkurzona - powiedział Tim.

Molly skinęła głową.

- W dalszym ciągu nie mogę się nadziwić, że ta cała Nora, prostytutka z Idaho, okazała się taką przebiegłą ma-nipulatorką.

- Z pozoru zupełnie nie pasuje - Tim i ja powiedzieliśmy to nieomal jednocześnie.

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem. Wtedy Tim popatrzył z niepokojem na zegarek, a Molly oświadczyła, że muszą wracać - Tim musiał przygotować program, ona nadgonić jakieś dwanaście godzin zaległości. Byłam im niewypowiedzianie wdzięczna. Najbardziej zapracowani ludzie, jakich znałam, znaleźli dla mnie czas, kiedy ich potrzebowałam. Po kolejnej wymianie pocałunków przyglądałam się, jak wychodzą objęci z sali sądowej.

Doszłam do wniosku, że musimy rodzinnie uczcić ten dzień. Tylko jedna rzecz przychodziła mi do głowy. Wystawny lunch w Spago Beverly Hills. Natychmiast zadzwonię do Wolfganga Pucka i poproszę, aby zarezerwował dla nas stolik, przygotował szampana i ulubioną przez Ashley pizzę z wędzonym łososiem. Skinęłam na dzieci, a kiedy podeszły, przedstawiłam im mój plan.

- Hm, mamó, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, ja i Jake chcielibyśmy wrócić do szkoły - powiedział Grant. - Dzisiaj po południu mamy przeprowadzić fenomenalne doświadczenie z fizyki. Będziemy mierzyć laserem siłę grawitacji.

Czy mogłam protestować?

- Idźcie - powiedziałam.

- Ja też, mamó - odezwała się Ashley z wahaniem. - To znaczy, żadnych laserów. Ale Mandy powiedziała, że jej chłopak może przyprowadzić swojego przyjaciela z obozu do Starbucksa po szkole. Super, no nie? I jestem gotowa. - Chrząknęła. - Wypiję duże sojowe cappuccino, pół na pół bezkofeinowe i normalne, z bitą śmietaną, ale bez dodatków.

- Na pewno zrobisz na nim wrażenie - powiedziałam.

- A ja mam przyjęcie u Daveya! - krzyknął Jimmy. - Zapomniałaś już? Lody, tort, a potem ten straszny film.

Myślałam, że nie idziesz, bo boisz się, że będziesz się...

Hal? - dokończył za mnie Jimmy. Wypiął swoją drobniutką klatkę i wyprostował się najbardziej, jak potrafił. - Ja już przestałem się bać.

Dan wrócił do nas i ujęłam go za rękę.

- Co powiesz na romantyczny lunch? - zapytałam go z nadzieją. - Tylko ty i ja przy dyskretnym stoliku w Spago.

- Byłoby cudownie, ale czy nie możemy tego odłożyć na kiedy indziej? Właśnie zadzwonił do mnie Brandon Jackson. Dzisiaj po południu zbiera się rada szpitala. Chcą mnie oficjalnie powitać z powrotem.

Poczułam, jak do oczu napływają mi łzy i odwróciłam się, by je otrzeć.

Dan to zauważył i z miejsca się przestraszył.

- Och, kochanie, jeżeli to takie dla ciebie ważne, to oczywiście pójdę z tobą do Spago - powiedział.

- Ja też - zawtórował mu Grant.

- I ja - jak echo powtórzyli jednocześnie Ashley i Jimmy.

- Nic z tego. - Pociągnęłam nosem i Dan podał mi czystą chusteczkę. - Po prostu nagle uświadomiłam sobie, jaka jestem szczęśliwa. Jesteście zbyt zajęci dla mnie.

- I to cię uszczęśliwia? - spytała Ashley ze zdumieniem.

- Jeszcze jak. - Wytarłam nos i uśmiechnęłam się szeroko. - Mam, czego chciałam. Wszystko wróciło do normy.

Podziękowania

Jestem wdzięczna Jane Gelfman za jej nieocenione wsparcie podczas pisania tej książki, jak również Trisli Lande Grader za to, że jest taką wspaniałą, utalentowaną redaktorką. Mogę mówić o prawdziwym szczęściu, mając je obie po swojej stronie. Drodzy nowi koledzy z Parade - ogromnie się cieszę, pracując z Wami. Pragnę też wyrazić podziw i uznanie dla Waltera Andersona, Lee Kravitz, Randy Siegela oraz Iry Yoffego. Jak zwykle moje podziękowania należą się również Anthei Disney, za rady i zachętę. Liczni przyjaciele ze stacji telewizyjnych pomogli mi poznać Los Angeles od podszewki (że nie wspomnę o wspaniałych restauracjach, do których mnie zabrali), podziwiam też ich chęć służenia pomocą i poczucie humoru. Serdecznie dziękuję Susan Fine, Ronnie Siegel, Lynn Schnurnberger, Margot Stein, Leslie Mintz, Annie Ranieri, Marshy Edell i wielu innym przyjaciółom za dodawanie mi otuchy. W tajniki postępowania sądowego i prawa wprowadził mnie sędzia stanowego Sądu Najwyższego, który w swej uprzejmości otworzył przede mną swoją salę sądową. Jest niezwykle cierpliwy i mądry - przede wszystkim zaś, tak wierny etyce zawodowej, że woli, aby nie ujawniać jego nazwiska. Jestem wdzięczna za jego pomoc, a jeszcze bardziej za to, że sędziowie tacy jak on wciąż przewodniczą sądom w Ameryce.